

Elizabeth Buchan mieszka w Londynie z mężem i dwójką dzieci. Początkowo zajmowała się przede wszystkim działalnością edytorską, pracując dla wydawnictw Penguin Books i Random House. Obecnie, po bardzo dobrym przyjęciu, z jakim spotkała się jej własna twórczość literacka, poświęciła się wyłącznie pisaniu. Swoją pierwszą książkę, powieść dla dzieci *Beatrice Potter: The Story of the Creator of Peter Rabbit*, opublikowała kilkanaście lat temu. Jej pierwsza powieść dla dorosłych, *Daughters of the Storm*, jest osadzona w realiach francuskiej rewolucji, a następna, *Light of the Moon*, dzieje się w okupowanej Francji podczas drugiej wojny światowej. Trzecia powieść E. Buchan, *Consider the Lily*, to historia młodej angielskiej arystokratki z początków XX wieku. Za tę książkę pisarka otrzymała w 1994 roku nagrodę za najlepszą powieść romantyczną, Romantic Novel of the Year Award. Powieść stała się wkrótce międzynarodowym bestsellerem i w samej tylko Wielkiej Brytanii osiągnęła kilkuset tysięcy nakład. Kolejne książki tej autorki to: *Perfect Love, Against Her Nature*, *Secrets of Heart* oraz *Zemsta kobiety w średnim wieku*, która zdobyła już uznanie polskich czytelniczek. W lipcu 2004 roku ukazała się najnowsza powieść, *That Certain Age*, o której w czasopiśmie „Daily Mail” napisano: „Fantastycznie opowiedziana historia, bohaterowie, którzy od pierwszych chwil stają się bardzo bliscy - można pokochać każdą stronę tej powieści”.

Elizabeth Buchan należy do wielu stowarzyszeń literackich, zasiadając m.in. w komisjach przyznających nagrody literackie. Jej opowiadania były publikowane w wielu czasopiśmie i prezentowane na antenie rozgłośni radiowych.

Opublikowana po raz pierwszy w Wielkiej Brytanii w 2003 roku *Dobra żona* to druga na polskim rynku wydawniczym książka Elizabeth Buchan. Powieść tę najkrócej określić można jako wyznania Bridget Jones w średnim wieku — bohaterka z zagubionej trzydziestolatki liczącej kalorie i kochanków, aspirującej do roli mężatki, zmienia się w dojrzałą kobietę, szczęśliwą kapłankę domowego ogniska, której zaczyna jednak doskwierać status idealnej partnerki męża i zadaje sobie pytanie, czy bycie kobietą prowadzi się do odgrywania roli idealnej matki i żony.

ELIZABETH
BUCHAN

*Dobra
żona*

tłumaczyła Beata Hrycak



niebieska
studnia

Podziękowania

Wielkie podziękowania należą się Vanessie Hannam i Deborah Stewartby za ich życzliwość, hojnie poświęcony czas i cierpliwość przy odpowiadaniu na pytania dotyczące życia żony parlamentarzysty. Wszelkie ewentualne błędy zawinione są wyłącznie przeze mnie. Jestem także szalenie wdzięczna Emmie Daily za przesłanie mi książki *Complete Wine Course* autorstwa Kevina Zraly'ego (Sterling Publishing, Nowy Jork). Szczegóły do opisu (wymyślonej przeze mnie) Casa Rosa oraz zwiedzania etruskich grobowców zapożyczyłam z następujących publikacji: *Under the Tuscan Sun* Frances Mayes (Bantam Books), *War in the Val d'Orcia* Iris Origo (Cape) oraz z *An Italian Education* Tima Parksa (Vintage), natomiast informacje i anegdoty związane z życiem parlamentarzysty z *Breaking the Code* Gylesa Brandretha (Phoenix). Z przeprosinami także dla Jane Austen. Ogromne podziękowania należą się również moim wspomniałym wydawcom Louise Moore i Christie Hickman, Hazel Orme - jak zwykle - Stephenowi Ryanowi, Keithowi Taylorowi, Sarah Day oraz pozostałym członkom zespołu Penguin Books. Także mojemu agentowi Markowi Lucasowi, Janet Buck oraz, oczywiście, Benjie, Adamowi i Eleanor.

To powszechnie znana prawda, że szczęście jednej osoby często bywa okupione cudzym nieszczęściem.

Mojego męża Willa, polityka w każdym calu, niezupełnie to przekonywało. Twierdził, że poświęcenie w imię wspólnego dobra wystarczy samo w sobie, by uszczęśliwić każdego bez wyjątku. A ponieważ Will poświęcił znaczący kawał życia rodzinnego pogoni za własnymi ambicjami - najpierw jako dobrze zapowiadający się deputowany, potem członek nadzwyczajnej komisji w ministerstwie finansów, następnie minister, a od niedawna kandydat na stanowisko ministra skarbu - powinien być absolutnie szczęśliwy.

I chyba był.

A ja?

Takiego pytania dobra żona zadawać pewnie nie powinna.

Niektórzy zagadnięci, co to znaczy „być dobrym”, odpowiadają: „Mówić prawdę”. Jeśli jednak myśliwy zapyta, w którą stronę umknął lis, a my udzielimy odpowiedzi zgodnej z prawdą, czy będzie to równoznaczne z byciem dobrym?

W dziewiętnastą rocznicę naszego ślubu obiecaliśmy sobie z Willem zachowywać się normalnie. Z tej okazji Will zabrał mnie do teatru, zamówił szampana, pocałował czule i wznosił toast:

- Za życie małżeńskie.

Oglądaliśmy *Dom lalki* Ibsena, przedstawienie, które cieszyło się ogromnym zainteresowaniem. Chociaż widziałam, że Will jest ledwie żywy ze zmęczenia, siedział nieruchomo i sztywno na fotelu, nie rozluźniając się nawet wtedy, gdy przygasły światła. Proste plecy były częścią narzuconej sobie dyscypliny, która nakazywała nigdy nie tracić czujności w miejscu publicznym. Mimo że poczyniłam niejaki postępy, nadal pozostawałam w tej sferze daleko w tyle. To

takie kuszące, by osunąć się w fotelu, podwinąć spódnicę i śmiać się, gdy dzieje się coś zabawnego - a nasze życie często bywało aż zbyt zabawne. Politycy, ambasadorowie, wyborcy, spotkania towarzyskie połączone z charytatywną zbiórką pieniędzy przed południem, kolacje, uroczystości państwowe... niezwykły, barwny kram wypełniony po brzegi ambicjami i naiwnością, porażkami i sukcesami.

Z konieczności Will śmiał się powściągliwie - na tyle powściągliwie, że zarzuciłam mu kiedyś, że zatracił umiejętność śmiania się wskutek braku praktyki. Na jego ustach błąkał się zaledwie cień uśmiechu, kiedy wyjaśniał, że jeden drobny błąd w koncentracji może zaprzepaścić lata pracy.

Zerknęłam na niego ukradkiem spod powiek, które ciągle jeszcze piekły po odbywanej regularnie porannej wizycie w salonie piękności. Nakładanie henny na rzęsy było koniecznością, ponieważ przy każdym wybuchu wesołości łzawiły mi oczy. Na początku kariery Willa jego czujny i wierny sekretarz Mannoche był zmuszony podejść do mnie w trakcie któregoś spotkania z wyborcami i szepnąć dyskretnie: „Pani S., tory kolejowe”, co znaczyło, że rozmazał mi się tusz. Nie pozostało mi wówczas nic innego, jak tylko zbyć wszystko śmiechem, przemknąć czym prędzej do najbliższego lustra i błyskawicznie poprawić makijaż. Z biegiem czasu coraz bardziej spalałam się wewnątrz z powodu codziennego przypominania o moich fizycznych niedoskonałościach - a lustro rejestrowało każdy mankament. Cóż to za udręka, że trzeba uciekać się do forteli, lecz utrzymanie ciała w dobrej formie to konieczność, zwłaszcza kiedy dziewczyna... s z c z e g ó l n i e kiedy kobieta liczy sobie lat czterdzieści i trochę ponad.

Ubrana w połyskliwe, blade błękity Nora pojawiła się na scenie, a jej małżonek spytał z niepokojem:

- Cóż się stało mojej małej ptaszynie?

Will dotknął mojej dłoni, lewej, tej, na której nosiłam ślubną obrączkę oraz skromny pierścionek z perłą, który razem wybraliśmy. Perła była niewielka, ponieważ od niedawna zaręczona, promieniejąca miłością i nadzieją na wspólne szczęście i wzajemną harmonię,

nie chciałam, by mój przyszły mąż za bardzo się na mnie wykosztował. Trzeźwe spojrzenie z perspektywy czasu to rzecz nieoceniona - dopiero później doszłam do wniosku, że w wypadku biżuterii skromność nie popłaca. Dotyk jego dłoni był obcy, nieomal dziwny, przywykłam jednak i do tego, więc nie przywiązywałam do owego faktu istotnej wagi. Pod pozorną obcością kryły się lata małżeństwa, które nas ze sobą łączyły. I to nie podlegało dyskusji.

Pod koniec przedstawienia odziana nadal w blade błękity Nora oznajmiła:

- Nie wierzę już w cuda.

Odgłos otwierających się i zamykających za nią drzwi domu przywodził na myśl zatrząskującą się bramę więzienia.

- Fanny, kochana, błagam o przysługę... Wiem, wiem, zawdzięczam ci więcej, niż potrafisz zliczyć, ale powiedz tak. Proszę.

Nazajutrz samochód ministerialny zabrał nas z naszego apartamentu w westminsterskiej rezydencji i zawiózł do kościoła w Stanwinton na pogrzeb Pearl Veriker. Stanwinton był okręgiem wyborczym Willa w środkowej Anglii i zarówno w sensie geograficznym, jak i metaforycznym balansował gdzieś pomiędzy dekadencją, kawiarnianym południem a profesjonalną północą zamieszkaną przez ludzi z krwi i kości. Natomiast Pearl Veriker, poprzednia przewodnicząca organizacji partyjnej w Stanwinton, była niegdyś zgorą mojego życia.

Sięgnęłam po notes.

- Będzie mi potrzebny?

Will wyprostował się, chwytając za oparcie.

- Mówisz bardzo oficjalnym tonem. Dobrze się czujesz?

Mogłam odpowiedzieć: „Czuję się tak, jakby rozwałkowano mnie na placek tak cienki, że niemal przezroczysty. Stań i popatrz przeze mnie — zobaczysz moje udęczone serce”. Zamiast tego, doskonale wyszkolona w sztuce zachowywania pozorów, odparłam:

- Dobrze.

Samochód zatrzymał się na światłach. Spojrzałam przez okno na plakat przedstawiający pannę młodą w bieli z długim, cienkim jak

mgiełka welonem, przez który prześwitywały diamentowe kolczyki. Napis głosił: „Na zawsze”.

Kiedy poślubiłam Willa, nie miałam pojęcia, jak drobne uniki i kłamstewka pomagają znosić codzienność. Nasz partnerski związek miał być niczym przejrzysty strumień, w którym oboje będziemy się przeglądać i z którego oboje będziemy czerpać energię. Piękna idea, nie zdawałam sobie jednak sprawy, że gdybyśmy mogli zarzucić sieci w tę skrzącą się wodę, wyłowilibyśmy z niej wcale nie dorodną, krzepką prawdę, lecz ławicę maleńkich, niewinnych kłamstw, a sporadycznie również podłe, tnące jak brzytwa łgarstwo.

Auto ruszyło spod świateł pełnym gazem. Zagadnęłam:

- Will, o co chciałeś mnie zapytać?

Sprawił wrażenie skrepowanego.

- Nie mogłabyś przypadkiem objąć za mnie dyżuru w dwie kolejne soboty? Robisz to tak znakomicie.

Za wymówkę posłużył, naturalnie, kalendarz ministerialny, który liczył się ponad wszystko. Jedyne, czego wymagano ode mnie w trakcie dyżuru, to wysłuchanie mało istotnych opowieści o zakłócaniu porządku publicznego i codziennych niesprawiedliwościach - lekarskie niedopatrzenie, nieznośny sąsiad, błędnie naliczony rachunek za gaz — oraz przedstawienie raportu. Bardzo często rozwiązanie problemów sprowadzało się do kontaktu z właściwymi ludźmi. Zajmowali miejsce na szczycie piramidy, a Will zadbał o to, by znać ich wielu, co było jak najbardziej praktycznym rozwiązaniem.

- Zrobisz to, Fanny?

- Oczywiście.

I po sprawie. Kiedy obradował parlament, Will w dni powszednie mieszkał w Londynie. Gdy Chloe, nasza córka, była młodsza, nie widywaliśmy się czasem tygodniami, teraz jednak miała lat osiemnaście, mogłam więc bywać w Londynie regularnie. O proszonych kolacjach u Savage'ów zawsze było głośno, co przypisywałam serwowanemu na nich wybornemu winu. W dawnych czasach Will jeździł do Stanwinton w każdy weekend, by zabiegać o względy swoich wyborców oraz naszej rodziny (w takiej właśnie kolejności).

Teraz, kiedy objął stanowisko ministra, jego wizyty stały się mniej przewidywalne — jeśli miał chwilę wolnego czasu, upływała ona na rozmyślaniach nad budżetem.

Uśmiechnął się do mnie, pewny siebie w oficjalnym ubraniu.

— Bardzo ci dziękuję - rzekł swoim urzędowym tonem.

- Nie jestem twoim wyborcą - poinformowałam go - tylko twoją żoną.

Will przeszedł jedną ze swych szybkich jak błyskawica przemian i zrzucił skórę polityka, by stać się prawdziwym sobą.

-J chwala Bogu - skwitował.

Trumna musiała sporo ważyć, ponieważ pracownicy zakładu pogrzebowego z trudem manewrowali nią w nawie kościoła. Na wieku ułożono kompozycję z czerwonych róż i zielonych euforbii, pastor był przyodziany w złoto i biel. Ładny widok. Pearl Veriker, urodzona despotka, zmierzała na spotkanie Stwórcy w odpowiednio barwnym stylu, powalona przez atak serca w głównej siedzibie partii - taką śmierć pewnie sama by sobie wybrała. Nie miałam cienia wątpliwości, że doceniłaby to widowisko, zwłaszcza ścisłe przestrzeganie hierarchii przy zajmowaniu miejsc w ławkach. Wiem z doświadczenia, że zgodnie z normalnym porządkiem rzeczy poseł bieżącej kadencji wraz z małżonką idą przynajmniej dziesięć kroków za miejskimi dygnitarzami, ponieważ jednak Will awansował, przeprowadzono pospieszne przetasowanie i tego dnia przyznano nam status zasiadających w pierwszej ławce.

Nad ołtarzem dominowało okno witrażowe przedstawiające procesję pielgrzymów zmierzających do odległego raju. Aureole ponad głowami kilku mężczyzn sugerowały, że oni zostali już świętymi. Inni mężczyźni oraz kobiety wyglądali na wyczerpanych i zdumionych, że w ogóle jest jakaś nadzieja na osiągnięcie ostatecznego celu wędrówki. Przez lata bliskich - z konieczności - obserwacji zmienili się moi ulubieńcy na witrażu. Gdy byłam panną młodą, podobał mi się silny, wyglądający na śmiałka rycerz na czele procesji. Teraz moja uwaga skupiała się raczej na małym piesku, który włókł

się za zakonnica obleczoną w zamiatający ziemię czarny habit. Ale o wszystkich martwiłam się tak samo. Musiało być im ciężko bez czystych ubrań, ulubionej poduszki, szklanki mleka na dobranoc.

Mój kapelusz z szerokim rondem, czarny i n i e s z c z e g ó l n i e dowcipny - kupiony w Harrodsie specjalnie na takie okazje - był nieco przyciasny.

- Kochanie, głowa spuchła ci od pochwał - rzucił Will, gdy usiłowałam wcisnąć go na czoło.

Ta uwaga nie była tak żartobliwa, jak mogłoby się здаwać. Nawet teraz, po niemal dwóch dekadach zasiadania w parlamencie, Will potrafił być zazdrosny o swój elektorat. W milczeniu starałam się zapanować nad wzburzonymi emocjami, tak jak uczyniłabym w przeszłości. Ostatnimi czasy stałam się jednak mniej elastyczna, mniej przychylna, bardziej chmurna.

- Zasłużyłam na nie, Will - warknęłam.

Will zdębiał.

- Ależ oczywiście.

Świadoma, że znajduję się pod ostrzałem obserwacji, poprawiłam rondo kapelusza, zyskując tym samym lepszy widok na przeciwległą ławkę. Ponieważ poddawanie się obserwacji należało do moich obowiązków, starannie wybrałam strój. Czarny dopasowany kostium, który nie epatował ekstrawagancją, pantofle na umiarkowanie wysokich obcasach i pomadka w ciepłym, przyjaznym kolorze. Efekt - kobieta elegancka, inteligentna (ale b e z przesady), zaangażowana, godna zaufania, obznajomiona z rolą. Dobra żona. Wiem, ponieważ uzyskanie stosownego wizerunku wymagało kilku prób i więcej niż kilku wyrzuconych strojów.

Will szturchnięciem sprowadził mnie na ziemię. Uczynił to w sposób bardziej życzliwy i czuły niż władczy. Mój mąż i ja stosowaliśmy system delikatnego trącania łokciem, dźgnięć przypominających nam o powinnościach, zadaniach, partnerstwie. Początkowo ja także rozdawałam szturchańce. Teraz z rozmaitych powodów stałam się raczej osobą szturchaną - sądziłam jednak, że i to z czasem się zmieni.

Przez krótką chwilę pozwoliłam dłoni spocząć na jego udzie ze świadomością, że tym obrazoburczym, dwuznacznym dotykiem wzbudzę jego niepokój.

Po drugiej stronie Willa siedział Matt Smith, nowy przewodniczący organizacji, który obnosił się ze swoimi stopniami naukowymi z uniwersytetów Warwick i Harvarda i miał duże doświadczenie jako członek zespołu doradców. Nosił lniane garnitury, koszule bez kołnierzyków i sznurowane buty, rozprawiał na temat zmieniających się wzorców głosowania oraz grup dyskusyjnych. Był, jak twierdził, profesjonalistą.

Po mojej drugiej stronie Chloe skubała skórki lewej dłoni, na której ostentacyjnie nosiła pięć srebrnych pierścionków, w tym pierścionek na kciuk przywieziony przez kuzyna Sachę z ostatniego występu na północy kraju.

- Łażenie na pogrzeby starych zgredów to twój obowiązek, nie mój! - huknęła na Willa. - Poza tym ja w Boga nie wierzę.

- Co stawia cię pośród większości - zauważył Will nie bez racji, po czym przywołał ją do porządku.

Przypuszczam, że każde życie - czy to przeżyte wspólnie z kimś, czy w pojedynkę - jest naznaczone elementami kompromisu niczym szarpanymi, krwawiącymi ranami. A czasem również tęnym bólem cichego męczeństwa.

Chloe utkwiała rozmarzone spojrzenie w pielgrzymach. Była mniejszą, nieskończenie delikatniejszą wersją swojego ojca, o jasnych włosach i ciemnych oczach. Pewnego dnia wyrośnie na piękność, a ta zapowiedź budziła we mnie głęboką, absolutną przyjemność.

Wierni odśpiewali hymn *Ślubuję ci, kraju mój*, a Will ochoczo wygłosił mowę. Słuchałam jednym uchem - jego osobista sekretarka zdążyła już zadzwonić i poprosić o kilka słów na temat zmarłej. „Miała wielkie serce” - odparłam, zdążyłam ją bowiem polubić.

- Kochanie - skomentował później Will - to nie było najszczęśliwsze określenie.

Znowu napadłam na niego bez ostrzeżenia.

- Zamknij się, Will. Po prostu się zamknij. B ł a g a m .

- Co się z t o b ą dzieje, Fanny? - spytał lekko oszołomiony, trochę poirytowany.

Po nabożeństwie Chloe się ulotniła. Na stypie pocieszyliśmy wstrząśniętego Paula Verikera i pojechaliśmy do domu, wraz z Man-nochiem. Jak zwykle. Wzorem innych, agent Willa został w jakiś sposób włączony w życie naszej rodziny. „To on jest twoją prawdziwą żoną” - powtarzałam Willowi nieraz.

W drodze na górę przystanęłam napółpiętrze. Zapadał zmierzch, nadchodziła cudowna, tajemnicza chwila, kiedy bawiłam się ciemnością, nie zapalając świateł aż do ostatniej minuty. W owym przejściu od światła do zmroku patrzący staję się szczególnie wyczulony na przedmioty, intensywność światła i cienia, spokoju, szczęścia, rozczarowania, niepokoju...

Podobnie jak wiele rzeczy, zmienił się również i widok ze stylizowanych na gotyk okien. Jedno z dwóch pól, na które wychodziły, sprzedano pod zabudowę i teraz stało tam dwadzieścia dużych domów jednorodzinnych. Drugie pole ocalało i gawrony nadal krakały i krążyły ponad porastającymi je bukami.

Oparłam się o parapet. Teraz znałam siebie lepiej i wiedziałam, że jeśli pozostanę w całkowitym bezruchu, w mojej głowie może pojawić się coś niespodzianego. Czasem ulotna myśl. Czasem objawienie bądź konkluzja. Głównym elementem było zawsze zaskoczenie i złapałam się na tym, że bardzo łaknę owej radości odkrycia. Jedna ze świętych, bodaj święta Teresa, napisała, że w duszy ludzkiej mieści się wiele mieszkań. Tak jak w życiu, tak jak w małżeństwie. I w macierzyństwie. Z rosnącą ciekawością wyczekiwałam światła, które rozjaśni każde z nich.

Jednak tego wieczoru nie pojawiło się nic poza niejasnym uczuciem rozpacz, od którego oczy zaszkliły się łzami. Dlaczego? Tego nie wiedziałam.

Otarłam łzy i powędrowałam do sypialni na górze, gdzie zrzuciłam kostium, oczyściłam go szczotką do ubrań i odwiesiłam do szafy, po czym włożyłam dzinsy.

Nasza sypialnia przypominała magazyn. Była pomieszczeniem

z rodzaju tych, które zachęcały do składowania w nich rozmaitych przedmiotów, między innymi taboretu obitego gobelinem z wizerunkiem dwóch kociąt. Will poczuł się w obowiązku kupić go na wyprzedaży rzeczy używanych, z której dochód miał wesprzeć organizację charytatywną wspomagającą chorych na raka. Za każdym razem, kiedy padał nań mój wzrok, miałam wrażenie, że stołek łytał na mnie z wyrzutem - po pierwsze dlatego, że go nie cierpiałam, po drugie dlatego, że niczemu nie służył.

W innych wnętrzach, do których od czasu do czasu zaglądałam, głównie w Chelsea oraz hrabstwach środkowej Anglii, wystrój traktowano bardziej poważnie. Tam domy stanowiły oprawę dla bogatych, niepospolitych materiałów, z których tchnął dostatek. Ściany lśniły pozostałościami oryginalnych farb i nikt nie ośmieliłby się zagrazać pokójów jakimś stołkiem obitym tkaniną w kociaki. Nasz dom był prosty, bez uduziwień. („Oszczędny” - przekonywał Will z szerokim uśmiechem, od którego w pierwszych latach małżeństwa rośło mi serce). Wzniesiony w ostatnim porywie wiktoriańskiego gotyku, miejscami dość szkaradny, pomalowany farbami z miejscowego sklepu dla majsterkowiczów, był funkcjonalny i solidny. Nigdy go nie pokochałam, nigdy nie starałam się go upiększyć czy dodać mu elegancji. Trwaliśmy obok siebie, dom i ja.

Amy Greene, żona kończącej kadencję szeregowego pośła, palnęła mi kiedyś kazanie na temat oszczędności. Ażeby przetrwać (słowa te padały z ust noszących znamię porażki), trzeba być oszczędnym w swych oczekiwaniach. Nie rozmawiałam z nią - ani, jeśli już przy tym jesteśmy, z Willem - o drobnych ustępstwach w sferze ducha, które chyłkiem wkradały się do codzienności. Zostały zmiecione z pola widzenia i na zawsze pominięte milczeniem.

Wyrównałam narzutę na łóżku. Przynajmniej ona była śliczna. Tradycyjna pikowana amerykańska kapa przysłana przez moją matkę Sally, stara i spłowiała, szyta starannie, kunsztownym ścięciem. Nigdy nie przestała zachwycać.

Na dole w kuchni Mannoche parzył spóźnioną herbatę, a Will rozmawiał przez telefon. W niedzielne poranki Mannoche często

MG080

jadał z nami śniadanie, wślizgując się do domu na palcach, tak że kiedy schodziłam na dół do kuchni z jeszcze potarganymi od snu włosami, witał mnie aromat smażącego się bekonu. Nie zdziwiłam się zatem, kiedy poczęstował mnie ciastem wyjętym z mojego własnego pojemnika.

- Brigitte upiekła je specjalnie dla was dwóch - rzekłam.

W porze letniej Brigitte była naszą *au pair* i gosposią w jednej osobie. Ukroiłam dwa kawałki i wrzuciłam nóż do zlewu, poza zasięg ręki. Patrzyłam, jak Mannoche pałaszuje ciasto, i wyobrażałam sobie, jak słodkie okruszki rozpuszczają się na języku.

- J a k syn? - zapytałam.

Mannoche nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- Rośnie z niego gimnastyk. I najszybszy biegacz w szkole.

Informacje o prywatnym życiu Mannochego były ujawniane nieczęsto i nic nie zmieniło się w tej kwestii nawet po nieoczekiwanym, późnym ożenku, którego owocem było blade, ciągle zamyślane dziecko, łądzące od czasu do czasu w naszym domu i karmione paluszkami rybnymi przy kuchennym stole.

Will odłożył słuchawkę.

- Sądysz, że Matt Smith da radę? Przejęcie pałeczki po Pearl Veriker to trudne zadanie.

Cień rozbawienia złagodził rysy Mannochego.

- Z upodobaniem lansuje kobiety i mniejszości.

Spojrzałam na Willa.

- Lepiej uważaj.

Will posłał mi swój poufny sygnał - leciutkie uniesienie brwi - który oznaczał: „Doceniam ten żart”. Albo: „Masz rację”. Albo: „Dziękuję”. Albo wszystkie te trzy rzeczy razem.

Kiedy Mannoche pojechał odebrać panią Mannoche z pływalni, Will oddalił się do gabinetu, aby pracować nad budżetem. Ja krążyłam po kuchni, zaglądając to tu, to tam, robiąc listy zakupów, aż tu nagle z zajmowanej przez Meg części domu dobiegły podniesione głosy.

Siostra Willa mieszkała z nami w Stanwinton od dawna, co stwarzało mnóstwo okazji do sprzeczek niemal o wszystko, łącznie z tym, co rozumieliśmy pod pojęciem bycia dobrym. Meg była tak drobna i jasnowłosa, jak ja wysoka i śniada, wyglądała jak anielica. „Jestem przypadkiem beznadziejnym - stwierdziła kiedyś - kompletnie do niczego”. Westchnęła i rzuciła mi spojrzenie. „Och, ja biedna. Za to ty jesteś dobra, Fanny”. Przemawiała swoim najbardziej sarkastycznym tonem. „Mnie tej cechy brakuje”.

Zakręciłam butelkę oliwy z oliwek palcami, które nagle zrobiły się niezdarne. Takie hałasowały świadczyły zazwyczaj o jednym - a już od jakiegoś czasu dom był przecież od nich wolny. Meg piła. „Nie teraz” - pomyślałam. A po chwili: „Dlaczego właśnie teraz, Meg? Radziłaś sobie tak dobrze”.

Will usłyszy - i z jego warg odpłynie cała krew. Kilka lat zajęło mi zrozumienie, że jest to u niego oznaką lęku, odrazy i miłości w równej mierze i że moim zadaniem jest go chronić.

- Zajrzę do niej — zawołałam.

Skierowałam kroki w stronę biegnącego w poprzek domu korytara i otworzyłam drzwi do części zamieszkiwanej przez Meg.

- Sacha?

- Jestem na górze, Fanny.

Zastałam go w sypialni Meg, jak taszczył bezwładne ciało swojej matki na łóżko, i pospieszyłam mu z pomocą. Meg leżała skulona na boku, słysząc było jej świszczący oddech. Odgarnęłam włosy z jej czoła.

- Powinam była ją przypilnować.

Sacha ułożył nogi matki w wygodniejszej pozycji.

- Tak jest przez cały dzień. - I dodał z wysiłkiem: - Przepraszam.

- To nie twoja wina.

Schyliłam się, żeby podnieść z podłogi butelkę whisky. Była w trzech czwartych pełna.

- Zdaje się, że nie wypila zbyt wiele, Sacha.

- W każdym razie ma dosyć.

- Ostatnio spisywała się znakomicie, żadnego incydentu podczas twojej nieobecności.

Metalowa kapela Sachy starała się przebić na rynku, dlatego często jeździł w trasy.

Sacha wzdrygnął się, a ja plułam sobie w brodę.

- Sacha, to nie przez ciebie. Nie dlatego, że wróciłeś... Albo taka pora roku, albo niespodziewany rachunek, albo...

- Wiem. Dzwoniła dzisiaj do mojego ojca. On najwyraźniej chce renegotjować wysokość alimentów. Pewnie o to chodzi.

- Tak.

Meg nigdy nie przeboleła faktu, że Rob porzucił ją, kiedy Sacha był malutki.

- Rozmowa z twoim ojcem zawsze jest dla niej trudna.

- Wiem - powiedział znów.

Jak na dwudziestoczterolatka mówił tonem zdecydowanie za nadto znużonym. Otoczyłam mojego zastępczego syna ramionami. Pachniał czystością. Zawsze tak pachniał, bez względu na to, w ilu zadymionych, cuchnących alkoholem miejscach pracował.

- Nie rozpaczaj.

- Nie rozpaczam - skłamał.

- Mam przy niej posiedzieć?

Sacha delikatnie popchnął mnie ku drzwiom. To sprawa pomiędzy nim a matką i chciał, aby tak pozostało - było to bowiem strasznie przykre i bardzo osobiste.

Ślady przegranej batalii Meg były widoczne w kuchni pod postacią na wpół opróżnionych filiżanek z kawą. Ta przy telefonie stała jeszcze pełna i wskazywała chwilę kłęski. „Kawa i herbata prezentują się tak niezachęcająco” - mawiała Meg. „I jak tu mieć na nie ochotę”. Za to rubinowe i topazowe barwy wina oraz brandy, to zupełnie co innego.

Ktojak kto, aleja z moim zamiłowaniem do wina nie mogłam się z tą opinią nie zgodzić. „Nie znoszę cię za to, że wiesz, kiedy przestać” - wypomniała mi kiedyś Meg.

Pozbierałam filiżanki i umyłam, ze złością szorując brązowy osad

na brzegach. Meg nie tylko zepsuła ważne chwile w życiu swojego syna, lecz również zaszczepiła w nim lęk, że pewnego dnia on sam może pójść w jej ślady.

Podniosłam wzrok znad zlewu i wyrzałam na zewnątrz, gdzie rysująca się w półmroku sylwetka lisicy sunęła wzdłuż kwiatowej rabaty. Była chudsza niż londyńskie lisy. Podobno lisy są najbezpieczniejsze w mieście. Zastanawiam się jednak, czy mają zakodowaną pamięć przeszłości, która je dręczy. Czy nie tęsknią za zapachem zboża w środku lata? Za ostrymi krawędziami oszronionych źdźbeł traw?

Will leżał już w łóżku, a ja wśliznęłam się obok niego pod kołdrę.

- Czy... czy wszystko z nią w porządku?

- Śpi.

- J a k myślisz, co ją sprowokowało?

Zastanowiłam się.

- Zadzwoił do niej Rob i chciał rozmawiać o pieniądzach, podejrzewam jednak, że miało to jakiś związek z naszą rocznicą.

Rozmawialiśmy o tym przez chwilę. Will podrapał się w głowę.

- Wiele bym dał, by móc myśleć, że Meg jest zadowolona i uporała się z problemami. - Odwrócił się w moją stronę. - Ma wobec ciebie dług wdzięczności, Fanny. Ja także.

Moje uczucia dla Meg mogły być ambiwalentne, ale podziękowanie w ustach Willa z pewnością brzmiało uroczo.

Poruszył się nerwowo.

- J a k sądzisz, Fanny, co byłoby najlepsze? - zapytał. - Uważasz, że powinniśmy załatwić jej dodatkową pomoc? Mogłabyś się tym zająć?

- Mogłabym, ale może po prostu ty powinieneś z nią porozmawiać. Może potrzebuje odrobinę twojej uwagi.

Rozważył tę sugestię.

- Na razie brak mi czasu. Ale zrobię to, jak tylko będę mógł. Obiecuję.

Był poniedziałek, ósma rano, a na dole brzęczał już telefon na drugiej linii, tej zarezerwowanej dla wyborców. Nic wyjątkowego-

- Ty odbierz.

Will był rozespany. Skulił się w łóżku i naciągnął kołdrę na ramiona. „Precz z rzeczywistością”. Mógł pochwalić się, że to całkiem nieźle działa.

Naciągnęłam dzinsy, nie doszłam jednak do etapu włożenia pulowera. Poranny chłód musnął mi policzki, gdy cicho schodziłam po schodach. Stawiano mi wiele wymagań, jednak pertraktowanie z jakimś wyborcą, zanim jeszcze zdążyłam się ubrać, nie znajdowało się na pierwszym miejscu listy.

- Pani Savage... - Głos brzmiał znajomo.

- Witam, panie Tucker. Skąd pan dzwoni?

- Z Siódmego Nieba.

Pan Tucker zmieniał lokalizację stosownie do kuracji, jakiej się poddawał.

- Panie Tucker, czy jest pan sam?

- Nigdy nie jesteśmy sami, pani Savage. Chcę się poskarżyć na nieobecność aniołów w Stanwinton.

Taka skarga zasługiwała raczej na podziw.

- Pamięta pan, panie Tucker? Zajmowaliśmy się tym problemem w zeszłym tygodniu.

Głosy w tle nakłaniały pana Tuckera do odłożenia słuchawki i pójścia z nimi.

- Do widzenia, panie Tucker. Miło, że pan zadzwonił.

Pan Tucker przebywał w swoim własnym świecie, ale Will argumentował, że głos to głos.

- Chcesz powiedzieć, że będzie na ciebie głosował personel opie-

kujący się panem Tuckerem - rzekłam. - Taki u r o c z y człowiek z tego pana Savage'a... zawsze znajduje czas...

- Właśnie. Zresztą poseł powinien słuchać zarówno wariatów, jak i tych przy zdrowych zmysłach - zauważył.

- Cóż, to rzuca nowe światło na parlament - powiedziałam.

Na podłodze w holu stały porostawiane środki czyszczące, które wskazywały, że Maleeka przyszła tego dnia wcześniej. Maleeka była m o i m aniołem i moją wybawczynią, a inne żony — zwłaszcza moje przyjaciółki - nie cierpiały mnie z jej powodu. Rozumiem istotę tej niechęci. Można zazdrościć drugiej kobiecie urody albo intelektu, ale prawdziwie nienawidzi się jej tylko wtedy, gdy jej dom lśni czystością. Maleeka, mająca dalekie arabskie korzenie (stąd jej imię), była bośniackim uchodźcą. Zjawiła się kiedyś na dyżurze Willa, błagając o pracę. Will miał zwyczaj przekazywania problemów mnie, uczynił tak również tym razem. „Pani Savage, mam do wykarmienia dwie córki i czworo wnucząt” - oświadczyła. Cóż mogłam odpowiedzieć?

W pierwszym tygodniu swych twardych rządów stłukła dwie porcelanowe figurki i upuściła wybielacz na wykładzinę dywanową na półpiętrze. Na granatowym włosiu dywanu pyszniły się teraz trzy niemal idealne koła.

- Potraktujmy je jak symbole naszego wzajemnego oddania - powiedziałam Willowi.

Pojęcie sensu moich słów przyszło mu z trudem, co było dobitnym wyrazem tego, że zajmował się t e o r i ą w tak dużym stopniu, iż strona p r a k t y c z n a często go przerastała. Ale nie Maleekę - postawiła przed sobą zadanie przeniknięcia do życia mojej rodziny i od dziesięciu lat zjawiała się wiernie dwa razy w tygodniu, by zaprowadzić porządek w stertach rzeczy do prania i prasowania, usunąć brudne obwódki z wanny i przyschnięte ślady po wodzie, którymi upstrzone były baterie, zetrzeć kurz z parapetu na półpiętrze oraz dziwne plamy, które w niewyjaśniony sposób pojawiały się w łódowce. Choćby bród i bałagan przetaczały się przez pokoje jak opary gazu błotnego lub zaraza, Maleeka zachowywała niewzru-

szony dystans wobec domowego chaosu, czym mi imponowała. „Tu jes bez piecznie” - mówiła. „Dobrze”.

Kluczyłam pośród rozrzuconych środków wybielających, past i ścierek do kurzu i wytropiłam źródło ich nagłego pojawienia się w kuchni, gdzie Maleeka klęczała z głową w piekarniku - w pozycji, nad którą niejedna żona polityka (a może każda żona?) od czasu do czasu poważnie się zastanawiała.

- Je s źle, pani Savage. - Jej głos był stłumiony. - Bardzo źle.

Miała na myśli piekarnik, ale ta uwaga miała szerszy wydźwięk.

Zagotowałam wodę w czajniku i zrobiłam grzanekę.

- Chodź coś przekąsić, Maleeka.

Podniosła się i usiadła. Podałam jej kawę i dwie grube grzanki. Wiedziałam, że skapiła sobie jedzenia, żeby nie zabrakło dla reszty rodziny. „*Tengo famiglia*” - jak mawiał Alfredo, mój pochodzący z Włoch ojciec. „Chroń rodzinę, Francesca. Nawet jeśli jesteśmy grzesznikami i nieudacznikami, tej jednej rzeczy zaniedbać nam nie wolno”. W tej kwestii Maleeka i mój ojciec zgadzali się co do joty. Aczkolwiek Maleeka nie mówiła na ten temat zbyt wiele - wstydziła się swojego przejściowego statusu i głęboko tęskniła za rodziną.

- Miałaś jakieś wiadomości od męża?

Poitr został w Bośni walczyć. Lub przynajmniej strzec rodzinnego domu. Nie żeby Maleeka miała coś przeciwko tej rozłące. „Ech, zły chłop”. Jednak nie było mowy o rozwodzie. „Jes moim mężem. I koniec”.

Pałaszowała trzecią grzanekę, kiedy w kuchni zjawił się odświeżony, olśniewający Will. Bez względu na to, jak późno kładliśmy się spać, zawsze potrafił wyglądać nieskazitelnie i sprawiać wrażenie pełnej gotowości do... stawienia czoła teorii w każdej sytuacji. Maleeka wepchnęła do ust resztkę grzanki i zerwała się na równe nogi.

- Dzień dobry, panie Savage. Wracam do pracy.

Willowi udawało się wiele rzeczy, natomiast nie powiodły się próby skłonienia Maleeki, aby zwracała się do niego po imieniu. „Pan Savage” godził w jego zasady i wprawiał go w zakłopotanie. Tak przynajmniej twierdził.

Willjadł śniadanie szybko i sprawnie, przeglądając przy tym prasę. Później po raz ostatni sprawdziliśmy swoje terminarze. Jego był oczywiście wypełniony.

- Czy mogłabyś przygotować napoje na zjazd ministrów finansów z krajów Europy i Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, na siedemnastego? - spytał. - A dwudziestego pierwszego ma się odbyć kolacja dla tych samych osób. Dużo bardziej kameralna. Liczę na ciebie, Fanny.

Przewróciłam strony. Zjazd był istotny z wielu powodów, zwłaszcza że Will przewodził ze strony brytyjskiej kontrowersyjnej europejskiej inicjatywie nałożenia podatku na posiadaczy więcej niż jednego samochodu. Naturalnie wszyscy się buntowali: lobby motoryzacyjne, mieszkańcy wsi, sprzedawcy samochodów oraz każdy, kto musiał znosić niedogodności transportu publicznego. Lecz Will wierzył w tę ideę, ponieważ, jak wyjaśniał, słuszne jest opodatkowanie tych, którzy cieszą się standardem życia pozwalającym im na posiadanie drugiego auta. „Damy świata przykład” - mówił. „Powinniśmy to zrobić. M u s i m y”.

Postukałam palcem w stronę kalendarza z datą siedemnastego.

- Rano mam spotkanie w sprawie bezdomnych. Potem, jeśli nie będzie korków na drodze, mogę wsiąść do naszego drugiego samochodu i wcisnąć gaz do dechy.

Will starał się powstrzymać uśmiech.

- Nie bądź złośliwa. Weźmiesz na celownik Antonia Pasquale'a? Posłuż się swoim oszałamiającym włoskim. Muszę mieć pewność, że będzie trzymał naszą stronę. Będziesz ostrożna, co?

- Will, spójrz na mnie. Co widzisz?

Pochylił się i ujął moją brodę w obie dłonie.

- Ciebie, oczywiście.

Przybrał minę człowieka bardzo, bardzo zajętego, lecz jego oczy spoglądały łagodnie, a ja, jak zwykle, zmięklam.

Co ja widziałam? Miał teraz krótsze włosy, niż kiedy się poznaliśmy, za to znacznie lepiej ostrzyżone. Podbródek lepiej napięty niż mięśnie w okolicy pasa... ale nie, nie będę zagłębiać się w szczegóły.

Jego ciemne oczy od czasu do czasu nadal płonęły blaskiem idealizmu połączonego z odrobiną bezbronności, co pokazywał wyłącznie tym, których kochał, chroniąc się przed niepowołanym wzrokiem.

Niewiele się zmieniło.

- Od jak dawna krążę dla ciebie po ludziach? - Miał w sobie dość przyzwoitości, by odczuć lekką konsternację. - Mam pewien pomysł, Will.

- Tak, ale... chcę mieć pewność, że r o z u m i e s z .

Will wycofał dłonie i wdał się w wyjaśnienia dotyczące projektu opodatkowania, które, trzeba przyznać, były dość zawiłe.

Słuchałam jak wielokroć dotąd. Z jednej strony, Will miał rację - projekt pozwoli podjąć walkę o lepszy, czystszy świat i przeznaczyć więcej pieniędzy na użyteczne przedsięwzięcia. Z drugiej strony, zwykłe rodziny zaczną toczyć ze sobą boje, kolejki na przystankach autobusowych będą wily się za horyzont, może pojawić się ryzyko utraty pracy. Uśmiech Willa przerodził się w uśmiech zawodowego dyskutanta, jego głos zaś wznosił się i opadał, łagodniał i przybierał na sile, akcentował istotne kwestie. Will, ucieleśnienie jasnego umysłu, autorytetu, rozparł się na krześle świadom przewagi, którą dawało mu doświadczenie.

Aja pragnęłam trwać u jego boku - lecz odnosiłam coraz mocniejsze wrażenie, że zatraciłam mistyczne niemal poczucie misji oraz zdolność wiary w nią. Być żoną idealisty to nie to samo, co być idealistą. Otepiły mnie rutyna i domowe obowiązki, a równie żarliwe powinności macierzyństwa odwróciły moją uwagę.

- A więc rozumiesz - rzekł Will i uśmiechnął się do mnie.

„Nieźle” - pomyślałam po chwili refleksji. Wraz z upływem lat Will zagubił gdzieś pewną niewinność. Lecz podobnie było ze mną - podobnie było ze wszystkimi. Staliśmy się większymi realistami, staliśmy się ostrożniejsi, w żałosny sposób wdzięczni za małe satysfakcje płynące z wdrożenia pewnych zasad, zadośćuczynienia oczekiwaniom wyborcy. Lepiej zdawaliśmy sobie sprawę z własnych ograniczeń - och, znacznie, z n a c z n i e lepiej. Mieliśmy również świadomość — toczyliśmy bowiem na ten temat debaty - że ambicje

osobiste rosły wprost proporcjonalnie do wygasania w nas niewinności.

Zapadło milczenie.

- Co jest najkorzystniejsze dla mieszkańców terenów wiejskich?
- zapytałam, ponieważ ta strona sprawy powinna zostać poddana otwartej dyskusji.

Will podsunął filiżankę z prośbą o dolanie kawy.

- Fanny - odezwał się ostrzegawczym tonem - nie możemy pozwolić sobie na żadne wahania. Bo się do nas przyczepią.

Mówił o prasie. Nie po raz pierwszy pomyślałam sobie, jakie to dziwne, że odstępstwo i zdrada mają o tyle szerszy zasięg niż lojalność... czy wierność.

Nie, o d w o ł a j t o .

Jego sposób myślenia zaskakiwał mnie od czasu do czasu, nauczyłam się już jednak, jak z tym żyć.

Will nie przestawał naciskać:

- Wiem, co myślisz, Fanny, ale musimy coś zrobić, zanim świat się udusi. - Przerwał na chwilę. - Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Pokręciłam głową.

- Tak sobie.

Ostatnimi czasy kiedy spoglądałam na Willa, nie dostrzegałam już złocistego światła, w którym skąpany był od stóp do głów, gdy się w nim zadurzyłam. Teraz odbierałam wszystko inaczej, a Will był jedynie jednym z elementów szerszego kontekstu: rodziny, domu, zobowiązań. W wieku czterdziestu kilku lat nauczyłam się wielu rzeczy, zwłaszcza przetasowywania priorytetów. Może tak było lepiej, a z pewnością bardziej racjonalnie. Niemniej jednak żałowałam tamtego złocistego światła. Tęskniłam za nim, jak również za intensywnością pragnienia poznania Willa dogłębnie, za pasją posiadania go na własność oraz za tym, jak odwzajemniał on to uczucie.

Brwi ponownie uniosły się ponad brązowymi oczami. Tym razem oznaczało to: „Wyjaśnijmy sprawę”.

- Daj temu szansę, Fanny... dobrze?

Uśmiechnął się, pragnąc, by połączyła nas dawna zażyłość. Gdybym go poparła, Will nabrałby otuchy i zyskał pewność, że obraliśmy właściwy kurs.

- Zaufasz mi?

- A powinnam?

Ziewnął teatralnie.

- Czy jestem pretensjonalny?

W polityce bądź wszędzie tam, gdzie nagrodą jest władza, trudno zachować spójną własną osobowość i trudno postępować w myśl zasady, żeby wilk był syty i owca cała. Rozumiałam to doskonale.

Will wstał z miejsca.

- Na litość boską, wbij we mnie szpilkę, jeśli stanę się gruby, nudny i nadęty. - Przez chwilę wydawał się tą perspektywą przerażony.

- Rozmyśliłem się. Lepiej tego nie rób.

- Tak łatwo byłoby przekłuć balonik?

Pochylił się i szepnął:

- Odpowiedź znasz tylko ty.

Ministerialny samochód powoli wtoczył się na podjazd i zatrzymał przed domem, oznajmiając swe przybycie dyskretnym dźwiękiem klaksonu. Will zgarnął papiery do teczki.

- Do zobaczenia w piątek.

Siedziałam w całkowitym bezruchu. Dłoń Willa ścisnęła mi ramię.

- Fanny... w kwestii Meg...

- Czy ona jest jakąś kwestią?

Meg nigdy nie była kwestią. Zawsze była faktem. Bolesnym faktem, który tkwił w samym środku naszego małżeństwa.

Nacisk na ramię stał się niemal nie do zniesienia.

- Nie - odparł. - Nie jest.

Rodzice Meg i Willa zginęli w tragicznym wypadku samochodowym. Zmiażdżony wrak pojazdu prawie uniemożliwił stwierdzenie, kto siedział za kierownicą, lecz pod pewnymi względami nie miało to znaczenia. Oboje byli alkoholikami, a z badań krwi wynikało, że żadne z nich nie powinno prowadzić wtedy auta.

Dziećmi zaopiekowali się dziadkowie, zbyt wiekowi, by sprostać temu zadaniu. Skończyło się na tym, że cztery lata starsza od Willa Meg gotowała, sprzątała, ochraniała i dyrygowała. Wyciągała z Willa kulejące francuskie czasowniki, zmagając się z jego algebrą i zanim wyjechał na studia adwokackie, zdążyła już zupełnie zapomnieć o sobie.

- Miałam takie uczucie, jakby wewnątrz mnie znajdowała się próżnia wsysająca moje jestestwo - zwierzyła się wkrótce po przeprowadzce do naszego domu - którą można było wypełnić tylko w jeden sposób.

Gdy poślubiła Roba, również adwokata, popijała ukradkiem, w tajemnicy, ale pozornie panowała nad nałogiem. Po urodzeniu Sachy oraz kiedy stało się jasne, jakie obciążenia niesie ze sobą małżeństwo z zapracowanym człowiekiem, Meg zaczęła tracić kontrolę. Wreszcie Rob oświadczył, że dłużej nie jest w stanie z nią żyć. Następnie poinformował, że znalazł sobie kogoś innego, kto będzie dbał o niego i Sachę jak należy.

- Najbardziej zabolalo mnie to: „jak należy” - zwierzała się Meg.

- Meg mi matkowała - powiedział Will, pytając, czy mogłaby z nami zamieszkać - i była mi ojcem. Poświęciła wszystko, by niczego mi nie brakowało.

Kiedy Will odjechał, powędrowałam na górę. W sypialni utrzymywał się jeszcze nocny zaduch, otworzyłam więc okno. Droga szedł mężczyzna w jaskrawopomarańczowej kurtce i ten krzykliwy, intensywny kolor wrył się w siatkówkę moich oczu. Mężczyzna nie sprawiał wrażenia, że dokądś mu spieszo, nie wyglądał ani na szczęśliwego, ani na smutnego, był po prostu obojętny.

Ja czułam się tak samo.

Posłałam łóżko i przykryłam je narzutą od matki. Powiodłam palcem po drzewku wiśni obsypanym czerwonym kwieciem. Jeden z listków został nierówno przszyty. Często zastanawiałam się, kto wykonał tę kapę i dlaczego popełnił ten błąd. Czy był to błąd zamierzony? Wyraz wściekłości, buntu albo przygnębienia?

Na krześle leżała sterta ubrań Willa z minionego tygodnia, a ja, po wielu latach działając już całkowicie automatycznie, zabrałam

się do sortowania - kosz na brudną bieliznę, półka, szafa. Nosił teraz jedwabne krawaty, miękkie i drogie koszule w delikatnych odcieniach z usztywniającymi wkładkami wsuwanyymi w rogi kołnierzyków. Czasem pamiętałam, żeby wyjąć je przed praniem, czasem nie.

Przysiadłam na łóżku z koszulą w rękę i zanurzyłam twarz w fałdach materiału. Pachniała Willem, tym Willem, którego zawsze kochałam.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Fanny, jesteś tam?

Nie czekając na odpowiedź, Brigitte wetknęła głowę przez drzwi.

-Jesteś.

Upuściłam koszulę z miną winowajcy. Chociaż obecność Brigitte w gospodarstwie domowym Savage'ów była jedynie tymczasowa, jej osoba działała na mnie właśnie w ten sposób i wyzwała we mnie tak przemożny respekt i lęk, że zawsze miałam wątpliwości, czy to ja zatrudniam ją, czy ona mnie.

Brigitte, która pochodziła z głębokiej austriackiej prowincji, odnosiła się z dezaprobatą do rodzinnej konfiguracji Savage'ów - dziwaczności Meg, wyjazdów i powrotów Sachy, buńczuczności Chloe - i potrafiła wyrazić ją w taki sposób, że nabierała znaczenia. Jako taktyka umiejętność ta była godna podziwu.

Brigitte rzuciła okiem na fotografię na toalecie przedstawiającą grupkę rodzinną. Wydawało się, że dzisiaj budzi w niej szczególną niechęć.

- Lista zakupów, Fanny. Nie mogę znaleźć.

- Oczywiście.

Sięgnęłam po notatnik, który zawsze leżał przy łóżku, oddarłam kartkę z wierzchu i jej podałam. Brigitte przejrzała listę.

- Zapomniałaś o paście do polerowania. - Postukała się palcem w nos. - Ja takich rzeczy nie zapominam. I o chlebie.

Gestykulowała dużymi, sprawnymi rękoma w taki sposób, jakby chciała podkreślić pragnienie zagwarantowania całej menażerii Savage'ów odpowiedniego zaopatrzenia. To zadanie najwidoczniej

dawało jej autorytet i wyznaczało cel. We własnym kraju Brigitte była zagorzałą, opłacającą składki członkinią Partii Zielonych i myła włosy mydłem, nigdy s z k o d l i w y m szamponem. „Poświęcenie warte zachodu” - wyjaśniała. Obserwując stan jej włosów, muszę z przykrością stwierdzić, że nie zgadzam się z tą opinią.

- Wezmę pranie.

Niemal otarła się o mnie, zgarniając stertę ubrań, i odmaszerowała na dół. Z podniesionych głosów wywnioskowałam, że Brigitte i Maleeka spierały się o przestrzeń w moim domu.

Niosąc tacę ze śniadaniem złożonym z bananowego puree, grzanki i herbaty, zapukałam do drzwi sypialni Meg. Rozległo się stłumione: „Proszę”.

W pokoju cuchnęło whisky. Meg leżała na boku. Rozsunęłam zasłony.

Zakryła oczy ramieniem.

- Pewnie należą się jeszcze jedno przeprosiny.

- Skoro tak chcesz.

- Nie.

Z trudem się wyprostowała. Podałam jej filiżankę herbaty.

- Wypij.

Pomiędzy łykami zapytała:

- Czy z Sachą wszystko w porządku?

- Czuwał w nocy. Pewnie śpi.

Meg uśmiechnęła się cierpko.

- Sacha twierdzi, że pisze piosenki późno w nocy. Mówi, że wtedy jego umysł jest bardziej chłonny i płodny.

- Tak?

Wiedziałam, co Sacha miał na myśli. Gdy karmiłam malutką Chloe, nocne godziny zapewniały mi dziwną, intensywnie odczuwaną ucieczkę od codzienności, kiedy z niemowlęciem przy piersi byłam wolna od natłoku zajęć i mogłam po omacku ćwiczyć się w jasnym rozumowaniu oraz przyswajaniu wiedzy.

- Dlaczego ja mu to robię, Fanny?

Nie po raz pierwszy Meg zadała to pytanie - i jeśli miałyśmy być szczerze, mało prawdopodobne, że po raz ostatni. Śledziłam chwiejną wędrownkę filiżanki do ust Meg.

- Potrzebujesz większej pomocy? Możemy ją zorganizować.

Przerwała mi.

- Nie. Już to przerabiałam. Teraz wszystko zależy ode mnie. Od zmaltretowanej, niegodnej zaufania, starej mnie.

- Proszę, Meg, przestań.

- Nie martw się - rzekła pospiesznie. - To się więcej nie powtórzy. Usiadłam na skraju łóżka.

- A co z Sachą i Willem?

Skrzywiła się.

- Nie powinnam pić herbaty na pusty żołądek. On tego nie lubi.

Pocięłam grzankę na kwadraciki i podałam jej jeden kawałek. Meg ostrożnie odstawiła filiżankę na nocny stolik.

Przejmujesz się i cackasz z tyloma ludźmi, Fanny. Musisz być z siebie dumna.

- P r z e s t a ń .

- Przepraszam, nie chciałam.

W takich chwilach Meg z upodobaniem doprowadzała do ostateczności mnie bądź kogokolwiek, kto się nią zajmował, obie znałyśmy jednak granice naszego współistnienia. Meg pragnęła miłości oraz miejsca w rodzinie. Podobnie jak Will ze swoją pasją zmieniania świata na lepsze, tak i ja starałam się nieść pomoc i jakoś udawało nam się zachowywać równowagę.

Podniosła wzrok i powiedziała cicho:

- Jestem dobrym przypadkiem, takim jak lubisz. Wręcz doskonałym, bo niereformowalnym. Więc kiedy zdarzy się najgorsze, żadne z was nie będzie mogło obarczać siebie winą. - Upuściła zjedzony do połowy kawałek grzanki na talerz. - Idź, Fanny. Idź, zajmij się obowiązkami i dopilnuj porządku.

Zabrałam tacę z jej kolan.

- Rob dzwonił dzisiaj rano.

- No i? Rozmawiałam z nim wczoraj.

- Zapomniał, żeby ci przypomnieć, że w ten weekend przypadają urodziny Sachy. Chciał wiedzieć, co w związku z tym planujesz.

Meg skryła twarz w dłoniach.

- Co ja zrobiłam?

Przykłękłam, pozbierałam rozrzucone po podłodze spodnie i pulower i położyłam ubrania na krześle.

—Jestem dziś zajęta. Zobaczymy się później.

- To wszystko wina Roba - mruknęła pod nosem. - Gdyby się ze mną nie rozwiódł, może bym wytrzymała.

Odwrociłam się gwałtownie, czując, że jestem na progu wytrzymałości.

- Meg, sama go do tego d o p r o w a d z i ł a ś . Zakochał się w Tani, bo sytuacja w domu go przerosła.

-Jestem chora - odparła beznamiętnie. - Powinien był lepiej się starać. Nie wolno zostawiać chorych ludzi na pastwę losu.

- Czyja kiedykolwiek zostawiłam cię w potrzebie? - spytałam.

- C h c i a ł a ś . Bądź szczerą.

Wpatrywałyśmy się w siebie nawzajem. Meg pierwsza spuściła wzrok, ale tylko dlatego, że wiedziała, że tym razem wygrała. Ze w tej chwili nie mogą opuścić pokoju.

Przysunęłam krzesło, nałożyłam bananową pulpę na łyżkę i jej podsunęłam.

- Zjedz.

W kąciu ust czaił się uśmiech, lecz zanim rozchyliła wargi, jej spojrzenie błyskawicznie powędrowało ku butelce whisky w koszu na papiery.

Marzyłam niegdyś o dużym, pełnym życia, zatłoczonym domu, o dzieciach mamroczących i szurających w swoich sypialniach - dwojgu, trojgu, nawet czworgu. Każdego wieczoru robiłabym obchód i przeliczała potomstwo. „Tu jest Millie” - mówiłabym, odgarniając z jej twarzy jasne, splątane pasma włosów. „Tu Arthur”. -I wymowałabym mu z buzi kciuk. „A tu... tu jest Jamie, straszny łobuziak”.

Lecz życie potoczyło się inaczej. Po Chloe nie pojawiły się na świecie kolejne dzieci. Moje ciało wyęczało siły i zмагаło się, by zis'cić moje pragnienia, nie potrafiło jednak uczynić tego, czego od niego żądałam. Prześladowały mnie moje nienarodzone dzieci. Te ciepłe, pogrążone we śnie, różowe ciałka, które nigdy nie istniały. Czasem nasłuchuję ich głosów, jak bawią się pod dachem mojego szkaradnego domu.

- Dla mnie to nieistotne - powiedział mi kiedyś Will. - Mamy Chloe, wystarczy. Troszczymy się o nią, Fanny. Dbamy o siebie nawzajem. Ciesz się tym, co jest, proszę.

- Wcale się nie przejmujesz? - spytałam.

Dotknął mojego policzka.

- Przejmuję. Tobą. Przejmuję się wszystkim, co ciebie rani.

A jednak w domu nie odczuwało się żadnej pustki i byliśmy szczęśliwi. Najpierw urodziła się Chloe, a ja zostałam błyskawicznie rzucona w otchłań przerażenia, tajemnicy i euforii miłości, która nigdy nie przeminie. Potem zamieszkała z nami Meg; Sacha dołączył po ukończeniu szesnastu lat. *Au pairs* przychodziły i odchodziły; działacze partyjni zakradali się i wymykali; każdy z nich odciskał duchowe piętno na domowej atmosferze, ich szepty i pomruki rozpływały się w ogólnym szmerze naszego życia.

- Czy coś się stało, Francesco?

Ojciec był jedynym człowiekiem, który za każdym razem używał mojego pełnego imienia i którego bacznej uwadze - czasem krytycznej, lecz zawsze pełnej miłości - umykały tylko nieliczne moje uczucia i uczynki.

- Właściwie nie.

Oderwałam wzrok od naszego przygotowanego naprędce lunchu w postaci zupy grzybowej i sera, który spożywalismy w pokoju jadalnym w Ember House. Ojciec mieszkał w odległości zaledwie pięciu mil od naszego domu i walczyłam, by spotkanie z nim znalazło się w moim kalendarzu zajęć przynajmniej raz w tygodniu.

Zegar tykał uspokajająco na orzechowym kredensie, a niewyraźne odbicie stojącej obok niebiesko-białej misy na owoce miało głębię i spokój malowidła.

Światło elektryczne podkreślało bruzdy na twarzy ojca. Nowe? A tweedowa marynarka wydawała się luźniejsza, niż zapamiętałam. Zawsze był kościsty - całą energię poświęcał prowadzeniu firmy winiarskiej oraz mnie, jednemu dziecku. Nie wiem, co myślał na temat mojej sytuacji, ponieważ pewnych tematów się wystrzeżał, w każdym razie duma, jaką napawała go Battista Fine Wines, była ogromna. To nietypowe, wysoko oceniane przedsięwzięcie zaspokajało potrzeby rosnącej liczby miłośników wina, którzy gotowi byli przy wyborze win zaufać raczej mojemu ojcu, niż zdawać się na supermarket.

Nabiłam na nóż kawałek *dolcelatte*.

- Kiedy egzaminy Chloe dobiegną końca, wszystko wróci do normy.

Ja k przyznać się do uczucia, że stanęło się na rozstaju dróg? Ja k dziewczyna - nie, kobieta — ma pogodzić się z faktem, że jej córka

wkrótce wyfrunie z domu? Jak zaprzeczyć, że wybory, których niegdyś dokonałam, nie zapewniały mi już bezpieczeństwa ani komfortu, ani niczego nie potwierdzały.

- Nic mi niejest, tato. To tylko chmura, która na chwilę przesłoniła słońce. A skoro już o tym mowa, uważam, że nie zawadziłyby, gdybyś łyknął trochę witamin.

- Przestań wydziwiać - odparł radośnie.

Rąbek zasłon, które Caro, była partnerka mojego ojca, wybrała wiele lat temu, wymagał podszycia, dodałam więc tę pozycję, obok witamin, do układanej w myślach listy spraw do załatwienia.

Ojciec postukał palcem w butelkę Le Pin Pomerol - najszlachetniejszego, najintensywniejszego w smaku czerwonego wina bordo.

- Lepiej pomyśl o tym. Poleciał mi je Raoul.

Raoul Villeneuve był synem jednego z najbliższych partnerów ojca w interesach - choć słowo „interesy” nie oddaje adekwatnie perfekcji, z jaką mieszały się ze sobą handel i styl życia. Raoul był przyjacielem. Był także moim pierwszym kochankiem - ale do tego w myślach nie powracam.

Owszem, powracam. Czasami. Wyteżam pamięć, by dokładnie uchwycić tamto doznanie, odtworzyć intensywność mojej reakcji, mieszaniny strachu i zaskoczenia. Nie dlatego, że pragnę Raoula, lecz dlatego, że nie znalazłam odpowiedzi na pytanie, co właściwie poszło wtedy nie tak.

- J a k się miewa Raoul? Nie rozmawiałam z nim ostatnio.

- Rozwija biznes. Zajmuje się rodziną. Cieszy dobrą sławą.

- Aha - rzekłam.

Pod względem materialnym Raoul radził sobie lepiej niż Will, był jednak na uprzywilejowanej pozycji - winiarskie imperium jego rodziny tylko czekało, aż przejmie nad nim władzę. Przeszłość Willa wyglądała inaczej, była pozbawiona luksusów.

- Co znaczy to „aha”? — spytał ojciec.

- Nic.

Ojciec był włoskim uchodźcą, przywiezionym do Anglii z leżącej na północ od Rzymu wioski Fiertino przez swoją owdowiałą mat-

kę, która uciekła stamtąd przed wojną i osiadła w środkowej części kraju. Rodzina Villeneuve natomiast to arystokraci trudniący się handlem winem i rezydujący w historycznym chateau. Nawiazali kontakt handlowy w latach pięćdziesiątych, który pomimo różnic pochodzenia przerodził się w zażyłą przyjaźń. Tak już bywało wśród winiarzy.

Kiedy urodziłam Chloe i przekonałam się, że trudno pogodzić ze sobą wszystkie obowiązki, Raoul zajął najakiś czas moje miejsce u boku ojca, nim powrócił do rodzinnego interesu. Nadal utrzymywaliśmy kontakt. Nadal prowadziliśmy rozmowy telefoniczne... och, na wiele tematów.

Dyskutowaliśmy, dlaczego Francuzi piją młode, rokujące nadzieje roczniki. Rozprawialiśmy o dębowych beczkach, piaszczystej glebie, ilości słońca w danym roku, wykorzystaniu technologii w australijskiej i amerykańskiej produkcji wina. Efekt? „Prostactwo” - podsumował dyskusję Raoul, Francuz. Choć może wcale nie było to takie złe. Klarowne, trwałe, wolne od osadów wino pasowało lepiej do naszych czasów niż mętne, często cierpkie w smaku produkty Starego Świata.

Zgadzialiśmy się, że najwyborniejsze wino opiera się klasyfikacji. Każdy w miarę inteligentny obserwator, mawialiśmy, potrafi wskazać najlepsze stanowisko, glebę i klimat, wie o konieczności czuwania, póki grona nie zaczną drzeć w szczybie swojej dojrzałości, i może powiedzieć: tak, to jest recepta. Ale dobre wino, wino wyśmienite i udane jest - podobnie jak małżeństwo - cudownym połączeniem natury, substancji i chęci. To produkt zrodzony z cierpliwości, zrozumienia i wiedzy, wielkiej namiętności i miłości, którego nigdy nie da się do końca przewidzieć ani ująć w normy. Jedno wciągnięcie w nozdrza bukietu, jedna kropla na języku, oto wszystko, co trzeba, by uradować umysł i zalać zmysły szaleństwem odkrycia.

Ojciec napełnił dwa kieliszki Pomerolem (dziełem natchnionego belgijskiego kupca winnego, który wybrał winogrona szczepu Merlot) i czekał, aż moje podniebienie będzie gotowe do degustacji.

Głęboki rubin. Ciemny owoc granatu. Głębka i słodczy. Patrzyłam przez szkło na ciemną barwę, zatrzymywałam zniewalający smak na języku.

- Opisz - rozkazał ojciec.

- Pełne... skoncentrowane. Ma bogate życie wewnętrzne.

Ojciec był rozbawiony.

- Mam nadzieję, Francesco, że ty również.

Kiedy zaczynałam dla niego pracować, podróżując i zdobywając wiedzę, rozmawiając z klientami, wino stanowiło dla mnie tajemnicze połączenie miejsca pochodzenia, sposobu wytwarzania i konceptu; pragnęłam odkryć jego sekrety i dogłębnie poznać winiarskie tradycje. Potem jednak w winie się zakochałam i zrozumiałam, że jest ono życiem i sposobem na życie. Słońcem i ciepłem - może być cierpkie, niewdzięczne, nie spełniać oczekiwań, ale zawsze drzemie w nim możliwość wielkości.

- Musisz wrócić do pracy jak dawniej — zapowiedział ojciec - skoro Chloe opuszcza dom. Potrzebuję pomocy, musisz poza tym być przygotowana na przejęcie interesu. - Spojrzał na mnie czule zza stołu. — Ostatecznie wino masz we krwi.

Poczułam w odpowiedzi falę radosnego podniecenia. Najtrafniej mogłabym opisać ją jako drzenie, które towarzyszyło przebudzaniu się z długiego snu. Ojciec nie mylił się. Miałam wino we krwi.

Kiedy skończyłam trzy lata, moja matka Sally uciekła z Artem, pośrednikiem w handlu nieruchomościami, do Montany, gdzie mieszka do tej pory i gdzie odwiedzałam ją w co drugie lato do czasu poślubienia Willa. Ojciec nigdy o niej nie wspominał, chyba że było to absolutnie niezbędne. „Odeszła - mówił — i tyle”.

Czy mi się to podobało, czy nie - a swoje nie całkiem zagojone rany rozdrapywałam przez długie lata - matka zabrała ze sobą znacznie więcej niż upchnięte do dwóch walizek ubrania: także, jak sądzę, moją wiarę w trwałość i moc rzeczy. Po jej odejściu staliśmy się z ojcem bardziej nieufni i delikatni.

Na miejsce mojej matki ojciec sprowadził z Fiertino (rodzinnego

miasteczka całych pokoleń Battistów) Benedettę, która pomagała mu opiekować się mną i mieszkała z nami, dopóki do Ember House nie sprowadziła się Caro. Benedetta, która przez małżeństwo weszła do skomplikowanego drzewa genealogicznego rodziny Battistów, ciemnowłosa i nie tak szczupła, jakby sobie tego życzyła, trzymała ojca w ryzach, co udawało się nielicznym. To Benedetta w moje dziesiąte urodziny zawyrokowała, że czas położyć kres kąpielom z ojcem. Byłam zaintrygowana. Może dziesięć to jakaś magiczna liczba? Może to jakaś tajemnica, podobnie jak tajemnicą była moja matka. Jeśli nawet cisnęły mi się na usta pytania, nie nauczyłam się jeszcze ich zadawać. Zatem w dzień moich dziesiątych urodzin ledwo żywa po szorowaniu i kąpeli, opatulona w gruby, staromodny, zawiązywany w pasie szlafrok zostałam zaprowadzona przez Benedettę na dół pod drzwi gabinetu ojca.

Siedział przy biurku otoczony książkami na temat wina, notując sprawy z całego dnia. Świadoma wiszącej nade mną „dziesiątki” podeszłam do niego i stanęłam obok. Kiedy poklepał się w kolano, pokręciłam głową.

- Zapomniałem - rzekł smutno. - Jesteś już dużą dziewczyną i musimy porozmawiać o dorosłych sprawach.

Bardziej interesowała mnie oprawiona w ramki fotografia stojąca na biurku ojca. Przedstawiała wyrzeźbionych w kamieniu kobietę i mężczyznę, leżących razem na bogato zdobionej, spowitej materią sofie. On miał kwadratową twarz i brodę, ona - zwisające na plecy loki i długie kolczyki. On otaczał ją ramieniem, ona była o niego wsparta.

Obróciłam się, by spojrzeć na ojca. Zdobywszy się na wielką śmiałość, zapytałam:

- To mama?

Zapadło krótkie, pełne napięcia milczenie.

- Nie, to nie mama - odparł, a jeśli moje pytanie go zraniło, nie zdradził się nawet mrugnięciem. - Nie, fotografia przedstawia etruską płytę nagrobną. Z piątego wieku przed naszą erą.

- Czy miałam wtedy osiem lat? - spytałam, gdyż czas pozbawiony był dla mnie jakiegokolwiek znaczenia.

Ojciec wybuchnął śmiechem.

- Etruskowie to lud, który dawno, dawno temu zamieszkiwał rejon Fiertino, skąd wywodzi się rodzina Battistów. Wyrabiali tak wiele różnych przedmiotów, że ludzie co rusz odkopują jakieś ich fragmenty i umieszczają w muzeach. Ta płyta podoba mi się szczególnie, dlatego że on i ona nigdy nie zostaną... rozdzieleni.

Pora przed snem była zwykle zarezerwowana dla niewyczerpanych zasobów opowieści z Fiertino, które, trzeba przyznać, w ustach ojca za każdym razem brzmiały nieco inaczej. Lubiłam wytykać rozbieżności.

- Ale, tato, przecież mówiłeś, że woły były szare, nie białe.

Ojciec klepał mnie wtedy po rękę i mówił:

- Nie bądź taka sprytna, kochanie - i ciągnął dalej: - Fiertino to małe miasteczko, niemniej jednak miasteczko. Leży w dolinie rozciągającej się na północ od Rzymu, pierwotnie zamieszkiwanej przez Etrusków, starożytny lud, który ukochał w życiu dobre rzeczy. Na jednym zbocz wzgórza rosną kasztanowce, drugie porastają pszenica, drzewka oliwne i winorośl. W miasteczku jest plac zamknięty z jednej strony dużą bryłą kościoła i pięknymi arkadami dookoła, które dają bardzo potrzebne schronienie przed słońcem. Nasza rodzina, Battistowie, mieszkała w *fattońi*, na farmie tuż pod miasteczkiem, a twój dziadek był *fattore*. Nadzorował spichlerze oraz piwnice, tłocznie do oliwek i mleczarnie. Mieliliśmy własną winnicę i uprawialiśmy winogrona ze szczepu Sangiovese.

Opowieści wydawały się nie mieć końca, jakby płynęły z rogu obfitości, i Fiertino stało się dla mnie synonimem senności i błogostanu. Wysłuchiwałam historii o palącym słońcu i zbiorach oliwek, o przestronnym domu rodzinnym, *fattońi*, która rozbrzmiewała echem pokrzykiwań i rozmów dużej, wielopokoleniowej, zachowującej się swobodnie familii. Wiedziałam, że miasteczko mocno ucierpiało podczas wojny. Słyszałam opowieści o trzynogiej kozie, cudownym drzewku oliwnym, pannie młodej z rodu Battistów, która uciekła mężowi, i o młodej żonie zamordowanej przez dużo starszego męża za to, że wzięła sobie kochanka.

- Widzisz, są pewne zasady - powiedział mój ojciec. Mówił w czasie teraźniejszym.

Ojciec był mądry. Wiedział, jak odcisnąć trwałą ślad w dziecięcym umyśle. Obrazy wkradały się do mojej głowy i zapuszczały tam długie, włókniste, mocne korzenie - tak jak winorośl.

- Czas, żebym pojechał do Fiertino - rzekł ojciec. - Zwlekałem z tym zbyt długo.

Co dziwne, nigdy nie byliśmy tam razem. W gruncie rzeczy ojciec odwiedził to miejsce tylko raz, jeszcze jako młody mężczyzna. Podróżowaliśmy po całym świecie, załatwialiśmy interesy na północy Włoch, lecz ojciec nigdy nie miał ochoty udać się na południe, do Fiertino. Po części, jak podejrzewam, z powodu Benedetty, która kiedyś chciała wyjść za niego za męża. Ale to całkiem inna historia.

- Ile razy już to powtarzałeś?

Popatrzył odrobinę zmieszany.

- Tym razem mówię poważnie.

Wstałam z miejsca.

- Co powiesz na wrzesień, kiedy Chloe wyjedzie do Australii? Wtedy będę wolna. Czy raczej - poprawiłam się - wynegocjuję termin z Willem i Mannochem. Należy mi się urlop.

Ojciec rozpromienił się w sposób, który chwycił mnie za serce.

- Jeśli sądzisz, że to możliwe, niczego nie pragnąłbym bardziej.

Podjęłam próbę zamienienia się rolami.

- Pod jednym warunkiem. Że pójdziesz do lekarza na badania kontrolne. Umówię cię na wizytę. Obiecuję, że wtedy pojedę z tobą do Fiertino.

Ojciec miał minę winowajcy.

- Już byłem. Jedynie drobny kłopot z sercem. Przepisał mi tabletki. Wszystko jest w porządku, poza *atmo domini*.

W drodze powrotnej do domu włączyłam radio, muzyka wypełniła samochód.

„- Szybko, Francesco, nim Benedetta zagoni cię do łóżka. Powiedz, jakie szczepy uprawia się w Toskanii?

Przycisnęłam zwinęłą dłoń do jego ucha.

- Sangiovese - wyszeptalam.

- Grzeczna dziewczynka. A teraz, jakie są najlepsze czerwone szczepy z Piemontu?

- Dolcetto, Barbera, Nebbiolo..."

Cudowna Benedetta. Tylekroć rugała mojego ojca za niepokojenie mojego biednego, małego umysłu. „*Santa Patata*, Alfredo, jesteś' okrutny". *Santa Patata* to najgorsze przekleństwo, najakie pozwalala sobie pobożna Benedetta. „Dziecko jest jeszcze za małe". Niepotrzebnie się martwiła. Mój biedny mały mózdek potrafił doskonale zwietrzyć okazję zwrócenia na siebie uwagi. W każdym razie błyskawicznie zorientowałam się, że jestem mile widziana na terytorium okupowanym przez ojca. Na jego *terroir*, jak mawiają Francuzi.

Wiem, że *terroir* tak naprawdę sprowadza się do górnej warstwy gleby, drenażu i klimatu. Lecz mnie kojarzy się z czymś głębszym i bardziej interesującym - z obszarem serca.

Powróciwszy do domu w Stanwinton, zaparkowałam wóz na podjeździe obok żywopłotu z wawrzynu i weszłam do środka przez drzwi frontowe. Zamknęły się za mną z cichym trzaskiem.

- Mamo - powitała mnie w kuchni Chloe - jestem głodna.

Otworzyłam lodówkę i wyjęłam duszoną rybę.

- Tylko nie ryba - zaznaczyła.

- Poprawia koncentrację. Od tej pory będzie ryba.

Chloe zagryzła wargi.

- Wolałabym nie musieć zdawać tych egzaminów.

- Jeszcze tylko ten ostatni wysiłek, kochanie, i jesteś wolna. Wyruszasz do Australii i nic cię nie obchodzi. - Postawiłam rybę na kuchence, żeby podgrzać danie. - Myślisz, że Sacha miałby ochotę na kawałek?

- Pewnie tak. Pomagał mi w nauce. - Chloe wyjęła z szuflady widelce i noże. - Wiesz, mamo, uwielbiam go.

- Oczywiście — odparłam czym prędzej. - Jest przecież twoim kuzynem.

Chloe starannie położyła na stole widelec.

- Jest taki miły. Wszystko w i e.

Chciałam powiedzieć mojej córce: „Proszę cię, uważaj. Nie wkraczaj na niebezpieczne rewiry”. Chloe nie brakowało przyjaciół, skądże - tłumnie kręcili się po domu tam i z powrotem, domagając się kawy, jedzenia, telewizora, noclegu - jednak ona faworyzowała Sachę. Kochanego, cudownego Sachę, który ubierał się w skórę, miał zawsze nieskazitelnie czyste, krótko ostrzyżone włosy, podkreślające jego kościste, lecz szlachetne rysy twarzy.

Kiedy jedli, ja sączyłam szklaneczkę soku żurawinowego - moja przyjaciółka Elaine twierdzi, że żurawina oczyszcza organizm. Omawiali taktyki egzaminacyjne, a Chloe przyznała, że bardzo się boi.

- Trzeba tylko - wyjaśniał Sacha - wpaść na dobry pomysł po przeczytaniu pytań. Nie zawracaj sobie teraz głowy wymyślaniem strategii, bo będziesz dopasowywała je do pytań, a to nie sprawdza się w praktyce.

Jako zasada na życie brzmiało to całkiem rozsądnie.

Chloe posłała mu jedno ze swoich rozbijających spojrzeń i spałaszowała ogromny talerz potrawy z duszonej ryby. Ja kontynuowałam oczyszczanie organizmu i rozmyślałam, jak to wspaniale tak siedzieć sobie w spokoju i przysłuchiwać się ich rozmowie.

Potem do kuchni weszła Meg. Wyglądała świeżo i zadbane, włosy w odcieniu jasnego karmelu związała na czubku głowy.

- Kochani - odezwała się - powinniście byli ściągnąć mnie na dół z wynania. Chętnie bym się do was przyłączyła. - Usiadła przy stole. - Dzień upłynął mi w samotności. Wszyscy sobie poszli.

Napełniałam szklankę sokiem, czując na sobie spojrzenie Meg. „Bądź cicho” - cisnęło mi się na usta. „Proszę cię, milcz”.

- Zresztą wypełnianie obowiązków jest pożyteczne i bez wątpienia korzystnie wpływa na duszę. A wszyscy wiemy, że mojej duszy z pewnością przyda się pomoc. - Twarz Meg wyrażała odrobinę

samozadowolenia i sporą dozę sarkazmu. Ponieważ nikt tego nie skomentował, dodała: - Czy mogłabym zaznaczyć, że zachowywałam się dzisiaj cnotliwie?

Sacha zerwał się z miejsca, krzesło zapiszczało na kafelkach.

- Mamo, zrobię ci kawę.

Meg zastukała w stół idealnie opiłowanymi paznokciami - miała przepiękne dłonie i utrzymywała jej w nienagannym stanie.

- Kawa jest taka... b r u n a t n a . . . - rzekła. - Ale chyba nie mam wyjścia, muszę się nią zadowolić. - Ponownie spojrzała w moim kierunku, a mną zniecka wstrząsnęła odraza. - Żartowałam - wyjaśniła.

Nienawiść to osobliwe uczucie. Może zostać stępione znużeniem, a potem wybuchnąć gwałtownie, niszcząc życie. Albo - i to nigdy nie przestaje mnie zdumiewać - obraca się w coś, co można jedynie określić mianem sympatii. Tak było ze mną i Meg.

Późnym wieczorem zadzwonił Will, nie wiadomo dlaczego korzystając z linii służbowej.

- Mówi pani Savage - odebrałam telefon. - Pora zdecydowanie zbyt późna na telefon.

- Masz absolutną rację - odezwał się mój mąż. - Nie powinnaś rozmawiać o takiej godzinie z nieznanymi.

- Więc się rozłącz. - Te zgryźliwe słowa wyrwały mi się z ust, nim zdołałam je powstrzymać.

Nastąpiła po nich chwila ciszy.

- Taka niechęć jest do ciebie niepodobna. O co chodzi? Zrobiłam coś nie tak?

- Przepraszam.

Will spróbował jeszcze raz.

- Mogę ci jakoś pomóc?

Oparłam się pokusie powiedzenia mu, że jego głos brzmiał tak, jakby rozmawiał z jakimś szczególnie gderliwym wyborcą.

- W porządku. Zdaję codzienny raport. Lokalna prasa zamieściła trzy twoje zdjęcia. Jedno niekorzystne, pozostałe w porządku.

Jest również artykuł na temat oficjalnego sprawozdania z obrad parlamentu, który pokazuje, jak mocno walczysz o sprawy swojego elektoratu, mimo że piastujesz funkcję ministra.

Westchnął ze znużeniem, a ja poczułam się jak ostatni gbur.

- C o się stało, Fanny? - zapytał.

Miałam na końcu języka, że chciałabym, żeby częściej bywał w domu. Ze p o w i n i e n częściej bywać w domu, zanim jego obecność lub nieobecność stanie się wszystkim obojętna.

Zamiast tego trzymałam się schematu rutynowej wymiany informacji.

- Meg ma się dobrze. Chloe miota się pomiędzy przerażeniem a euforią. Sacha zachowuje się... jak Sacha.

Will wydawał się usatysfakcjonowany.

- Czekaj mnie jutro pracowity dzień - oznajmił, ja zaś zastanawiałam się, czy zdaje sobie sprawę, iż powtarza to niemal codziennie.

- Mnie również. - Byłam ciekawa, czy zauważył, że mówię to niemal codziennie.

- Dobranoc, kochanie. Mam nadzieję, że rano będziesz w pogodniejszym nastroju.

- Dobranoc.

Pierwsze słowa, jakie usłyszałam z ust Willa, brzmiały: „Dość marnotrawstwa rządu. Dość szkół, które rozczarowują dzieci, dość szpitali, które zabijają pacjentów. Panie i panowie, dostrzegam to zło na co dzień w mojej praktyce adwokackiej. Wiem, jak mogą cierpieć ludzie ufni, niewinni i ubodzy. Wiem, jak bardzo potrzebują orędownika”.

Umilkł na chwilę. „Panie i panowie, traktuję politykę jako środek budowania pomostu między tym, co uważamy za sprawiedliwe i słuszne w życiu prywatnym, a stosowaniem tych zasad w praktyce życia publicznego...”

Było przejmująco zimne styczniowe popołudnie, wskoczyłam do ratusza Stanwinton, by uciec przed chłodem peronu, na którym

czekałam na swój pociąg, i znienacka znalazłam się na zebraniu. Czytałam co prawda gazety, ale wykazywałam się jedynie mglistą znajomością polityki, moje zainteresowania leżały gdzie indziej.

Will przemawiał jako kandydat na posła wytypowany przez swoją partię. Wybory powszechne miały się odbyć najwcześniej wiosną, ale on już pracował nad zdobyciem popularności, realizując, jak się później dowiedziałam, swój starannie opracowany program.

Pamiętam wątpliwości: czy on faktycznie myśli to, co mówi? Kiedy jednak wpatrywałam się w wysoką postać o włosach barwy dojrzalego zboża i rysach twarzy rozjaśnionych poczuciem humoru oraz pasją, doszłam do przekonania, że tak, i znienacka ogarnęło mnie przemożne pragnienie, aby dowiedzieć się, co to za człowiek. To znaczy, kim jest n a p r a w d ę .

Pamiętam również, że po przemówieniu, kiedy dość śmiało przepychałam się w jego kierunku, chcąc się przedstawić, zostałam za trzymana przez kobietę w czerwieni.

- W czym mogę pomóc? Jestem siostrą Willa Savage'a. - Zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół. - Nie zamierza go pani niepokoić? - spytała nerwowo. - Ma tak wiele spraw na głowie i jest przemęczony. - Potem uśmiechnęła się, a jej delikatna twarz ożywiła się w taki sam sposób, jak twarz jej brata. - Mam obowiązek go chronić, rozumiemy się?

W połowie podjazdu do Ember House Will gwałtownie zahamował.

- Zaraz, zaraz, Fanny, czyja się czasem nie pomyliłem?

Znaliśmy się od sześciu tygodni i jechaliśmy do domu przedstawić Willa mojemu ojcu. On miał lat dwadzieścia osiem, ja dwadzieścia trzy i oboje wiedzieliśmy, że jest to w jego i moim życiu ogromnie ważna chwila, ważniejsza niż zrzucanie po raz pierwszy przed sobą ubrań. To spotkanie miało obnażyć nas w całkiem odmienny sposób.

- Nie mówiłaś mi, że tak mieszkasz... W rezydencji?

Will otworzył okno i machnął ręką w stronę podjazdu otoczonego z obu stron kępkami przebiśniegów i krokusów, po czym wjechał za zakręt. Pamiętam swoje spostrzeżenie, że podjazd znajdował się w nienagannym stanie, póki nie opanowały go rozpychające się na lewo i prawo azalie i nie utonął w różach i czerwieniach kwiecia.

Już wtedy byłam wyczulona na to, z jaką powagą Will traktuje swój wizerunek, swoją pozycję.

- Nie przejmuj się, to żadna rezydencja. Oryginalny budynek miał zapewne charakter rezydencji, ale został rozebrany w latach pięćdziesiątych, a na jego miejscu wzniesiono nowy. Podjazd jest jedyną pozostałością dawnej posiadłości. Ojciec kupił dom po bardzo niskiej cenie, kiedy zakładał firmę. Nikt go nie chciał. Dom jest w gruncie rzeczy nieduży i wcale niewyszukany.

Will się rozluźnił. Na jednym z naszych spotkań - na które udało nam się wyrwać w wolnej chwili pomiędzy jego obowiązkami w kancelarii i sądzie, sesjami zdjęciowymi, marszami charytatywnymi i lunchami a moimi spotkaniami z klientami, negocjacjami z dostawcami, dyskusjami nad wyborem win do sezonowej degustacji - Will wyjaśnił, że jest oddany pracy na rzecz społeczeństwa,

w którym ludzie pną się w górę dzięki własnym zasługom, a nie uprzywilejowaniu.

- A ty niby kim jesteś? - droczyłam się. - Adwokaci zarabiają na nazwiskach.

Dotknęłam długich, delikatnych palców, które spoczywały na kierownicy. Wszystko w Willu było cudowne, łącznie z palcami.

- Nie masz się czym martwić - usłyszałam, jak się motam, niedolnie szukając słów. - Nie jesteśmy bogaci, wcale nie. Właściwie to jesteśmy biedni.

Will popatrzył na mnie z czułością.

- Nie bądź niemądra.

Oblałam się rumieńcem.

- To było głupie - przyznałam.

Czy to aby na pewno byłam ja? Dziewczyna, która tak śmiało pomagała ojcu w interesach, która tak pewnie czuła się w Londynie? Tak i nie. Zakochanie się z tak wielką gwałtownością i z takim oddaniem zupełnie wytrąciło mi broń z ręki. To nagłe, cudowne, silne i desperackie uczucie było dla mnie zagadką i niemal mnie przerażało.

Kostki na dłoniach Willa pobiełały.

-Jestem trochę zdenerwowany - wyznał.

Odpowiedzialność spadła teraz na mnie.

- Tylko nie udawaj, że znasz się na winie, to wystarczy.

Wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Polityczne samobójstwo.

Ojciec oczekiwał nas w salonie wraz z Caro, swoją przyjaciółką od dziesięciu lat. Od kiedy wkroczyła w jego życie, co stało się dla Benedetty o zaczerwienionych od płaczu oczach i gniewnie ściągniętym czole sygnałem do spakowania manatek i powrotu do Fiertino, wewnątrz domu uległo korzystnym przeobrażeniom. Caro nadała mu bardziej domowy charakter: poduszka, przestawione w inne miejsce krzesło, doniczka białych hiacyntów wiosną, lampa rzucająca subtelniejsze światło. Były to tylko drobne zmiany, ale jakże skuteczne.

„Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko?” - spytała Caro, gdy po raz pierwszy przybyła do naszego domu.

Miałam trzynaście lat, czułam wobec niej dziką niechęć, byłam przerażona, jak wszystko może zmienić się nie do poznania z dnia na dzień. I opłakiwałam odejście Benedetty. Caro roześmiała się i odgarnęła długie włosy w naturalnym kolorze blond. Była tak pewna swojej pozycji kobiety, która ma poślubić mojego ojca, że nie zważała na moją odpowiedź.

Mniej więcej pięć lat później, kiedy zdążyliśmy się zaprzyjaźnić, a Caro wcale nie była bliższa osiągnięcia swojego celu, odwróciła się do mnie i rzekła z goryczą: „Alfredo nigdy nie zwraca uwagi na to, co robię”.

Dostrzegłam w jej dużych, błagalnych oczach własne odbicie i ogarnęła mnie złość na ojca, zrobiło mi się nieprzyjemnie na myśl, że kiedyś jej dokuczałam. „Znasz moje odczucia w tej kwestii” - powiedział ojciec, wpatrując się we mnie czujnym wzrokiem, gdy zagadnęłam go wprost.

- To jest Will. - Poprowadziłam go do stojącego przed kominem ojca.

- A - odezwał się swoim najbardziej oschłym tonem, a potrafił być oschły jak mało kto - ten polityk.

Will mógł powiedzieć na to: „A, człowiek, który osiągnął wszystko własną pracą”, co zresztą doskonale charakteryzowałoby mojego ojca, lecz w swojej uprzejmej odpowiedzi uwzględnił również siedzącą na kanapie Caro. Była to, jak zauważyłam, stosowana przez niego strategia: **z a a n g a ż u j m y w s z y s t k i c h .**

Do kolacji sączyliśmy Sauvignon Blanc z winnicy Lawson's Dry Hill w Nowej Zelandii. Will ledwie tknął wina, wywołując lekkie zmarszczenie brwi na twarzy mojego ojca. Kawę piliśmy w salonie. Caro ponownie zajęła miejsce na sofie, ja usiadłam obok niej. Ojciec powrócił na swoje stanowisko przy kominku.

- Prasa niezbyt pochlebnie wyraża się o pańskiej partii. Uważa was za bandę spryciarzy.

Will się rozpromienił.

- To tylko sprzyja batalii - odparł, znalazłszy się na dobrze sobie znanym gruncie. - W końcu wyborcy przekonają się, że to my prowadzimy słuszną politykę.

- Co pan powie - odparł ojciec. Podniósł na mnie wzrok. - Nie wiedziałem, że interesowałaś się polityką, Francesco.

- Teraz się interesuję - rzekłam.

Ogień migotał w kominku. Usłyszałam, jak Caro z brzękiem odstawia filiżankę na podstawkę. Byłam tak dumna z Willa, że aż do oczu cisnęły mi się łzy. Zamiast płakać, uciekłam w czynności praktyczne: sięgnęłam po dzbanek z kawą i ponownie napełniłam filiżanki. Pochylając się nad kawą, zadawałam sobie pytanie, dlaczego akurat ja zostałam wybranką bogów, w dodatku tak hojnie obdarowaną? Dlaczego właśnie ja, Francesca Battista, dostąpiłam szczęścia znalezienia swojej drugiej połowy?

Will podszedł, stanął przy mnie i wyciągnął rękę.

- Fanny?

Chwyciłam jego dłoń i zerwałam się z miejsca. Will zwrócił się ku mojemu ojcu.

- Chcielibyśmy coś zakomunikować. Fanny i ja postanowiliśmy się pobrać.

Ojciec zachwiał się, jakby zadano mu cios. Spojrzał na mnie i od razu wiedziałam, że go zraniłam, nie wtajemniczając w zamiary.

- Zdecydowaliśmy o tym wczoraj wieczorem - wyjaśniłam.

- Za szybko - rzekł ojciec. - Ledwo się znacie.

Will otoczył mnie ramieniem.

- Decyzja szybka, ale pewna.

Po północy Will zakradł się do mojej sypialni, noc upłynęła mi więc bezsennie. Był wczesny ranek, kiedy postanowiłam wstać. Wyśliznęłam się z pościeli, pozostawiając Willa zwiniętego na boku, z jedną ręką zwieszoną poza łóżko. Jak głupia pochyliłam się nad nim czule i sprawdziłam, czy oddycha.

W drodze do kuchni musiałam minąć sypialnię Caro znajdującą się naprzeciwko sypialni ojca. Drzwi były otwarte, światło zapalone, wsunęłam więc głowę i zapytałam, czy napije się herbaty.

Na łóżku leżały w nieładzie ubrania, a Caro pakowała walizkę. Wpatrywałyśmy się w siebie nawzajem. Ja pomięta, rozczochrana i szczęśliwa, ona pięknie ubrana, lecz przygnębiona.

- Dlaczego się pakujesz?

Zamknęłam za sobą drzwi. Caro wzięła zielony pulower i złożyła go starannie.

- Fanny, jedyną dobrą rzeczą w całym tym bałaganie okazała się nasza przyjaźń. Ona... - urwała, połykając łzy - ona mi pomogła. Gdyby nie to... - Bezradnie wzruszyła ramionami. - ..zmarnowałam tylko sporo czasu.

Zdjęłam z łóżka stos koszul i usiadłam.

- Dlaczego akurat teraz?

Miętosła w dłoniach pulower.

- Ujmijmy to tak. Ty wychodzisz za męża, ja nie. Wiem, że robienie ceregieli z powodu jakiegoś świstka papieru to głupota, aleja się przejmuję. Podobnie jak wielu ludzi. W tym tkwi problem przeciętności.

Wyrwałam jej z rąk sweter i zaczęłam gnieść w palcach. Był miękki, doskonałej jakości.

- Caro, byliście razem tak długo.

Podniosła na mnie udręczony wzrok.

- Wszystko, co dobre, ma swój kres.

- Chcesz, żebym z nim porozmawiała?

Pokręciła głową.

- Nie ma sensu.

- Przecież byliście szczęśliwi. Wiem, że tak.

- Przyjrzyjmy się... - zaczęła wyliczać zalety. - Twój ojciec był łaskaw przydzielić mi bardzo ładną sypialnię i miejsce przy stole. Wolno mi zamawiać produkty żywnościowe i prosić Jane o odkurzenie dywanów. Ale na tym koniec, Fanny. - Odebrała mi pulower. - Jeszcze tego nie pojmujesz, ale nie wystarcza mi rola ozdoby podczas podejmowania gości. Pragnę autentycznego, żywego, aktywnego partnerstwa. Więc... - Wstała i spakowała zielony pulower do walizki. - Oddziałam ostatnie dziesięć lat grubą kreską. Liczę, że mu o tym powiesz.

- S a m a musisz to zrobić.

Na te słowa zakipiała z gniewu.

- Nie, ty przedstawiś mu wszystko w szczegółach. - Szarpnęła jedną z walizek i zatrzasnęła ją. - Co więcej, ofiarowuję ci najbar-dziej przydatny prezent ślubny.

Nie miałam pojęcia, co przez to rozumiała.

Nogą posunęła walizkę ku drzwiom.

- Pokazuję ci, jak odejść, Fanny. To pożyteczna lekcja.

Podczas miodowego miesiąca w dolinie Loary, zaledwie pół roku po naszym pierwszym spotkaniu, Will położył mi głowę na piersi i powiedział:

- Twoje serce bije głośniejsz niż werbel.

- A ilu serc słuchałes z tak bliska?

- Bardzo niewielu. - Uśmiechnął się. - Słowo daję. Oprócz własnego, oczywiście.

- To dobrze - usłyszałam własne słowa. - Wolałabym się tobą nie dzielić.

Rozkoszowałam się jego dotykiem i zapachem ciała na mojej skórze.

- Myślisz, że nasze serca biją zgodnym rytmem? - spytałam.

- No jasne.

Ciaśniej oplótł mnie ramieniem i oświadczył, że wiedział o tym od pierwszego wejrzenia.

- Pięć sekund, tyle mi to zajęło. No dobra, niech będzie d z i e s i ę ć .

- J a pierwsza sobie ciebie upatrzyłam. - Pocałowałam wilgotne, odrobinę słonawe zagłębienie jego szyi.

- Niezłe z ciebie ziółko - powiedział i mocno mnie do siebie przycisnął, ja zaś zjrzałam w jego ciemne oczy, zobaczyłam przed sobą życie pełne wspaniałych perspektyw i pomyślałam, że mam wielkie szczęście.

W trzecim dniu naszego miodowego miesiąca jedliśmy lunch w jednym z wielu eleganckich, zadbanych, lecz sennych miasteczek

nad Loarą. Jak na początek czerwca było upalnie, gorące powietrze drgało ponad brukiem ulic. Szeroka, leniwa, połyskująca rzeka szemrała w de, pobrzękiwały sztuce i kieliszki.

Will nie jadł dużo. W końcu sięgnął do kieszeni po papierosy. Oficjalnie był niepalący i nigdy nie zapaliłby papierosa publicznie - z wyjątkiem Francji, gdzie było „inaczej”. W rzeczywistości bardzo lubił amerykańskie papierosy z białym filtrem. Uśmiechnęłam się na myśl, że świadectwem naszej bliskości jest dmuchanie mi w twarz dymem z papierosów.

Grymasiłam przy wyborze wina - nigdy nie ceniłam sobie czerwonego Chinon, które wypełniało niemal całą kartę win. Will obserwował mnie, a potem powiedział:

- Uwielbiam na ciebie patrzeć, gdy rozprawiasz o winie. Masz ogromne rozeznanie i dokładnie wiesz, czego chcesz. Jesteś nieodrodną córką swojego ojca.

Uzgodniliśmy, że Will zrezygnuje z praktyki prawniczej, jeśli zostanie wybrany do parlamentu, a ja będę kontynuować pracę u ojca w Battista Fine Wines. Pod względem finansowym taki układ wydawał się funkcjonować, przynajmniej na papierze, ja zaś mogłam cieszyć się na podróże z ojcem do Australii i Ameryki.

Kelner nalał wino - miało barwę malinowej czerwieni, prezentowało się zupełnie przyzwoicie.

- Kocham cię, pani Savage.

Ilekczo Will wypowiadał te słowa - a zdarzało się to nader często - miałam wrażenie, że wymyślił je dosłownie przed chwilą, dzięki czemu jego słowa brzmiały w moich uszach jak najrozkoszniejsza, najwspanialsza muzyka.

Odwrociłam się i utkwiałam wzrok w rzece. Nie znałam jeszcze Willa zbyt dobrze, a mimo to wiedziałam ponad wszelką wątpliwość, że nasz ślub był słusznym krokiem. Ta absolutna pewność sprawiała, że czułam się zarazem stara i zatrwajająco młoda.

- Pomyślisz kiedyś o wspólnym wyjeździe do Val del Fiertino, żeby zobaczyć miejsce, z którego wywodzi się moja rodzina?

Zgasił papierosa.

- Niczego bardziej nie pragnę. - Jego oblicze zachmurzyło się na moment. - Nie mam własnej rodziny, oczywiście poza Meg i Sachą.
- Po chwili poweselał. - Nie mogę się doczekać przyjęcia do twojej. Wychwyciłam w tonie jego głosu echa dawnego cierpienia.

- Chcesz o tym porozmawiać?

Zapalił drugiego papierosa.

- Moi dziadkowie byli zbyt starzy i oszołomieni tym, co się stało, by zapanować nad sytuacją. Obwiniali się o to, że pozwolili mojej matce poślubić ojca, a poczucie winy jeszcze się wzmogło, gdy i ona zaczęła zaglądać do kieliszka. Cieszę się, że nigdy nie dowiedzieli się o Meg.

Temat był delikatny, z rodzaju tych, których jeszcze w pełni nie zgłębiliśmy.

- Kiedy Meg...?

- Nie wiem. Utrzymywała to w tajemnicy. Nigdy niczego od niej nie poczułem. Nigdy niczego nie podejrzewałem. Prawdopodobnie problem nie istniał, póki nie wyszła za Roba. Zaczęło się od zwykłego drinka na zakończenie dnia. Lecz mnie pochłaniały inne sprawy, szkoła, egzaminy, pragnienie wyrwania się z domu. Wstyd się przyznać, ale nie poświęcałem Meg zbyt wiele uwagi. Po prostu zawsze była na miejscu. Dopiero potem uświadomiłem sobie, jak wiele dla mnie zrobiła. I czym zostało to okupione.

Pamiętam... co dokładnie? Falę lekkiego zażenowania, leciutki cień kładący się na naszej żywej, barwnej relacji. Kieliszki na stole, słońce na białych kamieniach, szmer rzeki... my, razem... tyle szczęścia, a jednak?

- Will - rzekłam, a słowa więzły mi w gardle - nie wolno nam nigdy zamienić się w parę gnuśnych nieudaczników*.

Uśmiechnął się.

- A czy my przypominamy parę gnuśnych nieudaczników?
- Zmrużył oczy. - Wpadłem właśnie na pewien pomysł.

- Jaki?

* W oryginale: Pa i Ma Kettle - bohaterowie serialu popularnego w latach czterdziestych i pięćdziesiątych; symbol małżeństwa zabawnych nieudaczników (przyp. tłum.)

- Wiąże się z powrotem do hotelu... zaraz.

Kiedy jednak dotarliśmy na miejsce, czekała na niego wiadomość. Will przeczytał ją, otoczył mnie ramionami i oznajmił podekscytowanym tonem:

- Pani Savage, musimy się pakować. Wybory odbędą się czternastego lipca i nie ma ani chwili do stracenia. Ani dnia, ani minuty. Jeśli mocno wciśniemy gaz, dotrzemy do domu przed północą.

W pokoju hotelowym spoglądałam na stos niewysłanych widokówek leżących na stoliku pod oknem. Nieskalane pismem pocztówki z widokami ładnych francuskich wiosek i sennych francuskich rzek.

- Nawet nie zdążyłam ich napisać.

Zgarnął kartki ze stolika.

- Napiszesz je w samochodzie.

Usiadłam na łóżku. Sądziłam, że bardzo starannie przygotowałam się na tego rodzaju niespodzianki. Wiedziałam, że poślubienie Willa będzie wymagało ode mnie poświęceń. Lecz rozczarowanie odebrało mi na chwilę mowę.

Will zwrócił uwagę na mój zbolały wyraz twarzy i sam się zafrasował.

- Fanny... Wiem, że trudno o gorszy moment, ale to znaczy dla mnie wszystko... no, może niedokładnie wszystko. Oczywiście, wszystkim jesteś dla mnie ty... ale długo pracowaliśmy na tę chwilę. Rozumiesz, prawda?

Jego mina była tak zatroskana, tak zdeterminowana i poważna, że nie miałam serca protestować. Jakże mogłabym pieklić się z powodu najważniejszego wydarzenia w życiu Willa? Czym był miodowy miesiąc w kontekście tak wielu przygotowań? Sprawą z pewnością nie najistotniejszą w porównaniu z celem, jaki wyznaczył sobie Will - a którym było, mówiąc najprościej i najdobitniej, rozwiązywanie problemów całego kraju.

- Pójdźmy na układ fifty-fifty - powiedział. - Obiecuję, że wybieremy się na drugi miodowy miesiąc, jak tylko nadarzy się okazja.

Bardziej niż czegokolwiek pragnęłam szczęścia Willa. Chwyciłam go za rękę i wyraziłam zgodę:

- Fifty-fifty.

Zanim opuściliśmy hotel, usiadłam i napisałam na jednej z widokówek: „Kochana Fanny, bawimy się cudownie. Szkoda, że Cię tutaj nie ma. Ściskam, Fanny”. Gdy się wymeldowywaliśmy, poprosiłam konsjerżkę o znaczek i wrzuciłam kartkę do skrzynki pocztowej w hallu.

W drodze na północ Will gorączkowo manipulował przy samochodowym radiu. W którymś momencie uparł się, żeby zatrzymać się na stacji benzynowej przy autostradzie. Wysiadł z auta i zadzwonił do Mannochiego. Obserwowałam go z samochodu. Oparł się wolną ręką o szybę, odciskając wilgotny ślad. Po chwili cofnął dłoń i przyłożył ją do żołądka.

Ten mały przejaw nerwów poruszył mnie bardziej, niż potrafiłabym wyrazić. Wstrząsnęła mną świadomość, jak bardzo Will jest mi drogi oraz jak bardzo istotne jest osiągnięcie przez niego tego, do czego dążył.

Meg spytała, czy w ramach wyjątku będzie mogła odebrać Chloe ze szkoły w dniu jej egzaminu końcowego. Chloe wpadła przez drzwi kuchenne jak torpeda.

- Mamo? Już po wszystkim. Koniec.

Była blada, drżąca, rozpierała ją radość.

Otoczyłam ją ramionami i mocno uściskałam. Potem zaprowadziłam na górę, namówiłam na kąpiel i przyniosłam jej kubek herbaty.

Z twarzą zaróżowioną od pary osunęła się z powrotem do wody.

- Moja kochana mamusia. - Zamilkła na chwilę. - Jestem niezdolna do czegokolwiek. Nie mogę niczym ruszyć. Nie mogę zebrać myśli.

Było zimno jak na koniec czerwca, powiesiłam więc ręcznik na podgrzewanym wieszaku łazienkowym.

- Umyć ci włosy?

Kształt jej głowy był mi tak dobrze znany, tak drogi. Pod wpływem szamponu pasma włosów stawały się dziwnie szorstkie. Bardzo starannie masowałam skórę, splukiwałam szampon, ocierałam z oczu pianę.

- Teraz zaczyna się moje życie, mamo — powiedziała, kiedy wycierałam ją ręcznikiem do sucha, tak samo jak wtedy, gdy była ma lutka, nieukształtowana, jeszcze cała moja. - I co ty na to?

Kilka dni później wyciągnęłam po przebudzeniu rękę. Jeśli obok leżał Will, moje palce napotykały ciepłe plecy, krągłość ramienia. Było to dla mnie poranne memorandum - przypomnienie, że należy być wobec siebie życzliwym, o czym zbyt często zapomniałam.

Dzisiaj zajmowana przez Willa połowa łóżka wydawała się jakoś szczególnie zimna i opustoszała.

Wstałam, włożyłam dżinsy i T-shirt, rozsunęłam zasłony i patrzyłam, jak letni dzień budzi się do życia i otrząsa z porannej rosy. Minęła chwila, nim zauważyłam dwie idące drogą postacie. Poruszały się powoli, z rozmarzeniem, jakby zauroczone swoim widokiem.

Chloe przystanąła przy żywołocie z wawrzynu i zauważyłam wtedy, że nie ma w niej już nic dziecinnego. Sacha pochylił się i szepnął jej coś do ucha. Odpowiedziała i odwróciła się ku niemu, oplątując ramionami jego szyję. Sacha odrzucił w tył głowę i wybuchnął śmiechem. Od dawna nie widziałam ani nie słyszałam, by się śmiał.

Świadoma, że ich szpieguję, oddaliłam się od okna.

Kiedy parzyłam kawę, moja córka weszła leniwym krokiem do kuchni.

- Co tu robisz bladym świtem, mamó? - Pociągnęła nosem.
- Kawa. Super. Dostanę trochę?

- Nie było cię przez całą noc? Jadłaś coś?

Chloe pokręciła głową, a jej długie włosy musnęły ramiona.

- Mamó, zawsze zadajesz te same pytania.

- Jasne. W ogóle nie kładliśmy się spać. - Sacha, który wszedł do kuchni za Chloe, przyniósł filizanki z kredensu. - Nie ma co robić afery. - Uśmiechnął się do mnie z przekorą. - Nie pamiętasz, jak bywało?

- Mgliście - rzekłam z nutą uszczypliwości. - Jak było w klubie?

Ich spojrzenia się spotkały, nastąpiła wymiana prywatnego komunikatu.

- Bosko. - Głos Chloe brzmiał o ton wyżej niż zazwyczaj.

Pokroiłam chleb i włożyłam dwie kromki do tosteru.

- Mam nadzieję, że nie zrobiliście nic... głupiego.

Chloe spojrzała na mnie ostrzegawczo. „Nie zapuszczaj się w te rewiry”.

- Nie... - Sacha rozpiął krótką skórzaną kurtkę i powiesił na oparciu krzesła. - Klub jest całkiem do rzeczy. Może zagramy tam z chłopakami, żeby wpadło parę groszy.

Sacha bardzo starał się nie dać do zrozumienia, że rozpaczliwie

potrzebuje jakiegokolwiek występu. Nigdy by się nie przyznał, że dwa lata po założeniu grupy znajdowali się dopiero na samym początku drogi do sławy i fortuny.

Chloe siedziała pochylona nad kawą. Miała lekko zarumienione policzki, na ustach błąkał się blady uśmiech. Wyglądała na beztroską i szczęśliwą.

Grzanka utknęła w tosterze, więc wyciągnęłam ją własnoręcznie, rozsypując przy tym na podłogę kaskadę okruszków, i położyłam przed nimi.

- Posmarujcie sobie tokańskim miodem.

- A co brakuje angielskiemu miodowi? - Chloe zatrzepotała niesamowicie długimi rzęsami. - Albo czemukolwiek angielskiemu, skoro już przy tym jesteśmy? Mamy włoski makaron, włoską szynkę, włoskie to, włoskie tamto, włoskie owamto. - Ponownie zatrzepotała rzęsami, a Sacha patrzył na nią wyraźnie zachwycony. - Musisz wybrać się tam w tym roku, mamó, uwolnić się od swojej obsesji.

Przyniosłam szufelkę i zmiotłam okruchy.

- Tak się składa, że planuję pojechać tam z twoim dziadkiem.

Chloe wzniosła oczy do sufitu.

- Bajuj, bajuj.

Kiedy oni jedli śniadanie, ja siedziałam przy stole i łamałam sobie głowę nad programem komisji do spraw bezdomnych w Stanwinton. Potem Sacha wstał i zdjął z oparcia krzesła swoją cenną kurtkę.

- Pora spać - powiedział i zniknął.

- A ty, kochanie?

Chloe dopiła kawę i kucnęła obok mnie.

- Nie możesz się wtrącać, mamó. Już nie.

Objęłam ją ramieniem. Kącik ust miała umazany miodem, starłam go palcem.

- On jest twoim najbliższym kuzynem, Chloe.

Z twarzy Chloe ulotnił się wyraz szczęścia.

- Jest mi najbliższy pod każdym względem, mamó. Płynie w nas ta sama krew. Zna mnie na wylot. Ja jego też.

- Jest twoim najbliższym kuzynem - powtórzyłam.

Chloe wyprostowała się.

- Daj spokój, mamó - rzekła beznamiętnym tonem, który był dla mnie czymś nowym. Potem wyszła i ona.

Podniosłam wzrok i spojrzałam za okno, gdzie zbierały się letnie deszczowe chmury przypominające ciemne, poobijane śliwki.

Przed południem przejrzałyśmy z Chloe worki używanej odzieży, które zalegały w naszym garażu.

- Strasznie tego dużo, mamó. Nie rozumiem, dlaczego musimy się w tym babrać.

Odwróciłam do góry dnem jeden z worków, a stos brudnych swetrów i spodni wysypał się na podłogę. Wzdrygnęłyśmy się na zapach tych ubrań - stęchły, mocno nieświeży, przygnębiający.

- Fuj - powiedziała Chloe. - Wyrzuć je.

Zaskoczyłam sama siebie, mówiąc z ożywieniem:

- Nie mogę. Mogą się jeszcze przydać. Ktoś może ich potrzebować.

Chloe zbadała zawartość drugiego worka.

- Właściwie - rzekła, wyciągając rozpinany sweter z różowej wełny, która dziwnie przypominała kaszmir - ten jest całkiem ładny.

Zgarnęłam naręczę ubrań i poczłapałam do kuchni, w której Brigitte czyściła zlew.

- Mogłabyś wrzucić to do pralki?

Brigitte cofnęła się o krok.

- Nie wyglądają zachęcająco.

- Nie — przyznałam — ale będą prezentować się znacznie lepiej po upraniu i wyprasowaniu.

Brigitte z chmurną miną załadowała ubrania do bębna pralki i zatrzasnęła drzwiczki. Chloe przyszła za mną i wręczyła Brigitte proszek.

- Zabawny starość - powiedziała. - Mogę zatrzymać ten sweter dla siebie?

*

Zaproponowałam Meg, że w drodze do miasta zawiozę ją do lekarza. Zapięła pas z cichym trzaskiem.

- Sacha powiedział mi, że... rozmawiałaś z Chloe na jego temat. Wnioskuje, że nie pochwalasz ich częstego spędzania czasu ze sobą.

Ostrożnie minęłam bramę i wyjechałam na drogę. Nie powinien mnie już dziwić sposób, w jaki informacje krążyły po naszym domu.

- Czy on rozmawia z tobą o wszystkim?

- Przeważnie. Zawsze tak było. Zresztą sama doskonale wiesz.

Choć bezpodstawnie, ta uwaga mocno mnie zirytowała.

- Chloe cenzuruje wszystko, z czego mi się zwierza.

- Powiedz - odezwała się Meg, grzebiąc w torebce - masz zastrzeżenia do mojego syna czy do moich genów?

- Kocham Sachę, a ty masz przecież wspólne geny z Chloe.

Meg energicznie opuściła osłonę przeciwsłoneczną po stronie pasażera i skorzystała z umieszczonego w niej lusterka, by pomalować usta jaskrawoczerwoną szminką, podczas gdy ja zмагаłam się ze sprzęgłem, które wymyślono specjalnie po to, żeby doprowadzać kierowców do szału.

- Wiesz, Fanny, kiedyś układało się między nami lepiej.

Czułam, jak jej spojrzenie pali mnie w policzek.

- Meg - powiedziałam zbyt pochopnie. - Wydaje mi się, że najwyższy czas zaprowadzić pewne zmiany.

Ja k zwykle zareagowała bardzo gwałtownie.

- Chcesz mnie wywalić? - Po chwili roześmiała się. - J a na twoim miejscu bym chciała. - Założyła włosy za uszy, był to w jej wydaniu wyjątkowo nerwowy gest. - Czy Will zna twoje zamiary?

- Nie rozmawialiśmy o tym szczegółowo. Ale Chloe wkrótce opuści dom, pomyślałam więc... że może czas zamienić go na mniejszy.

- Willowi by się to nie spodobało. Nigdy nie wyrzuciłyby mnie ani Sachy. - Rzuciła mi nieufne spojrzenie. - I ty też nie, prawda, Fanny?

- Sacha chyba także wkrótce wyjeżdża?

Meg wrzuciła szminkę do torebki.

- Tak.

Podobnie jak kiedyś moja matka wyjechała z Ember House z niemal pustymi rękami, Meg przybyła do Stanwinton w zasadzie z niczym prócz walizki i małej torby z ubraniami Sachy na weekendowe odwiedziny.

- Nie umiałam dokonać wyboru - wyjaśniła.

Wiele lat później, kiedy rozmawiałam z Robem na przyjęciu z okazji osiemnastych urodzin Sachy, powiedział, że błagał Meg, aby wzięła wszystko - meble, ubrania, porcelanę - ale kategorycznie odmówiła, oświadczając, że potrzebuje przestrzeni dla swojego smutku. Roba ta odpowiedź zdumiała, lecz ja w jakiś osobliwy sposób czułam, że tkwi w niej sens.

Meg wyciągnęła przed siebie rękę.

- Patrz, drżą tylko troszeczkę. Idzie ku lepszemu. Tamtego wieczoru dopadła mnie zwyczajnie chwila słabości. Wiesz, mam zamiar starać się o pracę.

- Jasne.

Wyjechałam na parking przychodni i wysadziłam Meg przy wejściu. Chwyciła za klamkę.

- Ale nie jestem przekonana, czy dałabym sobie radę sama.

Wychyliłam się, żeby zamknąć drzwi.

- Meg - zawołałam za nią. - Ja nie chciałam.

Po zebraniu komisji pojechałam do Londynu. Znowu padało. Uważnie patrzyłam na drogę. Mój ojciec z upodobaniem rozprawił o włoskim lecie i teraz dotarło do mnie, nie po raz pierwszy zresztą, dlaczego. Och, znaleźć się w upalnej dolinie, gdzie - jeśli usiąść pod drzewem oliwnym i spojrzeć w górę - liście przypominają drgające jęzory ognia.

Will zostawił liścik na podłodze korytarza naszego londyńskiego mieszkania, w takim miejscu, że nie mogłam go przeoczyć. „Zobaczmy się w ambasadzie. Nie zapomnij o Pasquale'u. Proszę, nie spóźnij się”.

Oczywiście się spóźniłam. Popełniłam błąd, decydując się na kąpiel. Kiedy leżałam w wannie, telefon zadzwonił dwukrotnie. Najpierw telefonował dziennikarz z poważnej gazety, mówiąc, że planują artykuł o politykach, którzy w przyszłości mogą zdobyć w partii wyższą rangę, i czy mógłby w związku z tym przeprowadzić wywiad z moim mężem? Powiedziałam, żeby skontaktował się z biurem Willa. Potem zadzwonił osobisty sekretarz Willa z ostrzeżeniem, że gdybym rozmawiała z kimkolwiek z włoskiej delegacji, powinnam unikać wszelkich tematów choćby luźno związanych z polityką. Te informacje przekazano wszystkim żonom.

- Więc jaki temat mam kierować rozmowy? - dociekałam.

- Odkryto niedawno etruskie rzeźby z brązu, które uchodzą za znakomite dzieła - odparł.

Kreśliłam palcem serduszka na zaparowanym lustrze w łazience.

- Opowiedz mi o nich.

- Niestety, pani Savage, mają one charakter... raczej erotyczny. Ale może pani nie wdawać się w szczegóły. I... pani Savage... gdyby mogła pani unikać słów „samochód” i „podatek”... negocjacje znajdują się na dość trudnym etapie.

Ponieważ zatrzymały mnie rozmowy telefoniczne, wyruszyłam późno i na spotkanie z Willem pojechałam taksówką. Uśmiechnął się i pocałował mnie w policzek, ale jego uchwyt za ramię był wręcz bolesny.

- Spóźniłaś się.

- Korki na drodze. - Spleliśmy dłonie, upewniłam się, czy wymyślona przeze mnie lista tematów do dyskusji przejdzie przez sito selekcji. - Musimy porozmawiać o Chloe.

Ścisnął mi palce, a zaraz potem puścił moją rękę.

- W związku z czym?

- W związku z Sachą. Trochę się niepokoję.

- Meg mówi, że to błahostka. Są sobie bardzo bliscy, jak to czasem z kuzynostwem bywa, i tyle.

- Rozmawiałaś z Meg? Usiłowałaś dodzwonić się do ciebie przez cały tydzień, ale ciągle byłeś zajęty...

- Witaj, Ted. - Will gładko przeniósł uwagę na jednego ze swoich kolegów z ministerstwa.

W długiej, wąskiej sali przyjęć serwowano dobrego szampana. Posłuszna otrzymanym instrukcjom rozmawiałam o pogodzie oraz florze z ambasadorem w wielobarwnym krawacie, o winach zaś z niższym rangą konsulem, który oświadczył, że wychował się na piwie. Odciągnęłam Antonia Pasquale'a na stronę i wprawiłam go w osłupienie znajomością włoskiego oraz włoskich win. Przy pożegnaniu pocałował mnie w rękę, wiedziałam więc, że dobrze wywiązałam się z obowiązku.

Po powrocie do mieszkania Will podszedł prosto do tacy z trunkami, co zdarzało się rzadko, i nalał sobie szklaneczkę whisky.

- Jestem wykończony. Zona Pasquale'a to prawdziwy koszmar.

- Powinniśmy coś przekąsić.

—Jestem zbyt zmęczony.

- J a również. - Zrzuciłam buty i zwinęłam się na kanapie. - Powiedz, co się dzieje.

Will westchnął.

- Nie mam siły.

-Aha.

Przyglądałam się swoim stopom obleczonym w cieniutkie jak mgiełka, wieczorowe rajstopy.

- Przepraszam, kochanie.

Sięgnęłam po poduszkę i przytuliłam ją do siebie.

- Co byś powiedział, gdybym wybrała się z tatą w podróż do Włoch?

Will natychmiast odzyskał czujność.

- Kiedy?

- Pod nieobecność Chloe. Prawdopodobnie we wrześniu. Jeszcze niczego nie ustaliliśmy.

- Beze mnie?

-Tak.

Will odstawił szklanekę, podszedł do mnie i usiadł obok.

- Oczywiście, musisz pojechać. Wiem, jak wiele by to dla ciebie

znaczyło - przerwał. - Ale czy koniecznie w tym roku? Tak wiele się dzieje... - Zabrał poduszkę i objął mnie ramieniem. - Potrzebuję cię na pokładzie.

Wyczułam, jak na nowo wlewa się w niego energia, gdy zaczął koncentrować się na zadaniu sprowadzenia mnie z powrotem do owczarni.

- To jest moment, w którym bez ciebie chyba nie dałbym rady.
- Wypił kolejny łyk whisky. - Może jestem samolubny. - Ponieważ nie zareagowałam, zapytał ostrym tonem: - Fanny, słuchasz mnie?

Podniosłam wzrok i ujrzałam mojego dawnego Willa: bystrego, zabawnego, żarliwego, oddanego mężczyznę, w którym się zadurzyłam, i zastanawiałam się, co on we mnie widzi i czy w ogóle patrzy.

- Nasze małżeństwo zmierza w osobliwym kierunku - usłyszałam sama siebie. - Przez cały tydzień usiłowałam porozmawiać z tobą o twojej córce... Które miejsce w kolejce zajmuję?

- Nie pleć głupstw. - Zostało to powiedziane ze smutkiem i prześliskiem irytacji.

- Taka jest prawda.

Złapał mój podbródek.

- Chodzi ci o to, że rozmawiałem z Meg? Tak się złożyło, że zadzwoniła o właściwej porze, ty głuptasie.

- Po części. - Strząsnęłam jego rękę i zaczęłam skubać frędzle zrzuconej poduszki. — Przejmuję się.

Westchnął.

- Naprawdę nie sędzę, żeby było o co się martwić.

- Ale ja się martwię. I martwi mnie, że muszę martwić się o nią całkiem sama.

- Kiedy wyjedzie do Australii, zapomni o Sachy. Pozna nowych ludzi. W jej wieku uczucie - jeśli to jest uczucie - do nieodpowiedniej osoby nie jest niczym niezwykłym.

Pewnie racja leżała po jego stronie, lecz ja miałam dość politycznych odpowiedzi jak na jeden wieczór. Podniosłam się z miejsca, podeszłam do okna i wyjrzałam w pochmurną letnią noc.

- Chciałabym wyjechać z ojcem, Will. Odnoszę wrażenie, że nie czuje się najlepiej, chciałabym spędzić z nim trochę czasu.

- Zamiast ze mną...

Odwrociłam się i spiorunowałam go wzrokiem.

- Postaram się zapamiętać, co właśnie powiedziałaś.

Will z trzaskiem odstawił szklanę na stolik.

- Czy rzeczywiście sugerowałaś Meg, żeby się wyprowadziła?

- Niezupełnie - odparłam. - Padła propozycja, lecz nic nie zostało postanowione.

- Nie uważasz, że najpierw powinnaś omówić to ze mną? Meg jest zdenerwowana i niespokojna, a to z pewnością jej nie służy.

- Omówić z tobą? Cóż za wyborny pomysł. Próbowałam przez całutki tydzień. Mam się dowiedzieć, czy Mannoche zdoła wcisnąć spotkanie ze mną do twojego planu zajęć? Może porozmawiamy w trakcie któregoś dyżuru poselskiego - gdzieś w biegu między błędnie naliczonymi rachunkami za gaz a dającymi się we znaki sąsiadami... - Ruszyłam ku drzwiom. - W każdym razie teraz idę spać.

Gdy szłam korytarzem, zawołał za mną:

- Nie mogę jej skrzywdzić, Fanny. Nie mogę jej opuścić.

Will i ja powróciliśmy do Ember House z naszego skróconego francuskiego miodowego miesiąca dobrze po północy, pachnąc melonami, które uparłam się kupić i które przesyciły samochód słodkim, soczystym aromatem.

Wcześniej rano wygramoliliśmy się z łóżka, wyciągnęliśmy czyste ubrania z nie rozpakowanych jeszcze walizek i pojechaliśmy do Stanwinton. Mannoche czekał na nas w centrali partii przy głównej ulicy.

Willa natychmiast porwał partyjny aparatczyk, a u mojego boku zjawił się Mannoche.

- Musi pani poznać przewodniczącą stowarzyszenia i utrzymywać z nią poprawne stosunki.

- Czy zostanę zakuta w dyby, jeśli tego nie zrobię? - spytałam, lecz zdając sobie sprawę, że nie zabrzmiało to zbyt zabawnie, od razu pożałowałam tych słów.

W centrali kotłował się tłum ludzi, pomieszczenia były zastawione krzesłami, kserokopiarkami i koszami, z których wysypywały się brązowe koperty. Uporczywy odgłos dzwoniących telefonów unosił się ponad całym tym rozgardiaszem. Mannoche poprowadził mnie w stronę stołu, przy którym kobieta udzielała jakiejś starszej parze wskazówek co do sortowania broszur.

- Żadnego obijania się - zwróciła się do nich obojga. — Żadnych pomyłek.

- Pearl, przedstawiam ci Fanny.

Masywna kobieta ciężko dźwignęła się z miejsca.

- Czas najwyższy.

Czy zawsze wyrzucała z siebie słowa jak kule z karabinu? Groził mi wybuch nerwowej wesołości, odparłam jednak:

- Dotarliśmy najszybciej jak się dało. Jechaliśmy nocą.

Pearl Veriker powinna była poznać mnie już wcześniej - „żony muszą zostać poddane cenzurze” - ale leżała wtedy w szpitalu. Wysoka, o długim nosie, nie zaprzętała sobie głowy modą. Jej bawełniana koszula gryzła się ze spódnicą, do białych sznurowanych butów ze zdobionej skóry włożyła cieliste rajstopy. Mimo to obrzuciła mnie bezlitosnym i przenikliwym spojrzeniem. Wreszcie wyciągnęła rękę.

- Zamierzam zwracać się do ciebie po imieniu, bo będziemy miały ze sobą wiele do czynienia.

Jeśli liczyłam na pocieszenie po zepsutym miodowym miesiącu, byłam w błędzie.

- Jak zapewne sobie wyobrażasz, tutaj toczy się batalia. Mam nadzieję, że nałożyłaś wygodne buty. - Spojrzała w dół na moje gołe nogi pod krótką dżinsową spódnicą. - Wybacz, ale byłoby lepiej, gdybyś nosiła rajstopy i dłuższe spódnice. Im bardziej dalekosiężne i rewolucyjne głosimy poglądy, tym spokojniej i bardziej szacownie powinniśmy wyglądać. Ktoś powinien był cię o tym uprzedzić.

Czytaj: powinnaś wiedzieć o tym sama.

Zaczerwieniłam się z powodu własnej ignorancji.

Obok nas przepychała się młoda kobieta ze stertą kopert. Pearl Veriker błyskawicznie wystawiła rękę i zatarasowała jej drogę. Chciała wiedzieć, dokąd Marcia zabiera te papierzyska. Nastąpiła szybka wymiana słów i zatrzymana Marcia została uwolniona.

- Moim zadaniem jest mieć wszystko na oku. Wszystkich dopilnować. - I zaraz dodała: - Mam nadzieję, że nie narzekasz na zdrowie, bo przed nami kilka ciężkich tygodni.

- Will z pewnością o wszystkim mnie poinformuje.

- Twój mąż, Fanny, jest tujeszcze nowicjuszem. Ustaliliście, gdzie macie zamiar zamieszkać, jeśli wygramy?

- Będziemy zatrzymywać się u mojego ojca w Ember Housc.

Pearl pokręciła głową.

- Nie wypada. Potrzebny wam własny dom, spokojny, skromny i tani. Musicie zapuścić tu korzenie.

- Dowiedziałam się, że potrzebny nam spokojny, skromny i tani

dom na terenie naszego okręgu - oznajmiłam Willowi w zaciszu sypialni w Ember House.

Obrócił się gwałtownie, zdejmując skarpetę.

- Zamieszkamy tu. Oczywiście. Jeżeli wygramy. Przecież wiedziałas.

- Nie, nie wiedziałam.

Will ściągnął drugą skarpetę i upuścił ją na podłogę.

- Tłumaczyłem ci.

- Mówiłeś, że zachodzi takie prawdopodobieństwo. Nie chcę tu mieszkać/Większość interesów Battistów prowadzę w Londynie. Zapominasz, że mieszkałam tutaj przez większą część życia i wiem, jak tu jest. Nasze miejsce jest w Londynie.

- Fanny... - Will podszedł bliżej i usiadł na łóżku. - Kochanie... Popatrz na mnie. To ważne. Będziemy zmuszeni do pewnych wyrzeczeń. Pamiętaj o naszych przekonaniach. O wszystkich naszych uzgodnieniach. - Osunął się przy łóżku na kolana. - Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo.

Słyszałam wypowiedane przez niego słowa, widziałam przekonanie i wiarę, które rozjaśniały mu twarz.

- Will, nie musimy tutaj mieszkać. Możemy często przyjeżdżać.

- Żadne półśrodki nie wchodzą w rachubę. Toczmy pewnego rodzaju wojnę. Teraz dotarło to do mnie z całą przejrzystością.

Wpatrywałam się w ciemne oczy, które tak mnie zachwycały.

- Will, czy wolno mi zauważyć, że pierwszą ofiarą wojny pada p r a w d a ?

- Pani Savage, w ten sposób wcale mi pani nie pomaga.

Cała poświęciłam się sprawie. Faktycznie, nie byłam ekspertem, lecz Mannoche dokładał wszelkich starań, żebym posiadała niezbędną wiedzę. Nie odstępując mnie na krok, udzielał mi szeptem wskazówek, podrzucał informacje, podsuwał odpowiedzi. Opowiadał o ludziach, którzy rządzą miastem, są właścicielami przedsiębiorstw budowlanych, ustanawiają lokalne podatki, mówił, które osiedle mieszkaniowe przypuszczalnie zagłосуje na Willa. Karmił

mnie faktami, statystykami, dobrymi radami i uczył reguł tej dziwnej kampanii. **Ż a d n y c h u s t ę p s t w .**

- Zatem litość nie wchodzi w grę — zażartowałam.

Mocno spowaźniał.

- Nie. I nie daj się nikomu przekonać, że jest inaczej, Fanny.

Wtedy zwracał się już do mnie po imieniu, natomiast on sam był zawsze wyłącznie Mannochem. Mawiał, że imię nadane mu na chrzcie nie jest przeznaczone do użytku publicznego.

O ile coraz bardziej zdobywałam sobie Mannochego, to traciłam Willa - a raczej mojego prywatnego Willa. Publicznego Willa otaczali bliscy współpracownicy z podkładkami do pisania w rękę, potencjalni wyborcy, wyborcy, którzy go nie znosili. Podziwiano go i opluwano w równym stopniu. Ale jedno pozostawało niezmiennie - gdziekolwiek się pojawiał, był zauważany.

- Nie odzywaj się - rozkazała Pearl Veriker. - Nigdy. To nie twoja rola.

Tak więc w milczeniu wsiadałam do wyborczego autobusu „bojowego” i krążyłam po mieście, a w uszach dźwięczały mi instrukcje. Zajmując miejsca w najodleglejszych kątach podiów, brałam udział w spotkaniach, potem wychodziłam naprzód i stawałam (w milczeniu) obok Willa, przyjmując brawa. Stosownie ubrana uczestniczyłam w sesjach zdjęciowych z Willem pod rękę, a rezultaty były całkiem niezłe.

- Jakie to szczęście, że jesteś atrakcyjna — powiedziała Pearl.

- Twój mąż zastosował się do rozkazów.

Spojrzałam na nią, ona zaś poklepała mnie po ramieniu.

- Niewinny żarcik, Fanny.

Skoro Pearl dowcipkowała, mogłam jedynie przypuszczać, że nasze stosunki się poprawiały.

Całymi godzinami mozolnie wędrowałam od domu do domu i posłusznie pukałam do drzwi. Zazwyczaj otwierały kobiety, a wtedy zerkałam mimochodem do środka, gdzie kosze mokrej bielizny czekały na wywieszenie, dziecięce rowerki i wózki zagracały korytarze, a ze szkolnych toreb wysypywała się zawartość. Czasem po-

jawiali się mężczyźni. Jeśli moja osoba nie przypadła im do gustu, mówili o tym prosto z mostu, a kiedy rzucali pogrózki, Mannoche mnie odciągał.

Puchły mi stopy, ramiona bolały od ciężaru broszurek. Rzeczywiście, była to swojego rodzaju wojna, chociaż prowadzona na froncie domowym. Na naszych listach odhaczaliśmy bloki mieszkalne, w których korytarze cuchnęły moczem, a także ciche domy z firankami w oknach, położone przy schludnych, wysadzanych drzewami ulicach. Brnęliśmy żwirowymi podjazdami do przestronnych, doskonale utrzymanych willi, wzniesionych na przełomie stuleci przez potentatów przemysłowych. Ich mieszkańcy byli najgorsi, ponieważ wyrażali swoją wrogość w bardziej uprzejmej, a zarazem bezwzględnej formie.

- Nie wydaje mi się, żeby cała ta wasza zgraja zajmowała się czymkolwiek poza nakładaniem na nas podatków - oświadczyła pewna mocno umalowana i obwieszona biżuterią kobieta. - Nie rozumiem, co całymi dniami robicie. - Zrobiła ruch, jakby chciała zamknąć im drzwi przed nosem. - Ze niby kim jesteście?

Pewnego wieczoru Mannoche przyparł mnie do muru. Sprawiał wrażenie zmieszanego.

- Fanny, czy mogłabyś zachowywać swoje uwagi na temat komunikacji lokalnej dla siebie?

Zaskoczył mnie.

- To ja mam na ten temat jakieś zdanie?

- Najwidoczniej tak. Słyszano, jak rozmawiasz o tym podczas spotkania charytatywnego.

- Powiedziałam jedynie, że moim zdaniem powinno być więcej autobusów.

Mannoche wyglądał na zatroskanego.

- Otóż to. To woda na młyn lobby.

W przeddzień wyborów zaplanowaliśmy z Willem kameralną koloację we dwoje w miejscowej chińskiej restauracji. Ponieważ porwano go jednak na zwołaną w ostatniej chwili konferencję w głównej

siedzibie partii, zadowoliliśmy się połkniętymi w pośpiechu kanapkami, które skądś wyczarował Mannochie. Will ledwie tknął jedzenie, wypił za to dwa kieliszki ohydneho wina.

W drugim końcu sali telewizja podawała ostatnie prognozy i liczby. Rozluźniłam obolałe mięśnie ramion. Jeszcze tylko kilka godzin... Potem Will i ja będziemy mieć trochę prywatności i możliwość zajęcia się na nowo układaniem sobie wspólnego życia.

Podszedł Mannochie.

- Liczby wyglądają całkiem nieźle.

Panowie konferowali, a ja pałaszowałam kanapkę z kurczakiem. Słuchałam i nie słuchałam, w tej jednak chwili przemknęło mi przez myśl, że wychodząc za Willa, spuściłam swoją łódź na wody znacznie bardziej wzburzone, niż przypuszczałam. Wreszcie Mannochie odmaszerował, a Will chwycił mnie za rękę.

- Słyszałaś? Widzisz te liczby? Możemy wejść przy odrobinie szczęścia. - Boleśnie ścisnął mi palce. - Myślisz, że się uda?

Moje serce przepełniła nadzieja i miłość, czule trzymałam jego dłoń.

- Tak, myślę, że się uda.

O północy przybyliśmy do ratusza. Chwilę wcześniej wniesiono dwie ostatnie urny wyborcze i trwało końcowe podliczanie głosów. Dwóch członków komisji skrutacyjnej pochylało się nad ustawionymi na kozłach stołami, na palce wskazujące i kiuki włożyli gumowe ochraniacze. Sterty rosły, przesuwały się, niektóre przeliczano od nowa, zapisywano wyniki.

Will oraz inni kandydaci maszerowali tam i z powrotem między stołami, lecz trzymali się od siebie z daleka. Przewodniczący komisji wyborczej kręcił się na scenie przy mikrofonie.

Ktoś dotknął mojego ramienia, odwróciłam się.

- Cześć - powiedziała Meg. - Przepraszam, że nie zjawiłam się wcześniej. - Miała zaróżowione policzki i jasne spojrzenie, nienaganą sukienkę z czerwonego lnu i ładne pantofle. - Nie mogłam przegapić wielkiego dnia mojego małego braciszka.

O wpół do drugiej Pearl Veriker zagnała mnie do bocznej sali.

- Sytuacja wygląda dobrze - oznajmiła. - Niech ci się przyjrzę.

Spódnica odpowiedniej długości? Rajstopy? Makijaż?

- Gdzie obrączka? - Wbiła wzrok w moją pozbawioną biżuterii lewą dłoń.

Wyłowiłam obrączkę z kieszeni.

- Dostałam od niej wysypki. Jeszcze się nie przyzwyczaiałam.

- Noś ją, Fanny.

Wcisnęłam obrączkę na zaczerwieniony, obrzmiały palec, dzielnie znosząc swędzenie i pieczenie. Ku mojemu zdumieniu moja potrzeba buntu stała się nie mniej paląca. Wprawnie zaprzęgnięto mnie wjarzmo jak wołu i gdybym nie przewidziała tego wcześniej, teraz byłoby zdecydowanie za późno na jakikolwiek ruch.

Wzięłam się w garść i poszłam zamienić kilka słów z działaczami partii, których średni wiek znacznie przekraczał mój, choć znajdowały się wśród nich jedna czy dwie młodsze osoby.

- Czy to nie zabawne, że druga strona zawsze wydaje się dużo brzydsza niż nasza? - szepnął mi do ucha jakiś bystry młodzieniec.

Nalewałam właśnie sok pomarańczowy do plastikowych kubków, kiedy zdarzyło mi się podnieść wzrok i napotkać spojrzenie Willa. Wpatrywaliśmy się w siebie przez długą chwilę, jego usta drgnęły w bladym uśmiechu. Prosił mnie, żebym nie traciła wiary. Mój krótkotrwały i mało konkretny bunt zgasł.

O trzeciej nad ranem stałam u boku Willa na podium, gdy przewodniczący komisji wyborczej odczytywał głosy i ogłaszał Willa nowym posłem z okręgu wyborczego Stanwinton. Staliśmy tuż obok siebie, oboje beztroscy i niemal rozkojarzeni. Czułam zadowolenie i dumę - i rozsadzającą pierś radość. Wydawało się, że możemy zawojować świat.

Poniżej nieustraszona Pearl nagle usiadła i przycisnęła do ust chusteczkę. Mannoche bił brawo, a kilku działaczy partyjnych puściło się w taniec.

Will otoczył mnie ramieniem i pocałował, ja zaś obiecałam w milczeniu ofiarować mu wszystko, co mam, a nawet więcej. Przyrzekłam sobie starać się dla niego z całych sił.

- Will... - Meg przepchnęła się na podwyższenie tak szybko, że mignęła mi tylko jaskrawa plama jej czerwonej sukienki, i wzięła Willa pod ramię. - Mój drogi Will...

Fotografowie błyskali fleszami, ktoś wiwatował, Mannoche nie przestawał klaskać.

Tego samego dnia „Stanwinton Echo” zamieściło oficjalne zdjęcia. Miały tę ziarnistą, nieostrą jakość, jaką czasem miewają fotografie w lokalnej prasie, i trudno było rozpoznać niektóre z osób tłoczących się na podium. Uśmiechnięty Will stał wyprostowany. Wyglądał młodo, radośnie, obiecująco. Towarzyszyła mu szczupła jasnowłosa postać rozplývająca się w uśmiechu. To nie byłam ja. Obok Willa stała Meg.

Przystąpiłam do swojego pierwszego zadania w roli małżonki deputowanego, czyli do porządkowania malutkiego dwupokojowego mieszkania Willa w Londynie. Wiązało się to z wywalczeniem sobie dodatkowego skrawka przestrzeni w szafie, by móc powiesić własne ubrania, posegregowaniem papierów i pudeł oraz przemeblowaniem pokoju dziennego tak, żeby zmieściło się tam moje zabytkowe krzesło. Zacisnęłam zęby i rozejrzałam się za miejscem, w którym mogłabym ustawić swoje segregatory.

Pościeliłam łóżko, trąciłam stopą jeden z porzuconych butów Willa. Podniosłam go i od razu zmiękło mi serce. Ten but był częścią Willa, mężczyzny, którego kochałam. Wsunęłam dłoń do środka. Na wewnętrznej wkładce był odcisnięty osobisty ślad użytkownika. W moich butach było tak samo. Will miał drugi palec dłuższy od palucha. Potarłam wgłębienie w skórze. To była moja tajemnica, moja sekretna wiedza.

Zadzwonął telefon.

- Fanny Savage? Mówi Amy Greene. - Przeszła do wyjaśnień, że jej mąż jest szeregowym deputowanym, a ona organizuje w West-

ministerze spotkanie dla małżonek nowych członków parlamentu.

- My starszki lubimy opiekować się dziećmiakami.

Pomimo wielkiego ożywienia w jej głosie wyczuwało się skrywaną nutę przygnębienia. Spytałam uprzejmie, od jak dawna jej mąż zasiada w parlamencie.

- Jak o poseł pełną gębą, a nie nieszczęsny sukinsyn? Dwadzieścia pięć lat, trzy miesiące i dwa dni.

- Och...

Z jej ust dobył się kaszel nałogowego palacza.

- Nie zawadzi również wiedzieć, że w parlamencie nienawidzą kobiet. Wręcz n i e n a w i d z ą . Ostrzegam.

Will wygłosił swoją pierwszą mowę w październiku, kiedy parlament zebrał się ponownie po długich wakacjach. Wieczorem, w przeddzień pierwszego wystąpienia, spieraliśmy się, jaki powinien włożyć garnitur. Ja optowałam za szarym. On wolał granatowy. Czy miało to jakieś znaczenie? Najwyraźniej tak. Kolory (tak przynajmniej sugerowali partyjniacy) przekazywały subtelny komunikat. Uważałam, że to dość niezrozumiałe, zakładałam bowiem, że liczy się raczej przesłanie.

- Wiem, że to nonsens - zapewniał stanowczo Will - ale przynajmniej ten jeden raz powinienem postąpić zgodnie z radami doradców.

Pomasowałam mu ramiona, które przypominały w dotyku hartowaną stal.

- Hej, weź kilka głębokich wdechów. Rozluźnij mięśnie.

Nie przyznałam się, że moje własne nerwy podjęły w żołądku przyprawiający o mdłości taniec. Wszystko, czego ode mnie wymagano, to patrzeć, jak Will wstaje z miejsca i opowiada o społecznych korzyściach, jakie dają tańsze mieszkania, oraz wyrzucić dobre wrażenie na innych parlamentarzystach. Ale przecież właśnie to pierwsze wystąpienie miało mieć wpływ na przyszłość Willa - oraz moją.

- Nie mogę tego spaścić, Fanny - powiedział.

- Poświęć chwilkę na myśl o mnie i swojej siostrze - podsunęłam mu pomysł. - Z naszego miejsca na galerii dla publiczności mamy doskonały widok na wszystkie łysiny.

Wydał stłumione prychnięcie.

Wystąpienie Willa się udało.

Tak przynajmniej sądziłam, ponieważ kiedy wstał z miejsca, odchrząknął i zaczął przemawiać w sposób swobodny i płynny, moja uwaga pobłądziła w zupełnie inne sfery.

To wszystko nerwy, wiem, ale przyłapałam się nagle na rozmyślaniu o drzewach. O wysokich, takich jak jawor, którego grube, surowe konary główne podkreślały zimową nagość. Myślałam o topolach kołyszących się na letnim wietrze, o pierzastych akacjach i zdumiewających czerwieniach klonów. Lecz drzewem, które przemawiało do mnie szczególnie, był od zawsze cyprys, *Cupressus sempervirens*, ciemny wykrzyknik rozsiany licznie na płótnach włoskiego średnio-wiecza i renesansu. I bukszpan, który nie jest, ściśle rzecz biorąc, drzewem. Bukszpan sprowadzili do tego kraju prawdopodobnie Rzymianie; jego pędy i korzenie są tak ciężkie, że toną w wodzie.

Meg ściągnęła na siebie moje spojrzenie, a ja zaczerwieniłam się w poczuciu winy. Obiecałam chłonać każde słowo Willa, by złożyć potem użyteczny raport sytuacyjny.

„Mówiłeś zbyt szybko. Za mocno gestykulowałeś, twoje ręce rozpraszały słuchacza. Nie wpatruj się w czubki butów”. I tak dalej.

- Jakby był do tego stworzony - szepnęła Meg.

Meg błędnie uznała mój brak odpowiedzi za brak kontroli nad sobą. Ona oczywiście skupiała uwagę na Willu - prawdę mówiąc, podejrzewałam, że nie potrafi myśleć o niczym więcej. Jej raport sytuacyjny będzie nienaganny i ogromnie pomocny.

Położyła na moim ramieniu dłoń o przepięknie ukształtowanych paznokciach. Tamtego dnia pomalowała je na różowo, żeby pasowały do szminki.

- Musisz nabrać trochę luzu, Fanny - poradziła niskim, zatroskanym głosem. - Rozwiń w sobie zmysł humoru. Będzie ci łatwiej wszystko znosić.

Zacisnęłam zęby. Pominąwszy całkowicie obrazę mojego bynajmniej nie szwankującego poczucia humoru, czy uważała, że aż tak bardzo brakuje mi wymaganych kompetencji? Czy moja niewiedza i brak doświadczenia aż tak rzucały się w oczy?

- Będę miała to na względzie - wymamrotałam.

Meg brnęła dalej.

- Proszę, nie obrażaj się - powiedziała. - Jesteś bardzo miła, Fanny, ja staram się jedynie pospieszyć ci z pomocą. - Uśmiechnęła się wyrozumiale. - Siedzę w tym ciut dłużej od ciebie.

Przed Izbą Gmin na wychodzących polował fotograf z gazety o ogólnokrajowym zasięgu, który sprytnie skłonił Willa i mnie do pozowania. Pstryknął nam zdjęcie, jak stoimy jedno przy drugim w drzwiach.

„Najnowsza złota para parlamentu” - głosił napis w weekendowym wydaniu gazety. Aparat zarejestrował poważną minę Willa, ale i jego nieodparty urok. Ja wyglądałam mniej urokliwie, wywnioskowałam, rzuciwszy okiem na fotografię, miałam bowiem nieufny, niemal przestraszony wyraz twarzy.

W każdym razie Mannoche, który ułożył się do snu na sofie w naszym mieszkaniu, oświadczył, że jest zadowolony.

- Wyborcom się spodoba.

Will przyglądał się zdjęciu dłużej, niż nakazywała przyzwoitość (tak uważałam).

- Wypadłem lepiej od ciebie - skonstatował.

- Jestem tego samego zdania. - Usiłowałam skoncentrować się na smażeniu bekonu. Ale ujdzie.

- Oczywiście - potwierdził Mannoche.

Will nadal wałkował temat.

- Nie mogę sobie pozwolić na niekorzystne zdjęcia. Nigdy przenigdy. Przytaknij mi, Mannoche. Raz człowiek zaprezentuje się nie najlepiej, a potem musi zacierać to wrażenie przez długie lata.

Usiedliśmy na sofie i krześle w pokoju dziennym, jedliśmy bekon, jaja i tosty, popijaliśmy kawę i przeglądaliśmy poranną prasę. Will

i Mannoachie omawiali strategię oraz drobiazgowo debatowali nad wpisanymi w terminarz obowiązkowymi zajęciami.

Podniosłam wzrok znad gazety i dorzuciłam pewien fakt do toczącej się wokół terminów dyskusji:

- W grudniu będę w Australii.

Obydwaj odwrócili się w moją stronę jak jeden mąż. Will powiedział:

- Nic o tym nie wspominałaś, Fanny.

- Owszem, wspominałam. Zapomniałaś.

Mannoachie zgarnął rozsypane dookoła talerza okruszki na małą schludną kupkę.

- W okresie bożonarodzeniowym Stanwinton tętni życiem. To jeden z powodów do obywatelskiej dumy mieszkańców. Odbywa się szaleństwo zbiórek pieniędzy na cele charytatywne, które zawsze wspierają parlamentarzyści bieżącej kadencji. Organizowane są przyjęcia na rzecz miejscowych domów dziecka, domów spokojnej starości i niepełnosprawnych. Obecność jest naprawdę obowiązkowa. - Uśmiechnął się przepraszająco.

- Doskonale. Ty będziesz na miejscu - zwróciłam się do Willa, który manipulował przy tosterze, wydobywając drugą grzanekę, po czym posmarował ją masłem.

- Fanny... Nie wiem, jak to wyrazić, ale potrzebuję twojej obecności.

Prezentował się wyjątkowo pociągająco: lekko rozczochrany, chłopięcy, z błagalnym wyrazem twarzy. Zapragnęłam go bardzo mocno.

Pokręciłam głową.

- Tato i ja zaplanowaliśmy wiele biznesowych spotkań. Oczekują nas w Hunter Valley, mamy być gośćmi honorowymi na kolacji w Adelajdzie, a Bob i Ken przyjeżdżają nawet specjalnie dla nas z Yarra.

Te nazwy nic dla nich nie znaczyły. Stanowiły nieodłączną część terytorium mojego i ojca, z ludźmi z tamtych okolic prowadziliśmy interesy od lat.

- Chcesz, żebym uśmiechała się uroczo, cmokała w policzki, śpiewała kolędy i ścisnęła lepkie dłonie?

- Taka była umowa. - Will przeniósł spojrzenie z Mannochego na mnie.

Will i ja wielokrotnie omawialiśmy w teorii nasz podział zajęć, uznałam więc, że będę miała swobodę wyboru i sama zadecyduje, kiedy tkwić na posterunku - kiedy być wzorową żoną.

- To jest biznes, Will. Długofalowe zobowiązania.

Mannochie wziął swój poplamiony jajkiem talerz i skierował się ku drzwiom.

- Will, Fanny, zapewne chcielibyście przedyskutować pewne sprawy... Fanny, może nie od rzeczy byłoby przejrzeć kalendarz zajęć na rok z góry. W ten sposób uniknęlibyśmy w przyszłości tego rodzaju kolizji.

To był sygnał do rozpoczęcia naszej pierwszej kłótni... która przebiegała wedle schematu.

- Dlaczego nie powiedziałaś nic wcześniej?

Na co ja odparłam zgryźliwie:

- Nie słuchasz, co do ciebie mówię.

Potem Will zapytał, jak mogłam zrobić z niego durnia przed Mannochem.

- Bez najmniejszego wysiłku - wypaliłam błyskawicznie.

Na to Will się uśmiechnął. Napięcie opadło i podjęliśmy normalną rozmowę. Było jasne, że nie wytyczyliśmy wspólnie linii demarkacyjnej i że musimy tę kwestię uporządkować.

Will wcale nie żądał ode mnie zrezygnowania z pracy na rzecz jego kariery.

- Nie, skądże znowu - powiedział. Podrapał się długopisem w głowę. - Twoja praca jest ważna i musi znaleźć się dla niej miejsce w harmonogramie. Chciałbym po prostu, abyś towarzyszyła mi w tej przedsięwziętej gorączce. Tylko w tym roku.

Ta prośba nie pozwoliła mi zmrużyć oka niemal przez całą noc. Leżałam i analizowałam wszystkie za i przeciw stawianych nam wymagań.

Temat okazał się nagle tak nurtujący, że koniec końców o czwartej nad ranem wylądowałam w kuchni, parząc sobie herbatę. Kiedy w czajniku gotowała się woda, wodziłam palcami po szklanych słojach z czerwonymi zakrętkami, które kupiłam wkrótce po naszym ślubie.

Kuchnie powinny być obszerniejsze. Nie powinno się żałować na nie przestrzeni i skąpić miejsca na przechowywanie produktów.

Nie tak było w dużym domu w Fiertino, gdzie - jeśli dawać wiarę opowieściom mojego ojca - z głównej kuchni przechodziło się do spiżarni. Tam trzymano pasztety i suszone mięso, i konserwy. „Stały tam rzędy butelek w cudownych kolorach” - opowiadał. „Owoce w wekach, marynaty, orzechy włoskie... Jeśli można zawekować lato, to ono było zamknięte w tamtych butelkach i słojach. Moja matka codziennie sprawdzała zawartość spiżarni. Miała taki zwyczaj i zaniedbanie tej codziennej kontroli było dla niej nie do pomyślenia. Zawsze powtarzała, że to ważne dla rodziny. Że musi mieć pewność, że w domu nie zabraknie jedzenia, bo inaczej nie sypia po nocach”.

Tymczasem ja musiałam się zadowolić dwoma małymi półeczkami w kuchni i napełnić szklane słoje ryżem, orzechami, makaronem i soczewicą. Podręczniki winiarskie ustawiłam na wolnym skrawku blatu obok tosterka.

Zagotowała się woda w czajniku.

Za ścianą zaskrzypiała sprężyna w łóżku, stopy opadły na podłogę. W progu pojawił się Will.

- Fanny... pewnie tu zamarzasz. - Wcisnął się do kuchni i otoczył mnie w talii ramionami. - Owszem, zamarzasz. Pozwól, zrobię ci herbatę.

Zabraliśmy filiżanki do łóżka i tam piliśmy herbatę, aja oparłam zziębnięte stopy o nogi Willa, żeby je ogrzać.

- Moja wina - powiedział.

- Moja również.

Potem wyjął mi z rąk filiżankę i odstawił na nocny stolik. Pogładził moje włosy, a wtedy doznałam małego objawienia, dlaczego tak

potrzebne są sprzeczki"- ponieważ godzenie się potrafi być wyjątkowo cudowne.

- Damy sobie z Mannochem radę - oznajmił radośnie.

-Jesteś pewien?

- Prawie.

Tym mnie rozśmieszył. Wsunęłam dłoń pod jego podkoszulek i położyłam ją na ekscytującym nagim ciele.

W czasie, jaki pozostał nam do rana, poczęła się Chloe. Nie miałam jeszcze o tym pojęcia, gdy przy pierwszej okazji kupiłam duży, oprawiony w skórę pamiętnik z luźnymi kartkami i wręczyłam go Willowi.

- Wystarczy nam na długie lata - powiedziałam.

Jeśli cofnąć się w przeszłość, życie w jednym właściwie pokoju odznaczało się osobliwą intensywnością. Dotykaliśmy się nieustannie: gdy wchodziłam do kuchni, ocierałam się o Willa; gdy on siedał na łóżku i sznurował buty, musiałam się usunąć; gdy się mijaliśmy, spotykały się nasze ramiona.

Po przeprowadzce, kiedy zyskaliśmy więcej przestrzeni, było już inaczej. Ale do tego czasu zmieniło się nasze życie i absorbowały nas inne sprawy.

W absolutnie ostatniej chwili polecono Willowi dołączyć do ekipy udającej się do Europy na rekonesans w związku z projektem opodatkowania samochodów, co zniweczyło jego plany spędzenia kilku dni w domu z Chloe przed jej wyprawą w świat. Przekazał jej tę nowinę w niedzielę podczas lunchu.

- Przepraszam, kochanie. Mam nadzieję, że rozumiesz.

Chloe nie przerwała jedzenia.

- W porządku - rzuciła.

Nie mogłam znieść jej rozczarowanej miny.

- Will, nie mógłbyś wykroić choć jednego popołudnia?

- Nie ma sprawy. — Chloe z całych sił starała się nie dać nic po sobie poznać.

Will rzucił mi spojrzenie, a ja powiedziałam do niego bezgłośnie: „Jest jej przykro”.

- Chloe - odezwał się Will - ogromnie żałuję.

Wstała. W wyrazie jej twarzy ujrzałam dużo dojrzałą Chloe.

- Widać nie wystarczająco, tato - odparła. - Więc dajmy temu spokój, dobrze?

Wyszła z pokoju, znacząco trzaskając drzwiami.

Popatrzyłam na Willa.

- Planowała to od dawna...

Will wydawał się szczerze przygnębiony.

- Szkoda, że muszę jechać.

- No cóż... - Zaczęłam sprzątać talerze. - Klamka zapadła.

Skrzywił się i wbił wzrok w sznurowadła butów.

- Fanny - powiedział wreszcie, nie podnosząc oczu. - Chciałbym prosić cię o przysługę...

- Nie mów - przerwałam. - Niech zgadnę.

Dyżury poselskie odbywały się w jednym z mniejszych pomieszczeń ratusza. Okno było tam zaklinowane na amen w pacierzu, zatem w środku utrzymywał się zapach zbyt długo parzonej kawy i zatęchłego powietrza.

Tina, sekretarka okręgu wyborczego, wpadła z dwoma siatkami i rzuciła je na podłogę.

- Rozmrozą mi się te cholerne zakupy - rzekła - *korma* z kurczaka, groszek, ale skoro stary domaga się obiadu migiem, co mam zrobić...?

Tina była krępa kobietą w typie matki karmicielki, która miała w zwyczaju cmokać na znak protestu, gdy słuchała opowieści o najtrudniejszych przypadkach. Jej mąż był bez pracy, więc żeby związać koniec z końcem, dodatkowo trudniła się sprzedażą kosmetyków do makijażu, krążąc od domu do domu. Tego dnia miała na sobie turkusowe spodnie, a usta pociągnęła perłoworóżową szminką, która powinna była zostać spalona na stosie, nawet gdyby miała to być ostatnia szminka na całej kuli ziemskiej. Lecz ona używała jej na przekór wszystkiemu z miną mówiącą „nigdy się nie poddam”. Szurnęła *kormą* z kurczaka pod stół.

- Mój stary uważa, że powinniśmy mieć tu ochroniarza. Wszędzie pełno świrów.

- Mannochie nam wystarczy, prawda, Mannochie?

- Do grobowej deski - odparł swoim oschłym tonem.

Pierwsza weszła pani Scott. Była stałym bywalcem sobotnich dyżurów. Przez wiele lat Will borykał się z rozwiązaniem proble-

mu jej zawilgoconego mieszkania oraz mieszkającej po sąsiedzku rodziny, która ją zastraszała. Pani Scott była niepozorna, zdeformowana osteoporozą i straciła wszystkich członków rodziny już dawno temu.

- Och, to pani - rzekła. - Minister zajęty? Coś ważnego?

Pani Scott w rozbrajający sposób uznawała wysokie stanowisko Willa za jego zaletę osobistą. Wyjaśniłam, że nie przejęłam dyżurów, tylko zastępuję go chwilowo. Tym razem pani Scott przyszła z ręką na temblaku.

- Potknęłam się na schodach, jakżeby inaczej. W radzie powiedzieli, że przyjdą i zrobią porządek, więc chcę, żebyście w moim imieniu podali ich do sądu.

Roztrząsaliśmy, co możemy dla niej zrobić i jak zaradzić nieustannej, beznadziejnej walce z sąsiedzkim terrorem. Pani Scott miała usta ściągnięte z powodu bólu i stresu.

- Czy mamy sprowadzić lekarza, żeby panią przebałał? - spytałam.

Odżyły w niej resztki dawnej werwy.

- Noga lekarza nie powstała w moim domu od czasów, kiedy na tronie zasiadała królowa Wiktorja. - Sięgnęła do torebki. - Coś pani przyniosłam. Miałam zamiar wręczyć to ministrowi z prośbą, żeby przekazał to na pani ręce.

Podawała mi miękką siateczkę ozdobioną na brzegach paciorkami.

- To na dzbanek z mlekiem - wyjaśniła. - Sama zrobiłam.

Rozłożyłam szydełkową robótkę na biurku. Koralki były z lazurytu, niebieskie ze złotymi drobinkami, bardzo ładne. Ścisnęło mnie w gardle.

Patrzyła na mnie przenikliwym wzrokiem.

- Nie zmarnowałam czasu, co?

Absolutnie nie.

- To pewnie pani najlepsza siateczka, pani Scott.

- Chciałam podarować ją pani. Ja za długo już nie pożyję.

Z wysiłkiem podniosła się z miejsca i pokręciła głową, jak gdyby próbowała uwolnić przechowywane w pamięci informacje.

- Minęło jak z bicia strzelił - powiedziała. - Całe życie. I wcale bym się nie przejmowała, gdyby nie było takie dziadowskie.

Tina cmoknęła za swoim biurkiem i zaczęła pisać na maszynie, podczas gdy Mannoche patrolował wejście, żeby nie wpuścić żadnych szaleńców.

Po zakończeniu dyżuru oddzieliliśmy z Mannochem zadania pilne od mniej pilnych i przedyskutowaliśmy wszelkie problemy. Gdybym potrzebowała dowodu - a nie potrzebowałam - że polityka istnieje w jakimś tajemnym wymiarze, dyżury go dostarczały. W Westminsterze dużo było gadaniny i gestów, lecz trybiki obracały się tutaj, na ziemi.

Pojechałam do miasta na spotkanie z Chloe.

Mieliśmy z ojcem przyjaciół w Australii na terenach, gdzie uprawiało się winorośl, i każdy z nich przyjąłby moją córkę z otwartymi ramionami. Ale gdzież tam - Chloe była Zosią samosią. Jak dotąd, plan podróży po Australii obejmował tygodniowy pobyt w Adelajdzie oraz wyprawę do Hunter Valley. Tyle pozwoliła nam zorganizować.

Spotkałyśmy się w sklepie turystycznym. Ja ściszałam w rękę plik banknotów, ona zaś listę zakupów, którą obiecała przygotować. Po bliższym zbadaniu okazała się żałośnie krótka. Minikarabinki. Wygodne sandały. Buty turystyczne. Środek odstraszający owady. Kłódka do plecaka.

- N a p e w n o potrzebujesz czegoś więcej - powiedziałam. - Nie możesz wyruszyć na drugi koniec świata bez odpowiedniego wyposażenia. To niebezpieczne.

- Słowo daję, mam, powinnaś czasem siebie posłuchać. Nic mi się nie stanie.

Gorąco pragnęłam wejrzeć w głębię mojej córki i wyciągnąć z niej prawdziwe myśli. Rozproszyc wszystkie jej obawy. Okazać matczyną mądrość i spokój.

- Wolno mi chyba coś zasugerować? - spytałam defensywnie.

Chloe wzięła do ręki podróżny portfel, który przypinało się na pasku pod ramieniem.

- Myślisz, że powinnam to kupić?
- Tak - odparłam skwapliwie. - I kosmetyki przeciwsłoneczne.
Dużo, na czas upałów.

- Mamo. W Australii s p r z e d a j ą kremy przeciwsłoneczne.
Chloe nie odzywała się, kiedy płaciłam za zakupy. Potem oparła się w fotelu samochodu, ja zaś uznałam jej milczenie za wymowne. Oczywiście. .. Skubała swoje zmaltretowane skórki przy paznokciach.

- Podobno ciocia Meg mówiła Sacy, że myślisz o przeprowadzce do innego domu. Nie zrobiłabyś tego beze mnie, prawda? Póki nie wrócę?

- Meg powinna trzymać język za zębami.

- A jeśli to p r a w d a ?

- Tylko pomyśl. - Po przejechaniu małego odcinka drogi do dałam: - Nie miałabym nic przeciwko zmianie. Ty wyjedziesz z domu...

- N i e c i e r p i ę , kiedy dorośli wygadują takie rzeczy.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jej policzka.

- Gdzież się podziała ta dziewczynka, która nie mogła się doczekać, kiedy dorośnie? Która zawsze powtarzała: „Zabraniam ci traktować mnie jak dziecko”?

Chloe wydawała się zamyślona.

- Mamo... to było kiedyś. Nie rozumiesz? - Skuliła ramiona i partryła na przesuwający się za oknem krajobraz. - Czy między tobą i tatą dobrze się układa?

Pokonałam zakręt wyjątkowo ostrożnie.

- Dlaczego pytasz?

- Tak sobie.

- Dobrze.

- Wcale tak to nie wygląda, kiedy rozmawiasz z nim przez telefon. Zastanowiłam się nad odpowiedzią.

- Moje rozmowy telefoniczne powinny pozostać moją prywatną sprawą.

Chloe sprawiała wrażenie zarazem pełnej współczucia, jak i wyniosłej.

- Zejdź na ziemię, mamó, jesteśmy rodziną.

Roześmiałam się ze szczerym zadowoleniem.

- I bardzo dobrze.

W domu wyładowałyśmy pakunki i Chloe zniknęła na górce, by zadzwonić do swoich towarzyszek podróży. Z jej pokoju sączył się strumień ożywionej paplaniny.

Zeszłam na dół do kuchni. Tego dnia mój ojciec wybierał się do nas na kolację. Zdjęłam obrączkę i powiesiłam ją na haczyku na korkowej tablicy. Od czasu do czasu nadal puchł mi od niej palec

- może miało to jakiś związek z hormonami, nastrojem, porą roku
- przeszkadzała przy wykonywaniu prac domowych.

Brigitte wetknęła głowę przez drzwi.

- Wychodzę - rzuciła. - W porządku.

Było to stwierdzenie, na końcu brakowało pytajnika. Tyłne drzwi zatrzasnęły się ostentacyjnie.

- Nie wygląda na szczęśliwego króliczka - skomentowała Meg, która weszła właśnie do kuchni. - Bez przerwy wisi na telefonie. O tobie także wyraża się niezbyt pochlebnie.

Doskonale zdawałam sobie sprawę, że *au pairs* prowadzą biuro wymiany informacji o swoich pracodawcach. Nigdy do końca nie przyzwyczaiałam się do obecności prawie nieznanomych osób, które dokładnie orientowały się w stanie mojej bielizny - wcale nie dlatego, że ja nie posiadałam szczegółowej wiedzy na temat ich intymnej garderoby.

Zaczęłam siekać mięso na steki oraz cebulę, od której łązawiły mi oczy.

- Zrobiła się z ciebie dobra kucharka, Fanny - zauważyła Meg.

- Kto by pomyślał?

Cisza.

Przyglądała się, jak nakrywam do stołu, rozkładając sztucce i ustawiając kieliszki do wody.

- Przygotowałaś za dużo nakryć.

- Przychodzi tato.

Kiwnęła głową.

- To dobrze.

I znowu cisza.

- Zdaje się, że jesteś zła.

- Bo jestem.

Ustawiłam ostatni kieliszek.

- Nie można ci zaufać, Meg, bo powtarzasz rzeczy, które należy zachować dla siebie. Nie powinnaś była mówić Sachy, czyli automatycznie Chloe, o pomysłe zmiany domu.

Meg patrzyła wyzywająco.

- Czy ona nie ma prawa wiedzieć?

- Wytrąciłaś ją z równowagi.

- Fanny - zauważyła łagodnym tonem Chloe jest już dorosłą dziewczyną.

Fakt, że Meg miała rację, rozjuszył mnie jeszcze bardziej.

- Wolelibyśmy z Willem sami wybierać moment na omówienie z nią czegoś istotnego.

- Skoro tak...

Meg napełniła wodą dzbanek i umieściła go dokładnie pośrodku stołu, gdzie zasłaniał niewielki wazon różowych i białych róż, który postawiłam tam wcześniej.

W połowie posiłku spojrzałam znad talerza. Meg flirtowała z moim ojcem, co zawsze sprawiało mu przyjemność. „Meg to bystra kobieta” - skonstratował kiedyś. Sacha i Chloe byli zatopieni w rozmowie. Świece na stole rzucały łagodne światło na róże i dzbanek z wodą. Krzesło Willa było oczywiście puste i pomyślałam sobie, że mój mąż na pewno tego żałuje.

Chloe roześmiała się. W świede świec promieniała pięknem, które jest nam dane tylko wtedy, gdy mamy przed sobą najbardziej frapującą część życia. Ojciec odwrócił do mnie głowę i uniósł w moją stronę kieliszek. Miał taki zwyczaj. Mówił mi w ten sposób, że mnie kocha i że tak pozostanie na zawsze. W odpowiedzi również podniosłam kieliszek.

Najpierw zadzwoniłam z wiadomością do ojca.

- Będę miała dziecko.

- Ależ to cudownie, Francesco. Wspaniała nowina. Sprytna dziewczyna z ciebie. - Po chwili milczenia spytał: - Cieszysz się?

- Jestem trochę zaskoczona, tato. To raczej wpadka. Ale tak, oczywiście.

- Aha. - Kolejna pauza. - Francesco, musimy porozmawiać o wpływie, jaki będzie to miało na nasze interesy.

- Wiem. - Zagryzłam wargę. Nagle poczułam się tak, jakbym wsiadła na pokład niewłaściwego samolotu i wylądowała w niewłaściwym porcie lotniczym. - Przez kilka miesięcy po przyjeździe na świat dziecka będziemy musieli jakoś dawać sobie radę i łątać dziury, ale potem wszystko wróci do normy.

Dopiero wtedy zatelefonowałam do Willa, który wymknął się z debaty nad taryfami handlowymi i pognął do domu.

- Fantastycznie. Wspaniale. Zadzwonię do Meg, ty powiadam ojca.

- Tato już wie.

- Rozumiem - odparł i nabrał od razu rezerwy.

Powinłam była ugryźć się w język.

- No cóż, pokazano mi moje miejsce.

Kilka tygodni później wrócił do domu z trzema książkami na temat ciąży i porodu.

- Musimy robić wszystko, jak każą.

- Bądź tak miły i potraktuj mnie łagodnie.

Przemknęłam do kuchni, obrałam czosnek i wcisnęłam do masła, które rozsmarowałam na dwóch stekach.

- Fanny, może zainteresuje cię fakt, że nosisz w sobie ziarenko fasoli! - wykrzyknął Will.

Widok steków sprowokował mój żołądek do wykonania tańca plemiennego.

- Jak na ziarenko fasoli strasznie się szarogęsi.

Will stał w progu i wymachiwał książką.

- Poczekaj, aż urośnie do wielkości amonitu.
- Z niecierpliwości już odliczam dni.
- Ja też.

Will cisnął na bok podręcznik, wyłączył opiekacz i zaciągnął mnie do łóżka. Tam za sprawą spotęgowanej zmysłowej przyjemności, jakiej dostarczało zmieniające się ciało, miałam wrażenie, jakby liczba moich zakończeń nerwowych podwajała się, potrajała.

Później leżeliśmy obok siebie i leniwie snuliśmy plany na przyszłość w rozkosznych szczegółach. Będziemy musieli szybko znaleźć dom, poród odbędzie się w Londynie - a może powinnam urodzić dziecko w naszym okręgu wyborczym? Ajakie wybierzemy imię?

Zjedną informacją wstrzymywałam się aż do tej pory.

- Will, jednak nie pojedę do Australii. Lekarz mówi, że jeśli złapię w samolocie jakiegoś wirusa albo inne paskudztwo, nie będę mogła brać żadnych lekarstw. Lepiej nie ryzykować. Tato twierdzi, że da sobie radę sam.

Leżałam wsparta na jego ramieniu. Powolijego dłoń przesunęła się kolistym ruchem na mój bark i tam spoczęła.

- To dobrze. - Jego ton był wolny od wszelkiego triumfu. - Dobrze.

Przyjęcie bożonarodzeniowe w Izbie Gmin odbywało się w sali z tarasem i widokiem na rzekę. Było tłoczno, hałaśliwie, gorąco. Przeciskaliśmy się przez tłum i choć w swoim świecie czułam się zupełnie swobodnie, tutaj było inaczej. Mój brzuch napinał się z powodu ciąży, zdenerwowania i... nieśmiałości.

Amy Greene pospieszyła mi na ratunek.

- Tutaj jesteś. Chodź. - Objęła mnie w pasie i pchnęła w kierunku ogromnego okna, z którego roztaczał się widok na rzekę. - To jest Elaine Miller. Jej mąż należy do Tej Drugiej Partii, ale ją lubimy.

Wysoka, szczupła, rudowłosa kobieta wyciągnęła rękę.

- A to Betsey Thwaite - przedstawiła Amy. - Jej mąż jest Jednym z Nas i szybko awansuje. Podobnie jak twój.

Betsey Thwaite była drobną blondynką, której uśmiech obejmował tylko usta, nie sięgając oczu.

- David został właśnie deputowanym odpowiedzialnym za dyscyplinę w partii.

- Czyli - skomentowała Elaine - wścibstwo i tyranizowanie otoczenia to prosta droga do zostania podsekretarzem stanu.

Betsey miała jadowity wyraz twarzy.

- J a k a śliczna bluzka - ciągnęła Elaine. - Gdzie ją kupiłaś?

Ku mojemu zdziwieniu wiedziały, że jestem w ciąży.

- Nie przejmuj się - powiedziała Elaine. - W tym świecie tam-tamy biją dzień i noc. Rozgłaszają nawet, jaki która żona nosi rozmiar stanika. Gdzie masz zamiar urodzić?

Wyrwałam kelnerowi szklanekę soku pomarańczowego.

- W miejscowym szpitalu.

Elaine się zamyśliła.

- Byle nie w trakcie głosowania.

- E l a i n e . . . - wmieszała się Betsey Thwaite. - Nie rozczarowuj Fanny tak szybko.

Amy gorzko się zaśmiała.

- Betsey to stara wyjadaczka - zwróciła się do mnie Elaine. - Ale nie wolno ci, Fanny, dać się zastraszyć, jak uczyniło wiele z nas.

- Daj spokój, Elaine - rzekła Betsey. - Sama jesteś starą rutyniarą. Nie zaprzeczaj.

Elaine złagodniała.

- Kiedy poślubiłam Neila, nie zgadzałam się ze wszystkim, w co wierzył. Ale cóż było robić. Kochałam go, więc musiałam się dostosować. Betsey ma pewnie rację. Jestem starą rutyniarą.

Elaine miała troje dzieci („gdybym była samotną matką, wyszłoby na to samo” - wyznała) i planowała rozkręcić firmę dziewiarską.

- Ale reguły gry się zmieniają. Przy odrobinie szczęścia partia Neila zostanie odsunięta od władzy na długie lata. — Obdarzyła mnie szczerym uśmiechem. - Witaj w klubie, Fanny.

Kiedy nadszedł czas powrotu do domu, posłałam rozejrzeć się za Willem. Po długich poszukiwaniach odnalazłam go wreszcie pogrą-

żonego w rozmowie z grupką mężczyzn mniej więcej w jego wieku, otoczoną większym wianuszkim przyglądających się z zachwytem kobiet. Dotknęłam jego ramienia. Przez krótką chwilę wyraźnie nie orientował się, czyj to dotyk. Wreszcie zaskoczył.

- Kochanie. - Był w euforii, skrzyły mu się oczy. - Na pewno już ledwo żyjesz. Posłuchaj, może zamówię ci taksówkę? Muszę ustalić kilka rzeczy z Neilem przy małej kolacyjce.

Było wiele takich wieczorów.

Kiedy Will wracał późno, zakradał się do łóżka obok mnie. Proponował, że będzie spać na kanapie, ale nie chciałam się na to godzić.

- Twoje miejsce jest przy mnie - oznajmiłam i nie miałam mu za złe, jeśli zbudził mnie, błędząc po omacku.

Rozeszła się pogłoska, że spośród nowo wybranych posłów właśnie Willa warto obserwować. „Szanowny poseł z okręgu Stanwinton - napisał jeden z komentatorów politycznych - ma w sobie siłę przebiccia”.

Elaine zadzwoniła do mnie po przeczytaniu komentarza:

- Ju ż słyszę, jak ostrzą noże. Miej się na baczności. Zahartuj się.

Wycięłam artykuł z gazety i zatknęłam za lustro przy drzwiach wejściowych. Kiedy Will wszedł do domu, walczyłam w kuchni z falą nudności. R a z . D w a . Pochyliłam się nad szafką kuchenną. W d e c h . W y d e c h .

Panowała cisza. Żadnego: „Cześć, kochanie”. Zaintrygowana wystawiłam głowę przez drzwi kuchenne i przyłapałam Willa na gapieniu się w lustro. Nieświadomy mojej obecności gładził brodę i poprawiał włosy. Wsadził ręce do kieszeni, wyprostował ramiona, po czym zrobił krok w tył.

- Co ty, u licha...? - spytałam.

Odwrócił się gwałtownie.

- Nic, patrzę sobie - przyznał zmieszany, a mimo to tonem lekko zadziornym.

- Trenujesz - skwitowałam.

Poczerwieniał jak burak.

- Nadrabiam zaniedbania.

Objęłam go w pasie ramieniem.

- Przyznaj się. Ćwiczyłeś wystąpienie na mównicy w Izbie Gmin.

Pearl Veriker przesłała szczegółowe informacje na temat domu położonego kilka mil za miastem. „Ten byłby odpowiedni” - napisała swoją stanowczą ręką, mocno podkreślając słowo „odpowiedni”. W najbliższy weekend, kiedy Will pełnił dyżur, wybraliśmy się z ojcem obejrzeć dom. Jechaliśmy wąską drogą otoczoną z dwóch stron rozległymi zaoranymi polami i skręciliśmy na podjazd surowego budynku z czerwonej cegły, wzniesionego w stylu późnowiktoriańskiego gotyku, z kilkoma przybudówkami od strony kuchni.

Dom stał pusty. Zaraz po przestąpieniu progu wyczułam, że wkraczam w miejsce, któremu od dawna odmawiano świeżego powietrza.

- Popatrz na to w ten sposób - rzekł ojciec. - To tylko dach nad głową.

Pokoje na piętrze miały lepsze proporcje, a zimowe słońce odbijało się w dużych oknach. Z głównej sypialni roztaczał się widok na zaorane pola od frontu. Nie widziałam nic prócz burości i szarych barw ziemi. Na obrzeżach pola rozstawiono tabliczki „Nie przechodzić”, a na jego północnym krańcu kolonia gawronów gęsto obsiadła gałęzie buków.

Ojciec szarpnął okno i wsparł się o parapet. Strumień ostrego, niosącego zapach zimy powietrza wdarł się w zatęchły chłód.

- Francesca... - powiedział ojciec.

Wyczułam, co się święci. Skontrolowałam ręce. Lekko nabrzmiały. Podobnie jak moja talia. Spodnie ciasno opinały uda. Nawet ramiona wydawały się szersze. Cięża mi nie służyła — ciało odmówiło posłuszeństwa zmieniającemu się porządkowi rzeczy, co było zarówno niezrozumiałe, jak i mocno irytujące. Zasiedlając moje łono, ziarenko fasoli przekształcające się w amonit nie wykazywało się ani taktem, ani grzecznością.

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Potrzebujesz kogoś, kto będzie poświęcał więcej czasu interesom. Ostatnio sprawuję się nie najlepiej.

- Możesz wrócić - odparł pośpiesznie - po urodzeniu dziecka
Utkwiłam wzrok w posępnych polach.

- Dziwne, jak wszystko się zmienia, tato.

Z powodu ziarenka fasoli, które przeobraża się w amonit.

Ojciec przypatrywał mi się uważnie.

- To zrozumiałe. Urodzenie dziecka to nie wizyta u dentysty
- pół godziny nieprzyjemności i po sprawie.

- Wróć - rzekłam. - Obiecuję. Będzie dobrze. Dam sobie radę.

Ojciec miał sceptyczny wyraz twarzy.

- Tato, nie ma mowy, żebym zrezygnowała z pracy na stałe. Will również by tego nie chciał.

- Tak - powiedział, a ja wyczytałam w tonie jego głosu nie znaną mi dotąd niepewność, wręcz sceptycyzm wobec mojego miejsca w firmie.

Późnym popołudniem zabrałam Willa na oględziny domu. Zmierzch był dla niego łaskawy, tonował jaskrawy kolor murów, a pokoje na dole wydawały się nie tak ponure w elektrycznym świetle.

Will był zachwycony. Zwrócił uwagę na rozmiary sypialni i widok na pola. Parter wymagał sporo pracy, jednak Willa ekscytowało to wyzwanie.

- Mogę zamontować półki - deklarował. - I położyć podłogi. Lubię majsterkować.

Jego energia i zapał były zaraźliwe, natomiast świadomość, że możemy sobie pozwolić na kupno tego domu i snuć plany, dawała poczucie ulgi. Stałam w miejscu, które Will uznał za doskonale nadające się na kuchnię, i spoglądałam na kolonię gawronów, która przycupnęła na kępie buków widocznej za dość absurdalnym pseudogotyckim oknem. Czarne kształty krążyły tam i z powrotem, to zrywając się, to znów siadając na gałęziach. Powiedziałam sobie, że

wieś jest dużo korzystniejszym miejscem na wychowywanie dziecka, i niespodziewanie poczułam zadowolenie.

Wcześniej skończyliśmy kolację. Nakazano mi siedzieć bezczynnie, podczas gdy Meg, Chloe i mój ojciec zmywali naczynia.

Zadzwonił telefon. To był Raoul.

- Fanny, dawno nie miałem od ciebie żadnych wieści - powiedział.

- J a mogłabym powiedzieć dokładnie to samo. J a k idą interesy? J a k się miewają Therese i dzieci?

- W interesach zawsze mogłoby być lepiej. Rynek francuski nie przeżywa bynajmniej rozkwitu.

Z rejestrów handlowych ojca wynikało jasno, że francuscy dostawcy mają się lepiej niż dobrze.

- Jakże to możliwe? - przekomarzałam się.

- Ludzie piją coraz więcej win z Nowego Świata... Będę musiał rozejrzeć się za inną robotą.

Z którejkolwiek strony by spojrzeć, rodzina Villeneuve była dobrze zabezpieczona i Raoul nigdy nie porzuciłby swojego zajęcia. Gdyby skaleczyć Raoula, z rany popłynąłby mu Petrus albo Chateau Longueville.

Gawędziliśmy przez mniej więcej pół godziny - była to radosna, chaotyczna rozmowa, która toczyła się gładko, nie ocierając się o widmo niezamkniętej przeszłości. Wreszcie Raoul rzekł:

- Alfredo zdradził, że kiedy Chloe wyjedzie z domu, rozważasz powrót do interesów na dobre. Doprawdy, Fanny, to wyjątkowo miła wiadomość.

- Myślę o tym. Wszystko zależy raczej od zamiarów Willa. A on... yyy... ma wielkie nadzieje.

- Dałoby ci to wiele radości - odparł w prostych słowach. - Jestem przekonany.

Pozwoliłam sobie na przelotne wspomnienie tego, co niegdyś miało szansę się ziścić.

- Tato mówi, że Chateau d'Yseult zostało kupione przez Amerykanów. Czy wywołało to poruszenie?

- My, Francuzi, jakoś się przyzwyczaimy - odrzekł Raoul. - A raczej będziemy do tego zmuszeni.

Chloe miała wylot zaplanowany na trzynastego lipca, aja prowadziłam wewnętrzną walkę z przesądami.

Dzień wcześniej pojechaliśmy do Ember House pożegnać się z moim ojcem. Przed lunchem przechadzaliśmy się po ogrodzie i zatrzymaliśmy się pod bukiem, na którym przed wieloma laty ojciec zbudował dla mnie domek.

- Nie patrz w dół - zawołałam do Chloe, która postanowiła wspiać się na górę.

„Nie patrz w dół”. Tak uczył mnie ojciec - taka rada wydawała się absolutnie oczywista dopiero, kiedy została już udzielona, nigdy wcześniej.

- Nie martw się - powiedział ojciec. - Daj jej spokój.

- Nie panikuj, mamó.

Chloe podciągnęła się do pierwszego rozwidlenia i usiadła okrzemkiem na gałęzi.

- Patrzcie na mnie.

- Wykapana mama - zauważył czule ojciec.

- Byłam uparta jak osioł?

- Pewnie tak, nie pamiętam.

Schyliłam się, żeby wytrząsnąć kamień z buta. Do korzeni drzewa tulił się bujny, zielony mech i resztki miniaturowych cyklamenów, które sadziłam tu przed laty. Cyklameny nigdy nie powinny rosnać w doniczkach, ich miejsce jest na dworze, pośród chłodu i rześkiej wilgoci angielskiej wiosny.

- Wolałabym, żeby nie jechała, tato, ale wiem, że musi. Mam wrażenie, że coś się... kończy.

- Nic się nie kończy, uwierz mi - zapewnił ojciec i wsunął sobie moją dłoń pod ramię. - Pielęgnuj tę myśl.

Chloe wdrapała się na wysokość drugiego rozgałęzienia, gdzie, jak doskonale pamiętałam, kora była gładka i upstrzona porostami, a gałęzie bujne i szerokie. Idealne miejsce dla samotnej, wiecznie

umorusanej dziewczyny, która urządziła tam sobie kryjówkę wiele, wiele lat temu. Chloe przełożyła nogę przez gałąź i usadowiła się wygodnie.

- Pewnie widzę to samo, na co kiedyś ty patrzyłaś.
- Bardzo możliwe.

Przymrużywszy oczy, zlustrowała pozostałości podestu.

- Wszystkie deski wyglądają na zbutwiałe.
- Uważaj.

Słaby podmuch wiatru zaszeleścił liśćmi. Jakże ten dźwięk był mi znajomy. Koniec końców, lepiej znałam ścieżkę wiodącą do drzewa niż schody w domu.

- Wypiłam tam pierwszą w życiu butelkę cydru i wprawiałam się w przeklinaniu - zwierzyłam się ojcu.

- Wiem - odparł. Zakradałem się pod drzewo, żeby sprawdzić, czy nic ci nie jest.

- Naprawdę, tato? Nigdy cię nie zauważyłam. Zawsze myślałam, że jestem strasznie sprytna.

- Bo byłaś, Francesco - rzekł z zadowoloną miną. - Ale i mnie nie brakowało oleju w głowie.

Spojrzałam na niego. Choćbym nie wiem jak starała się to bagatelizować, ojciec się starzał. Przeszył mnie strach.

- Może zabiorę część pracy do domu? Skoro mam wrócić do interesów na poważnie, może dasz mi dzisiaj coś do zrobienia?

Zawahał się, po czym położył mi dłoń na ramieniu. Jego dotyk przypominał kruchy liść.

- Czemu nie?
- Ludzie, schodzę.

Chwilę później wylądowała obok nas Chloe.

- Mamo, całe dzinsy mam utyłane mchem. A to moje spodnie na wyjazd.

Otrzeptywanie Chloe z brudu nie było tak naprawdę konieczne, ponieważ jednak zamierzała opuścić mnie na tak długo, pozwoliłam sobie trochę się z nią pocackać. Miałam pretekst, żeby przygłodzić jej włosy, przesunąć dłońmi po jej ramionach i sprawdzić, czy nie

są przypadkiem zbyt szczupłe. „Zamknij oczy” - powiedziałam do siebie w duchu. „Delektuj się i zapamiętaj: wryj sobie w pamięć ten dotyk”.

Naturalnie Will nie mógł odprowadzić Chloe.

- Uściskaj ją najserdeczniej... I, Fanny, daj jej trochę więcej pie-
niędzy. Ode mnie. Potem ci oddam.

Ani Sacha.

- Gramy koncert.

Zatem sama odwozłam ją i jej plecak na lotnisko, gdzie spotkały-
śmy się z Jenny i Fabią, jej towarzyszkami podróży.

Trzy dziewczyny słuchały w milczeniu swoich matek udzielają-
cych ostatnich ostrzeżeń - „trzymajcie się razem, unikajcie napojów
wysokowych, narkotyków, sprośnych mężczyzn” - w coraz to no-
wych wybuchach niepokoju.

Odciągnęłam Chloe na bok.

- Przykro mi, że nie ma tu Sachy.

Chloe odwróciła oczy ocienione niesłychanie długimi rzęsami,
zdążyło jednak mignąć w nich rozżalenie i strach.

- Sacha uważa, że pożegnania są nieistotne. Ale ja myślę prze-
ciwnie. A ty, mammo?

- Ja też.

Miętosła niespokojnie w palcach sakiewkę z pieniędzmi, biletem
i paszportem.

- Nie mógł przyjść, prawda?

- Na pewno spakowałaś wszystkie lekarstwa? - spytałam błagal-
nym tonem.

- Tak, mammo.

- Włożyłaś pas na pieniądze?

- Mammo, pytałaś mnie o to już dwa razy.

Ona musiała odgrywać rolę osoby opanowanej i stanowczej.
Mnie przypadło w udziale robienie zamieszania, wyrażanie obaw,
a wreszcie uniesienie ręki w geście pożegnania i delikatne pchnięcie
córki ku przysłości.

W nadziei ujrzenia Chloe jeszcze w przelocie - choćby mignięcia jej głowy, zarysu ramienia - kręciłam się przed halą odlotów i patrzyłam niewidzącym wzrokiem na przesuwany się rząd pasażerów. Były wśród nich dziewczyny takie jak Chloe, Jenny i Fabia, młode, pełne nadziei, niecierpliwie oczekujące, aż świat wraz ze wszystkim, co ma do zaoferowania, poddaje próbie i zahartuje.

Minęło pięć minut, potem dziesięć. Przewiesiłam torbę z jednego ramienia na drugie. Wcisnęłam rękę do kieszeni żakietu i poczułam pod paznokciem bilet parkingowy. Gromadziłam siły. Po nowokainie ząb nie dokucza, ale ból nie znika na zawsze.

Urzędnik przy bramce posłał mi spojrzenie, w którym podejrzliwość mieszała się ze znudzeniem. Widział to wszystko nie raz. Z mojego telefonu komórkowego nie można było prowadzić rozmów międzynarodowych, dałam więc nura do budki telefonicznej, wybrałam numer Willa, wrzuciłam do aparatu kolejne monety i czekałam.

- Co się dzieje? - spytał.

- Zapomniałam sprawdzić, czy Chloe wzięła polar. W Australii jest teraz zima, zmarznie.

- I z tego powodu wyrwałeś mnie ze spotkania?

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że już odleciała.

W jego głosie pobrzmiwała czułość - lecz również lekkie rozdrażnienie.

- Miło, że dałeś mi znać. Posłuchaj, głuptasie, Chloe kupi sobie coś na miejscu. Mają tam sklepy.

- Wiem - odparłam zbolalym tonem. - Wiem, nie powinnam do ciebie dzwonić. Zachowuję się idiotycznie i tyle.

- W każdym razie dobrze, że zadzwoniłaś — powtórzył i nie uciał rozmowy zwyczajowym „muszę lecieć”, póki nie omówił ze mną

kwestii ewentualnej gęszej skórki Chloe oraz nie upewnił się, czy wystarczy mi pieniędzy na zapłacenie za parking.

Pląkałam całą drogę do Elaine. Łzy kapały mi z brody na tapicerkę samochodowego fotela.

Kiedy weszłam do kuchni, Elaine piekła ciasteczka na kiermasz dobroczynny Czerwonego Krzyża. Z góry dobiegał ogłuszający hałas.

- To Jake - wyjaśniła, całując mnie na powitanie. - Ćwicz na perkusji.

- Z deszczu pod rynnę - powiedziałam.

Chwyliła mnie za ramiona i przyjrzała się badawczo mojej twarzy.

- Jesteś w totalnym dołku?

- Tak jakby. - Przygryzłam wargę. - Właściwie tak, w totalnym. Nie wiem, co pocznę bez Chloe.

- Dobra. Coś wykombinujemy - rzekła energicznie. - Najpierw pomożesz mi upiec te przekłete ciastka, potem zadzwonisz do domu i oznajmisz, że nie wracasz na noc. I niech wszystkich diabli biorą.

Wetknęła mi do ręki drewnianą łyżkę.

- Do roboty. Zarób na swoje utrzymanie.

Na górze łomotała i dudniła perkusja. Elaine westchnęła i odgarnęła włosy drżącą dłonią. Zapytałam z lekkim niepokojem:

- Dobrze się czujesz?

- Jasne.

Ale przy kolacji złożonej ze spaghetti Bolognese i butelki wina Elaine wyznała:

- Mam dość takiego życia.

To było do niej niepodobne.

Co się stało?

Po długiej chwili milczenia ukryła głowę w dłoniach.

- Myślę, że tym razem Neil wdał się w poważny romans - rzekła stłumionym głosem. Wszystkie znaki na to wskazują. Jedna z sekretarek w Izbie. Staralam się nie dopuszczać do siebie tej myśli, ale nie ma rady.

- Och, Elaine.

Elaine podniosła głowę.

- Nie chciałam o tym mówić, Fanny. Nie teraz, kiedy czujesz się taka osamotniona.

Bardzo w stylu Elaine. Gorączkowo poszukiwałam sposobu, w jaki mogłabym jej pomóc i ją pocieszyć.

- Opowiadaj - rzekłam - a potem wymyślimy, co w tej sytuacji będzie najlepsze.

Spędziłyśmy pół nocy na rozmowie i położyłyśmy się spać niewiele mądrzejsze, w dodatku nie powziawszy żadnych postanowień. Rozważałyśmy mnóstwo praktycznych rozwiązań łącznie ze spakowaniem przez Elaine manatków - jednak żadne z nich nie było panaceum na wewnętrzne katusze. Półprzytomna ze zmęczenia przyjechałam do domu w samym środku poranka i zastałam dom pogrążony w chaosie. W nocy Brigitte dała dyla. Poprzedniego wieczoru spakowała walizki, podrzuciła klucze na stół kuchenny i związała z okrętu.

- Bez słowa — powiedziała Meg, unikając mojego wzroku. — Nie słyszałam taksówki ani nic.

- To jest okropna kobita - orzekła Maleeka.

Brigitte nie wydawała mi się „okropną kobitą”. Może irytująca, ale nie okropna. Kiedy jednak odkryłam, że na odchodnym skorzystała z naszej łazienki i podkraďła mój szampon oraz olejek do kąpieli, ta podłóść zabolęła mnie tak, jakby ktoś przetarł papierem ściernym spalonę słońcem skórę.

W piątek wieczorem Will wrócił do domu nieoczekiwanie wcześniej niż zwykle.

Siedziałam przy kuchennym stole. Przebrnąwszy przez stos faktur i dokumentów spedycyjnych ojca, przeględałam kilka segregatorów, które zgarnęłam z Ember House. „Ambitni - zanotował przy jednej z winnic - ale zbyt niecierpliwi”. O innej napisał: „Gleba raczej bez szans na dobry zbiór”. O kolejnej: „Teren ograniczony i mało specyficzny”. Te precyzyjne, ostrożne oceny tak bardzo odpowiadały charakterowi ojca.

„Gdzie ja jestem?” - płakała Elaine. „K i m jestem? Go mam robić?”

Jej rozpacz poruszyła mnie głęboko - z wielu różnych powodów, które nie wynikały wyłącznie z mojej sympatii dla niej.

Posortowałam dokumenty na dwie kupki: „Załatwione” i „Do załatwienia”, po czym obrzuciłam je baczny wzrokiem. A skoro jesteśmy już przy tym temacie, to kim ja jestem? Z całą pewnością nie tą Fanny Savage, żoną, matką, znawczynią wina i kobietą interesu, którą miałam niegdyś ambicję zostać.

Ale był to mój własny wybór.

- Cześć, kochanie - rzucił Will.

Zaskoczona oderwałam wzrok od papierów i przez ułamek chwili nie kojarzyłam, kto przyszedł. Miał na sobie swój najlepszy szary garnitur i był delikatnie opalony.

- Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie.

- Udało mi się złapać wcześniejszy samolot. Pomyślałem, że postaram się wrócić wcześniej i zobaczyć, jak się miewasz. - Uśmiechnął się smutno. - Wiedziałem, że będziesz tęsknić za Chloe.

Wyciągnęłam do niego dłoń, którą uściśnęła.

- Miło z twojej strony. Dobrze wyglądasz. Znalazłeś chwilę na odpoczynek przy basenie.

- Tak.

Złożył pocałunek na mojej głowie.

- Co porabiasz?

- To, co zwykle: przeglądam papiery Battistów. Rozmawiałam z tatą o przejęciu większej części obowiązków. Naprawdę uważam, że potrzebna mu pomoc. Jak sądzisz?

Lekko zmarszczył czoło i zwałił się na krzesło.

- Są jakieś widoki na kolację? Gdzie reszta towarzystwa?

- Sprawdzę, co można szybko upichcić. Meg postanowiła pójść na spotkanie AA, a Sacha jest w Londynie. - Coś w jego pozie obudziło moją czujność. - Czy coś się stało?

- Problemy... jak zwykle - westchnął. - Lobby motoryzacyjne zaczyna dość bezwzględnie oprotestowywać projekt opodatkowania dru-

giego auta. Mają do dyspozycji mnóstwo pieniędzy i kilka brukowców już opowiedziało się po ich stronie, trąbiąc o wolności osobistej.

Mówił z rzadko u niego spotykanym zniechęceniem i ogromnym znużeniem.

Wstałam i położyłam mu dłoń na ramieniu. Tkanina marynarki była gładka w dotyku, kosztowna, wytworna.

- To nie koniec świata. Poza tym w którymś momencie zawsze pojawiają się kłopoty.

- Jest naprawdę kiepsko - odparł. - Jeśli sprawy pójdą nie po mojej myśli, wyjdę na durnia, a wtedy przypną mi łątkę człowieka przegranego.

Obrócił się ku mnie, a ja zrozumiałam, że nadal marzy o urzędzie ministra skarbu. Otworzyłam lodówkę i dokonałam przeglądu jej zawartości.

- Co powiesz na kotlecik rybny i sałatkę z pomidorów?

- Świetnie.

- A przy okazji, Brigitte spakowała walizki i dała nogę. Wczoraj wieczorem, bez ostrzeżenia.

Will nie słuchał.

- Fanny, czy ciebie w ogóle obchodzi opodatkowanie drugiego auta w rodzinie? Jeśli nie, wołałbym dowiedzieć się o tym od razu.

Wzięłam głęboki oddech.

- Nie w takim stopniu, w jakim powinno mnie obchodzić. - Wyłożyłam kotleciki rybne na patelnię i posiekałam pomidory. Były drobne, zimne i twarde, dla ożywienia smaku oprószyłam je szczypiorkiem. Czy mówienie nieprawdy miało jakiś sens? - Przecież wiesz, że ten projekt budził moje wątpliwości.

Will był ewidentnie urażony i lekko zdumiony. Mocno to mną wstrząsnęło. Głęboko zakorzenione odruchy miłości i lojalności jak zwykle wzięły nade mną górę i otoczyłam go ramionami.

- Przepraszam. Ale akurat dla tego pomysłu nie potrafię wykrzesać z siebie entuzjazmu.

Oparł się o mnie, a ja pogładziłam go po włosach, rozkoszując się ich gęstością.

- Męczy mnie również - ciągnęłam - to nieustanne czekanie, organizowanie, znajdowanie się bez przerwy na widoku.

- Kiepski układ, co? — przyznał. - To znaczy dla ciebie. Ale do-
prawdy nie wiem, jak mógłbym temu zaradzić.

Cichy trzeźwy głos w mojej głowie podpowiadał, że Will ma rację i kontynuowanie tej dyskusji nie ma sensu. Nic nie można wskórać - tylko próbować z tym żyć. Czy aby na pewno sytuacja jest bez wyjścia? Cichy trzeźwy głos wywołał we mnie jeszcze większy niepokój, kiedy dodał współczująco i wręcz kusząco: „Fanny, przydałyby ci się wakacje od odgrywania roli żony”.

Na tę myśl zadrżały mi kolana. „Tylko wakacje?”

Will wpatrywał się w moją twarz, usiłując odgadnąć, co kłębi się w mojej głowie, ja zaś - wytracona z równowagi tą wewnętrzną działalnością wywrotową - uznałam, że najbezpieczniej powrócić do tematu podatku od drugiego samochodu w rodzinie.

- Will, nadal uważam, że ludzie nie lubią, kiedy się im mówi, co jest dla nich dobre.

- Posłuchaj - przekonywał, po raz kolejny przedstawiając w skrócie argumenty przemawiające za projektem.

W odpowiedzi powtórzyłam swoje. Okazało się, że w jednym punkcie się zgadzamy, w drugim nie. Przy trzecim oboje wybuchliśmy śmiechem. Nagle powróciła dawna zażyłość.

- Chodźmy na górę, Fanny.

- Tak.

- Cóż za wzruszająca scena.

Żadne z nas nie usłyszało kroków Meg, która stanęła w progu.

Will puścił mnie nagle, a Meg poszybowała ku niemu i go uści-
skała.

- Udane spotkanie? - spytał.

Wyglądała na spokojną i opanowaną.

- Wygrywam bitwę. Mam nadzieję. Koniec awantur. - Popatrzy-
ła prosto na mnie. - Przepraszam za tamto, Fanny. Mam nadzieję,
że mi wybaczyłaś?

- Krótkie spotkanie - zauważyłam.

Na mój brak odpowiedzi uniosła w lekkim zdziwieniu brew i rozwiązała różową apaszkę.

- Rzecz jest bardzo prosta, wystarczy dwa słowa: „Nie pij”. Zrozumie nawet najgłupszy, a ja głupia nie jestem.

Will obrzucił ją czułym spojrzeniem.

- Na pewno nie.

- Nad czym debatowaliście?

Zerknęłam na kotleciki rybne.

- Nad opodatkowaniem drugiego samochodu, a nad czymże innym? Choć wolałbym raczej porozmawiać na temat ożywienia mojej kariery.

Wsunęła rękę pod ramię Willa.

- Nie jestem na bieżąco - stwierdziła. - Opowiadaj.

Przyłapałam się na tym, że ostatniego pomidora kroiłam z nadprogramową energią.

Podobnie jak całe tegoroczne lato dwudziesty pierwszy tydzień roku zaczął się nerwowo. Aby odpowiednio przygotować się do kolacji, poszłam do fryzjera i spędziłam trzy godziny na lekturze instrukcji dostarczonych przez biuro Willa. Taryfy komunikacyjne. Programy pomocy. Inicjatywy rolnicze. Jak dotąd, wszystko do przewidzenia.

Gdy Will podawał mi rękę przy wsiadaniu do samochodu, zaskoczył mnie słowami:

- Ślicznie wyglądasz.

- Dziękuję.

W szerokiej spódnicy z czarnego jedwabiu i malutkim żakiecie do kompletu, z rozjaśnionymi pasemkami i włosami zaczesanymi do tyłu siedziałam pomiędzy Antoniem Pasqualem — przywitaliśmy się serdecznie — a czarującym włoskim ambasadorem. Przy dwóch pierwszych daniach zabawiał mnie konwersacją Antonio, rozmawialiśmy o perłach. Zwrócił uwagę na mój pierścionek.

- Czy w Biblii nie ma fragmentu o tym, że dobra kobieta jest cenniejsza od pereł? - Uśmiechnął się, spoglądając mi prosto w oczy.
- Mąż powinien być wystarać się o większą.

Rozmowa przebiegała sprawnie i swobodnie, a kiedy podano deser i odwróciłam głowę na prawo, byłam pewna, że puścił do mnie oko.

Włoski ambasador był onieśmielająco dobrze wykształcony i przystojny.

- Czy coś panią rozbawiło, pani Savage?

- Zdaje mi się, że pański minister finansów właśnie do mnie mrugnął.

- Czy i ja mogę uczynić to samo?

- Jeśli pan sobie życzy.

- Pani mąż przejawia ostatnio wielką aktywność. Jest wybitnym politykiem. - Pochylił się w moją stronę. Jego oddech pachniał malinami i wanilią. - Potrzebujemy nieco więcej czasu na rozważenie tego projektu. Wie pani, utknęliśmy przy jednym bądź dwóch punktach.

Kątem oka dostrzegłam, jak Will wbija we mnie wzrok. „Nie zawiedz mnie”.

Działyśmy zespołowo. Łyżeczka w mojej dłoni była chłodna i twarda, maliny słodko szczypały w język. Kto raz stworzył zespół, ten musi iść za ciosem.

- Dlaczego po obiedzie nie porozmawia pan z nim osobiście?

- Może premier... Nie wiemy dokładnie, jak bardzo premier jest oddany sprawie...

Uśmiechnęłam się.

- Premier to nie osobisty przyjaciel.

- Może jednak przypomni pani mężowi, by wziął pod uwagę interesy każdej ze stron.

Odłożyłam łyżeczkę.

- Musi pan sam z nim porozmawiać.

Kobiety udały się na kawę, zostawiając mężczyzn w jadalni.

- Koszmar - syknęła mi do ucha gospodyni wieczoru - ale oni tak lubią.

Przyjęłam filiżankę kawy.

- Nie ma pani czasem dosyć tego wszystkiego?

Wydawała się zaskoczona.

- Raczej nie. Są minusy, ale to ciekawe życie. Oczywiście, kiedy ma się małe dzieci...

Dołączyłyśmy do pozostałych żon, które stały stłoczone w cudownie barwnej grupie czerwieni, granatów i złota. Tworzyły wesołą gromadkę, skwapliwie kosztującą rozkoszy stolicy. Usadowiłyśmy się i podjęłyśmy temat zabiegów kosmetycznych, zakupów i teatru.

Kiedy wróciliśmy do mieszkania, zrelacjonowałam Willowi rozmowę o premierze.

- Wszystko jasne - powiedział, wszedł do łóżka i sięgnął po czerwone pudełko.

Zmarszczki zmęczenia wyraźnie rysowały się pod jego oczami.

- Will, czy ty kiedykolwiek rozważysz robienie czegoś innego?

- Nie sądzę. Chociaż czasami... Kiedyś wszystko wydawało się takie nieskomplikowane. Wygrać wybory i zacząć naprawiać świat... Ale to nie takie proste, prawda? Tak czy owak, chwilowo nie wyobrażam sobie wyjścia z tego kieratu.

Odwrociłam się i podsunęłam pod głowę poduszkę. Pudełko spadło na podłogę, a Will objął mnie ramionami.

- Fanny...

Lecz między nami znowu wyrósł dystans, walczyłam w sobie z obojętnością... i poczuciem oddalenia. Will stał się niemal - choć nie do końca - kimś obcym, i to z rodzaju tych kłopotliwych obcych: człowiekiem, którego znałam kiedyś na wylot, lecz który przeistoczył się w jednego ze znajomych.

- Och, Fanny - powiedział wreszcie. Schwycił mnie za nadgarstki. - Bardzo mi ciebie brakuje...

Zdobyłam się na wysiłek i zarzuciłam mu na szyję ramiona. Wszystko zależało od wiary, wysiłku woli. Musiałam uwierzyć, że namiętność, która nas kiedyś łączyła, niezupełnie wygasła.

Udało się.

- Fanny, było bardzo przyjemnie - powiedział potem.

Uśmiechnęłam się i dotknęłam jego uda.

- Tak.

Leżałam z otwartymi oczyma, wsłuchując się w odgłosy miasta.

Oddałabym niemal wszystko, żeby wędrować rozgrzanym zbożem wzgórza, gdzie - jak opowiadał ojciec - winorośl wdierała się głęboko korzeniami w glinę i piasek. Pragnęłam mrużyć oczy od słońca i patrzeć na horyzont, gdzie strzelały w niebo *Cupressus sempervirens*, na drzewka oliwne, mięsiste pomidory na chudych łodygach, soczystą zieleń bazylii.

Też się zastanawiałam, gdzie się teraz podziewa. Czy otarła sobie stopy? Czy bołą ją plecy? Czy jest najedzona i ma czyste ubranie? Czy poradzi sobie z... doświadczeniami, które ją jeszcze czekają?

Z gałęzi mojego buku w Ember House śledziłam, jak samochody pokonują zakręt na drodze, która okrążała ogród. Jeśli ustawiłam moją lunetę (z plastiku, w kolorze wściekłego rózu) pod właściwym kątem, dobrze widziałam ludzi w środku. Często, kiedy auto zwalniało, kobiety opuszczały osłonę przeciwsłoneczną i kontrolowały w lusterku makijaż. Od czasu do czasu kierowca odkręcał szybę i wyrzucał śmieci. Na podstawie obserwacji takich zachowań wysnułam wniosek, że ludzie są bardzo dziwni.

W dniu swoich osiemnastych urodzin zabrałam Raoula do mojego orlego gniazda. Klęliśmy, wdrapując się po ciemku na górę i kurczowo trzymając się pnia drzewa. Ten jeden jedyny raz Raoul przesadził z winem, a ja miałam na nogach delikatne sandały z pasieczków. Podest zaskrzypiał pod ciężarem naszych ciał, objęliśmy się niezdarnie. Moja cienka bawełniana sukienka rozdarła się w szwie, gdy Raoul zbyt mocno szarpnął za materiał. Rzucił się na skrawek nagiego ciała, które ukazało się w pęknięciu.

- J a k a opalona - zamruczał i zerwał z siebie koszulę.

Brak doświadczenia i wiedzy wywołał skurcz mięśni, a Raoul był niepotrzebnie gwałtowny. Brakowało nam poczucia humoru, była w nas jedynie ponura determinacja, żeby doprowadzić rzecz do końca.

- Przepraszam, przepraszam — wymamrotał wreszcie Raoul.
Podniósł błyszczącą od potu twarz. - Kocham cię.

Lecz ja go odepchnęłam.

Zachowałam się nie fair.

Domek na drzewie nie był odpowiednim miejscem na uwodzenie.
Należał do dzieciństwa... do innego świata. Teraz został zbrukany.

Tamtej nocy porzuciłam swoją kryjówkę na drzewie w więcej niż jednym sensie.

Przekręciłam się w łóżku i zastanawiałam nad różnymi aspektami
własnego życia. Rubin i szkarłat, delikatne złoto i bursztyn wina.
Ojciec. Will. Meg. Sacha.

Wypychanie córki na szerokie wody...

.. .tak jak wypchnęłam ją na świat.

Pierwsze skurcze zaskoczyły mnie, gdy jadłam wczesną kolację w mieszkaniu Willa. Samotnie.

Byłam w trzydziestym dziewiątym tygodniu ciąży i kiedy rozmyślałam nad szybkością zmian w moim życiu, odniosłam wrażenie, że znam Willa od niedawna.

Na ekranie telewizora ukazały się wiadomości o osiemnastej, a w idealnej synchronii z czołówką serwisu informacyjnego zadzwonił Will, by uprzedzić, że spotkanie potrwa cały wieczór i żeby nie czekać na niego z kolacją. Byłam zatrwożona, brzemienna i jakby rozlazła, i przemknęło mi przez myśl, że Will kocha swoją pracę bardziej niż mnie. Co gorsza, rozumie ją lepiej niż mnie i w o l i zawodowe obowiązki od zjedzenia kolacji z własną żoną.

- Dobrze - odparłam. - Kolacja w piecyku.

- Tęsknisz za mną?

Przygryzłam wargę.

-Nie.

- Zakładam, że oznacza to tak. O b o j e za mną tęsknicie?

Na moje usta zdołał przedrzeć się uśmiech.

-Nie... Tak.

Zaczęłam kryć się jak zwierzę. Stałam się ślepa, zesłam pod ziemię, brnęłam po omacku z dnia na dzień. Z jednej strony łaknęłam obecności i zainteresowania Willa, lecz z drugiej - stał się mi niemal... niemal zbyt cenny, byłam bowiem ciasno zamknięta w samczej powłoce, byłam ogromnym, zwalistym obiektem z różnymi krępującymi dolegliwościami. Książki informowały o bólach krzyża, zylakach oraz mnóstwie innych przypadłości i wyjaśniały za pomocą schematów procesy inwazji, jaka dokonywała się w moim ciele. Jednak żadna nie przyznawała, że ciąża całkowicie opanowuje

umysł. Że przekształcające się w amonit ziarenko fasoli wysysa strumienie intelektu, energii, inwencji, póki nie zostaje nic prócz sennej, mglistej nicości.

Z uwagi na częstą nieobecność Willa i brak sił do odwiedzania przyjaciół nie miałam nikogo, komu mogłabym zwierzyć się z moich uczuć, i popadłam w nawyk mówienia do siebie na głos.

- Czuję się jak rozmiękłe masło, niedosmażone konfitury, topniejący bałwan śniegowy - powiadomiłam patelnię do grillowania, którą właśnie czyściłam, a było to zadanie, które ostatnimi czasy odzwierciedlało poziom moich możliwości.

No i trudno.

Wkrótce po Willu zatelefonował ojciec, by skontrolować rozwój sytuacji. Wydawał się przerażony.

- Jesteś sama? Niedobrze. Ktoś powinien z tobą być. A gdyby coś poszło nie tak?

- Nie panikuj, tato. Wszystko w porządku.

W jego głosie słychać było gniew.

- Czy ktoś mógłby do ciebie przyjechać?

- Tato, jest dopiero wpół do siódmej, a Will obiecał wrócić trochę później.

- Mimo wszystko... - W tle rozległ się ostry dzwonek drugiego telefonu. - Muszę kończyć - powiedział. - Będę w kontakcie.

Po pierwszym skurczu zaczęłam wiercić się na krześle, szukając pozycji, która pomoże złagodzić ból. Drugi - piętnaście minut później - był na tyle silny, że odepchnęłam na bok talerz z sałatką i ciężko dźwignęłam się z miejsca.

Przycisnęłam rękę do krzyża i przeszłam mniej więcej pięć kroków, całą długość pokoju. Potem zawróciłam, czując, jak ciężar dociska mi kolana. „Jeden krok za dużo i pękna” - myślałam. „Zwałę się z nóg”.

Kolejne skurcze wstrząsały moim ciałem.

Wiele bym dała, żeby znaleźć się teraz w domku na drzewie z butelką napoju z bąbelkami w jaskrawym kolorze, lustrować swoje włości i uprawiać się w przeklinaniu.

A gdybym tak zadzwoniła do Willa i oznajmiła: „Ceduję to na ciebie. Z r ó b to zamiast mnie”.

W Izbie Gmin uzyskałam informację, że Will wyszedł pół godziny temu i nie zostawił numeru kontaktowego. Biper też miał wyłączony.

Zatelefonowałam do Elaine, która od razu przeszła do sedna sprawy:

- Mężowie tak postępują. Mój prawdopodobnie jest z twoim. Chcesz, żebym przyjechała do szpitala?

Rozważyłam ten pomysł. Przyjaźń to rzecz cudowna, nie zastąpi jednak Willa. Podziękowałam i poprosiłam:

- Czy mogłabyś zadzwonić do mojego ojca? Powiedz mu, że jestem w drodze do szpitala.

Od tamtego momentu nie pamiętam już szczegółów, tylko ogólny zarys sytuacji, za co jestem wdzięczna losowi. Położna powiedziała, że to dlatego, że wszystko działo się tak szybko, co rzadko zdarza się przy pierwszym porodzie. Mam w pamięci jeden niezmienny obraz - jak unoszę się nad dużą, miotającą się, spoconą postacią, w której z przerażeniem rozpoznałam siebie. Pokój oświetlony jedynie przygaszoną lampą lizały cienie. Położna to wtapiała się w tło, to się z niego wyłaniała. Czasem coś do mnie mówiła. A ja czasem odpowiadałam.

Wkrótce zmieniłam zdanie w kwestii samotności. Chciałam, żeby ktoś był przy mnie, trzymał mnie za rękę i odciągnął mnie od tej osoby leżącej na łóżku porodowym. Pragnęłam dotyku kogoś, kto mnie kocha, płakałam z bólu i dlatego, że nie towarzyszył mi Will.

- Proszę, kogo tu mamy... - Przy łóżku nagle wyrosła położna, a ja uniosłam się, wodząc błędnym wzrokiem i spodziewając się ujrzeć wysoką, jasnowłosą postać mojego męża.

- Hej - odezwała się Meg. - Dzwonił twój ojciec.

Była otulona czarnym swetrem, zbyt dla niej obszernym, i drżała pomimo panującego w sali gorąca. W jej oddechu wyczuwało się nikły zapach whisky.

Stłumiłam w sobie nagłą chęć odwrócenia głowy.

- Will nie przyjedzie?

- Jest w drodze - wyjaśniła i wzięła mnie za rękę. - Tak sędzę.

Jej chłodny dotyk wprost parzył. Gorąco pragnęłam, żeby znalazła się gdziekolwiek indziej, byle nie tutaj.

Potem się zaczęło. Meg stała przy łóżku, ocierała mi twarz i informowała, że wszystko idzie dobrze. I poza położną to właśnie Meg była pierwszą osobą, która ujrzała Chloe.

Moja córka urodziła się dwadzieścia pięć minut przed północą bez pomocy środków farmakologicznych.

- Jaka grzeczna dziewczyna - orzekła położna. - Dzielna, wspaniała dziewczyna. O wiele lepiej dla dzidziusia, kiedy mama robi wszystko sama.

Położyła mi na brzuchu Chloe, która ciągle jeszcze przypominała blady, niemy amonit. Do tego momentu byłam zaabsorbowana heroicznymi i osobliwymi fizycznymi dokonaniem własnego ciała. Teraz nadeszła chwila wyciszenia, oczekiwania. Spojrzałam w dół. „Jakież to zdumiewające” - pomyślałam. „Oto, czym kończą się przymusowa dziewięciomiesięczna okupacja mojego ciała i wyzute z godności zmagania na łóżku porodowym”. Potem Chloe odwróciła twarz w moim kierunku i zmrużyła oczy.

Machnęła rączką w powietrzu, jak gdyby chciała uchwycić życie. Ta maleńka rączka zarzuciła niewidzialny jedwabisty sznur, skreśliła z niego zmyślne lasso, zamierzyła się na moje serce i zacisnęła pętlę jednym ruchem tych różowutkich, podobnych do krewetek paluszków.

- Jest doskonała. - Meg pochyliła się, aby przyjrzeć się dziecku, a w tonie jej głosu pobrzmiwała nuta tęsknoty. - Chyba to ja powinnam zostać matką chrzestną, nie uważasz?

Wyszła, kiedy Will wpadł do sali krótką chwilę później.

- Przepraszam, bardzo cię przepraszam. - Nie wiedząc, czy ma mnie dotknąć czy nie, sterczał przy moim łóżku. - Nie zrobię tego już nigdy więcej. Już nigdy nie nawalę.

- Twoja córeczka jest tam, Will.

Skorzystał z okazji, objął mnie ramieniem i pocałował. Był na siebie wściekły i bardzo, bardzo zawiedziony.

- Mieliśmy wieczorną sesję. Regulacje prawne dotyczące zatrudniania nieletnich na wschodzie przez brytyjskich przedsiębiorców. Nie dziwię ci się, jeśli jesteś na mnie zła.

- Nie jestem zła... raczej pusta.

- Wyłączyłem biper i zupełnie wyleciało mi to z głowy, wyszedłem do Brazzi's wrzucić coś na ząb. Przegapiłem całą sprawę, co?

Jego poczucie winy było nieomal komiczne, ale i smutne. Ponieważ rzeczywiście ominęła go ta szczególna, cudowna chwila, kiedy Chloe wyskoczyła na świat.

Wyczerpanie, ból i hormonalna burza pozbawiły mnie sił.

- Idź i popatrz na swoją śliczną córkę. Potem zadzwoni, proszę, do taty... i do mojej mamy. Obiecałam jej, że to zrobisz.

- Mam nadzieję, że mi wybaczysz?

Oczywiście wybaczyłam. Miałam Chloe, bezpieczną i zdrową, a w porównaniu z takim szczęściem nie było czego przebaczać.

Kiedy Chloe miała dwa tygodnie, przeprowadziliśmy się do nowego domu w Stanwinton. Byłam niechętna ruszaniu się z bezpiecznych czterech ścian mieszkania, lecz Will nalegał, byśmy przestrzegali ustalonego harmonogramu.

- Poradzimy sobie - zapewniał, kiedy wymyślałam preteksty związane z karmieniem, zmianą pieluszek, czynności te bowiem ciągle jeszcze jawiły mi się jako coś w rodzaju skomplikowanej teorii matematycznej. - Zabranie naszej córeczki do nowego domu jest rzeczą ze wszech miar właściwą.

Wciąż zmaltretowana i obolała starałam się jak najlepiej sprostać nowym wyzwaniom, a Will, który ciągle jeszcze czuł skruchę z powodu niezjawienia się przy narodzinach córeczki, próbował się zrehabilitować, pakując i przewożąc dobytek. Ja miałam nie tykać n i c z e g o nawet palcem. Założenie wydawało się rozsądne, ho wcale nie z a m i e r z a ł a m brać się do czegokolwiek.

- Nie chce mi się wstawać, gotować, prac, nawet nie chce mi się myśleć.

Od czasu wydania na świat dziecka mój głos brzmiał inaczej na-

wet w moich własnych uszach. Przypisywałam to chrypcie wywołanej krzykami przy porodzie, niemniej jednak nieomal uwierzyłam, że prawdziwą tego przyczyną były zachodzące we mnie gruntowne zmiany.

Will traktował tego rodzaju uwagi z rozbijającą powagą.

- To normalne, że po urodzeniu dziecka jest się w dołku.

- Skąd wiesz?

- Czytałem o tym w książkach. - Nie zadałam sobie trudu, żeby zareagować, ale on brnął dalej: - Poprawi ci się nastrój, kiedy już się zadomowisz. Będę przyjeżdżał w każdy piątek.

Było mi go niemal żal, bo tak usilnie pragnął, by wszystko dobrze się ułożyło.

Na polach jeżyły się ścierniska, gdy nasz wyładowany po dach samochód sunął powoli między nimi. Liście buków kołysały się na lekkim wietrze. Z tylnego siedzenia auta, które zajmowałam z Chloe, patrzyłam na mijane pola. Czy mi się to podobało czy nie, odtąd miały mi stale towarzyszyć.

Przy głównych drzwiach czekał Mannoche. Gdy pomagał mi wysiąść z samochodu, jego zawodowy uśmiech przerodził się w wyraz szczerzej serdeczności.

- Witam wszystkich - powiedział w uroczo formalny sposób. Jak na zawołanie, Chloe obudziła się i uderzyła w płacz. - Mogę? - spytał Mannoche i podniósł niemowlę.

Widział kto coś podobnego? Chloe umilkła.

- Nie wiedziałam, że potrafisz obchodzić się z dziećmi, Mannoche.

- Jest cudowna. - Mannoche kołysał Chloe w sposób, który najwyraźniej jej odpowiadał.

Will zajrzał mu przez ramię.

- Urocza, prawda?

Zostawiłam ich i przestąpiłam próg. Przez ostatnie kilka tygodni w domu uwijała się ekipa remontowa. Odnowiono go, używając zbieraniny tanich, bylejakich materiałów ze sklepu dla majsterkowiczów, położono wykładziny.

Gdy wchodziłam na górę, świeżo polakierowane poręcze nieznacznie lepily się pod dłonią, a nowiutki chodnik ślizgał się pod stopami. Pierwsze, co zrobiłam po wejściu do sypialni, było otwarcie okna i wpuszczenie świeżego powietrza, by wywietrzyć odór dopiero co położonej farby.

Ciało miałam obolałe, umysł przytępiony i gąbczasty jak rzadkie ciasto, które odstawiono na zbyt długo. Z wyjątkiem chwil kiedy patrzyłam na Chloe, czułam się obojętna i zdystansowana, bez życia i energii.

Gdzieś daleko płakało niemowlę. Ogarnęło mnie przelotne zniechęcenie - utraciłam coś, co postrzegałam teraz jako przywilej samotności.

Mannochie wszedł, cicho stąpając, na górę.

- Chloe płacze.

Nie poruszyłam się.

- Wiem.

Nie dał za wygraną.

- Wydaje się głodna.

Wiedziałam, że powinnam zamknąć okno i zejść na dół. Chciałam jednak pozostać w moim punkcie obserwacyjnym, przyglądać się gawronom krążącym ponad gniazdami na tle stalowoszarego nieba.

Mannochie dotknął mojego ramienia. Był to spokojny, uprzejmy gest.

- Fanny, odwiedzałaś ostatnio lekarza?

Łzy spływały mi po policzkach. Coś utraciłam. Mój domek na drzewie oraz wolność, której zaznałam wysoko między konarami, znalazły się daleko stąd w zupełnie innej krainie. Nie da się ukryć: będę coraz starsza - i wreszcie stara - i już nigdy tam nie powrócę.

Były to zarazem łzy strachu. Ogarnęło mnie przerażenie, że nie podołam wypełnianiu swoich ról, że nie dam sobie rady, nie mówiąc już o wzniesieniu się na wyżyny doskonałego prowadzenia domu i opieki nad dzieckiem.

Wysunęłam język i poczułam słony smak.

- Dlaczego miałyby mi być potrzebny lekarz?

- F a n n y ! - W progu pojawił się Will z wrzeszczącą Chloe.

Odwrociłam się z ociąganiem.

- Daj mi ją.

Weisnął mi dziecko w ramiona i przyjrzał mi się badawczo.

- Dobrze się czujesz?

- Dobrze - odparłam.

Mężczyźni powrócili na dół. Gdy wnosili bagaże, ja siedziałam z Chloe i ją karmiłam. Oczarowana, zachwycona, ale i zła obserwowałam maleńką, ruchliwą bródkę, drobniutkie żyłki na niemal przezroczystych powiekach.

- Żarłok z ciebie i kokietka - poinformowałam.

Chloe nie zwróciła na mnie najmniejszej uwagi. Kiedy skończyła ssać, główka opadła jej w tył i zasnęła. Stopniowo cichł we mnie jazgot uczuć.

Will przyniósł filiżankę herbaty i przyglądał się nam czule. Jego obecność działała kojąco i nagle poczułam się niemal spokojna i szczęśliwa.

- Chodź - powiedział, oparł mnie o swoje ramię i wziął Chloe na kolana. - Odsapnijmy chwilę. Nigdzie się nam nie spieszy. - I dodał: - Bardzo was obie kocham.

- Dobra, gotowe - zawołał fotografze „Stanwinton Echo”. Błysnął flesz. - Jeszcze raz - zakomenderował.

Starałam się ukryć za Willem mój ciągle jeszcze dość pokaźny brzuch.

- Proszę się uśmiechać i patrzeć w lewo.

To przeżycie okazało się nie tak złe, jak się obawiałam. Prawdę mówiąc, znalezienie się w centrum uwagi było całkiem przyjemne i w każdym innym momencie mojego życia mogłabym nawet to polubić.

- Czy możemy teraz prosić o dziecko?

Wjednym zgadzaliśmy się z Willem co do joty - będziemy przestrzegać zasady chronienia Chloe przed mediami i fotografiami

prasowymi. A tymczasem proszę, uczestniczymy w konferencji prasowej w ratuszu z zaledwie miesięczną Chloe. Była to, uzgodniliśmy, niegroźna sytuacja wyjątkowa.

Jednego z wyższych rangą parlamentarzystów złożyła choroba i Will został zmuszony do udziału w telewizyjnej dyskusji panelowej na temat transportu. W ferworze rozmowy szukał w myślach odpowiedniego zwrotu, wskutek czego odnosiło się wrażenie, że wyznaje pogląd niezgodny z polityką partii, co mogło położyć się długim cieniem na jego karierze.

Po programie Will pojechał do domu w Stanwinton i w nocy okropnie się rozchorował. Podtrzymawałam mu głowę, starałam zabrudzoną podłogę, zaparzyłam herbatę. Wypił z wdzięcznością i wymamrotał:

- Czasem zdarza mi się coś takiego, kiedy sprawy przybierają zły obrót. Głupota, nie uważasz?

To wyznanie poruszyło mnie do głębi. Siedziałam z nim do rana i wspólnie próbowaliśmy opracować najlepszy plan ograniczenia potencjalnych szkód.

Poranna prasa doniosła o programie i właśnie Willowi poświęciła specjalną uwagę. „Kompetencja połączona ze stanowczością” - napisał jeden z krytyków (z górnej półki). „Czarujący królewicz z bajki ogłasza” - napisał inny (dla niewybrednych). Mannoche chwycił za telefon i ustalono, że właściwie ukierunkowany rozgłos lokalny przyczyni się w dużym stopniu do ugruntowania pozycji Willa w okręgu wyborczym.

Jeden z reporterów zapytał:

- Jak się państwo czują w roli najatrakcyjniejszej pary w parlamencie?

Dziewczyna w skórzanych spodniach podniosła palec.

- Pani Savage, czy karmi pani dziecko piersią?

Zainterweniował Mannoche.

- Jeśli chce pani zapytać Willa o politykę partii, teraz jest doskonały moment.

Dziewczyna się skrzywiła. „Polityka? Człowieku, zejdź z obłoków!”

Swobodny i uśmiechnięty Will pozwolił fotografować się do woli i odpowiedział na wszystkie pytania. Potem dostrzegłam w jego oczach wyraz, który bynajmniej nie świadczył ani o cierpliwości, ani o podporządkowaniu się wymogom chwili. Był to prywatny sygnał, który tylko ja potrafiłam zinterpretować - drogowskaz kierujący ku sekretnemu, erotycznemu terytorium, które ze sobą dzieliliśmy - i który wprawił moje włosy w drżenie.

Mannochie uzgodnił, że udzielę jednego wywiadu, przeszłam więc z Chloe, która zachowywała się nienagannie, do mniejszej sali, gdzie oczekiwała mnie Lucy, dziewczyna w skórzanych spodniach.

Położyła między nami magnetofon.

- J a k postrzega pani rolę współczesnej żony polityka?

- Ta rola ewoluuje... - odparłam. W nagłej ciszy moje radosne podniecenie znikło, ciało niemal piekło ze zmęczenia, a ciężar zarwanych nocy powiększał worki pod oczami.

- A więc nie jest to tradycyjna rola małżonki?

- Dzisiejsze żony różnią się od niegdysiejszych.

- Czy zagłosowałyby pani inaczej niż mąż?

- Gdybym uznała to za słuszne.

Wyglądała, jakby mocno mi współczuła.

- Wziąwszy pod uwagę fakt, że małżeństwa polityków są z oczywistych powodów narażone na ryzyko, czy sądzi pani, że zdoła pogodzić macierzyństwo z karierą?

Nie podobała mi się sugestia, że ja i Will jesteśmy skazani na porażkę.

- Na razie nie jestem gotowa odpowiedzieć na to pytanie - rzekłam. - J a k pani widzi, dziecko jest jeszcze malutkie.

Od tej chwili wywiad kulał.

Dwa dni później opublikowano artykuł. Nagłówek głosił: *Sceptyczna i niezależna nowoczesna żona parlamentarzysty głosuje przeciw własnemu mężowi*. W tekście można było przeczytać: „Fanny Savage należy do nowego pokolenia. To nowoczesna kobieta, aktywna zawodowo i posiadająca własne zdanie. Gdyby uznała za słuszne, zagłosowałyby na opozycję”.

Pearl Veriker zadzwoniła z samego rana, kiedy byłam jeszcze w łóżku i karmiłam Chloe, i odczytała mi artykuł przez telefon.

- To było bardzo nierozsądne, Fanny. Wręcz zdrada.

Z niesmakiem zdałam sobie sprawę, że kodeks Pearl był bardziej skomplikowany, niż sądziłam.

- Pearl, mam prawo do własnych opinii, i z całą pewnością nie można mówić tu o zdradzie.

Lecz podobnie jak w wypadku noszenia rajstop, nie było tu miejsca na żadne negocjacje. W końcu przekazałam słuchawkę Willowi i przysłuchiwałam się, jak zręcznie próbuje udobruchać Pearl.

Tym razem rzeczywiście ponosiłam winę za całe zamieszanie. Wiedziałam o tym ja, wiedział o tym Will. Opadł na poduszkę.

Rozmawialiśmy o tym w szczegółach - powiedział.

- Wkurzyła mnie. - Potarłam oczy rękami.

Will wyskoczył z łóżka, zdarł z siebie podkoszulek, w którym spał, i cisnął go na podłogę.

- O tym również rozmawialiśmy.

- Czy wolno mi zwrócić panu postłowi uwagę, że to on pierwszy popełnił błąd?

- I zapłaciłem za niego dwukrotnie.

Musnęłam nosem szyję Chloe. Pachniała mlekiem i kremem dla dzieci, niewinnymi, nieszkodliwymi, zwyczajnymi, przyzwoitymi rzeczami. Wyobraziłam sobie swoją przewinę w postaci smugi zwiewnej pary rozpościerającej się na bezkresnym niebie. Czy zniszczyłam Willowi karierę? Naznaczyłam go piętnem - n i e g o d n y z a u f a n i a - jak Kain?

- Przepraszam. Zapomniałam, jak trudno jest nie mówić tego, co się myśli.

Will gwałtownie otworzył szufladę z koszulami.

- Czy nie dano ci dość jasno do zrozumienia? Nigdy nie zdradzaj swych prawdziwych myśli.

Nastąpiła długa, dziwna chwila milczenia, kiedy każde z nas oswajało się ze znaczeniem wypowiedzianych do siebie nawzajem słów.

- Will, trochę to dziwne, że pragnąc wydać się uczciwym i szczerym, trzeba udawać, nie uważasz?

Will wybrał niebieską koszulę i obejrzał kołnierzyk.

- Wiem. - Popatrzył na mnie skonsternowany i więcej niż lekko przerażony. - Wiem.

Ojciec wpadł w popłoch, gdy zadzwoniłam i doniosłam mu - bełkocząc chaotycznie ze zmęczenia i pochlipując - o moim najnowszym potknięciu.

- Ja idę do ciebie - zapowiedział. - Daj mi godzinę na załatwienie spraw.

Przyjechał punktualnie co do minuty.

- Wracasz ze mną do Ember House - oznajmił. - Zatelefonowałam do Benedetty. Przylatuje i wszystkim się zajmie.

- Zadzwoniłeś do Benedetty? Pogodziłeś się z nią? - Moje usta rozciągnęły się w głupawym uśmiechu. - Och, tato, nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę. - A po chwili stwierdziłam: - Nie mogę opuścić Willa.

- Will może spędzać w Ember House weekendy. To proste.

Mocno mnie przytulił. Zagoniłam go do zagraconej kuchni i szurnęłam pod stół kosz z wypranymi ubrankami Chloe.

- Przepraszam za nieporządek, ale jestem zbyt zmęczona, by brać się do sprzątanía.

Cisnął kluczyki samochodowe na stół.

- Jesteś moją córką i potrzebna ci pomoc. Jedźmy od razu. Dom przygotowany.

- W porządku.

Usiadłam z poczuciem przyprawiającej o zawrót głowy ulgi.

Zadzwoniłam do Willa i poinformowałam, że jadę z ojcem do domu.

- Tylko na kilka tygodni.

- Jak to: do domu? - Był urażony. - Myślałem, że to my tworzymy dom.

- Przepraszam. Przejęczyłam się.

Ale dalsza rozmowa już się nie kleiła i nie po raz pierwszy żałowałam, że musimy omawiać plany, istotne kwestie i wydarzenia przez telefon.

- Masz coś przeciwko temu? Zrobiliby to dobrze Chloe i mnie.
- Widzę, że już zdecydowałaś. - W końcu jednak powiedziała:
- Oczywiście, jedź. Tak, musisz mieć jakąś pomoc.

Odłożyłam słuchawkę i dostrzegłam warstwę kurzu na szpetnej osłonie grzejnika. Byłam zbyt znużona, by pójść po ścierkę do kurzu. Zamiast tego zdmuchnęłam kurz. Wzbił się w powietrze i osiadł z powrotem.

- Znikaj stąd - rozkazałam. - Pakuj walizkę i przenieś się gdzie indziej.

Gdy przyjechaliśmy do Ember House, ojciec porwał Chloe.

- Patrzcie, patrzcie! Piękność od chwili narodzin.
- W dodatku inteligentna, tato. Zmusiła nas wszystkich do biegania wokół niej.

Chloe wpatrywała się w dziadka. Usiadł i podpierał ją kolanem.

- Przy tobie nie będę popełniał dawnych błędów.
- Nie popełniałeś błędów - rzekłam. - Byłeś najlepszym ojcem na świecie.

Wzruszył ramionami.

- Bywały chwile, kiedy miałem ochotę zwinąć cały kram i wyeksponować cię do matki. Ale oczywiście tego nie zrobiłem.

Zajęłam się układaniem stosu pieluszek Chloe.

- Stałam ci na przeszkodzie? - Ni z tego, ni z owego byłam bliska łez.

- Francesco, nie zrozumiałaś mnie. Kiedy już zjawiałaś się na tym świecie, zwyczajnie nie potrafiłem sobie wyobrazić życia bez ciebie. Chciałem, żebyś była ze mną, i starałem się dostosować do nowej sytuacji pod każdym możliwym względem. - Pogłodził puciołowaty policzek Chloe. - Przekonasz się na własnej skórze.

Obserwowałam wzajemne relacje pomiędzy dziadkiem a wnuczką. Już się przekonałam. Ukradkiem otarłam oczy i uśmiechnęłam

się do niego. Pokój zalała fala miłości, tej nieskomplikowanej i bezwarunkowej, która poprawiała samopoczucie i dawała siłę.

Chloe otworzyła buzię i zaczęła wrzeszczeć. Poczułam lekkie kłucie w piersiach, z których od razu pociekło mleko. Ojciec podał mi ją w okamgnieniu.

W Ember House nie zaszły żadne zmiany. Dom był spokojny, solidny, podniszczony, lecz przede wszystkim dobrze znany. Mogłam tam sobie pozwolić na łagodność i ospałość. Znałam go na wyłot, a on znał mnie. Żadnych niespodzianek. Żadnej konieczności przystosowywania się. Ojciec miał rację. Potrzebna mi była ta przerwa, a wraz z przybyciem Benedetty ciężar spadł mi z piersi.

- *Santa Patata, jesteś bladziutka* - stwierdziła. - Musisz jeść wątróbkę. Ugotuję ci.

Oczywiście wzięła sprawy domowe w swoje ręce i było tak, jakby tymczasem nic się nie wydarzyło, jakby Benedetta nigdy nie wyszła za mąż i nie owdowiała, jakbym ja ciągle jeszcze nie dorosła. Jej pierwszoplanowym działaniem było wydawanie poleceń, lecz w tle troszczyła się o wszystko - prała i składała maleńkie ubranka, pilnowała mojej popołudniowej drzemki, zabierała ode mnie Chloe, kiedy dziecko marudziło po wieczornym karmieniu.

- Ty jesteś moją *bambina*, Fanny, a ja dbam o *bambina* mojej *bambina*.

Modulacja i rytm jej głosu budziły jakże wiele uspionych ech mojego dzieciństwa.

Byli mądrzy, ojciec i Benedetta. Oraz wielkoduszni. Pomimo swojej przeszłości zjednoczyli się, żeby zapewnić mi przestrzeń i spokój potrzebne do skupienia całej uwagi na Chloe. Nauczyłam się, że jeden rodzaj płaczu sygnalizuje głód, inny - niewygodę, a jeszcze inny - znużenie. Słuchając rad Benedetty udzielanych łamaną angielszczyzną, na które odpowiadałam moją zawsze wymagającą poprawy włoszczyzną, nauczyłam się również uprzedzać potrzeby Chloe - wiedziałam, kiedy ją karmić, kiedy układać do snu, kiedy uspokajać dłużej niż zwykle. Pod kierunkiem Benedetty zaczęłam ćwiczyć mięśnie potrzebne do dźwignania ciężaru zmian i macierzyństwa lekko, z gracją.

Dzień poprzedzający mój powrót do domu z pobytu u ojca był chłodny i wietrzny. Pchnęłam przeszkłone drzwi w salonie i wyszłam na zewnątrz. Ogród zawsze pachniał tak samo: wilgotną ziemią, ostrą, drażniącą nozdrza próchnicą, łagodniejszą wonią rosnących blisko krzewów. Trawnik był mokry, ziemia grząska, stopy odciskały łatwe do przewidzenia ślady, gdy zmierzałam w stronę buka. Wyglądał tak samojak zwykle i wydawał znajome dźwięki: szelest liści, świst wiatru między gałęziami. Światło sączyło się przez prześwity w gęstej koronie.

Spojrzałam w górę, mrużąc oczy. Wydawało się, że domek na drzewie ciągle jeszcze znajduje się w nienaruszonym stanie. Otarłam dłonie o biodra, czując ich wyjątkową pełność i miękkość. „No, dalej, Fanny”. Z uśmiechem wsparłam rękę na pierwszej gałęzi i się podciągnęłam. Łatwizna. Zaczęłam wdrapywać się cal po calu na podest. Z tym poszło trudniej.

A jednak kiedy dotarłam na górę, utrzymując chwiejną równowagę na niestabilnych już deskach, na ułamek chwili stałam się znowu królową wszystkiego, co ogarniałam stamtąd wzrokiem.

Wiatr spuścił lawinę kropelek osiadłych na liściach po poprzednim deszczu. Przyłożyłam dłoń do ust i zlizyłam wilgoć. Czysta i chłodna. Tam, na górze, czułam się lekka, pozbawiona odpowiedzialności, wolna od lęków, które nadciągnęły wraz z narodzinami dziecka. Spokojna. Niezupełnie tak jak dawniej, ale w wystarczająco dobrej formie.

Stopniowo mój niepokój słabł i się oddalał.

Wieczorem ojciec wydał małe przyjęcie, żeby poprawić mi nastrój. Było jak w dawnych czasach. Dziwnie się czułam na dawno nie noszonych wysokich obcasach. Wbiłam się w obcisłą czarną spódnicę, robiąc grymas na widok wałka tłuszczu, który ciągle jeszcze był

przyczepiony do mojego brzucha. Witałam gości, stojąc z podanymi do przodu biodrami i palcami ściśniętymi w wąskich noskach pantofli. Czułam się cudownie normalnie.

Gośćmi byli ludzie z branży winiarskiej, znałam ich wszystkich, włączając Raoula, który przyjechał z krótką wizytą. Często bywaliśmy lekko skrepowani w swoim towarzystwie, ale to wrażenie coraz bardziej się zacierało.

- J a k twój nos? - spytał, całując mnie w policzek.

Ponieważ było powszechnie wiadomo, że ciąża wpływa na zmysł powonienia, musiał zadać to pytanie na samym początku.

- Nie wiem - odparłam z powagą. - Trzeba będzie sprawdzić.

Raoul miał oliwkową karnację, interesującą, wrażliwą twarz i lubił dobrze się ubierać. Tego dnia miał zadrapany policzek, co nadało mu zuchwały i buńczuczny wygląd.

- Co się stało?

- Wycinałem u siebie jakieś chaszczki i oberwałem w twarz. No, ale jeszcze ci nie pogratulowałem - powiedział. - Mam nadzieję, że kiedy córeczka będzie starsza, złożysz nam wizytę. Moja rodzina byłaby zachwycona, mogąc ją zobaczyć.

- J a też bardzo bym się cieszyła.

We Francji upodobanie do dobrego wina jest częścią narodowej świadomości - czymś, co oprócz języka sprawia, że Francuzi uważają się za Francuzów. Dlatego rodzina Villeneuve mniemała, iż mieszkanie w najcudowniejszym *chateau*, jaki kiedykolwiek widziałam na oczy, zwyczajnie im się należy.

Spojrzał na mnie badawczo.

- Wyglądasz na nieco zmęczoną, Fanny. Wiem, że trudno wrócić do codziennych obowiązków po urodzeniu dziecka.

Znowu poczułam te zdradzieckie łyzy, odwróciłam więc wzrok i wbiłam go w dywan, który pomogłam Caro wybrać wiele lat temu.

- Ojciec wkrótce przejdzie na emeryturę, będę przejmować interes.

„Doskonale” - pomyślałam. W życiu Raoula jest teraz wszystko poukładane jak na nienagannie nakrytym do kolacji stole. Zamoż-

ność, zagwarantowana pozycja. Robienie tego, co się kocha. Nóż, widelec, łyżka... i kieliszek do wina.

- Z czego się śmiesz? - zapytał.

Powiedziałam Raoulowi, on zaś odparł, że jego zdaniem interesującym etapem życia okaże się ten, kiedy człowiek przebrnie już przez przystawki i będzie w połowie dania głównego.

- Porozmawiamy o tym, gdy już znajdziemy się na tym etapie - odparłam.

Zanim wróciłam do domu, odbyliśmy z ojcem poważną rozmowę o interesach i zaczęłam dokładniej rozumieć swoje ograniczenia. Swój nowy świat.

- Sądzę, że powinniśmy rozważyć zatrudnienie kogoś do pomocy, póki Chloe nie stanie się bardziej samodzielna. Nie musisz spieszyć się z powrotem do pracy. Potrzebujesz czasu.

Nie byłam pewna, czy te słowa dają mi ulgę, czy sprawiają przykrość.

- Nie potrafię wyobrazić sobie życia bez pracy - rzekłam.

Ojciec spojrział na mnie w zamyśleniu.

- Rozumiem. Uważam jednak, że na razie musisz stawiać Chloe na pierwszym miejscu.

Po krótkiej walce wewnętrznej dałam za wygraną.

- Chcę zaznaczyć, że dałabym sobie radę, ale pewnie masz rację. Na razie tak będzie rozsądniej. Może zapytasz Raoula, czy nie mógłby przyjechać na miesiąc lub dwa i ci pomóc.

- Już to zrobiłem - oznajmił ojciec. - Nie mogę narażać własnej wnuczki. Ani twojego zdrowia.

Przełknęłam ten drobny fortel z jego strony.

- A propos, Raoul żeni się z Therese. Bardzo odpowiednia partia. - Wiedziałam, że Therese pochodzi z zaprzyjaźnionej rodziny trudniącej się handlem winem, również bardzo zamożnej. Ojciec się uśmiechnął. - A więc wszystko się ułożyło, prawda? Co się stało, kochana? Nie mówił ci?

Chciałam wrócić do domu. Tęskniłam za Willem, a ponieważ nabrałam sił, czułam potrzebę znalezienia się we własnym królestwie. Myśl o tym stawała się coraz bardziej natarczywa i klarowna - zaciąganie zasłon, rozpalanie w kominku, układanie córeczki do snu w wesołej sypialni ozdobionej Królikiem Beatrix Potter.

- Uważaj na siebie - polecił ojciec, przyciągając mnie mocno do siebie.

- T y też. - Pocałowałam go w tak dobrze znany moim wargom policzek.

Z dźwięcznymi mi w uszach wskazówkami o zaangażowaniu kogoś do pomocy wsiadłam do samochodu i odjechałam.

Wawrzynowy żywopłot miał tę samą przynębiającą barwę, gawrony pikowały nad bukami. Żadnych zmian. Wniosłam Chloe do kuchni i ułożyłam w bujanym leżaczk.

- Moje najśłodsze maleństwo - powiedziałam do niej, a ona rozdziawiła usteczka w tak uroczym uśmiechu, że nie mogłam oprzeć się pokusie porwania jej znowu na ręce. Pachniała niemowlakiem, była tak mała i ufna, że oddałabym za nią życie, byle tylko ochronić przed wszelką krzywdą każdy maciupki jasny kędziorek.

W czwartek po południu wpadła Elaine Miller, wybierająca się na północ w odwiedziny do matki.

- Amy uznała, że mogą przydać ci się słowa otuchy. O pomocnej dłoni, zaznaczam, nie wspominała. Żebyśmy miały jasność.

Cmoknęłam ją w policzek.

- Waszej opiece nie sposób cokolwiek zarzucić.

- W solidarności siła, Fanny.

Poczęstowałam ją gotową *quische* ze sklepu i sałatką. Wskrobywałyśmy ze środka nadzienie, ponieważ ciasto było rozmiękłe. Chloe tańczyła w krzeselku dziecięcym obok nas i nawiązywała coraz intensywniejszy kontakt wzrokowy. Dzieci Elaine rozrabiały w ogrodzie.

Elaine poprosiła o dokładkę i wypełniła moją kuchnię energią i trajkotem.

- Słuchaj, kochana, to jest najgorszy etap. Kiedy przez niego przebrniesz, będziesz mogła zrobić bilans. - Omiotła wzrokiem starą, zdezelowaną kuchenkę i naczynia piętrzące się na kredensie, których wciąż jeszcze nie schowałam. - Mogłoby tu być całkiem przyjemnie.

Przy kawie udzieliła kolejnych rad.

- Lepiej miej coś własnego. Zainteresowania, pracę... w przeciwnym razie... - Teraz mówiła całkiem serio. - Jeszcze nie wiesz, jak to jest, ale się przekonasz. - Jej usta rozciągnęły się w bolesnym, pełnym napięcia uśmiechu. - Neil sypia ze swoją sekretarką. To się zdarza. Niektórzy z nich uważają, że te rzeczy wliczone są w pracę. Nie przejmuj się, mnie to już nie obchodzi.

- A więc j e s t e ś starą wyjadaczką.

- Ty też zaprawisz się w bojach. Zobaczysz.

Kiedy Elaine wyszła, Will mnie zaskoczył, gdyż zakradł się do łazienki, kiedy kąpałam Chloe, i wsunął mi dłonie na biodra.

- Witam, pani Savage. Błagam, niech pani więcej mnie nie opuszcza.

Obróciłam się, by go pocałować.

- Planowałam zrobić się dla ciebie na umalowane bóstwo ze lśniącymi włosami.

Odgarnął z mojej szyi wilgotne kosmyki i przycisnął wargi do odśnieżonej skóry.

- Ostrożnie, upuszczę Chloe. - Złapałam oddech.

Później zasiedliśmy do kolacji, a Will wyjął butelkę wina.

- Chcę, żebyś pochwaliła mój wybór. Cały czas się uczę.

- Naprawdę?

Poczułam niezwykle zadowolenie i ekscytację. Uniosłam kieliszek i wciągnęłam w nozdrza bukiet. Bogaty i krągły. Tanina i czarna porzeczką.

- Idealne, Will. Osiem punktów na dziesięć. Nie, dziewięć...

- Aż t a k dobre nie jest.

Jego oczy tańczyły ponad brzegiem kieliszka.

- Dzisiejszego wieczoru ani słowa o polityce. Obiecuję. - Upił kolejny łyk. - Więc, po pierwsze, kochasz mnie?

Byliśmy w połowie pieczonego kurczaka, gdy Chloe obudziła się z kolką. Kiedy wreszcie udało mi się wrócić na dół, Will był przy telefonie, głęboko pogrążony w rozmowie z kolegą na temat najbliższej ustawy o podatku dochodowym. Dziobałam zimnego kurczaka i słuchałam jednostronnej konwersacji o tym, kto w partii prawdopodobnie będzie stawać okoniem, a kto nie, i jakie będą przypuszczalne konsekwencje ustawy.

Will rozprawiał ze swobodą i swadą, zaabsorbowany, skupiony na temacie. Leniwa poufałość przy nakrytym do kolacji stole - obojętne ustępstwa podczas wymiany poglądów, przyjemność, którą czerpaliśmy z wzajemnego towarzystwa - wszystko to przyszło. Zanim przekonał rozmówcę, że każdy dodatkowy pens podatku dochodowego jest niezbędny do finansowania programu socjalnego, pałaszowałam już drugą porcję sałatki owocowej.

Will ziewnął.

- Chyba pora spać.

Na tym etapie wieczoru nie trzeba było mnie namawiać. Leżeliśmy objęci ramionami, a Will niemal natychmiast zapadł w sen.

Wydawało się, że nie upłynęła nawet chwila, a Chloe już domagała się nocnego karmienia. Marudziła i popłakiwała, a kiedy wreszcie odsunęłam się od jej łóżeczka, ledwie śmiejąc oddychać, trzęsłam się z chłodu i wyczerpania.

Will zapalił światło i usiadł wsparty na poduszkach. Podniósł wzrok i rzekł:

- Fanny, mam pewien pomysł, nad którym od jakiegoś czasu rozmyślałem. Miałem zamiar omówić go przy kolacji. - A potem wypalił: - Zastanawiałem się nad najlepszym rozwiązaniem. Dla nas, dla Chloe, dla Sacy. I dla Meg. Meg musi wyprowadzić się ze swojego mieszkania, bo przebudowują teren, rozgląda się za jakimś lokum. Wiem, że proszę o wiele, o straszliwie wiele, czuję jednak, że miałyby sens...

- Masz rację - odparłam, gdy do mojej świadomości dotarło, co sugeruje. - Prosisz o zbyt wiele.

Chwycił moją chłodną dłoń i ucałował po kolei wszystkie palce.

- Posłuchaj. Wszystko obmyśliłem. Moglibyśmy zamienić pokój gospodarczy na kuchnię dla Meg i oddać jej pokoje na górze, urządzić w nich sypialnię i salonik. W domu jest mnóstwo miejsca, a i tak warto byłoby dokonać drobnej przebudowy. Mogę zrobić co nieco własnoręcznie.

Słyszałam już tę śpiewkę.

- Will, przecież wiesz, że nie tkniesz niczego nawet palcem... Zresztą nie w tym rzecz.

Zapadło przydługie milczenie.

Will przerwał je pierwszy.

- Rodzina powinna sobie pomagać, nie sądzisz, Fanny? Meg jest w dołku, potrzebuje domu. Pomyślałem, że byłby to sposób, żeby mieć ją na oku.

Nie wyrwałam ręki z jego uścisku.

- Will, nie chcę, żeby mieszkał z nami ktokolwiek. Wystarczycie mi ty i Chloe.

- Wiem, ja też, ale... - Uniósł pytająco brew. - Lubisz Meg, prawda? Mówi, że dobrze się z tobą porozmawia.

Meg uraczyła mnie historią swojego rozbitego małżeństwa, walki z butelką oraz udreki, kiedy z powodu jej alkoholizmu Sachę zabrano do domu ojca. Meg została odseparowana od wszystkiego, na czym jej zależało - od byłego męża („świętego, którego cierpliwość się wyczerpała”) oraz syna (którego mogła widywać jedynie w weekendy). Było mi jej bardzo żal i czułam się całkowicie bezradna.

- Oczywiście, że lubię Meg - potwierdziłam pośpiesznie. - Lubię wielu ludzi. Wprost uwielbiam wielu ludzi, ale nie mam ochoty z nimi mieszkać.

Will przyciągnął mnie mocno do siebie.

- Posłuchaj, Fanny. Oto szansa wprowadzenia naszych przekonań w czyn. Nie tylko w imię słusznej sprawy, lecz dla dobra mojej siostry...

- Ależ, Will, to jest małżeństwo, a nie... instytucja charytatywna.

Wyczułam, że zmagam się ze wspomnieniem jakiejś zadawnionej, trudnej historii.

- Fanny, kiedy naprawdę jej potrzebowałem, zawsze mogłem na nią liczyć - wyjaśnił w prostych słowach. - Wydaje mi się nie fair teraz odwracać się do niej plecami... Poza tym - ożywił się - nie dysponujemy wielkimi pieniędzmi, żeby opłacić fachową pomoc, a tobie pomoc jest potrzebna. Meg może się przydać. Mogłabyś spędzać więcej czasu w Londynie... Myślę, że dobrze by to zrobiło naszemu małżeństwu.

- Nie - rzekłam. - Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

Spojrzał na nasze splecione dłonie i skierował do mnie ostatni apel.

- Traci mieszkanie, jest w tej chwili bez pracy. Nie da sobie rady. Wiele jej zawdzięczam. Pod tym czy innym względem życie jej się nie udało, a ja nie potrafię wyzbyć się uczucia, że w dużej mierze sam ponoszę za to winę.

Minęło wiele czasu, nim udało mi się zasnąć.

Kiedy się obudziłam, Will stał obok łóżka z Chloe przewieszoną przez ramię.

- Jest głodna - oznajmił. - Nie wiedziałem, co robić.

Wszystko się zmieniło. Pokój wirował przed oczami, serce waliło w proteście. Każdy nerw ciała wył z przemęczenia. Na dole o moją uwagę dopominał się kosz z rzeczami do prania. Lodówka świeciła pustkami, kurz nadal zalegał grubą warstwą na kaloryferze. Odgarnełam wpadające do oczu włosy i podniosłam się.

- Daj mi ją - powiedziałam.

Will ułożył Chloe w moich ramionach, a ja przystawiłam ją do piersi.

- Wygrałeś - rzekłam do Willa. - Meg może tu zamieszkać. Ale tylko przez kilka miesięcy, póki wszyscy nie uporządkują swoich spraw. Do czasu, aż ja stanę na nogi, a ona poczuje się lepiej.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko i podczas gdy dom w Stanwinton poddawany był przeróbkom na przyjęcie Meg (Will nie znalazł czasu na majsterkowanie), polecałam z Chloe odwiedzić moją

matkę w Montanie. Ojciec był absolutnie przeciwny temu pomysłowi.

- Po co zawracać sobie głowę? - pytał w rzadkim u niego przy-
pływie goryczy. - Możesz mieszkać tutaj, póki w domu będzie pa-
nował rozgardiasz, jeśli w tym tkwi problem.

- Ma prawo zobaczyć własną wnuczkę.

- Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby to ona wsiadła do samo-
lotu.

Sally czekała na nas przy barierce na lotnisku. Nie widziałam jej od trzech lat i trochę to trwało, zanim ją rozpoznałam — mogła być którąkolwiek z kobiet w średnim wieku ubranych w dresy albo przepastne džinsy i bluzy z polaru, które kręciły się bez celu po hali lotniska. Smutne czy zabawne? Moja matka znajdowała się gdzieś pośród tego tłumu, aja nie byłam pewna, czy zdołam ją wy-
patrzeć.

Wreszcie dostrzegłam ją w brązowej zamszowej kurtce, z włosami - mocno skręconymi i zbyt długimi - ułożonymi wokół bladej, usianej piegami, pozbawionej makijażu twarzy. Z założonymi rękoma opierała się o barierkę i miała wystraszoną minę. Obok stał zwalisty, krzepki Art i uśmiechał się łagodnie, przebiegając wzrokiem po tablicy przylotów. Workowate džinsy i kraciasta koszula były zwodnicze - Art dobrze zarabiał. Zgoda, dom w Montanie to nie to samo co dom w Nowym Jorku, ale tu było dużo więcej przestrzeni.

- Cześć! - wykrzyknęła Sally głosem, w którym dawno zatarły się wszelkie ślady jej angielskiego pochodzenia. Skrępowana musnęła w przelocie mój policzek i zwróciła się ku Chloe. - Dzień dobry!

Podaliśmy jej Chloe, a Art na powitanie energicznie potrząsał moją ręką.

- Naprawdę jesteśmy zaszczyceni - powiedział. - Sally przez ostatnie kilka dni z nerwów odchodziła od zmysłów. Nie wiedziałem, co z nią robić.

Kątem oka dostrzegłam, jak matka wzrusza lekko ramionami.

Sally i ja usiadłyśmy na tylnym siedzeniu kombi, umieszczając Chloe między sobą, a Art ze szczególną ostrożnością prowadził auto

przez miasto i dalej, poza rogatki. Mówił niewiele, lecz nie było to kłopotliwe milczenie. Sally również rzadko się odzywała.

- Niewiele zmieniło się od twojego ostatniego pobytu — stwierdziła jedynie. - Wzniesiono tylko więcej budynków, a szkoda.

Paradiseville, czyli rajskie miasteczko, otrzymało tę nazwę, ponieważ w szczycie gorączki złota wierzono, że wzdłuż pogórza ciągną się w kierunku południowym pokłady cennego kruszcu, a nad rzeką wyrosło - niczym grzyby po deszczu - skupisko blaszanych i drewnianych bud. Z nich właśnie powstało miasteczko.

Art roześmiał się z zadowoleniem

- J a tam się cieszę. Dobry biznes, nie krytykuj.

- Można by dyskutować - rzekła ostro Sally.

Zapomniałam, że krajobraz Montany tworzył widowisko na miarę wielkiej opery bądź szerokoekranowej filmowej epepi. Przyroda była tu zachwycająca. Jakby człowiek zanurzył się w potężną złocistą falę, do której domieszano nieco czerwieni i ochry. Detale także były piękne. Na ziemi leżały orzechy laskowe i wysypywały z łupin swą kruchą zawartość, jagody wtulały się w żywopłoty, konie pasły się na tle zamykającej horyzont góry.

Pokazywałam to wszystko Chloe, która nie zwracała najmniejszej uwagi.

Szczerze mówiąc, dom pamiętałam lepiej niż matkę. Był obłożony pomalowanymi na kolor złamanej bieli deskami, otoczony dookoła balkonem, od frontu miał huśtawkę, na której miałam zamiar odpoczywać i kołysać Chloe.

Sally zsunęła się z siedzenia samochodu.

- Nie wiedziałam, co będzie ci potrzebne, więc poradziłam się Ma Frobbber, która mieszka trochę dalej. Rozjaśniła mi w głowie i pożyczyla swoje rzeczy. Wychowała sześcioro dzieci. — Sally uśmiechnęła się niespokojnie. - Ma m nadzieję, że do czegoś się nadadzą.

I przydały się, tyle że zmęczona długim lotem Chloe nie chciała spać niemal przez całą pierwszą noc. W niewielkim domu jej płacz rozbrzmiewał ze zwielokrotnioną siłą, a kiedy rozpaczliwie usiłowałam ją uspokoić, światło w sypialni Sally i Arta zapalało się kilka razy.

Po śniadaniu usiadłam z Chloe na huśtawce. Sally poprawiła poduszkę z wyhaftowanym czarnym koniem i wcisnęła się obok mnie.

- Zapomniałam, jaki to koszmar - rzekła, spoglądając na Chloe. Podwinęła rękawy koszuli, ukazując piegowate przedramiona. - Byłam w tym beznadziejna - wyznała. - Nie potrafię udzielić żadnych rad ani praktycznych wskazówek.

- Wcale nie jestem pewna, czy sama już załapałam, na czym to polega.

- Uważam, że człowiekowi dany jest w życiu tylko jeden talent. Ja mam smykałkę do koni. Zawsze sądziłam, że jeśli ktoś potrafi radzić sobie z końmi, to i poradzi sobie z dziećmi. Ale okazuje się, że to nieprawda.

Chloe zaczęła marudzić, więc Sally wprawiła huśtawkę w ruch, co wyraźnie działało kojąco na dziecko. Siedziałyśmy tak, rozmawiając o błahostkach, póki zza domu nie wychynęło słońce i nie uderzyło w nas swym blaskiem. Wtedy wycofałyśmy się do kuchni. Kołysząc jedną nogą pożyczony bujany leżaczek, piłam gorzką kawę, Sally zaś przygotowywała gulasz i marchewkę.

Starałam się nie przyglądać matce, lecz nie potrafiłam się powstrzymać. Tak wiele w niej - sposób chodzenia z ledwie zauważalnym powłóceniem prawą stopą, pieprzyk na ramieniu - przypominało mnie samą. Czy mogłabym zbliżyć się i spróbować przekroczyć barierę upływu czasu i wspólnej przeszłości? Niemożliwe. Wszystko, co nas łączyło, to zbiór genów, a to nie wystarczało.

Teraz, kiedy miałam Chloe, patrzyłam na matkę z innej perspektywy. Wiedziałam, co to znaczy trzymać maleńką istotkę przyciśniętą do własnego ciała, wiedziałam, że jest ona całkowicie bezbronna i zdana na mnie. Toteż drżało na moich ustach pytanie: „Jak mogłaś mnie opuścić?” Pozostało jednak niewypowiedziane. Milczenie między matką a córką powinno (nie powinno?) być wyrazem długich lat wspólnego życia. „Matka dała mi klapsa, kiedy wykradłam jej z kieszeni pieniądze. Matka kazała mi nosić marszczoną sukienkę z jedwabiu o barwie koralowego różu. Matka obiecała dać mi sto funtów, jeśli nie będę palić”. Jednak pomiędzy

mną a Sally nie było nic prócz przepaści. Nie była to przepaść wroga, na to znałyśmy się zbyt słabo, po prostu pusta, niczym niewypełniona przestrzeń.

Sally energicznie kroїła marchewkę.

- J a k się miewa twój ojciec?

Sally musiała zdobyć się na odwagę, żeby zadać to pytanie, odpowiedziałam więc ostrożnie:

- Wydaje mi się, że po rozstaniu z tobą nigdy nie doszedł do siebie.

Odłożyła nóż i wytarła ręce w fartuch.

- Owszem, doszedł. Wiedział doskonale, że my... że nie pasowaliśmy do siebie. On pragnął jednego, ja czegoś zupełnie innego. W końcu dokonałam wyboru za niego.

- W twoich ustach brzmi to tak prosto.

Sally włączyła palnik gazowy i z trzaskiem postawiła na nim patelnię.

- Bo było proste. Jeśli dwoje ludzi nie potrafi ze sobą żyć, jedno musi odejść. Zresztą poznałam Arta, więc odeszłam. Lepiej, że zostałam z Alfredem.

Pochyliłam się, aby sprawdzić, czy pasek zabezpieczający Chloe jest dostatecznie ciasno zapięty.

- Szukałam cię na ulicy. Wymyślałam o tobie historie, wyobrażałam sobie, że pewnej nocy wlecisz do mojej sypialni. Staralam się nie zmrużyć oka, żeby tego nie przeoczyć.

Sally znieruchomiła.

- To spore obciążenie jak na barki jednej osoby.

Zsunęła mięso na patelnię, po kuchni rozeszły się trzaski i syki towarzyszące smażeniu.

- Nie mogę, niestety, powiedzieć, że nad tobą czuwałam, ale taka jest prawda. Nie wszystkie kobiety potrafią sprostować wszystkiemu, czego się od nich oczekuje, i nie rozumiem, dlaczego miałabym czuć się winna, Fanny. Miałaś Alfreda, który cię kochał.

- Jasne.

- Podaj mi naczynie żaroodporne ze stołu.

Wstałam po naczynie. Zadzwoił telefon, Sally odebrała. Przełożyłam mięso i marchewkę do żaroodpornego półmiska, dodałam trochę bulionu i wsadziłam do piekarnika.

Następnego dnia obudziłam się wcześniej i wyciągnęłam się na starym łóżku w pokoju gościnnym przykrytym patchworkową kołdrą, obserwując, jak światło słoneczne ślizga się po ścianie niczym roztopione masło. Na dworze jakiś ptak śpiewał w modrzewiach, lekki wietrzyk igrał wśród gałęzi. To miejsce było dziksze, rozleglejsze niż dom, miało szerszy horyzont. Sally opuściła mojego ojca dla Arta, zwykły trójkąt miłosny, jednak leżąc tak w ciepłym i przytulnym łóżku, uważałam, że wiatr w modrzewiach oraz horyzont, który ginął gdzieś daleko poza polem widzenia, miały w tym udział nie mniejszy niż wszystkie pozostałe czynniki.

- Chodź, obejrysz konie - powiedziała Sally po śniadaniu i zaprowadziła mnie na padok za domem. Pasło się tam siedem jej pupili o zmierzwionych grzywach i wielkich oczach, a na dźwięk jej głosu wszystkie podeszły i przepychały się, dopominając się o uwagę. Spokojna i urzeczona przemawiała do każdego z nich. - Chodź, Vince. Tutaj, Melly...

Nie bardzo wiedząc, cóż to takiego, Chloe wierciła się w moich ramionach, ja zaś marzyłam, żeby umieć obchodzić się z nią tak pewnie, jak Sally postępowała z końmi. Sally wzięła ode mnie Chloe.

- No, zaprzyjaźnij się.

Dotykałam gorącej, pachnącej skóry i miękkich pysków. Chloe zamrugała, a Sally poprowadziła jej drobną rączkę w stronę parującego końskiego boku.

- Ładny konik, Chloe - powiedziała. - Kiedy będziesz starsza, musisz nas odwiedzić, nauczę cię jeździć.

Poczułam w ustach cierpki smak. Z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że jestem zazdrosna o własną córkę. Zająłam się tarmoszeniem grzywy Melly i stoczyłam ze sobą wewnętrzną walkę, aby przywołać się do porządku.

Minęła chwila.

Mięśnie układały się fałdami na szyi Melly. Pogładziłam ją, ciesząc się dotykiem wilgotnej sierści.

- Ciekawa jestem, co u Willa?

- Jakim on jest mężczyzną? - Sally delikatnie odsunęła nos Melly poza zasięg rączki Chloe. - Spodobałoby mu się tutaj?

- Myślę, że tak. Ale on nie ma czasu przyjechać.

Sally oddała mi Chloe i przeskoczyła przez ogrodzenie. Konie stłoczyły się wokół niej. Przymocowała lonżę do uzdy Melly, chwyciła się złocistej grzywy i wskoczyła na koński grzbiet. W świetle dziennym wyglądała starzej, lecz uda pod dzinsowymi nogawkami były silne i jędrne.

- Art pozwala sobie na wiele wolnego czasu. Tym się różnią.

- Obróciła Melly i odjechała kłusem na koniec padoku i z powrotem. - Tylko sprawdzam. Miała kłopot z pęcina. Ale już jest dobrze.

W oddali kombi Arta ostrożnie sunęło drogą w naszym kierunku. Samochód zwolnił, Art otworzył okno. Spokój zakłóciły dźwięki muzyki country and western.

- Wykombinowałem sobie, że nadłożę drogi, żeby przywitać się z moimi paniami. - I pojechał dalej.

- Na tym właśnie polega, moim zdaniem, zdanie testu - rzekła czule Sally. - Robi to niemal codziennie.

Zsunęła się z grzbietu Melly i oparła o parkan. Konie otoczyły ją ponownie.

Poczułam przygniatający smutek, wręcz złość, że mój ojciec nie przeszedł pomyślnie testu Sally.

- Dogłądanie koni musi dawać ci w kość.

Sally zmrużyła przed słońcem powieki, co uwydatniło wachlarzyk zmarszczek wokół oczu.

- Wszystko potrafi zmęczyć. Pozostaje pytanie, co męczy cię najmniej. Konie są łatwe, nieskomplikowane. Trzeba je karmić, oporządzać i przeganiać, a one mogą w zamian obdarzyć człowieka odrobiną miłości. Ale tylko odrobiną. To uczucie nie leży w ich na-

turze. Jestem tego świadoma. A ponieważ o tym wiem, nie robię z tego problemu.

Przełożyła nogi przez ogrodzenie.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego nie udało nam się z twoim ojcem wspólne życie? On chciał osiągnąć zbyt wiele, zbyt szybko. I właśnie to mnie męczyło. Nie zależało mi na wielkim domu, podejmowaniu gości, snobowaniu się na znawcę wina. I nie chciałam poświęcać wszystkiego dla bogacenia się. Ale było mi ciężko, bo znaliśmy się tak długo.

- Aż tak bardzo się nie wzbogacił. Ten interes wcale nie jest żyłą złota.

- Popełniłam błąd - rzekła Sally. - Nie uświadamiałam sobie, jak człowiek może się zmieniać wraz z upływem lat.

W ostatnim dniu mojego pobytu Art pilnował Chloe, a Sally zabrała mnie na przejażdżkę na grzbiecie Melly. Sama jechała przodem na dużym, wierzgającym Quincym, gnając go drogą obsadzoną drzewami, które przybierały wszystkie możliwe odcienie żółci i ochry. Ziemia pod końskimi kopytami była wilgotna, owady unosiły się chmurami. W oddali rysowało się pasmo wzgórz o poszarpanych, niepokojących grzbietach kontrastujących z łagodnym pejzażem wokół miasta. Sally wskazała w ich kierunku.

- Tam wyżej zobaczysz ruiny kilku zabudowań kopalnianych, jeśli tylko uważnie popatrzysz. Biedaczyska. Nigdy nie znaleźli nawet grudki złota.

Quincy nerwowo machnął ogonem, ja wlokłam się z tyłu, manipulując przy wodzach Melly i nieustannie poprawiając kąty ustawienia stóp w strzemionach. Każdy ruch przypominał mi, że nie ma przy mnie Chloe. Wiedziałam, że znajduje się pod doskonałą opieką, że jest bezpieczna, a jednak przy każdym szeleście w zaroślach i każdym drzeniu gałęzi łapałam się na nasłuchiwanie oddechu mojego dziecka. Przy każdym głuchym uderzeniu kopyt natężałam słuch, by złowić uchem płacz bólu, głodu albo odgłosy zadowolenia.

Tak wyglądało teraz moje życie i w żaden sposób nie można było temu zaradzić.

Po kolacji pomagałam Sally wypiekać pierniczki na piknik Klubu Rotariańskiego.

- Wsiadamy do naszych kombiaków, bierzemy kurs na góry, trochę śpiewamy, dużo jemy. Jest świetnie.

Chloe spała w małej sypialni, natomiast Art oglądał telewizję w sąsiednim pokoju, otoczony papierami i puszkami po piwie.

Sally zanurzyła łyżkę w melasie.

Od twojego przyjazdu moja robota papierkowa leży odłogiem. Ale nie szkodzi, jestem bardzo zadowolona, Fanny. Było naprawdę miło.

Melasę należało przełożyć do miski.

- Między nami zgoda?

- Tak. - Jej twarz oblała się jaskrawoczerwonym rumieńcem.

- Chciałabym... Ale to wyłącznie mój problem. - Wypuściła łyżkę i skrzyżowała ręce na brzuchu.

- Sądziłam, że niczego nie żałujesz.

- I tak, i nie. Normalne. - Wlała masę piernikową do formy.

- Muszę jednak przyznać, że to bardzo szlachetnie z twojej strony, że... Och, do diabła, Fanny. Wybrałam najlepsze wyjście.

- Hej. - Położyłam dłoń na jej ramieniu. - Nie chciałam...

Podniosła wzrok.

- Postawiłam na siebie, ponieważ doszłam do wniosku, że mam tylko jedno życie, które powinnam przeżyć jak najlepiej. - Ściszyła głos. - Osoba Arta odegrała tu poniekąd zupełnie drugorzędną rolę. - Zaśmiała się. - Można powiedzieć: przypadkową, bo napałtował się we właściwym momencie. Ale to nasza tajemnica.

Oparłam się obok niej i przesunęłam palcem po ścianie miski.

- Jest sympatyczny, Sally.

- Jest mężczyzną - odparła z werwą. - Ale czy ktoś z nas jest sympatyczny? Ludzie bywają różni, akurat on mi odpowiadał.

Oblizyłam palec.

- Uciekłaś.

Sally podała mi miskę, bym mogła wylizać z niej kolejną porcję.

- Tak jak mówię, lepiej idzie mi z końmi. I tego się trzymam. Wiesz, człowiek potrzebuje czegoś, co pozwoli mu oderwać myśli od całego tego zamieszania towarzyszącego posiłkom, układaniu się do snu, uprzejmemu zachowaniu w domu. Mężczyźni nie zaprzatają sobie tym głowy non stop. Dlaczego miałabym robić to ja?

Kiedy po raz ostatni kładłam się spać na łóżku, zadzwonił Will. Owinęłam ramiona pledem i zeszłam do kuchni odebrać telefon.

- Nie mogę się ciebie doczekać, Fanny - powiedział.

Nie rozmawialiśmy ze sobą przez trzy dni i odczuwałam to do tkliwie.

- Opowiedz, co się dzieje.

Miał w zanadrzu kilka plotek.

- Tylko posłuchaj. Premierowi spodobało się przemówienie, które dla niego napisałem, i wykorzystał kilka zwrotów. „Mądra opieka”, wiesz, tego rodzaju rzeczy. Niezbyt to rewolucyjne, ale najwyraźniej załatwiło sprawę.

Opowiedziałam mu o konnej przejażdżce przez modrzewiowe lasy i ruiny zabudowań kopalnianych.

- Siedzieli tam przez całą zimę, umierając z chłodu.

- Pragnęli lepszego życia. - W ten sposób mawiał dawny Will, ten z początku naszej znajomości.

- Gdybyś przyjechał, moglibyśmy wybrać się konno w góry.

- Tak - potwierdził - z przyjemnością.

Po przylocie na londyńskie lotnisko dostrzegłam Willa pierwsza, zanim zauważył mnie i Chloe. Był mocno zaabsorbowany rozmową z jakąś blondynką z końskim ogonem i w obcisłych skórzanych spodniach.

Uśmiechał się, rozprawiał i gestykulował w sposób, którym posługiwał się, gdy zabiegał o słuchacza, chcąc przeciągnąć go na swoją stronę. To był Will w szczycie swojej elokwencji i dziewczyna słuchała go z wielką uwagą.

Podbiegłam do niego, nie zważając na ciężar Chloe i wózek bagażowy.

- Will?

Odwrócił się gwałtownie.

- Witaj, kochanie. Witaj, mój szkrabku.

Dziewczyna ulotniła się.

- Kto to był? - zapytałam.

- Nie mam pojęcia. - Will tulił Chloe. - Powiedziała, że rozpoznała mnie z telewizji i podziwia nasze starania, więc wyjaśniałem, jak zamierzamy je realizować.

Przywarłam do niego.

- Tak się cieszę, że cię widzę. Ostatnie kilka dni strasznie mi się dłużyło.

- Mnie też.

Will podał mi Chloe i zajął się bagażem. Poszliśmy w stronę samochodu.

- Jest dobrze, prawda? - zauważył, przypinając Chloe w foteliku.

- Moja twarz zaczyna być znana.

Przez całą drogę do domu przyglądałam mu się, głodna każdego szczegółu.

- Naprawdę za mną tęskniłeś? - zapytałam.

Odwrócił ku mnie głowę i spojrzał, a mnie przez chwilę wydawało się, że dostrzegłam jakiś cień w jego oczach, jakąś rezerwę, której nie potrafiłam zinterpretować.

- Tęskniłem bardziej, niż potrafisz sobie wyobrazić.

Położyłam dłoń na jego udzie i jej nie cofnęłam.

W domu w Stanwinton na stole w holu leżał oprawiony w brązową skórę terminarz. Za okładkę były wsunięte zaproszenia. Podwieczorek w kręgielni. Charytatywna wyprzedaż na rzecz rodziców samotnie wychowujących dzieci. Bal Stowarzyszenia Kobiet...

- Mannoche nie próżnował - rzekłam.

Meg pospieszyła nam na spotkanie.

- Witaj w domu, Fanny. Jesteś pewnie wykończona? Och, Chloe, jaka z ciebie duża dziewczynka... W kuchni czekają kanapki i kawa. Chodź, obejrzysz zmiany.

Wraz z przebudową niezbędną do przyjęcia Meg pod nasz dach, remontu doczekała się również kuchnia. Pachniała farbą, a mojej przytępionej długą podróżą wrażliwości wydawało się, że emanuje z niej świeżość i optymizm - jeśli w ogóle było to możliwe. Kiedy planowaliśmy przebudowę, Will zasugerował, żebyśmy szarpnęli się i kupili nowy piekarnik. I oto stał przede mną: masywny, solidny, niezawodny. Pokazałam go Chloe, która uznała go za rzecz wyjątkowo ekscytującą w chwili, kiedy zatrzasnęłam jego drzwiczki.

Małeńka kuchnia Meg lśniła nowymi sprzętami i półkami, nad podgrzewanym wieszakiem w łazience wisały dopasowane kolorystycznie różowe ręczniki. Dotknęłam jednego - był miękki i drogi, w tym samym kolorze co wiszący na drzwiach czepek kąpielowy.

Meg kręciła się za moimi plecami.

- Fanny, nie podziękowałam ci należycie... że zgodziłaś się, bym tu zamieszkała.

Odwróciłam się.

- Nie musisz dziękować. Cieszę się, że mogliśmy ci pomóc.

- Muszę - twierdziła uparcie. - Potrzebuję miejsca dającego pewność i bezpieczeństwo, żebym mogła... rozprawić się z... Zresztą sama doskonale wiesz. Samodzielnie nie dałabym sobie chyba rady,

ale obiecuję, że będę pomagać najlepiej jak umiem, aby spłacić dług wdzięczności. Mam zamiar jak najszybciej znaleźć pracę. Na pół etatu, żebym mogła odciążyć cię przy Chloe. - Uśmiechnęła się nieco ponuro. - Postaram się zarobić na swoje utrzymanie.

Zostawiłam Meg zajętą rozmową z Willem, oparłam Chloe na biodrze i zanosłam na górę do sypialni. Pootwierałam okna, a Chloe chichotała, gdy mocowałam się z zatraskami. Wyglądała tak prześlicznie, tak apetycznie, że aż miałam ochotę ją zjeść, poprzestałam jednak na złapaniu i ucałowaniu tłustej piąstki.

Gawrony krakały w konarach drzew. Zatrzepotała zasłona, a ja oczami wyobraźni ujrzałam spokojny, absolutnie sielski domowy obrazek i osadziłam go w pamięci obok wszystkich innych obrazów i dźwięków tam przechowywanych. Usiadłam na łóżku, mocno przygarnęłam do siebie Chloe i oparłam brodę o jej kędzierzawą główkę.

- Jesteśmy w domu, Chloe - obwieściłam.

W Ameryce odstawiłam Chloe od piersi, choć proces ten wymagał szeregu zmagani na huśtawce Sally. Dawałam jej właśnie butelkę na noc, gdy do łazienki wszedł Will. Chloe wypuściła z buzi smoczek i odwróciła główkę w jego kierunku.

- Widziałaś? - Był uradowany. - Poznaje mnie.

- Oczywiście, że poznaje.

- Nie było was tak długo, że mogła zapomnieć o tatusiu. Teraz pozwól mnie. - Posadził sobie Chloe na kolanie i podał jej butelkę. Chloe najpierw trochę grymasiła, ale potem się uspokoiła. Przytulił ją mocniej.

- Fanny, skoro sprzedaliśmy mieszkanie, jak zapatrujesz się na pomysł wynajęcia domu przy Brunton Street?

Wraz z narodzinami Chloe powstała potrzeba znalezienia w Londynie nieco bardziej przestronnego miejsca na nocleg i wytchnienie po pracy. Przed wyjazdem do Stanów zdążyłam wystawić mieszkanie Willa na sprzedaż. Zostało kupione na pniu w ciągu dziesięciu dni.

- Po co?

- Jest tak blisko Westminsteru.

- Ale dlaczego akurat Brunton Street? Stoi tam pełno wąskich, ciasnych domów, których cena równa jest długowi narodowemu większości krajów afrykańskich.

Wpatrywał się w Chloe, teraz jednak przeniósł wzrok na mnie.

- Nauczyłem się ostatnio kilku rzeczy, Fanny, i przeprowadziłem rozeznanie. Musimy podejmować gości i nawiązywać kontakty, rozmawiać z ministrami, nasze twarze powinny stać się lepiej znane. Myślę, że takie życie bardzo przypadnie ci do gustu. Interesujący ludzie... - Przełożył Chloe. - W zasadzie oglądałem już jeden dom z Meg i ona uważa, że nadawałby się dla nas doskonale.

Wrzuciłam upapraną kombinezon Chloe do kosza z brudną bielizną.

- Tak? Tak uważa?

- Byłem pewien, że nie będziesz miała mi za złe - rzekł pośpiesznie Will.

Nie wiem, dlaczego ta drobna nielojalność ugodziła mnie tak mocno, niemniej jednak tak właśnie się stało. Uciekłam się do sarkazmu.

- Czy mogłabym okazać śmiałość i zasugerować, że i ja chciałabym obejrzeć ten dom?

Chloe skończyła butelkę. Poczekałam, aż jej się odbije, po czym ułożyliśmy ją w łóżeczku. Nakręciłam pozytywkę i oboje obserwowaliśmy z progu pokoju, jak zapada w sen.

- Will... - szepnęłam. - Jesteś c a ł k o w i c i e pewien, że możemy zostawiać Chloe z Meg? Nie narazimy ich na ryzyko? Co by się stało, gdyby Meg poszła w tango, a ja byłabym z tobą w Londynie?

- Bardzo mało prawdopodobne - odparł Will, być może zbyt skwapliwie. - Pomimo całej tej sytuacji nigdy nie pojawił się nawet najmniejszy problem, gdy opiekowała się Sachą. Wiem, że nie dopuściłaby, żeby Chloe spadł z głowy choćby jeden włos.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, Will.

Objął mnie w talii.

- Wiem, że dla Chloe Meg uczyniłaby cuda.

Następnego ranka Meg zjawiła się w sypialni ze śniadaniem na tacy.

- Pomyślałam, że będziesz bardzo zmęczona. - Położyła tacę na moich kolanach. - Nakarmiłam Chloe, a teraz Will bawi się z nią w „a kuku”. Nie wiem, komu bardziej podoba się ta zabawa.

Meg zadała sobie trud z przygotowaniem tacy. Nałożyła marmoladę na mały talerzyk, podała gorące mleko do kawy. Podziękowałam jej, z apetytem spałaszowałam śniadanie i poczułam okropne wyrzuty sumienia, bo wolałabym, żeby tego wszystkiego nie robiła.

W poniedziałek powierzyliśmy Chloe opiece Meg i pojechaliśmy razem z Willem rozejrzeć się w domu przy Brunton Street. Uzgodniliśmy z Mannochem, że spotkamy się na miejscu, zatem dokonaliśmy oględzin we trójkę. Miałam rację - był to wąski i ponury budynek stojący w rzędzie podobnie wąskich i ponurych budynków, zamieszkały wcześniej przez rodzinę z Bliskiego Wschodu.

Mannochie wskazał maleńki pokój z wejściem z korytarza, który idealnie nadawałby się na jego londyńskie biuro. Powiedziałam, że nie chciałam nikogo urazić, lecz nie jestem przekonana, czy miałabym ochotę, żeby kręcił się po naszym domu, na co on uśmiechnął się i oświadczył tym swoim cierpkim tonem:

- Nie sprawiałbym kłopotu. Jestem nauczony porządku, więc gdybym dostał klucz, sprawowałbym się jak należy.

Tak więc cicho mówiący i bezszelestnie stąpający Mannoche miałby leżeć spokojnie na swym legowisku i czekać na wezwanie.

- Nigdy nie masz dość, Mannoche? Nie zastanawiasz się czasem, co ci przyjdzie z takiego życia - jaki mamy z niego pożytek my wszyscy?

Pokręcił głową.

- Brak mi czasu na takie rozważania, jestem zbyt zajęty. Można by rzec, że wziąłem ślub ze swoją pracą.

Doprawdy zdumiewało mnie, jak ochoczo Mannoche podporządkowywał swoje życie naszemu. Być może brak czasu na refleksję

sję był zaletą, skuteczną bronią. Jak osieroczone jagnię okryte skórą martwego baranka i podsunięte nowej matce, tak Mannoche nabrał naszego zapachu i smaku.

Na pierwszym piętrze długi jak kiszka pokój dzienny wypełniał całą przestrzeń pomiędzy frontem a tyłem budynku i był rozplanowany identycznie jak kuchnia w suterenie. Kolejną kondygnację zajmowały dwie sypialnie. Potem znowu schody i kilka pokoiów na poddaszu, ciasnych i dusznych, ze skośnymi sufitami i osadzonymi wysoko zakratowanymi oknami.

Will zszedł na dół, aby raz jeszcze rzucić okiem na pokój dzienny. Mannoche stał na czubkach palców i oglądał okoliczne dachy. Zaskoczył mnie słowami:

- Temu właśnie służy nasza polityka: zaprzestaniu segregacji na poddaszach i w suterenach.

- Nigdy nie słyszałam z twoich ust politycznych komentarzy.

- Bo nigdy o nie nie prosiłaś, Fanny - odparł ze stoickim spokojem.

Gdy schodziliśmy, przedstawiał kalendarz czekających w najbliższym czasie zadań:

- Uroczyste otwarcie sesji parlamentu. Zwyczajowe bożonarodzeniowe powinności i spotkania w Stanwinton. Przerwa parlamentarna.

- Ajaka jest w tym wszystkim rola żony? - spytałam z drwiną.

- Być doskonałą, uśmiechniętą, pełną zapału małżonką, która nosi rajstopy - wyliczył na palcach. - Nie taki diabeł straszny, Fanny, prawda?

Wyszczrzyłam zęby.

- To trochę jak z porodem. Człowiek czyta, chodzi do szkoły rodzenia, ćwiczy oddychanie, ale gdy przychodzi co do czego, mówi sobie: „Zaraz, ktoś tu się pomylił”.

Zakończywszy oględziny domu, wyszliśmy na ulicę. Mannoche omówił z Willem kilka spraw i dodał:

- A przy okazji, musimy porozmawiać o projektach dotyczących ruchu drogowego. Drobnymi sklepikarzami organizują protest. Chcą, żeby się włączył.

Will wyglądał na skonsternowanego.

- Oczywiście. W y s ł u c h a m , co mają do powiedzenia.

- Ale nie będziesz zajmował stanowiska? - spytałam.

Will poczuł się niezręcznie.

- Zajmowanie stanowiska w kwestiach lokalnych jest nierozsądne, prawda, Mannoche? Lepiej być wiernym sprawom o zasięgu ogólnokrajowym.

- Uczysz się - skonstatował Mannoche.

Rozmawialiśmy o domu przy Brunton Street, kiedy odwoziłam Willa do Westminsteru, i postanowiliśmy podjąć decyzję jeszcze tego samego wieczoru. Wysadziłam go przy parlamencie i pojechałam do dawnego mieszkania, aby wziąć się do pakowania i porządkowania rzeczy.

Na miejscu panował rozgardiasz, lecz nie spodziewałam się niczego innego. Pozmywałam naczynia, podlałam oklapniętą roślinę doniczkową, wyrzuciłam gazety z całego miesiąca i odkurzyłam pokój dzienny.

Żeby oderwać się na chwilę od pracy, zadzwoniłam do Elaine.

- Cudownie, że dzwonicz - powiedziała. - Spotkajmy się jak najszybciej. Chcę znać wszystkie plotki.

Paplałyśmy przez dobre dwadzieścia minut, Elaine opisywała przygotowania do zbliżającego się przyjęcia urodzinowego Sophie.

- Podarunki przyprowadzają mnie o ból głowy. Próbuje prześcignąć Carol. Wieść gminna niesie, że podarowała bilety lotnicze. Ja mam tylko słodycze. Jak zniosę taki wstyd? Czy wyrządzą mojej córce krzywdę na całe życie?

Ciągle jeszcze śmiejąc się, zadzwoniłam do Meg, aby sprawdzić, czy z Chloe wszystko w porządku.

- W porządku - odparła Meg. - Właśnie ucina sobie drzemkę.

Rozmawiałyśmy o weekendzie, na który miał przyjechać Sacha.

- Boję się, czym mi odpłaci - wyznała Meg, a mnie zrobiło się jej żal. No ale cóż - dodała. - Mam to, na co zasłużyłam.

- Nie mów tak, Meg.

- Daj spokój, Fanny. Jak myślisz, co mi pozostało? Ani męża, ani syna, ani - jak na razie - pracy. Jeśli w ogóle. Na utrzymaniu brata i jego życzliwej żony. Świata raczej już nie zawojuję. Ale to wszystko moja wina.

Wróciłam do porządkowania mieszkania. W Ameryce postanowiłam nie pozwalać mojemu mózgowi na bezczynność, słuchałam więc programu poświęconego bieżącym wydarzeniom, które potem miałam zamiar przedyskutować z Willem. To surowe założenie zostało wystawione na poważną próbę, gdy dostrzegłam swoje odbicie w lustrze i doszłam do wniosku, że bardzo, ale to bardzo potrzebuję nowych ubrań. Mam być kobietą reprezentacyjną. Był to sygnał do rozpoczęcia dłuższej debaty z samą sobą na temat przewagi jakości nad ilością, w końcu jednak postawiłam na tę drugą. Swobodna, tryskająca energią, na czasie, dobrze poinformowana - taki wizerunek wymaga mnóstwa ciuchów.

Zatelefonował Will.

- Sprawdzam tylko... czy tam jesteś - powiedział.
- Jestem. - Przycisnęłam szufelkę do piersi.
- Będę trochę później, ale nie strasznie późno.
- Dobrze.
- Tęsknisz?
- Tęsknię.

Następna na liście była sypialnia. Przełączyłam radio na audycję muzyczną, w której puszczano *V Symfonię* Beethovena, ściągnęłam z łóżka pościel i zebrałam w stertę.

Coś wypadło na podłogę.

Ugięły się podę mną kolana, usiadłam więc na łóżku.

Na podłodze leżała gładka krótka halka z białego jedwabiu, i bynajmniej nie należała ona do mnie.

Kiedy przyjechał Will - późno, ale nie strasznie późno - czekałam z kolacją i otwartą butelką wina. Mieszkanie prezentowało się nieskazitelnie, w tle obracał się bęben pralki.

Pozwoliłam pocałować się w policzek.

Will był ożywiony, chciał opowiedzieć mi o projekcie ustawy, którą prawie już przeforsowali w Izbie Gmin.

- Nie jest doskonała, Fanny, ale to duży krok naprzód, i spieszymy się, żeby dopiąć wszystko na ostatni guzik.

Ja też się kiedyś pospieszyłam. Z poślubieniem Willa.

Napełnił kieliszek winem.

- Go więcej, szepcze się o wakacie w biurze deputowanego odpowiedzialnego za dyscyplinę partyjną i wymieniono moje nazwisko.

- Zrezygnowałbyś ze swojej niezależności?

Zmierzył włosy.

- To jedyna droga, przecież wiesz. Nie da się niczego osiągnąć, bąkając coś pod nosem na ławkach dla szaraków. Żeby doprowadzić coś do końca, trzeba siedzieć z przodu. A droga na górę prowadzi przez gabinet deputowanego od dyscypliny partyjnej. - Uderzył dłonią w stół. - Umieram z głodu. Możemy zacząć?

Spojrzałam mu prosto w twarz przez zastawiony porcelaną i sztucami stół.

- Will, kogo tu przyjmowałeś?

Drgnął.

- Czemu pytasz?

- Ponieważ znalazłam w naszym łóżku bieliznę.

Will zrobił się biały jak kreda.

- O czym ty mówisz?

- Może ty mi wyjaśnisz.

Czy chciałam, by zaprzeczał, żarliwie, z przekonaniem, żebym mogła mu uwierzyć? Czy wolałabym, by spojrzał mi w oczy i przyznał się do niewierności?

Odpowiedzi nie znałam. Każda niosła ze sobą potworne brzemie bólu i podejrzeń.

- Co to za kobieta?

Will odpowiedział wreszcie:

- To musiała być Liz.

- Masz ich więcej?

- Zajmuje się zbieraniem informacji dla mnie i zaproponowa-
łem, że może tu przenocować, kiedy któregoś wieczoru pracowała
do bardzo późna.

- Nie kłam.

Odwrócił wzrok.

- W porządku. Żadnych kłamstw. Koniec z kłamstwami.

- Kiedy?

- Chcesz poznać szczegóły?

Wbiła wzrok w czystą podłogę, którą rano zamiatałam z taką
beztroską.

- Może lepiej nie.

Will zakrył oczy dłonią.

- Co ja zrobiłem?

Odgłosy w mieszkaniu - stłumione bulgotanie rury wodociągo-
wej, szum pralki - wydawały się bardzo głośne.

- W n a s z y m łóżku?

- Przepraszam.

- Za nasze łóżko czy za to, co tu wyprawiałeś?

Will się wzdrygnął.

- Dobrze mi tak.

Nastąpiło długie, długie milczenie.

- Wypiłem kilka szklaneczek whisky - rzekł. - Nie wiem, jak do
tego doszło. Kto jak kto, ale... akurat ja powinienem wiedzieć.

Pstryk. Wyłączył się bojler, a ja w tej samej chwili poczułam, jak
coś we mnie umiera... absolutne i ślepe zaufanie, jakie pokładałam
w Willu.

Poczułam się głupia, naiwna, nieprzystosowana.

- Will - wyszeptałam. - Czy ty się mną znudziłeś? Nie mamy
długiego stażu małżeńskiego.

- Nie w tym rzecz, Fanny. Nie potrafię ci tego wyjaśnić. Nie mam
nic na swoje usprawiedliwienie, ale tamto nie miało nic wspólnego
z tobą.

- J a k sobie wyobrażasz dalsze wspólne życie?

Skrzył głowę w dłoniach.

- Proszę, nie mów tak.
- A co mam powiedzieć? Co powiedziałałbyś na moim miejscu?
- Nie wiem - odparł. - Wiem tylko, że byłbym zrozpaczony.
- No więc? - Poruszyłam się na krześle na próbę, ponieważ każdy ruch wydawał się sprawiać ból. - Może wszystko wyglądałoby inaczej, gdybyśmy byli małżeństwem od dawna.

- Wcale nie - wymamrotał.

- Jakie to łatwe! - wybuchłam. - Ja wyjeżdżam z twoją córką, a ty skwapliwie korzystasz z pierwszej lepszej okazji... żeby się zabawić.

Wstałam, weszłam do sypialni i spojrzałam na świeżo pościelone łóżko. Obrazy, które przywoływał jego widok, były zbyt trudne do zniesienia, poczłapałam więc do łazienki, przycupnęłam na brzegu wanny i próbowałam zebrać myśli. Popatrzyłam w lustro na obcą mi twarz.

Wróciłam do Willa. Siedział na poręczy sofy z poszarzałą twarzą, nie otrząsnąwszy się jeszcze z szoku. Nasze spojrzenia spotkały się. Ja pierwsza odwróciłam wzrok.

- Wyjeżdżam - oznajmiłam. - Wracam do domu i Chloe. Powiadomię cię, jak podejmę jakieś decyzje.

Nie byłam ani głupia, ani naiwna. Wiedziałam, co to seks. Zdawałam sobie sprawę, że chwile słabości się zdarzają i jakoś da się to przeżyć. Świat zbudowany jest z pokus, a Liz była jedną z nich. Wyobraziłam ją sobie, jak pędzi zaaferowana korytarzami parlamentu. Widziałam, jak telefonuje, gromadzi dane - bystra i zorganizowana. Nic więcej do szczęścia nie potrzeba.

Może to jest wyjaśnienie. Bliskość - podobna tej szczególnej intensywności mieszkania z Willem głowa przy głowie w ciasnych czterech ścianach. Te słodkie, odurzające zetknięcia ciała z ciałem.

Może to, co mówiono o Westminsterze, było prawdą?

Niemal sobie wmówiłam, że gdybym pracowała tam, gdzie Will, i oglądała krążących w poszukiwaniu przygody mężczyzn, może i ja uległabym podszeptom węża i zjadła zakazany owoc.

Ale to Will nie dochował wiary.

Może gdybyśmy rozmawiali, wyjaśniłby, że zniechęcały go niechlujstwo macierzyństwa, błoga bliskość między dzieckiem i matką oraz nowy absolutny priorytet - potrzeba snu.

Może narodziny dziecka mają przypominać człowiekowi o śmierci, a takie nagłe sprowadzenie na ziemię jest zbyt mocnym i gwałtownym wstrząsem. Rozumiem, że jabłko o delikatnym miąższu daje chwilę słodczy i zapomnienia. A może coś musi umrzeć, gdy coś innego się rodzi. Jeśli tak, powinniśmy byli dzielić się ze sobą naszymi lękami, gdyż i ja odczuwałam ich mroczną obecność.

Obudziłam się następnego dnia rano w naszym pustym łóżku w Stanwinton.

Co robić?

Poszukać ucieczki w macierzyństwie. Poszukać ucieczki w prowadzeniu i pucowaniu domu. O to, co zrobię. Dam Chloe śniadanie. Ogrzewanie? Ustawię. Trzeba posortować poranną pocztę. Zwyczajnie, codzienne życie płynęło ponad rafami i ukrytymi rozlewiskami, omijało niebezpieczne mielizny. W obliczu groźby utonięcia uczepliłam się go z całych sił.

Ranek jakoś minął. Wykonawszy wszystkie zadania, trzymałam Chloe w mocnym uścisku, a ona wyobrażając sobie, że to jakaś zabawa, gaworzyła z uciechy i zaglądała mi w twarz. W jej ogromnych, niewinnych oczach ujrzałam odbicie swojego nowego ja: osoby wysokiej i silnej, takiej, w której zawsze będzie miała oparcie.

Podskakiwała i odbijała się od moich piersi. Potem bez ostrzeżenia zwróciła lunch. Rozpłakała się zaskoczona nieoczekiwanym wypadkiem. Zaniiosłam ją na górę i napuściłam wody do wanny.

Teraz nadszedł czas na codzienne punkty programu: tradycyjną zabawę z żółtą kacuzką, chlapanie, piosenkę o morskich przestworzach i wygłupy z ręcznikiem pod hasłem „a kuku”.

Być może dotarło do niej moje przygnębienie, ponieważ kiedy ją ubrałam, Chloe przeobraziła się z radosnej małej księżniczki w tyrana, który żądał dodatkowego przytulania i pieśczoł. Grymasiła, kiedy położyłam ją do łóżeczka na popołudniową drzemkę, a jej niespokojne, słabe kwilenie towarzyszyło mi na schodach.

W kuchni rozejrzałam się za jakimś zajęciem i aż zaświeciły mi się oczy na widok góry ubranek dziecięcych przygotowanych do prasowania.

Gorącym i parą żelazko zmusiło maleńką garderobę do uległości. Gdyby tak łatwo było zmusić własne życie do przybrania właściwego kształtu. Gdybym tak mogła wprasować w te białe podkoszulki i różowe rajtuzy pogodnie oczekiwanie dnia wczorajszego. Gdybym tak mogła stopić żelazkiem wspomnienie bielizny obcej kobiety w moim łóżku.

Ale to było niemożliwe.

Usłyszałam przekręcanie klucza w zamku.

- Cześć. - W kuchni pojawiła się Meg. Miała zaróżowioną twarz i wyglądała ładnie w zamszowej kurtce i czarnych spodniach. - Dlaczego wróciłaś wczoraj wieczorem?

- Bez powodu.

- Nie miałaś do mnie zaufania?

Odłożyłam żelazko na podstawkę i wyłączyłam je.

- Potrzebuję trochę świętego spokoju, to wszystko.

- Fanny! Potrafisz być uszczypliwa. - Spojrzała na mnie surowo i rozpięła kurtkę. - Wszyscy miewamy złe dni, Bóg świadkiem.

- Powiesiła kurtkę na krzesło, a ja miałam ochotę krzyknąć: „Zabierz ją stąd!” Odsunęła drugie krzesło i na nie opadła. - Mnie możesz powiedzieć.

- Odejdź, Meg. - Po raz pierwszy odezwałam się do niej w ten sposób. Nie obraziła się, za co należało się jej uznanie.

- Czyżbyś pokłóciła się z moim ukochanym bratem? Młodzieńcze marzenie o miłości zostało skalane? - Oparła się łokciami o blat stołu i podparła dłońmi brodę. - Współczuję ci. Też to przeszłam.

- Wodziła za mną wzrokiem, gdy składałam, porządkowałam i przedstawiałam różne przedmioty, byle mieć zajęcie, byle oddychać.

- Nie warto się zadręczać. - Rzuciła tę uwagę w ciszę. - Możesz mi wierzyć.

Drwina w jej głosie dodała mi sił, dostrzegłam tkwiącą w Meg sprzeczność, która wyrażała się w tym przemieszaniu miłości i nienawiści.

- Nie można ufać nikomu - rzekła. - Nawet samemu sobie. Zwłaszcza sobie.

Meg miała rację. Niewiele za tym przemawiało, a jednak współczucie dla samego siebie otwierało człowieka na współczucie dla innych. Mimo że sama cierpiałam katusze, było mi jej żal tak samo jak siebie. Podniosłam kosz wyładowany wypranymi ubraniami.

- Zaparzę kawę, a potem chciałabym zająć się swoimi sprawami.

Meg zadarła głowę.

- Chloe płacze. Pójdę ją przewinąć. Zobaczę, czego potrzebuje. A propos, zrobiłam porządek w szafce z jej rzeczami. Któregoś dnia zauważyłam...

Zatrzęsłam się w nagłym przypiływie furii na tę jej ingerencję. Otworzyłam usta, by powiedzieć: „Nie wtrącaj się”, ale zmęczenie wzięło górę.

- Och, idź do Chloe.

Stałam odwrócona plecami do drzwi, kiedy Meg wróciła do kuchni.

- Fanny, wydaje mi się, że Chloe jest chora - odezwała się zupełnie innym tonem. - Jest rozpalona.

Zrobiłam gwałtowny zwrot i pognałam na górę, sadząc po dwa stopnie naraz. Chloe była czerwona, płonęły jej policzki. Gdy ją podniosłam, kwiliła i nienaturalnie pochyliła głowę.

- Potrzymam ją, a ty jedź po lekarza - zarządziła Meg. - Szybko.

- Zadzwońię do Willa - powiedziała Meg.

Stałyśmy obie nad łóżeczkiem na oddziale szpitalnym. Cała dygotałam, patrząc na maleńką i chorą Chloe leżącą na dziecięcym łóżku.

- Wiem, co myślisz - rzekła Meg stosunkowo spokojnym głosem. - Kłębą ci się w głowie wszelkie możliwe koszmary, ale ona wyzdrowieje. Lekarz powiedział, że chcą tylko zatrzymać ją na obserwację przez noc. Złapała jakąś infekcję dróg oddechowych i wirusa układu pokarmowego, nic więcej, nad wszystkim panują. Musisz tylko wziąć się w garść.

Chwyciłam Meg za rękę i trochę się uspokoiłam.

- Nie potrafię.

- P o t r a f i s z .

Pielęgniarki były miłe. Pokazały, skąd brać wodę i jak ocierać gąbką Chloe. Sprawdziły jej tętno, sporządziły notatki, rzucały fachowe terminy. Meg miała rację, ale ja i tak przesiedziałam całą noc przy łóżeczku Chloe ze wzrokiem utkwionym w małej postaci mojej córeczki, nie śmiejąc spuścić jej z oczu ani na chwilę.

Zgodnie z instrukcjami mniej więcej co piętnaście minut zanurzałam gąbkę i wyciskałam z niej wodę. Podnosiłam najpierw jedną drobniutką rączkę, moczyłam i delikatnie osuszałam, potem drugą. To samo powtarzałam z różowymi stopkami złożonymi z kruchych kosteczek, a następnie z całymi nóżkami.

Siadałam i znowu podejmowałam czuwanie.

Pielęgniarka o jasnych włosach ciasno zwiniętych pod czepkiem obejrzała Chloe. Karta zadrżała nieznacznie, gdy siostra z lekkim trzaskiem odwiesiła ją z powrotem na łóżeczko. Posłała mi półuśmiech, ja zaś nie potrafiłam rozpoznać, czy wyrażał on współczucie czy otuchę.

„Małe dzieci nie umierają, prawda?” Miałam ochotę błagać ją o potwierdzenie. „Nie teraz, nie w dzisiejszych czasach, zwłaszcza jeśli są tak okrągłutkie i różowe jak Chloe”. A jednak na przestrzeni dziejów umierały. Rasa ludzka była z tego znana.

Musiała wyczuć moją panikę.

- Czy przynieść pani filiżankę herbaty, pani Savage?

Około północy przyjechał Will. Był nieogolony i wyglądał okropnie. Unikałam patrzenia na niego, gdy przedstawiałam mu szczegóły sytuacji.

- Twierdzą, że antybiotyki zaczną działać w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Pochylił się nad łóżeczkiem i dotknął policzka Chloe.

- Małeńka - powiedział. - Teraz poczujesz się lepiej. - Wyprostował się. - Zostanę tu z tobą.

Przyniosłam jeszcze jedno krzesło i siedzieliśmy tak przez całą

noc ramię przy ramieniu, rozmawiając tylko wtedy, gdy było to niezbędne.

Rano stało się jasne, że Chloe powraca do zdrowia, odesłałam więc Willa z powrotem do Londynu.

Trzy dni później Meg i ja przyglądałyśmy się sobie nawzajem ledwie żywe przy kuchennym stole. Żadna z nas nie zaznała zbyt wiele snu od chwili przywiezienia Chloe do domu po nocy spędzonej w szpitalu.

Meg okręcała wokół palców kosmyk włosów.

- Teraz możemy odetchnąć.

„Nie, nie możemy” - pomyślałam. „Niczego już nie mogę traktować jako pewnik”.

Spojrzałam na swoje ręce, które wydawały się tak blade i chude, że ledwie je poznałam.

- Z małymi dziećmi tak bywa - zapewniła Meg. - To dla nas test. Zdobyłam się na słaby uśmiech.

- Meg, jestem ci wdzięczna za wsparcie.

Sprawiła wrażenie zadowolonej.

- Na razie.

Siedziałyśmy w przyjaznej ciszy i popijałyśmy kawę. Na górze po raz pierwszy od kilku dni Chloe spała spokojnie - co uważałam w owej chwili za szczyt moich pragnień.

- Dzwonił Will - poinformowała Meg. - Wcześniej. Jest w drodze.

Ku zdziwieniu nas obydwu ukryłam twarz w dłoniach i rozplakałam się. Poczułam na ramieniu dotyk ręki.

- Zostaw Willa mnie. Ty skup się na Chloe.

Tego było za wiele. Oderwałam ręce od wilgotnej twarzy.

- Meg. Dziękuję ci za wszystko, co zrobiłaś, ale musisz zostawić Willa i mnie w spokoju.

- Fanny... - Meg przybrała zatroskany wyraz twarzy, a ja nigdy nie wiedziałam, jak dalece mogę jej ufać. - Pilnowałam go w przeszłości. Wiem, jak z nim postępować.

- Nie, nie trzeba.

Wzruszyła ramionami.

- Ja k sobie życzysz. Proponuję jednak, żebyś przespała się przed jego przyjazdem.

Spałam głęboko, kiedy Will potrząsając mną, wyrwał mnie ze snu.

- Fanny, już szósta.

Otworzyłam oczy z wielkim trudem.

- Grzeczna dziewczynka. - Postawił obok filiżankę herbaty i przy-siadł na skraju łóżka. - Meg zadbała o wszystko na dole, uznaliśmy więc, że najlepiej będzie, jeśli pośpisz sobie jak najdłużej.

Leżałam zupełnie nieruchomo.

- Możemy porozmawiać?

- Co tu jest do powiedzenia?

Wyglądał odrobinę schludniej niż w szpitalu. W każdym razie ogolił się. Wbił wzrok w podłogę i powiedział:

- Postąpiłem jak ostatni dureń. Liz nic dla mnie nie znaczy. Ja też jestem jej całkowicie obojętny. Kocham ciebie i z tobą chciałbym przeżyć życie. Nie umiem wyjaśnić tego precyzyjniej, nie wychodząc przy tym na człowieka zasługującego na najgłębszą pogardę.

Starałam się wytłumaczyć mu, co czuję, i uczyniłam to dość niezręcznie.

- Will, to, co nas łączyło, było naszą prywatną sprawą, nie przeznaczoną dla nikogo więcej. Bóg świadkiem, że całą resztą dzielisz się ze światem. Nie rozumiesz? To jedyna rzecz, która należała wy-łącznie do nas.

Pochylał się nad splecionymi dłońmi.

- A czy nie jest odwrotnie? To mnie nie usprawiedliwia, wiem, ale...

- Will, słyszę Chloe.

- Przyniosę ją.

Zjawił się ponownie z bladym, zaspanym dzieckiem.

- No dobrze.

Położył ją na środku łóżka, a sam zajął swoje zwyczajowe miejsce.

Chloe delikatnie zachichotała. Will podparł się i dał jej do zabawy palec.

- Moje biedne słoneczko. Teraz już lepiej. - Chloe porwała jego palec, przycisnęła do swojej buzi i ugryzła. - Auu... - Will uwolnił rękę.

- Fanny, wiem, jak fatalnie to wygląda, wiem, że to okropne, ale błagam, nie komplikuj sprawjeszcze bardziej.

- Will, co ja mam o tym wszystkim myśleć?

- Nie wiem - rzekł z nutą beznadziei w głosie. - To była okropna pomyłka. Będę tego żałował aż do śmierci. Nie przystopowałem, żeby się zastanowić, nie robiłem żadnych porównań. Uległem impulsowi. Przepraszam. Bardzo przepraszam.

Pozbawiona uwagi Chloe wrzasnęła, a jej krzyk zabrzmiał już dużo bardziej swojsko. Will wziął ją w ramiona i przytulił policzek do jej buzi.

- Mój skarbek.

Tym razem Chloe ugryzła go w nos i Will zaskowytał.

- Kiedy się tego nauczyła?

- Prawdopodobnie ząbkuje.

Wzięłam głęboki oddech.

- Nie wiem, czy możemy pozostać małżeństwem.

Will wyciągnął do mnie ramię, lecz ja się wzdrygnęłam.

- Nie dotykaj mnie.

- Co mam powiedzieć, Fanny? Co mam zrobić?

Zerknęłam na zegarek. Szósta trzydzieści. Zamaszystym ruchem spuściłam nogi na podłogę.

- Zbieraj się, Will, kolacja w Klubie Rotariańskim. Nie będziemy tam siedzieć do późna.

Ze zdumienia rozdziawił usta.

- To my tam idziemy?

- A mamy wybór? - Otworzyłam szafę i wyciągnęłam sukienkę, którą wcześniej wybrałam na tę okazję. - Nie możemy sprawić zawodu.

- Ale co zamierzasz?

- Nie wiem, Will. Teraz mam zamiar zjeść kolację w Klubie Rotariańskim.

Ściągnęłam pulower i T-shirt i powoli, prowokacyjnie zatoczyłam przed własnym mężem krąg. Przełknął ślinę i pobladał. Moje ciało było wciąż jeszcze odrobinę zwiotczałe, piersi nie odzyskały swojej normalnej wielkości. Było to ciało dziewczyny... nie, nie dziewczyny, kobiety, która urodziła dziecko, i chciałam mu to pokazać.

Tamtego wieczoru błyszczałam w towarzystwie, tak przynajmniej relacjonował Will. Być może jednak postrzegał moje nowe, dość nieprzyjemne oblicze przez pryzmat własnej winy.

Co dziwne, wraz z oburzeniem i nadal częściowo skrywanym żalem nadszedł szczególny rodzaj pewności siebie oraz pragnienie, by nie dać się pokonać. Chciałam zmierzyć się z wyzwaniem, okazać stanowczość i bezwzględność, schwycić ząbujące się wątki i ułożyć je wedle własnego życzenia.

Will obserwował ukradkiem każdy mój ruch, kiedy wkładałam różową sukienkę z szerokim dołem oraz buty na wysokich obcasach, za co później przyszło mi zapłacić. Długo szcztokowałam włosy, a potem rozpuściłam je na plecy. Kazałam na siebie czekać, póki nie byłam gotowa i póki Meg nie została wezwana do zaopiekowania się Chloe.

Usiadłam za kierownicą, zrzuciłam buty i prowadziłam w milczeniu. Zaparkowałam samochód na parkingu hotelowym i przedstawiłam w skrócie program spotkania:

- Na miejscu będzie Pearl. Odbędzie się aukcja książek i innych przedmiotów. Loteria. To, co zwykle. Zbiórka pieniędzy na zakup sprzętu dla nowego oddziału neonatologii. Jasne?

- Fanny. Przestań.

- Nie - odparłam. Wzięłam torebkę i wcisnęłam stopy w buty na wysokim obcasie.

- Jeśli chcesz, żebym odszedł - odezwał się cicho - to powiedz.

- Nie wiem - rzekłam. - Przemysł to. Wchodzimy.

Pearl w sukni koloru splotawej zieleni, przetykanej srebrną nitką, emanowała niejakim dostojenstwem.

- Jest tu twój ojciec - zauważyła.

Rozejrzałam się dokoła i dostrzegłam go. Rozmawiał z jakąś blondynką w czerni i perłach. Uniósł rękę, a ja pomachałam do niego w odpowiedzi.

Pearl wcisnęła mi do ręki kieliszek bardzo przeciętnego szampana - wynioskowałam to z barwy i ogólnego wyglądu.

- Musimy uciąć sobie pogawędkę - oznajmiła, a ja mogłabym przysiąc, że jej wzrok prześliznął się po moich nogach w celu skontrolowania, czy włożyłam rajstopy.

Teraz jednak znałam się już na etykietach. Sączyliśmy szampana w sali recepcyjnej z brokatowymi zasłonami zdobionymi frędzlami oraz pokaźną ilością złocień. Stamtąd przeszliśmy do sali jadalnej, gdzie zaserwowano kurczaka w sosie śmietanowo-grzybowym, po którym podano gumowaty mus cytrynowy. Później była kawa z czekoladkami miętowymi. Objadłam się okrutnie i odpowiadałam na pytania dwóch mężczyzn siedzących po mojej lewej i prawej stronie, ale gdyby zapytano mnie, czego dotyczyła rozmowa, nie potrafiłabym sobie przypomnieć.

Uśmiechałam się uprzejmie, podnosząc filiżankę do ust, ale z wielkim trudem usiłowałam złapać sens całej tej sytuacji. Dawniej - jakże wydawało się to teraz odległe - mogłam robić, na co miałam ochotę, pijać kawę w kawiarni w sobotnie poranki i czytać książki o winie.

Podniosłam wzrok i napotkałam niedwuznaczne spojrzenie Pearl.

- Dobrze się czujesz, Fanny? Jesteś bardzo milcząca.

Dała mi w ten sposób do zrozumienia, że nie trajkocząc jak papuga, sprawiam zawód.

Chloe chorowała, mam za sobą kilka nieprzespanych nocy.

- Ojej. - Potraktowała rzecz marginalnie. - Miałam zamiar zapytać. .. czy mogłabym cię namówić na szersze udzielanie się w okręgu? Mam na myśli osoby starsze, dzieci.

Takt nigdy nie był mocną stroną Pearl. I w tym tkwiła tajemnica jej przetrwania. Z niejakim zdumieniem usłyszałam wypowiediane przez siebie słowa:

- Mam wyprać sobie żyły? Czy byłby z tego jakiś pożytek? Pamiętaj, proszę, że dopiero co przeprowadziłam się do nowego domu i wydałam na świat dziecko. Mam również pracę, do której muszę wrócić, jeśli jednak mogłabym zamęczyć się dla elektoratu na śmierć, uczynię to bez wahania.

Kule odbiły się od Pearl, nawet nie mrugnęła okiem.

- Właśnie w tym rzecz, Fanny. Komitet wolałby, żebyś nie miała żadnych innych zainteresowań.

Ta rozmowa sprawiała mi osobliwą przyjemność.

- A czy oni nie mieszkają przypadkiem w arce?

Jakimś cudem zjawił się u mojego boku Mannoche.

- Pozwolisz, że porwę Fanny? Jest tu ktoś, kogo musi poznać.

Wysłałam za nim do pustego przedpokoju.

- Wydawałaś się nieco zagubiona - wyjaśnił. - Pomyślałem, że przyda ci się chwila samotności.

Uśmiechnęłam się do niego z wdzięcznością.

- Jesteś niezmiernie miły, Mannoche.

- Nie zawsze przychodzi to z łatwością - powiedział.

- Co takiego? - spytał mój ojciec, pakując się nieproszony w to *tete-a-tete*.

Mannoche bąknął coś o sprawach okręgu wyborczego i wymknął się cichaczem za drzwi. Ojciec zarekwirował złożone krzesło i poklepał siedzisko drugiego.

- Przede wszystkim, jak się miewa Chloe?

Opowiedziałam mu szczegółowo o chorobie.

Na samym końcu powiedział:

- Spójrz na to z tej strony: infekcja wzmocniła jej system odpornościowy.

Zakrztusiłam się.

- Świetnie, ale w rezultacie osłabiła mój.

Popatrzył na mnie, kalkulując coś w myślach.

- Pewnie zainteresuje cię informacja, że czekam na nową dostawę z Margaret River. Myślę, że zdobędzie twoje uznanie. Ja stawiam na Semillon i Sauvignon Blanc. Przyjdź spróbować.

- Nie omieszkałam - obiecałam i ku mojemu przerażeniu poczułam cisnące się do oczu łzy.

Przyjrzał mi się badawczo.

- Zdaje się, że coś jest nie tak. Możesz mi powiedzieć?

Ale nie dane nam było porozmawiać.

- Tutaj jesteś... - przerwał Will od progu. - Wszędzie cię szukałem. Dzwoniłem do Meg, żeby dowiedzieć się o Chloe. Wszystko w porządku. Chcę odwieźć cię do domu.

Obejrzałam się. Na twarzy Willa malowała się mieszanina rozgoryczenia i czegoś, co można było opisać jedynie jako... zazdrość. Na ten widok poczułam zadowolenie, niemal radość. Chciałam go zranić.

Ojciec wyciągnął rękę.

—Jak się masz?

Pomyślałam, że Will zignoruje ten gest, a jednak uściśnął dłoń ojca i rzekł bez swojego zwykłego niewymuszonego wdzięku:

- Dobrze.

W towarzystwie ojca Will nigdy nie wzbijał się na wyżyny swoich możliwości. Trzeba jednak przyznać, że trudno byłoby okazywać mniejsze niż mój ojciec zainteresowanie zajęciem, które uważał za poślednie. Polityka jest dla chłopców, biznes dla dorosłych.

Atmosfera w przedpokoju ochłodziła się.

- Przyszedłem poszukać Fanny. - Will odstawił napełniony do połowy kieliszek na pobliski stół. - Sądziłem, że niepokoi się o Chloe. Powinniśmy wracać do domu.

Ojciec położył mi dłoń na ramieniu i pchnął mnie stanowczo w stronę męża.

- Oto i ona. Odwiedź mnie wkrótce.

Ścisnęłam jego rękę.

- Dbaj o siebie, tato.

Patrzył na mnie z taką miłością, że nieomal poddałam się wzruszeniu. Posłałam mu całusa i wtopiłam się w tłum rozgadanych mężczyzn i kobiet, którzy zmierzali ku szatniom i rozchodzili się do domów.

W samochodzie Will zapytał:

- Rozmawiałaś z ojcem na nasz temat?
- A jeśli tak, czy miałyby to jakieś znaczenie?
- Sama sobie odpowiedz.

Nie lubiłam prowadzić wozu po ciemku, mocno zaciskałam ręce na kierownicy.

- Prawdę mówiąc, nie. Dyskutowaliśmy o winie.

Will nie był przekonany.

- Rozmawiasz z nim niemal o wszystkim.
- W końcu j e s t moim ojcem.

Droga zakręcała w prawo, a biała linia wydawała się umykać w bok, podobnie jak moje myśli. Dłonie w jednej chwili zrobiły się śliskie od potu.

- Ty bez przerwy rozprawiasz z Meg - wypomniałam.
- Tak, owszem - odparł. - Ale nigdy nie miałem ojca. Ona też nie.

Wreszcie wjechałam w wąską drogę obramowaną z obu stron polami, która wiodła prosto do naszego domu.

- Ten wieczór był farsą - podsumowałam. - Jedną z wielu.
- Możliwe - odpowiedział Will. — Dlatego, że sama na to nalegałaś.

Zaparkowałam na podjeździe, gwałtownie zaciągnęłam hamulec i wyłączyłam silnik. Wnętrze samochodu pograżyło się w mroku.

- Co teraz z nami będzie? - spytał Will.

Z całych sił starałam się zapanować nad ogarniającą mnie paniką, a wraz z paniką nadeszło z wątpienie.

- Jednego nie rozumiem, Will. Przecież nie mieliśmy czasu znudzić się sobą nawzajem. - Wyjęłam kluczyk ze stacyjki. - Co oznacza, że czegoś między nami brakowało. Jeśli tak, powinieneś być mi o tym powiedzieć.

„Cała sytuacja zaistniała z mojej winy”.

Will, jak miał w zwyczaju, siedział wyprostowany na miejscu dla pasażera.

- Nie wolno ci obarczać siebie winą, Fanny... - Milczenie. - Nie śmiałybym żądać od życia więcej, niż mamy. - Kolejna chwila milczenia. - Kiepsko mi to idzie, Fanny. - Obrócił głowę i patrzył na wawrzynowy żywopłot. - Nic się nie popsuło. Trafiłem na moment pokusy i zamiast odmówić, uległem. Jak skończony kretyn.

- Pewnie można wyjaśnić to i w ten sposób.

- Fanny... - zaczął.

Przerwałam mu.

- Masz posłane łóżko w pokoju gościnnym.

Włożyłam buty, wysiadłam z samochodu i zostawiłam Willowi kluczyki.

Leżałam bezsennie z mokrymi od łez oczyma i rozstrojem żołądka, opłakując swoje dawne wyobrażenia o małżeństwie. Przerazała mnie gwałtowność moich uczuć oraz fakt, że wydarzenie tak banalne, tak powszechne, stanowiące tak popularny temat rozmów w tak brutalny sposób wytrąciło mnie z równowagi.

Przewracałam się z boku na bok w pustym w połowie łóżku.

O czwartej nad ranem wstałam i wemknęłam się bezszelestnie do pokoju Chloe, aby sprawdzić, czy śpi spokojnie. Zatrzymałam się na progu, ale nie słyszałam żadnego odgłosu. Przeszył mnie dreszcz strachu, więc przysunęłam ucho do ust Chloe i nasłuchiwałam cichutkiego oddechu mojego pogrążonego we śnie alabastrowego dzieciątka.

Na półpiętrze przystanąłam przy pseudogotyckim oknie. Ciemność. Nic więcej. W ciągu ostatnich kilku dni moja talia skurczyła się w obwodzie, zacisnęłam pasek szlafroka tak mocno, że aż wpił się w ciało.

Drzwi do pokoju gościnnego były otwarte, zajrzałam więc do środka. Lampka nocna w korytarzu oświetlała skulonego na boku Willa. Zamruczał jak szczenię, westchnął i odrzucił rękę - tak samo

jak Chloe. Jakby przyciągana jakimś magnesem podeszłam na palcach do łóżka. To oblicze Willa, bezbronne, uśpione, pogrążone w sennych marzeniach było całkowicie prywatne. Należało do mnie i nie miałam zamiaru z nikim się nim dzielić.

Znienacka otworzył oczy.

- Obserwowałeś mnie.

- Z d r a d z i ł e ś mnie, Will.

- Wiem. Zdradziłem również siebie. Prawo serii, Fanny.

- Zupełnie cię nie znam - rzekłam i poczułam, jak moje bose stopy ogarnia chłód.

- Mylisz się. Znasz mnie dobrze. - Wyciągnął rękę. - Chodź.

Moje ciało było mu jak zwykle posłuszne. Zmarznięta wśliznęłam się do łóżka przy jego rozgrzanym i rozluźnionym snem boku. Nie próbował mnie dotknąć, leżeliśmy więc jak wyrzeźbione w marmurze postacie hrabiego Stanwinton i jego żony w miejscowym kościele.

- Urodziłaś dziecko - odezwał się wreszcie. — Zaszły zmiany.

- Staralam się, jak mogłam - odparłam. - Powróciłam do codzienności najszybciej jak umiałam.

- Tak, ale połowa twojej uwagi skierowana jest gdzie indziej.

Jakże mogłam temu zaprzeczyć? Kontrakt małżeński powierchowicie traktował dokładne konsekwencje faktu narodzin dziecka, a oznaczały one, że Will nie będzie dłużej mieć mnie na wyłączność - tak jak niegdyś.

- Smutno mi, że nie możesz być już taka jak dawniej - powiedział i dodał zbolalym głosem: - Czułem się bezpieczniej, kiedy nie myślałaś o nikim innym prócz mnie.

Will nigdy dotąd nie przyznał się aż tak otwarcie, że jego wychowanie okaleczyło mu duszę.

- Kocham Chloe bardziej, niż potrafię wyrazić - rzekł - ale to nie to samo.

Pomyślałam o zmiennych obszarach nastroju, o przechodzeniu z jednego, dobrze znanego w inny, póki co obcy i niezbadany.

- Zmieniamy się - rzekłam, zaczynałam bowiem rozumieć coraz więcej. - Nie ma przed tym ucieczki.

Musiałam przysnąć, ponieważ drgnęłam, kiedy Will zapytał:

- Co jest gorsze: to, co zrobiłem, czy to, że nie wiesz, czego się po mnie spodziewać?

- Myślę... myślę, że nie pojąłeś, co znaczył dla mnie nasz związek. A jeśli pojąłeś... nie powstrzymało cię to przed przyprowadzeniem Liz do domu. N a s z e g o domu.

- Bardzo mi przykro, Fanny. Czy ty mi wierzysz? Proszę... u w i e r z mi.

- Czy to, w co wierzę, ma jakiegokolwiek znaczenie?

- Przepraszam również za to, że stałaś się przeze mnie cyniczna. Cynizm przynależy do sfery polityki. - Jego dłoń wędrowała przez dzielącą nas przestrzeń i spoczęła na moim udzie. - Wyobrażałem sobie, że będzie inaczej, lecz tak się nie stało, wpłatałem się w codzienną rutynę Westminsteru - powiedział. - W tym tkwi problem i wiem, że nie pozostaje to bez wpływu na mnie. Doznałem szoku, Fanny, gdy przekonałem się, jak głęboki jest ten cynizm. - Dłoń na moim udzie stała się ciężka. - Od pewnego czasu nosiłem się z zamiarem, by ci o tym powiedzieć.

Przysunął się bliżej, wabiąc mnie swymi słabościami i zawiedzionymi nadziejami. Poczułam w sobie nagłe pragnienie, by przylgnąć do niego i płakać tak długo, aż zabraknie łez.

- Muszę znać twoje zamiary. Nie jestem pewna, czy potrafiłabym żyć w ciągłym podejrzeniu, że za każdym razem, kiedy wyjeżdżasz z domu, możesz natknąć się w Londynie na inną kobietę.

- Podejrzenia będą zbyt liczne.

Najwyraźniej zasnęliśmy, ponieważ ocknęłam się zdrętwiała, czując lekkie mdłości. Chloe ćwiczyła swoje poranne trele, wygramoliłam się więc z łóżka i narzuciłam na siebie ubranie.

Tuliła się do mnie zaspana i cudownie zaróżowiona. Zaniiosłam ją na dół i nakarmiłam bananowym puree i płatkami śniadaniowymi. Poszukując gorączkowo jakiegoś rozwiązania i niemal tracąc z wyczerpania zdrowe zmysły, przypięłam ją w foteliku i pojechałam do Ember House.

Alfredo porwał Chloe w ramiona.

- Ślicznotka.

Chloe musnęła noskiem jego policzek.

- Co się z tobą dzieje? - spytał ponad małą, jasną główką. - Tylko nie sil się na kłamstwa. Masz podkrążone oczy, straciłaś na wadze, a między tobą i twoim mężem atmosfera jest tak gęsta, że można by kroić ją nożem.

- Tato, wyjdziemy do ogrodu? Chloe potrzebuje świeżego powietrza.

W ślimaczym tempie wlekleśmy się przez trawnik w kierunku Madame Mop, posągu kobiety trzymającej coś, co przypominało wiaderko z wodą, bardzo przez ojca lubianego, choć kiepskiego. Przedstawiłam mu nagie fakty i postawiłam Chloe na ziemi, by przekonać się, czy potrafi zrobić kilka nieudolnych kroków.

- Sukinsyn - podsumował ojciec, co wstrząsnęło mną ogromnie, ojciec bowiem nigdy nie przeklinał.

Pomiędzy nami niepewnie balansowała Chloe, która zareagowała na to nowe doświadczenie radosnym piskiem.

- Francesco, potrzebne ci odwaga i spryt. Will mocno cię skrzywdził i za to czuję do niego niechęć. Głęboką awersję. Ale nie jesteś pierwszą... ani ostatnią kobietą, która znalazła się w podobnej sytuacji.

Wśluchiwałam się w ten ukochany głos, który prowadził mnie przez całe dzieciństwo.

- W tej chwili nie istnieje dla ciebie nic innego. Rzeczywiście, nie potrafisz myśleć o niczym innym. Ale to nie jest koniec świata. Francesco, rodzina jest ważna, i to bardzo - przerwał. - Odkrycie, że absolutne szczęście i spokój nie trwają wiecznie, zawsze wywołuje szok.

- J a k mam żyć ze świadomością, że coś takiego może zdarzyć się ponownie?

- Może. Ale nie musi. Nigdy nie wiadomo. Na tym polega ryzyko.

Chloe ugięły się kolana, pochyliłam się i ją podniosłam. Gaworzyła z uciechy i podała mi drobną brudną rączkę.

W ogrodzie było cicho, wilgotno i chłodno. Angielska pogoda. Tutaj można było zebrać myśli.

- A propos - powiedział — uważam, że powinienem znaleźć zastępstwo za Raoula.

- Wylewasz mnie?

- Tak myślę. To cię trochę odciąży. Moim zdaniem, tak będzie lepiej. Za kilka lat sytuacja ulegnie zmianie. W zależności od...

- Reszta została delikatnie zasugerowana. W zależności od stanu małżeństwa, kariery Willa... kolejnych dzieci.

- Nie zamierzam rezygnować z pracy, tato. Nie mogę. Nie mam na to ochoty.

- Szkoda. Ale musisz postępować rozsądnie i być dla siebie dobra. Kobiety często miewają z tym trudności. Cięży na tobie wiele obowiązków. Ja się starzeję i potrzebuję coraz więcej pomocy, a ty nie możesz mi jej zaoferować. - To zabolalo. Ale ojciec wiedzial, co powiedziec za chwile. - Twoja praca, Francesco, nie umarla, tylko przeszla w faze spoczynku. Ješli chcesz, mozesz uczestniczyc w sprawach firmy, tyle ze w mniejszym stopniu. Mozesz nadal wprawiac sie, uczyc, gromadzic wiedze. Masz szczescie.

- Nieprawda - odparłam.

- Posłuchaj mnie, Francesco, do życia trzeba podchodzić mądrze. Mnie tej mądrości zabrakło i popełniałem błędy. Musisz coś stworzyć. Nie wiem co. No i skoncentrować swoją uwagę na Willu.

Pomyślę o tym - ustąpiłam.

Na Madame Mop wyrosło odzienie z zielonych porostów. Podniosłam Chloe i pokazałam jej posąg, ona zaś pozostawiła na szarozielonkawej powierzchni maleńkie, jakby mysie ślady paluszków.

- Masz chusteczkę, tato?

Wytarłam ręczki protestującej Chloe.

Poznaje świat - rzekł czule dziadek. - Śmiała i odważna. Jak podrośnie, będę musiał zlecić zreperowanie domku na drzewie.

Kiedy wróciliśmy z Chloe do domu, Will siedział w otoczeniu smętnych resztek smażonego boczku i grzanek.

- Dzięki za powiadomienie, gdzie jesteś powiedział. - Nietrudno było zgadnąć. - A potem dodał złośliwie: - Wiedziałem, że zwiejesz do ojca.

Cisnęłam kluczyki samochodowe na kuchenny stół.

- Do czego zmierzasz?

- Do niczego. - Dźwignął się na opartych o blat dłoniach. - Może lepiej spojrzeć prawdzie w oczy, Fanny. Nic z tego nie wyjdzie. Popęlniłem wielki błąd. Dajmy sobie spokój i niech każdy ułoży sobie życie na nowo. Dopilnuję, by niczego ci nie brakowało, a Chloe będziemy zajmować się na zmianę, najlepiej jak umiemy.

Osobliwa intymność nocy pierzchła, jej miejsce zajęła błyskawiczna, typowa dla polityka stanowcza strategia praktycznych ustaleń i niuansów prawnych.

- Tak? - Jego brwi zastygły w linii prostej. - Tego właśnie chcesz?

Poczułam, jak słabość rozlewa się po moich trzewiach i jak miękają mi kolana.

- Muszę przewinąć Chloe - powiedziałam.

Zaniosłam ją na górę do jej pokoju i położyłam na materacyku do przewijania ozdobionym wzorem w pulchne żółte misie oraz - nie wiadomo dlaczego - dzwoneczki. Zmęczyła ją wycieczka i emocje związane z zobaczeniem dziadka, dlatego wierciła się i marudziła.

Umyłam ją, wytarłam, poklepałam. Po skończeniu toalety wsadziłam ją do łóżeczka i włączyłam karuzelę z pozytywką. Rozbrzmiała paskudna melodia, a kaczki podjęły swój stateczny taniec w kółko. „Mamy cię!” - zdawały się mówić.

Chloe opadały powieki. Uklękałam przy łóżeczku. Jaka jest prawda? Ano taka, że od momentu pojawienia się na świecie Chloe, całej, zdrowej i bezpiecznej, luksus wyboru zniknął. Była to cena posiadania potomstwa. Wiedziałam. W i e d z i a ł a m , co znaczy przejmująca samotność dziecka w niepełnej rodzinie. Znałam na wylot konsternację i dręczące pytania, które pozostawały bez odpowiedzi. „Człowiek musi dokonać wyboru”. Ale to tylko słodkie złudzenie. Wyboru nie było.

- Nie odejdę od twojego ojca - powiedziałam Chloe. - Nie mogę ci tego zrobić.

Uświadomiłam sobie, że nie mogę tego zrobić również przez wzgląd na samą siebie, ponieważ kochałam Willa. Czułam odrazę do tego, co zrobił, ale go kochałam. Uwielbiałam jego żarliwe oddanie idei lepszego świata; cieszyły mnie perspektywy, które nęcąco rysowały się w naszej przyszłości. Nie miałam ochoty wyrzec się ich bez walki.

Chloe zakwiliła, wcisnęłam palec między szczelki łóżecka i pogłaskałam jej policzek. „Płaczący Eros wznosi miasta” - pisał poeta. Będę płakać i wybuduję własne miasto.

I będę w nim rządzić, i zdobędę potęgę.

Zeszłam na dół do Willa, który czekał w kuchni. Odwrócił się powoli na odgłos moich kroków, a wtedy ujrzałam, jaki jest zmęczony i zrezygnowany.

- Fanny?

- Postanowiłam odejść z pracy u ojca - oznajmiłam. - Zdecydowaliśmy, że tak będzie lepiej.

Podeszłam do kredensu i wzięłam do rąk terminarz, z którego podeszły się jak płatki śniegu zaproszenia i przypomnienia.

- No dobrze. - Otworzyłam terminarz. - Przejrzyjmy kalendarz. Czeka nas pracowity miesiąc.

Will usiadł naprzeciw mnie i skrył głowę w dłoniach.

- Bogu dzięki - powiedział.

Kilka dni później, kiedy leżałam w kąpieli, a on szczotkował włosy przed lustrem, zapytał:

- Naprawdę mi wybaczysz? Zapomnisz?

Wycisnęłam z gąbki wodę na ramiona.

- Postaram się.

Przerwał swoją paradę piękności, przykucnął przy wannie i wyjął mi z rąk gąbkę.

- Obiecuję, że to się już nigdy więcej nie powtórzy.

Oparł ramię o brzeg wanny. Złociste włosy o jedwabistym poły-

sku przylegały płasko do skóry. Mięśnie pod spodem były twarde, nie takie jak w moim miękkim, łatwo poddającym się dotykowi ciele. Przyciągnęłam do siebie jego dłoń, z której woda ściekała na moje ramiona. Will przyglądał mi się badawczo, a ja odwzajemniłam jego wnikliwe spojrzenie z większą śmiałością niż dawniej.

Wyteżę siły. Zacisnę usta, zszyję rany, nie poddam się i zażądam od Willa seksualnej... lojalności. W zamian zajmę miejsce u jego boku: uśmiechnięta, interesująca, oddana.

A w przyszłości zachowam czujność.

Zastrzegę sobie prawo do wewnętrznej emigracji. W obliczu trudnych do rozwiązania problemów albo sytuacji nie do zniesienia ludzie uciekali w głąb siebie. Studiowali, marzyli, uczyli się. Mojej sytuacji nie można było określić mianem trudnej do zniesienia - nikt mnie nie ciemniżył ani nie maltretował - lecz moja dusza została zraniona. Choć i w tej sferze nic wyjątkowo straszego się nie stało. Każda dziewczyna... każda k o b i e t a , kobieta, w którą się przeobraziłam, potrzebuje jakiegoś azylu. Emigracja wewnętrzna miała stać się moim.

- Postarasz się? - Will pochylił się i mnie pocałował. - Spróbujesz zapomnieć?

Kątem oka dostrzegłam opartą na półce nad umywalką pocztówkę od Benedetty przedstawiającą kościół i ukwiecony plac w Fierfino. Czerwony lakier na wyzierających spod wody paznokciach u nóg harmonizował ze szkarłatem pelargonii na fotografii. Optymistyczna czerwień. Po chwili odwzajemniłam pocałunek.

- Tak.

Dobroć niekoniecznie polega na mówieniu prawdy.

Niepostrzeżenie minęły lata wypełnione wychowywaniem dziecka, polityką i małżeństwem.

Nie było więcej mowy o domu przy Brunton Street. Zamiast niego kupiliśmy mieszkanie w funkcjonalnej kamienicy w Westminsterze, które służyło nam doskonale.

Osiadliśmy, przyzwyczailiśmy się, Will krążył między domem a wybraną przez siebie areną politycznych układów i sojuszów, ambicji i ideałów. Coraz mniej mówiło się o ideach i ideałach, coraz częściej pojawiały się opisy różnych osobistości oraz tego, co kto zrobił i co powiedział, niemniej jednak kariera Willa rozwijała się znakomicie.

A ja? Ja należałam nadal do innego świata, ale odwiedzałam Willa w jego królestwie najczęściej jak się dało. Raz w tygodniu zasiadałam do porządkowania dokumentów ojca. Nadal mieszkała z nami Meg, Sacha przyjeżdżał na weekendy. Raz czy dwa na scenie pojawił się jakiś mężczyzna, ale długo miejsca nie zagrzał. Od czasu do czasu Meg zdobywała jakąś posadę, lecz pracy, podobnie jak mężczyzny, także nie potrafiła utrzymać na dłużej. W ostatnich latach piła znacznie mniej, mijały długie miesiące, a do żadnego incydentu nie dochodziło.

Dom z rzadka świecił pustkami, pod jego dachem rozbrzmiewały zazwyczaj szmery i pomruki życia rodzinnego. Nasze małżeństwo rozwijało się i krzepło, przeżywało upadki, rozkwitało, przygasało, rozkwitało ponownie, ale nigdy nie zagnało stagnacji.

Nim zdążyłam się obejrzeć, Chloe nie było już tydzień.

- Jak się czujesz? - Elaine zadzwoniła, chcąc okazać współczucie.

- Jakby odrąbano mi rękę albo nogę, ale - co zabrzmi dziwnie - powraca mi energia...

- Rozumiem - rzekła. - Żywienie i troszczenie się o domowników wyciąga z dziewczyny wszystkie soki. - Westchnęła bliska szloch. - W każdym razie tak jest w moim domu.

- Byłaś u lekarza, jak obiecywałaś?

- Prozac - odparła. - Najlepszy przyjaciel troskliwej żony.

- Hej. Ja jestem twoją najlepszą przyjaciółką.

- Fanny - powiedziała smutno Elaine - przegrywasz z prochami.

Obecność Chloe była odczuwalna w całym domu, we wszystkich jego zakamarkach. Gdy wkładałam ubrania do pralki, zawieruszyła się wśród nich jej ulubiona różowa bluzka. Na stercie wypranych rzeczy leżały dzinsy biodrówki, którym przywróciłam żelazkiem pożądany kształt. W łazience podniosłam z podłogi jej gąbkę. *Harry Potter* - „Lektura na dołek, mamó” - zaklinał się między łóżkiem a ścianą. Wydobyłam książkę i położyłam u siebie w sypialni. Ubezpieczeniowy likwidator szkód odnotował nieobecność Chloe w szczoteczках do zębów i skarpetach, w milczeniu zamiast słów, we włosach wplątanych w szczotkę.

Tymczasem na więcej nie było mnie stać. To wszystko, na co potrafiłam się zdobyć, próbując dojść do ładu z sytuacją. Zamknęłam drzwi do pokoju Chloe („Jes smutno” - powiedziała Maleeka, zupełnie niepotrzebnie) w oczekiwaniu na lepsze czasy.

- Mamó - powiedziała, gdy zadzwoniła z Sydney - nigdy nie mówiłaś, że to będzie takie superprzeżycie.

Odłożywszy słuchawkę, rzuciłam okiem na swoje odbicie w lustrze. Włosy ostrzyżone u drogiego fryzjera, talia - cóż, bez komentarzy na ten temat - szminka umiejętnie dobrana do karnacji, długie nogi. Nic nowego, nic niezwykłego, a jednak odniosłam wrażenie, że wyglądam jak kobieta w okresie przejściowym. Rozłąka z Chloe skłoniła mnie do spojrzenia wstecz i jestem przekonana, że Will uczynił to samo. Tylko Chloe nie musiała oglądać się za siebie - ona niecierpliwie spoglądała w przyszłość.

Meg i ja oddawałyśmy się naszym codziennym zajęciom. W ciągu dnia, jeśli byłam w domu, omijałyśmy się za obopólnym porozumieniem. Po tak długim czasie spędzonym pod jednym dachem

znaliśmy wzajemne ograniczenia. Lecz wieczorami - w tej niebezpiecznej porze, w porze duchów — Meg często szukała mojego towarzystwa. Była moim cieniem, przypominała o więzach, które mnie kępowały.

Ponieważ tego ode mnie wymagano - czy raczej ponieważ sama postawiłam przed sobą takie wymagania - mobilizowałam się wówczas i gotowałam lekkie, pożywne kolacje. *Risotto*, łosoś z grilla, pierśi kurczaka w sosie sojowym. Przepisy stały się moją drugą naturą, sypałam nimi jak z rękawa, bez szczególnego wysiłku i dokładałam starań, by dzielić się nimi z Meg.

Zawarliśmy układ - i bezwzględnie przestrzegaliśmy jego warunków: Meg - bo zdawała sobie sprawę, że już dawno powinna była opuścić nasz dom, a ja dlatego... że stałam się silna wewnętrznie i twarda. Roniłam łzy nad Willem i Meg, ale budowałam własne miasto.

W dniu, w którym zatelefonowała Chloe, jadłyśmy razem w kuchni pieróg z nadzieniem rybnym.

- Pogratuluj mi - rzekła Meg. - Od waszej rocznicy nie tknęłam ani kropli.

Pogratulowałam, mamrocząc coś pod nosem, a Meg przyglądała mi się znad talerza.

- Tak bardzo chciałam umieć wszystko wyjaśnić, Fanny. Należy ci się wiele wyjaśnień. Tobie przede wszystkim. Wiem, jak dużo dla mnie zrobiłaś. Czuję się teraz lepiej, jestem silniejsza... i wiem, że coś musi się zmienić. - Poświęciła całą uwagę wbijaniu widelca w kęs ryby. - To jest tak. Gdyby ten wyśmienity pieróg zamienił się w brandy, byłabym najszczęśliwszą kobietą pod słońcem. Tragiczna prawda jest taka, że na alkoholu można polegać dużo bardziej niż na mężu czy synu. Albo na miłości.

Roześmiałam się.

- Pewnie masz rację.

Po kolacji przeniosłyśmy się do salonu, a ja otworzyłam drzwi balkonowe. Do środka wleciała ćma i usiłowała dokonać sati na lampie. Wstałam, chcąc ją uratować, i wywabiłam ją na dwór.

- Lepiej wyłącz światło - zauważyła Meg.

Drobny pyłek ze skrzydełka pozostawił ślad na kremowym abażurze. Strzepnęłam go i zgasiłam lampę. Siedziałyśmy w mroku letniej nocy, obserwując, jak nad ogrodem przelatuje nietoperz. Meg, nieruchoma i milcząca, wreszcie przemówiła:

- Kiedy odejdzie Sacha, będę odczuwać większy żal niż ty po wyjeździe Chloe.

- Dlaczego tak mówisz?

- Tak do końca nie wiem, ale chyba dlatego... dlatego, że wiele straciłam. Prawo odebrało mi Sachę. - Meg poruszyła się na krześle. - Prawo, które powinno przecież być mądre, sprawiedliwe i uczciwe. - Rzuciła mi spojrzenie. - Zgoda. Były problemy. Ale tobie nie zabrano Chloe. Nic cię nie ominęło. Chloe ma sprawnego dziadka. A ja tylko przyglądałam się waszemu życiu przez długie lata.

Cóż można było na to odpowiedzieć...

M u s z ę być ze sobą całkowicie szczerą. To Meg poradziła mi, jak przestawić Chloe na pokarmy stałe. „Zeskrob odrobinę banana na łyżeczkę” - powiedziała. „Dostłownie ociupinkę”. To Meg pokazała mi, jak zapobiec odparzeniom (stosować maść na afity), i zachęciła Chloe do wypowiedzenia pierwszego słowa. W późniejszym okresie, kiedy brakowało mi czasu, to Meg w nieskończoność powtarzała z buńczuczną Chloe ortografię, tabliczkę mnożenia, daty historyczne, zadania z fizyki.

Do salonu wleciała druga ćma, więc wstałam, żeby zrobić z nią porządek.

- Może zamkniemy drzwi? - zaproponowała Meg. - Robi się zimno.

Postąpiłam zgodnie z jej sugestią i zapaliłam światło.

- O ja nieszczęsna - powiedziała w swój ironiczny sposób i przesłoniła dłonią twarz.

Meg miała słuszość. Prawo - po części - odebrało jej syna. Ale powrócił. Wkrótce po swoich szesnastych urodzinach stanął pod naszymi drzwiami frontowymi z dwoma sfatygowanymi kraciastymi

walizkami i obwieścił: „Chciałbym zamieszkać z mamą”. Nie przypuszczam, że jeszcze kiedyś ujrę na twarzy Meg ten sam wyraz niczym niezmaconej radości, którego byłam świadkiem, gdy usłyszała te słowa.

Oczywiście Will i ja przyjęliśmy Sachę z otwartymi ramionami. Niedługo przed jego pojawieniem się w naszym domu przeżyliśmy poważny wstrząs - w pewnym sensie - ponieważ w poprzednich wyborach nasza partia została odsunięta (tymczasowo) od władzy, ale Will zachował swój mandat za sprawą przyzwoitej przewagi głosów, w przeciwieństwie do niektórych swoich kolegów, którzy zostali usunięci poza nawias. Tak więc partia zajęła ławy opozycji, Will zaś zyskał trochę wolnego czasu. Biegał tu i tam, załatwiając szkołę dla Sachy, przystosowaliśmy też dla niego pokój.

Kochany Sacha nie sprawiał żadnych kłopotów, pod wieloma względami był znacznie mniej kłopotliwy niż Chloe. Nawet jego muzyka była znośna, a skórzane kurtki i kolczyki w uszach kompensowała nienaganna schludność. Wiecznie się mył i dbał o siebie - u nikogo nie widziałam tak czystych włosów jak u niego. („Nie ma to jak dobry przykład” - powiedziała Elaine). Dostosował się do nas z taką łatwością - może był to wynik uczenia się sztuki adaptacji i przetrwania w trudnych warunkach. A może był urodzonym kameleonem.

Starałam się pamiętać o tym zawsze.

Następnego dnia rano pojechałam do Ember House. Od czasu do czasu zerkałam w lusterko wsteczne i byłam tak zadowolona z własnego odbicia (lusterka wsteczne zazwyczaj odcinają podbródek), że aż zanuciłam jakąś melodię.

Zastałam ojca w gabinecie, gdzie sporządzał notatki i prowadził rozmowy przez telefon. Otwarta skrzynka wina wraz ze stertą papierzyśk były odepchnięte w kąt. Nie podnosząc wzroku, wyciągnął ramię i przytulił mnie do siebie.

- Proszę cię o kilka minut cierpliwości.

Ponieważ wyprawa do Fiertino znajdowała się teraz na pierw-

szym miejscu, omawialiśmy rozkłady lotów, wynajęcie samochodu oraz konieczność zabrania w podróż poduszki antyalergiczej. Benedetta zorganizowała dla nas lokum, my robiliśmy listy spraw do załatwienia i rozprawialiśmy rozsądnie o szczegółach praktycznych. Mimo to wyczułam w mym rozważnym ojcu ogromne podniecenie. Śmiał się i dowcipkował, pogwizdywał pod nosem urywki *Czterech pór roku* Vivaldiego i wydobył na wierzch fotografię etruskiej pary. Po wyjeździe Caro została wcisnięta w głąb półki.

- Musimy zwiedzić muzeum etruskie, Fanny, i grobowce.

Na dworze deszcz siąpił nadal bez przekonania. Ojciec wstał, aby zamknąć okno.

- Przykro mi, że Will nie jedzie.

- Ma pełne ręce roboty. Marzy o urzędzie ministra skarbu, a dano mu do zrozumienia, że - o ile utrzymamy się przy władzy - jest na dobrej drodze. Kiedy wyjechaliśmy ostatnim razem, o mało nie zwariował. Ale przynajmniej częściej go widywałam.

Ojciec przyjrzał mi się czujnie.

- Fanny, użalanie się nad sobą do siebie nie pasuje.

- Użalam się nad sobą? Nie mam takiego zamiaru.

- Bo w gruncie rzeczy tego nie robisz - powiedział z miłością.

- Może troszeczkę od czasu do czasu. Twój mąż jest dostatecznie sprytny, by wiedzieć, że nie wolno sobie odpuszczać. Bierze udział w grze i nie można oczekiwać, że nagle przestanie trzymać rękę na pulsie.

Ojciec zawsze oddawał sprawiedliwość.

- To prawda. - Wsunęłam listę do torebki. - Finalizuje projekt podatku od drugiego auta w gospodarstwie domowym, a to wóz albo przewóz. Osobiście nie jestem do tego pomysłu przekonana, ale on tak.

Ojciec miał odpowiedź i na to.

- Rozumiem - rzekł. - Ma szansę się sprawdzić. Spójrz na sprawę od tej strony: polityka jest mniejszym złem niż handel bronią.

Popatrzyłam na niego uważnie.

- Tato, wyglądasz na zmęczonego. Jesteś pod opieką lekarza?

- Oczywiście - odparł, a ja wiedziałam, że istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że kłamie, byle tylko mnie zadowolić.

Otworzyłam już usta, żeby wymusić na nim umówienie się na kolejną wizytę kontrolną, ale popełniłam błąd, bo zerknęłam na zegarek.

- Muszę lecieć. Zastępuję Willa.

Pocałowałam go na do widzenia i pognałam na złamanie karku, żeby zdążyć na uroczystość otwarcia nowiuteńskiej oczyszczalni ścieków dla Stanwinton. Na miejscu musiałam stoczyć ze sobą wewnętrzną walkę o zachowanie powagi, gdy burmistrz napomknął o ryzach papieru, które trzeba było zapisać, nim przystapiono do realizacji projektu.

W nocy telefon wyrwał mnie ze snu. Po omacku poszukałam włącznika nocnej lampki, a potem spojrzałam z furją na zegarek. Druga godzina. Pierwsza myśl: „Chloe”. Potem: „Pan Tucker”.

- Jeśli to pan, panie Tucker, będę na pana zła.

- Dzwonię ze szpitala w Stanwinton - odezwał się głos. - Jest u nas pani ojciec... Przeszedł niegroźny atak serca. Naszym zdaniem, powinna pani przyjechać.

Weszłam do pokoju Meg i ją obudziłam.

- Meg, mojego ojca odwieziono do szpitala. Muszę jechać.

Słaba i rozchełstana zwlokła się z łóżka.

- Zaczekaj, jadę z tobą.

Jak szalona pędziłam pośród nocy z Meg dygoczącą na siedzeniu obok. „Proszę, błagam, niech to nie będzie nic poważnego” - modliłam się w duchu i dociskałam pedał gazu.

Mimo to przyjechałyśmy za późno.

Nocna pielęgniarka, opanowana, szczupła i schludna, wyrosła przed nami, gdy miałyśmy już wtargnąć na oddział intensywnej opieki medycznej, i wzięła nas na stronę.

- Odszedł spokojnie — powiedziała. Zdawałam sobie sprawę, że powtarzała te słowa po wielokroć. - Dziesięć minut temu. Drugi atak serca, tym razem rozległy.

Meg z trudem złapała oddech i wybuchła płaczem. Ja miętosiałam

w palcach śliski od potu pasek torebki, podłoga osuwała mi się pod stopami. Moją pierwszą reakcją było: „To moja wina, powinnam była zaprowadzić go do lekarza”. Zaraz potem pomyślałam: „Będę musiała zadzwonić do Benedetty i odwołać wyjazd”. A po chwili... nie pamiętam, co pomyślałam sobie po chwili, poza tym, że czepiałam się jakichś niedorzeczności.

- Powinien był na nas zaczekać - powiedziałam idiotycznie.

Pielęgniarka z nocnego dyżuru objęła mnie ramieniem, zaprowadziła nas obie do pokoju dla rodzin pacjentów i tam posadziła. Kiedy przyniosła herbatę, siedziałam na poplamionej ławce i wpatrywałam się w stojącą na parapecie popielniczkę, z której wysypywały się niedopałki.

Meg opanowała się i roztarta moje dłoń.

- Bardzo ci współczuję - powiedziała. - Biedny Alfredo. Ale lepiej, że nie cierpiał.

Powstrzymałam się, by jej nie odepchnąć - Meg starała się jak umiała. Ja powiedziałabym pewnie to samo, teraz jednak wiedziałam, że nie zrobię tego nigdy więcej.

Profesjonalny wyraz twarzy pielęgniarki odrobinę złagodniał.

- Proszę coś wypić, pani Savage.

Herbata miała smak skóry i taniny.

- Pani Savage... - Nienaganna pielęgniarka wyraźnie mobilizowała siły. - Pani ojciec zdołał... prosił, żeby pani przekazać...

- Podniosłam zalaną łzami twarz. Pielęgniarka urwała i zaczęła od nowa:

- Powiedział, że dziękuje. I przekazuje wyrazy swojej miłości.

- Ale nie zaczekał! - wykrzyknęłam w udręce. - Nie zaczekał na mnie! Powinien był poczekać.

- Nie mógł - wyjaśniła spokojnie. - Powiedzieliśmy mu, że jest pani w drodze. Mówiliśmy do niego, nawet kiedy był już nieprzytomny. Zmysł słuchu traci się na końcu. - Położyła mi dłoń na kolanie. - On wiedział. Wiedział, że dotrze pani tutaj najszybciej jak zdoła. - Przeniosła wzrok na Meg, która szlochała przy oknie, a potem znowu na mnie. - Był spokojny.

- Ale sam - mówiłam przez łyzy. - Nie powinien być sam. Ja powinnam być przy nim. Wiem, że chciałby mieć mnie przy sobie. Miałby mi za złe...

- Trzymałam go za rękę - powiedziała siostra. - Proszę mi wierzyć, trzymałam go za rękę.

Wróciwszy do domu, zatelefonowałam do londyńskiego mieszkania Willa, ale nie odbierał. Wreszcie włączyła się automatyczna sekretarka.

- Kochanie, mieliśmy całonocne posiedzenie - wyjaśnił, kiedy wreszcie go złapałam. - Już jadę. Zamówię tylko samochód i wrzucę kilka rzeczy do torby. Zadzwońię do Chloe i ją powiadomię i, jeśli się zgodzisz, przekonam, by nie przyspieszała swojego powrotu do domu. Powiem, że Alfredo by sobie tego nie życzył.

W głębi myśli zrodziło się odwieczne pytanie: „Czy ty mnie okłamujesz?” Zdążyłam już do niego przywyknąć, wiedziałam, że uwielbiało przebijać się do centrum uwagi po prostu dla zasady. Stało się automatyczną reakcją na głęboki smutek, nieutulony żal i szok.

Moje ciało zdawało się wychudzone, jakby nic nie ważyło. Uzmysłowiłam sobie, że powinnam zająć się załatwianiem istotnych spraw, tymczasem z wielkim trudem przychodziło mi wykonanie nawet tak prostego zadania jak podniesienie słuchawki telefonu. Chciałam płakać bez końca, lecz łyzy hamowało teraz zdumienie, jak ojciec mógł dopuścić do takiego finału.

Wzięłam się w garść i zadzwoniłam do Sally.

- Och - powiedziała. A potem: - Muszę usiąść. - Po chwili milczenia rzekła: - Powtórz jeszcze raz.

W tle słychać było pobrzękiwanie porcelany, muzykę z radia oraz inne odgłosy należące do życia mojej matki.

- Atak serca.

- Nie przyjadę na pogrzeb - oznajmiła. - Nie dam rady. Ale będę o nim myśleć.

Wtedy rozpłakałam się do słuchawki.

- Posłuchaj, Fanny - powiedziała Sally - musisz pamiętać, że

Alfredo uważał cię za coś najlepszego, co mu się w życiu przytrafiło. Nie zapominaj o tym.

Były to pierwsze prawdziwie matczyne słowa, jakie usłyszałam od Sally, i od razu zanotowałam je na bloczku przy telefonie, gryzmoląc pod spodem datę, żeby przypadkiem niczego z nich nie uronić.

Z pomocą pospieszył Mannochie. Organizując. Planując. Odwołując spotkania. Chloe nie wybierała się do domu - opowiedzieliśmy jej o wszystkim, co będzie się działo, i obiecaliśmy dzwonić do niej codziennie. Gdzie ma się odbyć pogrzeb? Pochówek w ziemi czy spopielenie? Jakie hymny? Jaka oprawa muzyczna? Zebrałam siły. Dobre żony wiedzą, jak nadać sprawom konkretne kształty, a wydarzeniom właściwy bieg, jak uspokajając i koić. Dobra córka poszła za przykładem.

W każdym razie musiałam wziąć w karby Meg, ponieważ bardzo źle zniosła śmierć mojego ojca.

- Ja też go kochałam - wyznała.

- Jeśli teraz sprawisz nam zawód - wycodziłam przez zaciśnięte usta, patrząc niewidzącym wzrokiem - to... - Nie dokończyłam zdania, lecz nie było to konieczne. Meg wystarczająco dobrze pojęła moje intencje.

Dzień pogrzebu nadszedł i przeminał. Ojciec pozostawił swoją wolę na piśmie. Z Willem u boku odśpiewałam hymny, wysłuchałam fragmentu z *Proroka* Gibrana: „Otwórz swe serce szeroko na otchłan życia” i uściśnęłam dłonie nieprzebranej liczbie osób.

- Okropna tragedia - bąknął ktoś.

- Bardzo współczuję - powiedział ktoś inny.

Lecz ja nie zwracałam na nich większej uwagi.

Później karawan przewiózł ciało na miejsce kremacji. Ojciec pozostawił również dalsze instrukcje - by pochować jego prochy w miejscu, które uznam za stosowne.

Po pogrzebie Will pognął z powrotem do Londynu, a wieczorem Meg pomagała mi w porządkach.

- Fanny - rzekła głosem łagodniejszym niż zwykle - będziesz musiała pomyśleć o domu. Rozumiem, że go sprzedasz.

- Rozmawiałaś z Willem?

Owinęła folią spożywczą talerz z niezjedzonymi kanapkami.

Może.

- Decyzja nie należy do niego - powiedziała ostrym tonem.

- Rób, jak uważasz, kochanie. - Schowała filizanki i spodeczki do kredensu. A przy okazji, ponieważ byłaś bardzo zajęta, kupiłam dla Willa skarpetki.

- Jakie skarpetki?

Wspominał, że potrzebuje. Położyłam je na twoim łóżku. Pomyślałam, że cię odciążę.

Zmierzyłam ją wzrokiem.

- Nie trzeba było robić sobie kłopotu - ledwie zdołałam wykrztusić.

- Nie. - Uśmiechnęła się promiennie. - Ale zrobiłam.

W milczeniu zebrałam talerze.

- Widzę, że zachowałam się nagannie. Kupowanie skarpet to grzech - rzekła i dodała smutno: - Fanny, czy wiesz, że twoje plecy potrafią wyrażać wielką dezaprobatę?

- Doprawdy? - Obróciłam się gwałtownie z talerzem w rękę, a Meg się cofnęła. - Na litość boską, nie widzisz, że jesteś znacznie bliżej Willa, niż powinnaś? Czy to nie wystarczy?

Wyciągnęła rękę.

- Nie miałam zamiaru...

- Owszem, miałaś, Meg. - A potem usłyszałam, jak mówię: - Robisz wszystko, żeby cały czas wyciskać na nim swoje piętno. - I przerażałam się, co się ze mną dzieje.

Meg zatkało.

- Mylisz się, Fanny, grubo się mylisz. Robię to, bo czuję się wtedy pozytywna. Czuję, że mam swoje miejsce.

Talerz wysliznął mi się z rąk. Odgłos porcelany roztrzaskującej się na kafkach podłogi rozniósł się po całej kuchni. Kucnęłam, żeby pozbierać odłamki... i Meg uczyniła to samo. Nasze twarze były tuż obok siebie, a palce niemal się dotykały, gdy sięgałyśmy po ten sam kawałek talerza.

- Jesteś zdenerwowana - powiedziała.

- Na litość boską, zostaw mnie w spokoju - wyszeptałam.

Meg wyprostowała się. Nastąpiła dziwna, okropna pauza.

- Chyba muszę się napić - stwierdziła. - Mały kieliszeczek przed snem. Ty też chcesz?

- W domu nic nie ma.

- Nie?

Popatrzyłam jej w twarz.

- J a nie mam ochoty się napić. I ty też nie, Meg. P r o s z ę .

I znowu to upiorne zawieszenie.

- Nie martw się, panuję nad nałogiem. Od czasu do czasu mogę pozwolić sobie na odrobinę. Pod tym względem mam szczęście, nie tak jak inni. Lekarz mówi...

Ostra krawędź stłuczonego talerza wbiła mi się w rękę, raniąc ciało.

Meg, zastanów się. Radziłaś sobie tak dobrze.

- Właśnie. - Meg oddaliła się na poszukiwania swojej przemyczonej butelki whisky - swojego kochanka, brata, przyjaciela i dziecka - ja zaś nie zrobiłam nic, by ją powstrzymać.

Poszłam na górę, żeby zatelefonować do Willa. Z przerażeniem uświadomiłam sobie, że prymitywne uczucie pozostawiania pod czyimiś opiekuńczymi skrzydłami przyszło wraz z odejściem ojca. Nam przypadło zadanie patrolowania linii frontu pomiędzy śmiercią a Chloe, a było to nader pracochłonne zajęcie.

Musiałam wziąć się w garść, żeby nasza rodzina funkcjonowała nadal. To był mój obowiązek, to liczyło się przede wszystkim. Musiałam... tę rodzinę scalić. I walczyć o poszukiwanie rozwiązań, jak czynił ojciec.

Przemogłam się i zesłam z powrotem na dół, przecięłam kuchnię i udałam się na górę do sypialni Meg. Siedziała na łóżku wpatrzona w fotografię Sachy. W dłoni trzymała pełną szklankę.

Nie stawiała dużego oporu.

- Gdzie to ukrywałaś i ile wypiłaś? - Wyrwałam jej z ręki alkohol.

Spojrzała na mnie.

- Tylko jeden łyk. Trzymałam butelkę w szafie. To była moja kamizelka ratunkowa.

- Nie rób tego, Meg. Pomogę ci. Obiecuję.

Pochyliła głowę.

- Niby dlaczego miałabyś to robić?

Odstawiłam szklankę na stolik nocny i usiadłam obok niej.

- Ojciec coś mi kiedyś powiedział. Ujął to mniej więcej tak: życie należy traktować serio.

- Uhm - mruknęła Meg, a po jej policzkach potoczyły się łzy.

- Miał rację. Należy traktować je bardzo serio. Czasem również śmiać się z niego, ale rozważnie.

Dłoń Meg podpełzła ukradkiem do mojej i wczepiła się w nią z desperacją.

- Och, Fanny, a ja myślałam sobie, że życie to okrutny, gigantyczny żart.

Willowi udało się poprzekładać zajęcia w ministerialnym kalendarzu i dwa dni później pojechaliśmy razem do Ember House. Gdy przyszło co do czego, nie potrafiłam się zdobyć na przestąpienie progu domu.

- Will, nie mogę wejść do środka. Jeszcze nie teraz.

Objął mnie ramieniem i przyciągnął ku sobie.

- Chodź, przejdziemy się po ogrodzie.

Trawa była mokra od niedawnego deszczu, ogród ociekał wodą, jak to często w Anglii bywa. Przystanąłam, żeby przymocować do ściany wystające pędy powojnika, a wtedy spadł na mnie deszcz kropli. Will strząsnął je, nie zdejmując spoczywającej na moich ramionach ręki.

Wkrótce rozpadło się nie na żarty i Will powiedział:

- Nie możemy dłużej zwlekać.

Poprowadził mnie delikatnie pod drzwi frontowe i do środka.

- Daj mi rękę — poleciał i schwycił ją natychmiast.

Dziwne, ale nawet w tym krótkim czasie, jaki upłynął od śmierci ojca, dom bardzo się zmienił.

Will zaparzył kawę, ja przygotowałam kanapki. Will rzucił się

na nie łączywie, za to ja ledwo tknęłam jedzenie. Rozmyślałam o domu, o tym, że raczej nie zniósłabym jego sprzedaży.

- Will, co byś powiedział na zamieszkanie tutaj?

Popatrzył całkowicie zaskoczony.

- Zamieszkać tu? Nawet nie przemknęło mi to przez myśl. - Poczęstował się kanapką z jajkiem. - Fanny, mówisz poważnie?

Wiedziałam, że to pomysł szalony i absolutnie niedorzeczny, ale wyszeptalam:

- To mój dom.

Will odłożył kanapkę. Zbyt późno zdałam sobie sprawę z wymowy moich słów.

- Ale nie mój - rzekł Will. - Wydawało mi się, że naszym domem jest miejsce, w którym wspólnie mieszkamy.

- Nie chcę sprzedawać Ember House.

Chwycił mnie za ramiona i badał wzrokiem moją twarz. Wydawał się zdumiony tym, co w niej ujrzał, czym tylko mnie zirytował. Czy to takie niezrozumiałe, jeśli czuje się żal po stracie ojca?

- Skoro chcesz, żebym rozważył ten pomysł, zrobię to, oczywiście. Ale nie przewidywaliśmy tego w naszych planach.

- Och, plany. - Strząsnęłam z siebie jego ręce i otepiała z nieszcześcia z trzaskiem wstawiłam do zlewu kubki po kawie.

- Fanny, o co chodzi?

Wyjrzałam przez okno i zacisnęłam zęby na kłykcium.

- Nie mogę przeboleć faktu, że nie było mnie przy tacie w chwili śmierci. Ta myśl mnie prześladowuje i nigdy sobie tego nie wybaczę.

Stojący za moimi plecami Will otoczył mnie ramionami.

- Cicho, Fanny, ciii...

W holu zadzwonił jego telefon komórkowy. Instynktownie ruszył w stronę dźwięku. Poderwałam się i zatarasowałam mu drogę.

- Nie. Ten jeden jedyny raz, Will. Żadnych telefonów. Nic.

Sygnał umilkł. Will zamknął mnie w swoich ramionach.

- Myślisz, że nie rozumiem, Fanny, ale to nieprawda... - Na jego twarzy błysnął dawny, dobrze znajomy uśmiech, uroczy i czuły, który dodał nieco otuchy mojemu rozżalёнemu sercu.

Teraz, kiedy byłam na powrót zdolna do skupienia uwagi, wyczułam w Willu tłumione podniecenie, jakieś nowe napięcie.

- Co planujesz?

- To i owo.

- Lepiej powiedz.

- Dobrze. - Usiadł ponownie. - Robert zatrzymał mnie w korytarzu. Powiedział, że przy następnym przetasowaniu w rządzie stanowisko ministra skarbu jest bardzo prawdopodobne. Ale muszę, Fanny, przepchnąć projekt podatku samochodowego.

Przestałam się śmiać w samą porę i przycisnęłam dłoń do ust. Zauważyłam, że drży.

- Umowa jest taka, że jeśli poprę rządowy projekt ustawy o państwowej służbie zdrowia, któremu dotychczas się przeciwstawiąłem, to...

- Przecież jako minister musisz opowiadać się po stronie rządu. Niezależnie od tego, co myślisz.

- Istnieje poparcie i poparcie - odparł.

Raz czy dwa rozmawiałyśmy z Elaine na temat władzy. Czym jest? Jaką przybiera postać? Gdzie w niej miejsce dla żony? Władza u s i d l a , byłyśmy co do tego zgodne. Otumania człowieka tak mocno jak wysokoprocentowy alkohol. B a ł a m u c ą pochlebstwa, świta, samochody z szoferem i wymiana ideałów na towar zwany władzą. Ideały są dużo bardziej niewygodne niż ciepłe i przytulne wnętrza limuzyny z kierowcą.

- No i? - odezwał się głosem znacznie mniej pewnym niż jego mina. - Co ty na to?

Usiłowałam zebrać myśli.

- Możemy porozmawiać o tym później?

Zostawiłam Willa w kuchni i umknęłam do gabinetu. Wieczne pióro ojca leżało na biurku w miejscu, na które odłożył je po raz ostatni. Na automatycznej sekretarce mrugała czerwona lampka. Ze stosu na krześle pod oknem wzięłam do ręki książkę *Rozprawa o wybornych winach z rejonu Bordeaux*, po czym odłożyłam ją na miejsce.

Opuszkami palców, które wydawały się pozbawione czucia, chwyciłam skraj zasłony. Wiele lat temu miałam błędne wyobrażenia. Żal wcale nie był jak tnące ciało ostrze. Nie, żal był tępy, przytłaczający: bolała od niego głowa, nogi wlokły się jedna za drugą. Drwił i mamił tych, którzy uginali się pod jego ciężarem, mogłabym bowiem przysiąc, że w pokoju był mój ojciec. Mogłabym przysiąc, że słyszałam jego głos.

„Po roku 1963 - mówił, a rozmawialiśmy oczywiście o Bordeaux - roku obfitych opadów, gnijących owoców i bezwartościowych win, nadszedł rocznik 1964, mocno niedoceniany z powodu złego roku poprzedniego. Naturą jedną ręka odebrała, drugą zaś dała cudownie mocne, krągłe, wytworne wina...”

Nieznaczny ruch uświadomił mi obecność Willa za moimi plecami. Odwrócona do niego tyłem rzekłam:

- Jest tak niewielu ludzi, z którymi człowiek jest złączony każdą komórką, z którymi rozumie się bez słów. O wielu za mało, żeby tracić ich lub zdradzać.

- Fanny, skarbie, lepiej przejrzyjmy papiery - powiedział cicho.

Zgarnęliśmy większość dokumentów i przewieźliśmy je do naszego domu. Razem posegregowaliśmy te oczywiste, wkładając pilne rachunki i listy do jednego koszyka, mniej pilne umieszczając w drugim. Wreszcie natknęliśmy się na segregator z napisem „Francesca”.

- Zajrzę do niego później. — Położyłam rękę na okładce.

Brew Willa powędrowała w górę.

- Rozumiem.

Will nie był głupi. Sam zachęcał mnie do uczestniczenia w jego życiu zawodowym, dzielenia jego ambicji, tymczasem ja nie miałam ochoty dzielić się z nim zawartością segregatora należącego do mojego ojca.

Nie zważając na nic, otworzyłam segregator w zaciszu naszej sypialni. Nie wiem, czego się spodziewałam - może wskazówek prawnych bądź finansowych - lecz z pewnością nie dziecięcego rysunku domu z krytym dachówką dachem, dużymi drzwiami frontowymi

oraz wiodącą do nich ścieżką. Przed domem stały trzy postaci: patykowaty mężczyzna w czarnym kapeluszu, patykowata kobieta w jaskrawoczerwonej spódnicy i wiszące pomiędzy nimi patykowate dziecko z kokardą we włosach.

Było to obrazek narysowany przeze mnie w przedszkolu.

Segregator zawierał również wypracowanie napisane na papierze w linie - *Wykaz wpływ europejskiej polityki zagranicznej na izolacjonistyczne stanowisko Ameryki w latach trzydziestych, podając przynajmniej dwa przykłady*. Praca została oceniona na dostateczny. Był tam i wiersz napisany odręcznie na blad różowym papierze: „Twa nieobecność drażni mą skórę/ która rozrywa się w krwiste rany/ póki rzeka szkarłatu nie wpłynie/ do morskiej otchłani mojego smutku”.

Przycisnęłam palce do rozpalonych policzków. Wiersz, pozostałość po jakiejś zawiedzionej miłości - no dobrze, po niespełnionej miłości do Raoula - był niewystawienie marny, lecz ojciec postanowił go zachować. Przeglądając pozostałą zawartość segregatora, znalazłam ślubną fotografię mnie i Willa, adresowane do mnie i mojego ojca zaproszenie na kolację do Chevalier du Tastevin, którego pożałowałam nigdy ponad wszystko, i maleńki niemowlęcy loczek przyklejony taśmą do fotografii Chloe, zrobionej, gdy miała sześć miesięcy.

Z oczami pełnymi łez uporządkowałam wszystko zgodnie z chronologią - te drobne, znamienne fragmenty mojej przeszłości zostały starannie zebrane przez ojca, mojego rzeczowego, pozbawionego sentymentalizmu ojca. Kiedy wkładałam je z powrotem do segregatora, zauważyłam jeszcze jedną złożoną kartkę papieru. Był to szkic niedbale nakreślony ołówkiem, amatorski. Kimkolwiek był jego autor, odznaczał się brakiem cierpliwości, o wiele za mocno przyciskał rysik do papieru. Niemniej jednak kształt na rysunku był dostatecznie oczywisty. Dom rozplanowany wokół centralnego dziedzińca z loggią na jednym krańcu. Pod szkicem widniał podpis: *i7 Fattoria. Wal del Fieríno*.

Will oglądał wiadomości w telewizji.

- Will... - Usiadłam obok niego na sofie. - Will, postanowiłam zawieźć prochy ojca do Fiertino, jak tylko uda mi się dostać bilet na samolot. Wiem, że chciałby być właśnie tam. Wolałabym nie zwlekać z tym do września.

Prezenter wiadomości nie przerywał potoku słów.

- Beze mnie?
- Bez ciebie.
- I...
- Chciałabym wyjechać. Na pewien czas.
- Oczywiście, Fanny, musisz pojechać. - Nie patrzył na mnie.
- Skoro tego pragniesz.

W poniedziałek wczesnym rankiem byłam niemal gotowa.

Zegnałam się z Willem. Hydraulik walił w cieknącą rurę w naszej łazience. Środki czyszczące Maleeki zagracały hol. Radio w kuchni ryczało na cały regulator. Samochód Willa czekał na podjeździe, a kierowca nie wyłączał silnika. Will zgubił portfel i demolował piętro w jego poszukiwaniu. Krótko mówiąc, wszystko idealnie w normie z tą różnicą, że następnego dnia miałam zostać odwiedzona na lotnisko i wdychany przeze mnie zapach niezwyklej w moim życiu wolności stawał się niemal trudny do zniesienia.

Will zbiegł na dół z na wpół otwartą teczką, tłukąc się na schodach.

- Znalazłem. O której masz wylot?

Wetknęłam mu do teczki rozkład lotów i zapięłam suwak. Mój mąż miał mocno zaciśnięte usta, ale nie był to gniew. Było to coś głębszego i bardziej niepokojącego. Will przygotowywał się wewnętrznie na mój wyjazd. Pocałowałam go czule, lecz z niemal wyraźnie widocznym poczuciem ulgi, on zaś oddał pocałunek prawie ze złością.

- Uważaj na siebie - powiedział. - Zadzwonisz?

- Obiecuję. - Musnęłam palcami zaciśnięte wargi Willa. - Staraj się.

- Po co? - spytał, co było do niego niepodobne. - Warto?

Położyłam mu delikatnie dłonie na ramionach.

- Wiesz, po co.

Podobnie jak ja prosiłam o pocieszenie po stracie ojca, tak on prosił mnie o podtrzymanie jego pewności siebie i optymizmu. Przynajmniej tyle mogłam dla niego zrobić.

Zaciśnięte usta rozluźniły się, Will obdarzył mnie uśmiechem.

- Przykro mi z powodu twojego ojca. Mnie również będzie go brakować. Jestem pewien, że znajdziesz najlepsze... odpowiednie miejsce na pochowanie jego prochów.

Obserwowałam, jak Will wlecze się noga za nogą do czekającego samochodu, ciska teczkę na tylne siedzenie i wsiada w ślad za nią.

Niemal od razu zadzwonił telefon.

- Raoul, brakowało mi ciebie.

- Przepraszam, Fanny, że nie zdołałem przyjechać na pogrzeb, ale wiesz, dlaczego.

- Byłeś w Australii. Udało się?

- Kroji mi się niezły kontrakt, opowiem ci o nim w bardziej sprzyjających okolicznościach.

- Jak rodzina?

- Powiększona i coraz bardziej kosztowna. Therese twierdzi, że czuje się, jakby miała ze sto lat, choć wcale na tyle nie wygląda.

- Jego śmiech wibrował energią i wyrażał głęboki podziw. - Moja żona to piękna kobieta.

- Gdybym była dla niej nadzwyczaj miła, myślisz, że zdradziłaby mi swój sekret?

- To żaden sekret, tylko życie ze mną. Wyjeżdżamy na kilka lat do Rzymu. Wspominałem ci?

Tak jak dawniej Rothschildowie, rodzina Villeneuve często rozsyłała swoich członków po całym świecie - wszędzie tam, gdzie produkowano wino - by umocnić kontakty handlowe.

- Cudownie.

Odchrząknął.

- Nie muszę pytać, czy dotkliwie odczuwasz stratę ojca. Chcę powiedzieć, że mnie będzie go szalenie brakowało. Był dobrym przyjacielem, a ceniłem go tym bardziej, że należał do starszego pokolenia. Niewielu ma się takich przyjaciół i jestem mu wdzięczny za trud, jaki sobie dla mnie zadał.

- Jutro zabieram jego prochy do Fiertino. Myślę, że tam chciałby spocząć na wieki.

Ku mojemu zaskoczeniu Raoul nie wyraził aprobaty dla mojego planu - i, wziąwszy pod uwagę ogólny stan rzeczy, ze względu na bliską przyjaźń z ojcem on jedyny miał prawo kwestionować moją decyzję.

- Jesteś absolutnie pewna? Alfredo był wielkim romantykiem pod wieloma względami, Fanny, ale jego życie toczyło się w Stanwinton. Może... masz rację. Będziesz miała trochę czasu. Zyskasz chwilę, by rozeznąć się w miejscowych winach. Chętnie poznam twoją opinię na temat znakomitych win toskańskich. - Umilkł. - Chciałbym porozmawiać z tobą o interesach. Skontaktujesz się ze mną, gdy odzyskasz formę?

Obiecałam, że tak uczynię.

Usłyszałam wołanie hydraulika, poszłam więc na górę przekonać się o najgorszym - naprawa była błaha, niemniej jednak policzył sobie za nią po królewsku. Wypisałam czek i wyprowadziłam hydraulika za drzwi.

Szukałam paszportu w komodzie w holu i przy okazji natknęłam się na plik nieaktualnych już dokumentów, spoczywających pod kolekcją nienoszonych przez nikogo apaszek. Szczególnym sentymentem darzyłam stare paszporty Chloe, ponieważ ogromnie podobały mi się jej fotografie. Pierwsza przedstawiała małą kokietkę z warokocykami. Potem na wpół ukształtowaną nastolatkę, która patrzyła spode łba i dąsała się przed obiektywem. Chloe wzięła ze sobą oczywiście aktualny egzemplarz.

- Jeśli chcesz się okazać prawdziwą przyjaciółką - błagałam Elaine, która przyjechała do mnie dzień wcześniej, aby pocieszyć mnie po śmierci ojca (Elaine zrozumiała, kiedy wyjaśniałam, że wraz z jego odejściem zostałam przeniesiona z tyłów na linię frontu) - pomóż mi posprzątać pokój Chloe. Proszę, nie potrafię zmierzyć się z tym zadaniem od czasu jej wyjazdu.

Po lunchu poszliśmy na górę. Musiałam mocno naprzeć na drzwi, ponieważ sterta porozrzucanych ubrań utrudniała dostęp do pokoju. Wyniosłam je na półpiętro. Elaine zlustrowała wzrokiem zwiędły kwiat wrzosu.

- Już coś takiego widziałam - rzekła. - To pewnie radioaktywny bałagan. Nie mogłaby ogarnąć tego Maleeka?

- Mogłaby, ale ugrzęzłaby tu co najmniej na rok.

Elaine podniosła jedną z Barbie, która powędrowała do banku genów lalek Barbie na półce zagraconej przedmiotami z dzieciństwa, z których Chloe nie chciała zrezygnować. Ta miała długie blond włosy, stożkowate piersi, talię osy i była zupełnie naga. Elaine przekreśliła nogę lalki tak, że sterczała ponad głową.

- Kiedyś potrafiłam zrobić coś podobnego - powiedziała z nutą nostalgii.

Roześmiałam się.

- Chloe wiązała z lalkami Barbie wielkie nadzieje, ale srodze się zawiodła. Nigdy nie przeboleła faktu, że ich nogi nie dają się zginać w pozycjach baletowych.

Elaine oparła się o ramę okna i wyrzała na zalany słońcem trawnik oraz rabatę, na której kilka oportunistycznych ostróżek wznosiło swe pióropusze.

- Mam prawie czterdzieści dwa lata... - mruknęła - i nieustannie zadaję sobie pytanie: „Co mnie jeszcze czeka? Czy... czy moja obecna sytuacja to w s z y s t k o , czego mogę się jeszcze w życiu spodziewać?

„Wszystko” to słowo pojemne i zarazem mylące. Od czasu epizodu z Liz podchodziłam do niego z rezerwą. Czego oczekiwaliśmy - Elaine, ja bądź Will - mówiąc „wszystko”? Nie wiem. „Wszystko” może oznaczać miłe, zabawne, głupawe wspomnienia, ułożone obok siebie jak fragmenty mozaiki, które tworzą większą całość. Jakże drogie sercu wspomnienia. Chloe śpiewająca w swoim łódeczku. Chloe wygrywająca w szkole wyścig z jajkiem na łyżce. Ojciec unoszący do światła kieliszek wina i pytający: „I co uważasz, Francesco?” Will składający głowę na moich kolanach, odprężony i senny...

Złożyłam pocałunek na buzi kokietki z najstarszego paszportu, upchnęłam go pod granatową apaszką w czerwone wisienki, tak bardzo niegdyś cenioną przez Chloe, i wyjęłam własny paszport.

Odrzuciłam się, rejestrując jakiś ruch. Była to Meg.

- Fanny? Fanny, tak sobie myślałam. Czy i ja mogę pojechać? Potrzebuję wakacji. Z chęcią zobaczyłabym to miejsce, o którym tak często rozmawialiście z ojcem. To s z c z e g ó l n e miejsce.

Sprawdzałam paszport i starałam się nie zwracać na nią szczególnej uwagi.

- Jeśli pozwolisz, Meg, to raczej nie.
- Nie byłabym uciążliwa.
- Nie - powtórzyłam z zaledwie cieniem paniki.
- Myślę, że to dobry pomysł.

Wepchnęłam paszport do kieszeni.

- Nie - powiedziałam. - Muszę pojechać sama.
- Wobec tego wszystko jasne.

Wyłamywała palce, aż zatrzeszczały w stawach. Jej oczy zwięzły się i pociemniały.

Ku mojemu zdumieniu na lotnisku pojawił się Will.

- Uznałem, że nie pożegnaliśmy się jak należy.

Wsparłam się o niego, bo wraz z poczuciem ulgi, że udało mi się dotrzeć aż tutaj, opuściły mnie siły.

- To chyba twoje pierwsze węgry.
- Urwałem się ze szkoły, sekretarce nie było do śmiechu.

Wydawał się ciepły, zdecydowany i pomimo wszystko niezawodny. Niepewność zniknęła, wszystko znajdowało się pod kontrolą. Oto ucieleśnienie odnoszącego sukcesy polityka, który przyszedł odprowadzić żonę na lotnisko; dobrze skrojony garnitur symbolizował połączenie energii i osiągnięć. To był Will w swojej najbardziej atrakcyjnej postaci, na którą nigdy nie byłam obojętna.

- Działaj ostrożnie w sprawie podatku samochodowego, dobrze? Nie trać cierpliwości i nie rób zamieszania - rzekłam, a po chwili dodałam: - jeśli ci na tym zależy. Jeśli nadal wierzysz w słuszność tego projektu.

- Wierzę. - Utkwił wzrok w witrynie księgarni za moimi plecami.
- D l a c z e g o wyjeżdżasz, Fanny? Tak naprawdę.
- Ojciec... Potrzebuję nieco wytchnienia. Chcę się wyrwać. Zmarszczył czoło.

- Aha, więc tak - powiedział.

Przemknęła obok nas rodzina pchająca dwa wózki wyładowane

zabezpieczonymi folią walizkami. Will się odsunął. Obserwowałam, jak odrywa się myślami ode mnie oraz od tego wszystkiego, co być może w tej chwili czuję. Ten mechanizm pozwalał mu przetrwać. Z jego kieszeni dobył się przesywający dźwięk telefonu komórkowego i z widoczną ulgą rzucił się go odebrać.

- Przepraszam, kochanie.

Wzięłam swój bagaż podręczny. W środku miałam owiniętą w folię pęcherzykową, oklejoną taśmą i dodatkowo otuloną jednym ze swetrów ojca urnę z jego prochami.

- Pa. - Poruszyłam bezgłośnie ustami i poszłam prosto w stronę bramki.

- Fanny! - zawołał przenikliwym głosem. - F a n n y . - Zatrzasnął kłapkę telefonu i chwycił mnie za ramię. - Nie jedź. Nie jedź beze mnie. Zaczekaj, aż będę mógł ci towarzyszyć.

- Nie - odparłam, ogarnięta panicznym strachem, że dałabym się namówić na pozostanie, i targana poczuciem winy, że wcale nie mam na to ochoty. - Proszę... pozwól mi jechać.

I wyswobodziłam się z jego uścisku. I uciekłam w sposób, który wyraźnie nim wstrząsnął.

Byłam zbyt zmęczona, żeby czytać podczas lotu, wobec czego przez pierwszą część podróży drzemałam. Obudziłam się przerażona snem, w którym wilgotna trawa i szare błoto oklejały moje buty. Usiłując złapać oddech, brodziłam w rzece uschłych liści, gdy ich poziom wzniósł się ponad moją głowę. Nieco później ocknęłam się spowita w białą rzeczną mgłę, której chłód wnikał głęboko w moje kości. We śnie głośno błagałam o słońce.

Kiedy się ocknęłam, moim oczom ukazała się jaskrawo ubarwiona linia brzegowa Morza Śródziemnego, okolona intensywnym błękitem wody, i odetchnęłam z głęboką ulgą. Stewardesa rzuciła mi przed nos tackę zjedzeniem. „Smacznego” - powiedziała.

Zbadałam zawartość plastikowego pudełka, bułkę z jakąś podejrzaną wędliną, wypłam sok pomarańczowy i przyłapałam się na rozmyślaniu o Caro. Jej ostatnie skierowane do mnie słowa — pre-

zent ślubny, który wydawał się wówczas tak przykry i nie na miejscu - wraz z doświadczeniem nabrały sensu. Drapiąc paznokciami powierzchnię i wzdygając się na ten odgłos, Caro podjęła próbę starcia mojego ojca z tablicy swojego życia i rozpoczęcia wszystkiego od nowa.

Mogłam wyjaśnić Willowi, co czuję. Mogłam powiedzieć: „Kiedy wychodziłam za ciebie za męża, kiedy władały mną burzliwe emocje wczesnej fazy uczucia, wspólnoty w miłości, fakt, kto należy do jakiej płci (poza oczywistymi mechanizmami fizycznymi), nie odgrywał żadnej roli. Było to porozumienie dusz i umysłów. Kiedy jednak małżeństwo zostało już zawarte, a obowiązki przydzielone, przynależność do określonej płci zaczęła mieć wielkie znaczenie”.

Co więcej, kiedy Will sprowadził Liz do naszego wspólnego łóżka, pokazał mi, że bycie żoną i bycie kobietą to dwie oddzielne i zdecydowanie różne sprawy.

Spoglądałam w dół z okna samolotu na zielen i brąz włoskiego półwyspu. Pragnęłam wytchnienia od części mojego życia.

Gdy samolot podchodził do lądowania, wypowiedziałam nieme podziękowanie dla ojca.

- Fanny... F a n n y!

Żeby wynagrodzić mi swoją nieobecność na pogrzebie, Benedetta uparła się przyjechać pociągiem z Fiertino i wyjść mi na spotkanie. Utorowała sobie drogę pośród grupki gapiów zgromadzonych w hali przylotów, objęła mnie i uściskała. W tym uścisku wymieszały się różnorakie doznania: dotyk pulchnych ramion, rozgrzanego ciała, zapach potu i nuta czosnku - i na powrót przeniosłam się w lata dzieciństwa, stałam się dziewczynką w warkoczyczkach, opatuloną chroniącą przed chłodem watowaną kamizelką.

Długo stałyśmy w kolejce do okienka wynajmu samochodów.

- Niech no ci się przyjrzę - rzekła rozkazującym tonem i patrzyła długo i surowo, położyła mi dłoń na ramieniu, dotknęła barku, pieszczodliwie pogłaskała policzek. Gesty były ostrożne, czułe i jak najlepszy syrop na kaszel — słodkie i kojące.

Jej angielski się pogorszył. Podobnie jak mój włoski, lecz wkrótce udało się nam ustalić pewne istotne fakty. Mocno dokuczał jej artretyzm, syn nigdy nie pisał z Mediolanu, gdzie obecnie mieszkał, wiele otaczających Fiertino zboczy wzgórz - które dawniej były otwartą, wolną przestrzenią - zostało pokrojonych na działki przez mieszczuchów, którzy wznoszą tam letnie rezydencje, i teraz nigdy nie wiadomo, na kogo człowiek się napatoczy w dolinie. Ale mam się nie martwić - chwyciła mnie za rękę: dom, w którym się zatrzymam, jest stary, bo przecież znane są jej osobliwe preferencje moje i ojca. Jej samej dobrze się mieszka w nowoczesnym parterowym budynku.

Kiedy wyjeżdżałyśmy z Rzymu, mijając pokryte kurzem oleandry i połą uprawianych na skalę masową pomidorów i cukinii, Benedetta trajkotała. Casa Rosa, dom, w którym miałam zamieszkać, kupiła kiedyś para *inglese*, która nie zdobywszy pieniędzy na należyty remont domu, zrejterowała do Anglii. Dom stoi teraz pusty, z wyjątkiem przypadkowych letników wynajmujących go raz czy dwa razy w ciągu sezonu. Bo agentka kompletnie nie zna się na rzeczy - „*Santa Patata*, urodziła się bez rozumu”. Nieobeznana z miejscowymi zasadami ruchu drogowego, a co za tym idzie - niespokojna, słuchałam jedynym uchem.

Dwie godziny później Benedetta poleciła mi skrócić w prawo, w stronę ciągnącej się z północy na południe doliny, i wjechałyśmy między pola kukurydzy oraz winnice. Były niewielkie i nieskazitelne, wypielęgowane płachetki złotych kolb i winogron. Mimo nikłych rozmiarów poletek dawało się zauważyć, że używane tam maszyny są kosztowne i na wysokim poziomie.

Drzewka oliwne mieniły się srebrem i bielą w spiekocie. Droga wiała się przez dolinę, a na wznoszących się po obu jej stronach stokach, *crete sensesi*, grzbiety wzgórz miały barwę zszarzałego brązu - „starej, dobrze wysłużonej skóry”, jak mawiał mój ojciec - rzeka zaś, która wpadała do doliny, przypominała poskręcaną wstęgę.

Drażek zmiany biegów ślizgał się w dłoni. Zakasłałam lekko, a Benedetta cmoknęła.

- Jesteś przybita śmiercią Alfreda. Tego należało się spodziewać. Odwróciłam się do niej i uśmiechnęłam.

- Pewnie tak. To był ogromny szok.

- Dla niego tak było lepiej - rzekła i klepnęła mnie w udo. - Zwolnij, Fanny. Wjeżdżamy do Fiertino.

Pełna obaw, że Fiertino nie spełni oczekiwań zrodzonych przez lata myślenia o tym miejscu, czując, jak kurczy mi się z nerwów żołądek, zastosowałam się do polecenia.

I... tak, był kościół *ipiazza* otoczona przykurzonymi platanami, i platanina wąskich uliczek rozchodzących się promieniście od centrum.

I... nie. W Fiertino z dziecięcych lat mojego ojca niemal na pewno nie było ruchu kołowego, krzykliwych reklam ani bezładnych skupisk nowoczesnych, przysadzistych domów mieszkalnych, które rywalizowały o przestrzeń na tle eleganckiej architektury i wzniesionego z kamienia starego centrum.

Nieważne.

Minęłyśmy kościół i okrążyłyśmy *piazza*, a Benedette nie zamykały się usta, z których płynął nieustający potok informacji. Budowlancy wykiwali *inglese* - każdy widział: w postawionej na nowo ścianie powstały pęknięcia i w rezultacie się zawaliła, a większość roślin w ogrodzie uschła podczas wyjątkowo upalnego lata. W oczach Benedetty na największą pogardę zasługiwał popełniony przez nich grzech, że nie poprosili tubylców o pomoc.

- Zwiali do domu, a teraz budynek stoi w opłakanym stanie.

Casa Rosa była oddalona od szosy, leżała około ćwierć mili na północ od Fiertino. Pylista droga wznosiła się stromo w górę, a ja tak mocno koncentrowałam się na pokonywaniu wyboistej nawierzchni, że przeoczyłam pierwszy widok domu. Żałowałam, ponieważ pięć sekund wcześniej wiedziałabym to, co stało się dla mnie jasne w chwili, gdy wysiadłam z samochodu i podeszłam do drzwi frontowych.

Pomalowana w tonacji pomarańczoworóżowej (farba płowiała delikatnymi, stonowanymi smugami) Casa Rosa była dwukondygn-

nacyjnym budynkiem o pozbawionym wyrazu froncie. Nic wspa-
niałego, nic szczególnego - poza tym, że przemawiała do mnie
w sposób tak wyjątkowy, że aż wstrzymałam oddech. Mówiła: „Po-
winnam należeć do ciebie”.

„W porządku” - pomyślałam. Przynajmniej w tej sprawie mamy
jasność. Trochę to dla mnie niedogodne, ponieważ ja mieszkam
w odległym kraju, ale przynajmniej całkowicie jasne.

Dom miał wysokie, ocienione okiennicami okna na parterze i po-
dobne, mniejsze, na piętrze. Kryty dachówką dach niszczał równie
subtelnie jak tynk i dorównywał mu pod względem zaniedbania.
W kamieniarce były szpetne dziury, na murach charakterystyczne
ślady wilgoci, brakowało dachówek, a na dachu przy kominie wy-
rastała pośród kamieni jakaś roślina. Nawet najżyczliwsze oko nie
mogło nie zauważyć surowego, jakby niedokończonego wyglądu,
aury desperacji i zapuszczenia.

Benedetta wzruszyła ramionami.

- Potrzeba *la passione*, żeby zrobić z tego coś przyzwoitego.

Ostoniłam oczy przed słońcem i policzyłam okna. Wydawało się
to dobrym początkiem, w ł a ś c i w ą rzeczą, którą należało odfaj-
kować w pierwszej kolejności.

Trzeba było siły perswazji, aby drzwi frontowe ustąpiły.

- *Allora* - powiedziała Benedetta - to dopiero dziadostwo.

Gdy weszliśmy do środka, rozległ się szmer owadów, a nasze stopy
wzbiły w powietrze kurz. Benedetta cmoknęła.

- Bardzo brudno. Ale spokojna głowa. Przyjdę i posprzątam.

- Nie, nie ma mowy. - Objęłam ją ramieniem. Przemawiałam
tonem właścicielki posesji. - Ja to zrobię.

- Niedobrze - stwierdziła kategorycznie Benedetta, kiedy sprawdza-
liśmy stan kuchni.

- Rokuje nadzieje - zaprzeczyłam.

Kuchenka była, co prawda, przedpotopowa i mocno wysłużona,
ale czysta; kurki pokrywała warstwa kamienia, za to zlew od razu
nadawał się do użytku. Na półce poustawiano rozmaite naczynia
stołowe, obok kuchenki leżało pudełko zapałek i spodek pełen już

wypalonych. W butelkę Chianti ktoś wetknął świeczkę, a wosk rozprysnął się na drewnianym kuchennym stole.

Na piętrze były trzy sypialnie i łazienka, na którą składało się niewiele więcej prócz umywalki i odpływu w podłodze. Główna sypialnia znajdowała się w przyzwoitym stanie, a łóżko było ustawione w takiej pozycji, że leżący mógł w pełni korzystać z widoku, który rozpościerał się poza granice Fiertino, na drugą stronę doliny.

Mój wzrok wypełniła intensywna jaskrawość błękitu nieba, pagórkowata linia wzniesień skąpanych w purpurze i brązach, leśna szarawa zieleń liści oliwnych oraz - w kierunku zachodnim - winorośl, która pięła się po zboczach wzgórz równymi rzędami. Z wrażenia wstrzymałam oddech.

Benedetta wzięła stan domu za afront osobisty i przepraszała mnie ze łzami w oczach.

Dźwignęłam walizkę, zataszczyłam ją do sypialni i ostrożnie postawiłam bagaż podręczny na łóżku.

- Benedetta... - Wyciągnęłam i rozpakowałam urnę. - Będziesz musiała pomóc mi znaleźć odpowiednie miejsce dla ojca.

- Och... - Dotknęła wieka. - Alfredo. Tak, muszę się zastanowić. To ważne. - Jej palce spoczęły na urnie. - Może ksiądz... Myślę, że Alfredo wolałby spocząć gdzieś na zboczu.

- Możliwe - rzekłam - ale muszę uważnie się rozejrzeć. Dobrze wybrać.

Benedetta wybuchła głębokim, gromkim śmiechem.

- Twój ojciec był cudownym mężczyzną.

- Biedulka - rzekła Meg.

Zadzwoniłam, aby powiadomić, że dotarłam na miejsce, i dorzuciłam kilka szczegółów na temat stanu domu. Nie miało sensu tłumaczyć Meg, że to właśnie kondycja tego domu stanowi jego istotę. Jego zniszczenie oraz poczucie, że jest nie do uratowania, współgrały z moim nastrojem. Mówienie, że Casa Rosa to idealna sceneria dla mojego osobliwego pejzażu wewnętrznego, miało się z celem.

Nie ma to jak ucieczka. Co prawda, gdyby była taka sprawność harcerska, nie zdobyłabym za nią żadnych punktów. Nie miałam takich doświadczeń. Ale mało mnie to obchodziło. Przewracałam się z boku na bok w obcym łóżku, a mimo to czułam się absolutnie, cudownie szczęśliwa. Ostre, zupełnie nieangielskie światło z nie zasłoniętego okiennicą okna obudziło mnie tuż po wschodzie słońca, a wtedy wypowiedziałam na głos w rześkim jeszcze powietrzu jedno słowo: „Tak”.

- Dzwoniła Chloe - poinformowała mnie wreszcie Meg. - Zapomniała, że dałaś drapak. Trochę rozmawialiśmy, miewa się doskonale. Sacha także uciął sobie z nią długą pogawędkę. Prawdę mówiąc, myśli o tym, żeby do niej na jakiś czas dołączyć. - Ponieważ nie połknęłam przynęty, Meg wbiła mi szpilę, jak to tylko ona potrafiła. - Wiesz, Fanny, nie było potrzeby chować butelek wina, które zostały po lunchu z Elaine. Dowiodłaś jedynie, że nie ufasz mi ani trochę.

Płaczący Eros może i mógłby sprowokować mnie do wzniesienia miasta, kiedy jednak sprawa dotyczyła Meg, podejrzewałam, że nigdy nie zdołam wyjść poza fazę wykopania fundamentów. Podniosłam wzrok. Do pokoju dziennego wpadła przez drzwi plama słońca, a wtedy dotarło do mnie, że ja na szczęście jestem tutaj, a ona daleko stąd.

- Baw się dobrze, Fanny - powiedziała tonem reprimendy, która miała na celu popsucie mi nastroju.

Utkwiłam spojrzenie w zalewającym podłogę słonecznym blasku.

Telefon ukryty był we wnęce przy drzwiach frontowych i otoczony wianuszkami martwych owadów. Zmiotłam je na podłogę i zadzwoniłam do Willa. Na wstępie rozmowa szła jak po grudzie, była pełna napięcia. Will czuł się urażony sposobem, w jaki pozbyłam się go na lotnisku. Było mi z tego powodu przykro - nie na tyle jednak, żeby kłamać.

- S z a l e n i e mi się tu podoba - powiedziałam, lecz wcale nie kwapiłam się, aby dodać: „Szkoda, że ciebie tutaj nie ma”.

- Tego właśnie się obawiałem. - Wydawał się rozkojarzony i w dość podłym jak na niego nastroju. - Poproszono mnie, abym opowiedział o przyszłych planach w programie *Newsnight*. Jestem w rozterce. Co o tym myślisz?

- Jest jakiś postęp?

- Koła poszły w ruch. Lobby samochodowe wymknęło się spod kontroli i robi dużo szumu. A więc sytuacja jest patowa: wystąpię w telewizji czy nie wystąpię, i tak będę tego żałował.

Roztrząsaliśmy ten problem przez chwilę.

- Szala się przechyliła, jak to często bywa. Mam okropne przeżycie, że tym razem... się nie uda.

Moje ciało było rozpromienione ciepłem aż po czubki polakierowanych paznokci u nóg i strapienie Willa nie miało mocy mnie poruszyć. Czułam się niemal oszołomiona nie znanym mi dotąd dystansem do jego spraw. Czy powinnam powiedzieć prawdę: „Will, umyłam ręce” i przyznać się do wielkiego, ciężącego mi obrzydzenia do nieustannego trzymania ręki na pulsie, dwulicowości i forteli, politycznego gorsetu, którym ja i Will zostaliśmy skrępowani?

- Bądź ze mną szczerą - prosił Will. - Powiedz, co, twoim zdaniem, powinienem zrobić.

Odwołałam się do starej taktyki.

- Gdzie podział się człowiek, który twierdził, że o projekt trzeba

stoczyć batalię, ponieważ w ten sposób poddaje się go próbom i testom?

- Może jestem zmęczony. Może mam dość.

Nie dałam się zwieść. Wątpliwości i obawy Willa może i malowały się w czarnych barwach, ale on się nie poddał. Brał udział w grze i czujnie śledził rozwój wypadków.

- Nie występuj w programie - poradziłam. - Będziesz musiał postawić wszystko na jedną kartę.

- Uważasz, że tak będzie najlepiej?

- Tak - odparłam z poczuciem winy, nie obchodziło mnie bowiem wcale, jak postąpi.

Ponieważ zapomniałam zamknąć okiennice, słońce przebiło się przez linię obrony domu i wtargnęło do środka, rzucając krąg światła w rogu, ładny półksiężyc na dolnym stopniu, rozproszoną, malarzką plamę na szczycie schodów. Beztroska i olśniona wspaniałością i nowością widoku, zrobiłam pospieszny obchód, by je pozamykać, a wewnątrz natychmiast pograżyło się w półmroku.

Zewnętrzne mury Casa Rosa były zbudowane z grubego kamienia. Od frontu biegł na tyły domu wspaniale chłodny korytarz z drzwiami prowadzącymi do pozostałych pomieszczeń. Zrzuciłam sandały i pozostawiając wilgotne odciski stóp na *cotto*, weszłam bezszelestnie do pokoju dziennego, w którym - byłam tego niemal pewna - unosiła się ledwie wyczuwalna woń ziół i drewna sandałowego. Z okien roztaczał się widok na dolinę rozpościerający się aż po pasmo wzgórz w oddali.

Światło słoneczne załamywało się, tworząc różnorodnie nasycone barwne plamy na ścianach, i rozlewało się po podłodze. Dwa wypłowiałe i ohydne fotele stały po obu stronach kominka. Zubożała angielska para bez wątplenia przesiadywała w nich i snuła plany: „Tę ścianę wyburzmy, tamtą otynkujmy, czy stać nas na centralne ogrzewanie?” Było mi ich żal - prawdę mówiąc, było mi żal każdego, kto nie dostąpił szczęścia znalezienia się w tym domu, w tym kraju.

Z kominka wysypywał się popiół i niedopałki papierosów, a na półce powyżej stał w słoiku po dżemie bukiet suchych kwiatów. Dotknęłam go, kruche płatki opadły na podłogę. Wzięłam słoik, bezszelestnie podeszłam do kubła na śmieci i wyrzuciłam naczynie. Znalazłam miotłę i szufelkę upchnięte w głębi kuchennej szafki i zmiotłam popiół wraz z niedopałkami.

Bielone ściany w kuchni były poplamione, a miejscami wytarte do pokrywającego je pierwotnie wapna. Tłuszcz osiadł na belkach stropowych, które poczerniały. Na wbitych w nie haczykach wisiały pęki suszonych ziół - skromna ofiara złożona kuchennemu bogu.

Podsunęłam krzesło i zdjęłam suche bukiety, bez nich kuchnia wydała się ogołocona. Skrzyżowałam ramiona, cofnęłam się i dokończyłam bilansu. Jak to możliwe, że uwolniwszy się od wszystkiego, do czego czułam urazę, nie pragnęłam nic więcej, jak tylko zgromadzić baterię farb i środków czyszczących? Byron napisał kiedyś: „Odzyskałem wolność za sprawą jednego westchnienia”, a mnie wydawało się, że opowiada jakieś brednie. Gdyby ta kuchnia należała do mnie, kochałabym ją czule. Jaśniałaby bielą i żółcieniem, wyszorowany stół lśniłby nieskalaną czystością pod zwisającymi z belek świeżymi ziołami, a niebiesko-białe talerze stałyby na wysprzątanym półkach.

W chłodne wieczory byłyby to z pewnością i d e a l n e miejsce na gotowanie grzybowego *risotto* Benedetty i zamienianie go w prawdziwą poezję dodatkiem parmezanu i masła. U schyłku upalnego dnia, kiedy słońce stoczyłoby się za horyzont, a powietrze tchnęło aromatem ziół i kwiatów, pysznie i orzeźwiająco byłoby zjeść na zewnątrz w loggii kurczaka z grilla z cytryną, garniowanego świeżą bazylią. Wiedziałam również, gdzie sprawdziłaby się doskonale zdobiona koraliakami siatka pani Scott - na dzbanku świeżej lemoniady.

Na piętrze słałabym łóżka starymi prześcieradłami z grubego lnu, pastowałabym podłogi woskiem pszczelim i wtykała do szafszetki z lawendą - tak jak zapewne czyniły kobiety, które mieszkały w Casa Rosa w czasach jej świetności, gdy dom służył za schronienie pełnej rodzinie.

Wiosną okiennice byłyby z pewnością otwarte na oścież, a grząd-

ka warzywna za budynkiem gospodarczym obsadzona szwajcarską kapustą, szpinakiem i ziemniakami. W chłodne dni ogień w kominie ogrzewały pokój z ogromnymi oknami, przypuszczam jednak, że rodzina, odrzucając sentymenty, tęskniłaby za centralnym ogrzewaniem.

Wyczyściłabym do połysku i wyfroterowała każdy pokój w Casa Rosa. Każdy kryłby w sobie specjalne skarby - książki, stół, obraz. Każdy miałby własny zapach, pełniłby odrębną funkcję. W każdym byłoby okno wychodzące na pejzaż, który stopniowo ujawniałby swoje poufne tajemnice.

Loggia biegła wzdłuż całego domu od tyłu, a drewniana pergola tworzyła ocienione miejsce, w którym można by przesiadywać przez calutki dzień. Przyciągnęłam tam fotel i usiadłam. Widok rozpościerał się poza wioskę i prócz dużego betonowego budynku, sklepu z oliwkami, zakrętu w dolinie oraz drogi, która dawała nura za najbardziej odległe wzgórze, widać było tylko niczym nie przesłoniętą przestrzeń.

Pot gromadził się w zagłębieniu krzyża i wsiąkał w rajstopy. Mrówka przebiegła po dużym palcu u nogi. Rozgrzane powietrze drgało ponad drogą, winnicami i wzgórzem. Czułam, jak ciepło przenika moje kości, wypełnia żyły, opromienia mnie. Uniosłam palec, uderzyłam nim w poręcz fotela i powiedziałam sobie, że nie potrzebuję wykonywać żadnego innego ruchu.

Zapomnieć o rozsądku i zorganizowaniu, zapomnieć, że moim życiem rządzą względy praktyczne. Zapomnieć o terminarzu oprawionym w brązową skórę, o listach, gotowych do podgrzania posiłkach przechowywanych w zamrażarce, garstce poprawnych, ugrzeczniczonych tematów, które miałam w zanadrzu na oficjalne obiady. Kim byłam teraz, kim była ta dziewczyna... nie, kobieta, od której czuć było delikatny zapach potu? Zrzuciłam właśnie poszarzałą skórę, którą obrosłam, ciągle jeszcze byłam pogrążona w żałobie - ojciec powinien mi tu towarzyszyć - ale przepełniała mnie również nowa, zachłanna ciekawość i niecierpliwość.

*

Parterowy dom Benedetty ciskał się wraz z dziesięcioma innymi na zboczu ponad mostem w południowej części Fiertino. Nie było przy nim ogrodu, tylko prostokątna grządka z rzędem pomidorów przywiązanych do bambusowych palików, kilka drzewek oliwnych i plastikowy zbiornik na olej opałowy.

- Domy - mówiła Benedetta - powstały na miejscu starej szkoły, która, podobnie jak wiele innych budynków w dolinie, została zniszczona przez bombardowania podczas drugiej wojny światowej, kiedy alianci przeganiaли Niemców na północ.

Przedstawiła mnie siostrze swojego zmarłego męża, dużej kobiecie starszej od niej o kilka ładnych lat, ze sztuczną szczęką i włosami ufarbowanymi prawie na czerwono. Jej brat Silvio również się pokazał, usiadł i obserwował mnie świdrującym, zuchwałym wzrokiem, ale nie sposób było się obrazić.

Akcent *signory* Berto był trudny, zrozumienie jej przychodziło mi z wysiłkiem. Zdołałam jednak wyłapać słowa:

- Twoja babka była piękną kobietą. I odważną. Pracowała w polu, nawet kiedy nad głową świszczały kule, zbierając plon, gdy nie miał już kto tego zrobić.

- Moja babka robiła takie rzeczy? Ojciec nigdy o tym nie wspominał.

- Był jeszcze małym chłopcem. Nie mógł wiedzieć wszystkiego. Dokładaliśmy starań, żeby ukryć pewne rzeczy przed dziećmi.

M o j a babka. Lawirująca pomiędzy minami, powożąca wołami, kryjąca się przed ostrzałem, kiedy stawał się nie do zniesienia.

- *Tengo famiglia* - mruknęłam cicho pod adresem ducha mojego ojca.

Kuchnia była maleńka, architekt przestrzegał instrukcji oszczędzania miejsca, i zagracona świętymi obrazkami, kościelną prasą, pomidorami ułożonymi w stosy na talerzach, wśród których znajdowały się i takie ze skórką stwardniałą i popękana wskutek choroby. Większość miejsca zajmował stół z laminowanym blatem, ale jakoś ścisnęliśmy się wokół niego i pałaszowaliśmy słynne *spaghetti eon verdura* Benedetty oraz cielecinę smażoną z szałwią w maśle.

- Dolina się zmienia - mówili. - Po pierwsze, oliwki to teraz doskonały biznes i każdy czym prędzej występuje o dotacje. Po drugie, dolina przeżywa najazd Anglików wykupujących co starsze i bardziej malownicze domy.

- A co tam — powiedział Silvio, którego syn pracował przy przebudowie dużego domu przy drodze prowadzącej do Rzymu. - Anglicy napotykają problemy i bułą. A my mamy robotę.

Zapowiedziałam, że planuję wybrać się na przechadzkę po wzgórzach wczesnym rankiem. *Signora* Berto miała wystraszoną minę.

- Pamiętaj, opatul się ciepło - napomniała. - Możesz się przeziębć.

Temperatura w kuchni musiała sięgać przynajmniej dwudziestu sześciu stopni Celsjusza. Starłam się ściągnąć na siebie spojrzenie Benedetty, lecz ona zgadzała się ze swoją szwagierką.

- Pożycz sobie moją chustę. - Poklepała mnie po ramieniu. - Jutro obwieziesz mnie po okolicy, a ja wszystko ci pokażę.

Benedetta dotrzymała słowa. Nie zamykając ust ani na chwilę, oprowadziła mnie po miasteczku. Pokazała mi kościół, *piazze* z arkadami i fontanną, wiekowy kamienny słup, do którego przywiązywano konie i przy którym zatrzymywały się niegdyś kupieckie wozy. Zaciągnęła mnie do sklepu, w którym sprzedawano różańce i modlitewniki, do małego supermarketu, który działał na parterze dzwonnicy i w którym można było zaopatrzyć się w lokalną oliwę z oliwek, tubki czosnkowego pesto, suszone pomidory i przeterminowane pudełka czekoladek Baci, oraz do delikatesów, gdzie można było kupić wekowane karczochy i mortadelę o średnicy talerzyka.

Później nasze auto powoli sunęło doliną w prażącym, oślepiającym słońcu.

- Tam - powiedziała w końcu Benedetta, gdy ostrożnie wjechałam w obsadzoną kasztanowcami aleję. - Tam jest *fattona*, gdzie mieszkała rodzina twojego ojca.

- Aha - odparłam, bo tylko tyle zdołałam z siebie wydusić.

Gdy wysiadłam z samochodu, uderzył mnie skwar.

„faftona była stara, bardzo stara - opowiadał ojciec - a cegła, z której ją zbudowano, miała najbardziej stonowany odcień, jaki można sobie wyobrazić. Dom otaczał ogród z posągami i labiryntem z bukszpanu. Wydawało mi się, że to najpiękniejsze miejsce na ziemi”.

No to skąd wziął się ten bylejaki budynek o zaburzonych proporcjach? Za oknami zwisały brudne jęczory firanek; nie było ani śladu ogrodu, a zabudowania gospodarcze wzniesiono z tego samego prefabrykatu.

- Ojciec nie mówił ci, Fanny, że stary dom został zniszczony podczas wojny?

- Nie, nie mówił.

Okrażyłam budynek. Skóra na ramionach czerwieniała od słońca, podczas gdy ja przyglądałam się prymitywnej, wykonanej byle jak robocie budowlanej. To nie było rodzinne gniazdo Battistów, lecz jego namiastka powstała po tym, jak wojna obróciła wszystko w perzynę. Nic lepszego powiedzieć się nie dało o tej próbie nadania oblicza - wszystko jedno jakiego - przemocy i chaosowi.

Zawróciłam, a wtedy mój wzrok przyciągnęły pozostałości kamiennego łuku, który wcielono w betonowy mur. Piękne, eleganckie wspomnienie tego, co zostało utracone.

Widząc moje rozczarowanie, Benedetta starała się z całych sił usprawiedliwić obecny stan rzeczy.

- Bombardowanie było ciężkie.

- Kto tu teraz mieszka?

- Obcy - odparła wrogim tonem. - Przyjechali po wojnie z południa. Nie znamy ich zbyt dobrze.

- Benedetta, to było ponad pięćdziesiąt lat temu. - Zapaliłam silnik i ruszyłam z powrotem w stronę miasteczka. Po chwili spytałam: - Benedetta... myślisz, że można by było zostać w Casa Rosa na dłużej?

Twarz Benedetty zmarszczyła się w szerokim uśmiechu.

- Oczywiście. Zaraz zadzwonimy.

*

Gdy przedstawiłam Meg swoją decyzję pozostania w Fiertino do końca miesiąca, była ze mną jak zwykle szczerą:

- To do ciebie niepodobne, Fanny, żeby opuszczać posterunek. Will jest dość niezadowolony.

- To niech lepiej ze mną porozmawia.

- Zrobi to z pewnością. Ja tylko powtarzam jego słowa. Jest w trudnym położeniu. Ostro skrytykowano go w prasie za odmowę udziału w programie *Newsnight*. Oskarżenia o tchórzostwo, i tak dalej.

- Biedny Will. Nie wiedziałam. Ale przetrwa ciężki okres. Jest sezon ogórkowy, wszyscy wyjadą na wakacje.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, co cię tam trzyma, co jest tam takiego ważnego.

- Dom - wyznałam, upajając się nagłą falą przyjemności. - Nazywa się Casa Rosa.

- Dom? Nie słyszałam, żebyś wcześniej wyrażała zainteresowanie jakimś domem. Gdybyś powiedziała wino, to bym rozumiała. Co jest w tym domu tak cudownego?

„Ma pokoje - chciałam powiedzieć - piękne pokoje, z których każdy domaga się kontemplacji, mojej największej uwagi, poważnej, pełnej zachwytu obserwacji”.

Meg skwitowała naszą rozmowę stwierdzeniem:

- Widzę, że będę musiała cię zastąpić.

Will nie był uszczęśliwiony. Zadzwoił, kiedy szyciowałam się do wyjścia na rynek, żeby zjeść coś w polecanej przez Benedettę kawiarni u Angela.

Usiłowałam wyjaśnić mu, że Casa Rosa skradła mi serce, i zaznaczyć - delikatnie - że trochę wolnego czasu prawdopodobnie dobrze zrobi nam obojgu.

- Pewnie masz rację - uznał - ale... Fanny... czy jest coś, o czym nie wiem, coś, o czym powinniśmy porozmawiać?

- Przepraszam. Wiem, że to dla ciebie pewna niedogodność.

- Naprawdę nie pojmuję.

- Postaraj się.

- Dlaczego akurat teraz? Możesz wrócić tam w każdej chwili.

Poczułam się tak, jakbyśmy znajdowali się na przeciwnych krańcach przestronnego pokoju, nadwerężając gardła, by wzajemnie się usłyszeć. Nie zamierzałam jednak ruszać się z miejsca.

- Co jest w tym domu tak urzekającego?

- Przywiozę zdjęcia i ci pokażę.

- Rozmawiałem z Mannochem. Jest kilka imprez, na których powinnaś być obecna.

- Czy Mannoche nigdy nie daje za wygraną? Niech Meg mnie zastąpi. Będzie zadowolona.

- To nie jest idealne rozwiązanie. — W jego głosie pobrzmiwała wątpliwość.

- Zdarza się to po raz pierwszy, Will.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

- Fanny, czyja cię tracę?

Wtedy ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, a poczucie winy w moim wypadku skutkowało zwykle utratą panowania nad sobą.

- Will - syknęłam do słuchawki - opiekuję się Chloe, prowadzę dom i... znoszę obecność Meg. Obnosiłam uśmiechniętą twarz na niezliczonych imprezach charytatywnych, tysiącach kolacji, podwieczorków, spotkań i Bóg wie ilu dyżurach poselskich. Poświęciłam dla nich pracę, którą uwielbiałam, nie wspominając o moim czasie, moich weekendach i znacznej części mojego życia. Wszystko, o co proszę, to kilka wolnych od obowiązków tygodni. Umarł mój ojciec i chcę w spokoju o nim pomyśleć. Potrzebuję tego. Jestem zmęczona i smutna. Tęsknię za naszą córką. - Mogłam dodać: „Jestem zagnębiona”.

Usłyszałam pstryknięcie zapalniczki.

- Nie wiedziałem, że tak się czujesz.

- Teraz już wiesz.

Gdy miałam czternaście lat, dentysta zdjął mi z zębów kłamry. Przez lata moje usta były obciążone metalem, każdego dnia ostre krawędzie wrzynały się w nowy fragment wrażliwego dziaśła, aż

tworzyły się afy. Uśmiech przyprawił o ból i nigdy ani na minutę nie mogłam zapomnieć, że jestem brzydka i pokraczna. Chwila uwolnienia od tortury aparatu korekcyjnego przyniosła doznanie niewiarygodnej lekkości w ustach.

Odłożyłam słuchawkę i kolejny raz doznałam tej niewiarygodnej lekkości prawdziwego oswobodzenia.

Oczywiście doskwierał mi smutek, lecz spletał się z innymi wrażeniami - a odczuwanie smutku wiązało się z doświadczaniem pełni życia. Usiadłam na schodach Casa Rosa i podparłam dłońmi brodę. Jak często miewamy okazję odszukania naszego ukrytego ja i wydobycia go na światło dzienne? Zagłębienia się w siebie i powiedzenia z radosną świadomością - a więc taki jestem? Taki mogę być? Tam zmierzać?

Przyniosłam książki na temat wina i zabrałam się do ich studiowania. Zanurzyłam się w miejscowej historii. Czytałam o wojnach punickich i o lasach kasztanowych dostarczających drewna do budowy rzymskich galer. O bawiących tu przejazdem papieżach, o wojnach domowych i o drodze pątników - *via francigena* - która łączyła Fiertino z całą Europą.

W chłodzie wczesnego poranka wędrowałam po okolicznych wzgórzach, aż zbliżał się czas, kiedy Benedetta czekała na mnie ze śniadaniem. Wieczorami przechadzałam się drogą ciągle jeszcze pulsującą skwarem dnia, słuchając wibrującego dźwięku cykad, i jadałam na rynku u Angela.

Stopniowo penetrowałam miasteczko, zapuszczając się w tętniącą gwarem sieć ulic i domów, gdzie zgodnie współistniały obok siebie teraźniejszość i przeszłość. W kościele współczesny witraż raził w otoczeniu piętnastowiecznej roboty kamieniarskiej. Podeszłam do ściany północnej, aby obejrzeć słynne freski, o które z wyraźną przyjemnością spierali się historycy sztuki.

Jeśli jednak spodziewałam się ujrzeć na nich promieniejącego, łagodnego Chrystusa pędzla Belliniego albo potężnie dodającego otuchy Boga Masacciego, nie mogłam mylić się bardziej. Malowid-

ła przedstawiały grzesznego człowieka zdanego na łaskę i niełaskę gwałtownych namiętności. W kotie gotowali się bogacz i jego żona. Anioł o srogim obliczu przebijał włócznią mężczyznę w stanie wyraźnego pożądania. Na pierwszym planie tłoczyła się gromadka nagich, krzyczących kobiet. Ciała dzieci i niemowląt leżały rozrzucone na ziemi. Drugi anioł z mieczem w dłoni zamierzał się na umykającego księdza. Za scenami kary boskiej, za tym obrazem ludzkiej trwogi, rozciągała się po bezkresny horyzont bezlitosna pustynia.

Tabliczka na ścianie informowała czytelnika, że freski namalowane w czasie, kiedy okolice nawiedziła zaraza, „obrazują niezadowolone Boga ze stanu odwiecznego grzechu, w jakim trwa istota ludzka”.

Zatem z pewnością nie był to Bóg miłości.

Wyszłam na światło słoneczne, nie spiesząc się do powrotu.

Łakomie chłonełam kształty i niuanse tego krajobrazu. Był mi obcy, a jednak wystarczyło złudzenie optyczne, przelotny, uchwycony kątem oka widok budynku, urywek piosenki, a okiennice w mojej głowie rozchylały się... i leżałam w łóżku w Ember House, zapadając w coraz głębszy sen otulający mnie pośród brzmienia głosu mojego ojca.

- W dawnych czasach - opowiadała mi Benedetta - kobiety robiły pranie, tłukąc je kijami na płaskim kamieniu przy moście. W dzień świętego Antoniego mężczyźni przynosili do kościoła siano i prosili figurę świętego o obfite plony, a wieczna toskańska róża, *le rose d'ogni mesè*, kwitła wszędzie bez przeszkód. Teraz jest inaczej. Jak widać.

Na położonym na wzgórzu cmentarzu otoczonym cyprysami spoczywały całe pokolenia rodu Battistów, mojego rodu. Nosili imiona Giovanni, Maria-Theresa, Carolina, Bruno. Zapisałam je w notesie.

Minął tydzień.

Pewnego ranka usiadłam, chcąc odpocząć na zboczach powyżej Casa Rosa. Słońce sprawiło, że zrobiłam się senna. Zamknęłam

oczy. Gdzieś z oddali usłyszałam głos ojca. „Była sobie raz rodzina, która zamieszkiwała dużą farmę.”.

Otworzyłam oczy. Po raz pierwszy dostrzegłam rząd słupów wysokiego napięcia, które wędrowały przez farmy i rozchodziły się promieniście po całej dolinie, by zginąć w oddali. Rozgrzane powietrze drgało ponad domem, nadając mu nierzeczywisty wygląd. Bałam się, że jeśli wyciągnę rękę i go dotknę, zniknie.

Zapowiadał się kolejny dzień spiekoty.

Roztarłam w palcach listki tymianku i wciągnęłam w nozdrza ich aromat, zobaczyłam wolno jadący drogą samochód, który zatrzymał się przed Casa Rosa.

Kiedy urodziłam Chloe, Elaine dała mi ubranka po swoich dzieciach. „Na dobry początek” - powiedziała. Były nieco znoszone i sztywne od nieustannego prania. Rąbek maciupkiej sukieneczki wymagał podszycia, w śpioszkach brakowało guzika. Lecz mnie podobało się to świadectwo ich poprzedniego życia. Ofiarowując mi je, Elaine włączyła mnie do łańcucha domowych pielgrzymek. W swoim czasie przekazałam ubranka dalej.

Uderzył mnie wówczas fakt, że przeszłość potrafi nadażać za teraźniejszością. Czy raczej mocno się w tę teraźniejszość wczepić.

Stając u moich drzwi, Raoul z pewnością przywędrował tu z przeszłości. Nie udzielił żadnych szczegółowych wyjaśnień, powiedział tylko, że wraz z Therese rozglądali się w Rzymie za domem, Therese wróciła do Francji, a on został.

- I oto jestem, Fanny.

Przez lata zmienił się bardzo niewiele, tyle tylko że nabrał co naturalne - większej pewności siebie; jak mawiają Francuzi, dostosował się do metryki. Zawsze dobrze się ubierał i dbał o swoją powierzchowność, lecz nigdy kosztem rzeczy istotnych.

- Tak się cieszę, że cię widzę. - Pocałowałam go w policzek.

- Zabieram cię na lunch - oznajmił. - Zjemy w hotelu, którego właściciel jest moim przyjacielem.

Pojechaliśmy na północ w kierunku Montepulciano. Raoul ze znanstwem rozprawił o winie, jego historii oraz - co ważniejsze - przyszłości. Hotel okazał się skromnym, leżącym na uboczu budynkiem w wiosce Chianciano.

- Nie daj się zwieść papierowym obrusom - uprzedził Raoul, gdy zaprowadzono nas do sali wypełnionej gośćmi. - To miejsce obrosło już w legendę.

Z przyjemnością marudziliśmy przy wyborze menu, natomiast

zamawianiu wina nie towarzyszyła żadna dyskusja. Wybraliśmy Prosecco do sałatki z rukoli i zdecydowaliśmy się na rubinowe Brunello di Montalcino rocznik 1993 do tarty cebulowej. Było dobrze zbudowane, niemal bez wad.

- Owoc pracy perfekjonisty — orzekłam po pierwszym łyku.

- Ależ oczywiście - przyznał Raoul. - Który waży się na wszystko, czeka ze zbiorem dojrzałych gron do ostatniej chwili.

Z nosami w kieliszkach zrobiliśmy pauzę. Wdychałam aromat lata i owoców, słońca i leciutkiej mgiełki — zmysłowo i leniwie - i szukałam słów, by precyzyjnie opisać wrażenia.

W oczach Raoula dostrzegłam dobrze mi znane zainteresowanie.

- Nie straciłaś zapału do tego biznesu.

Pokręciłam głową i uśmiechnęłam się szeroko.

- Jestem nieodrodną córką swojego ojca.

- Któż może przewidzieć, co mogą wyczarować wspólnie człowiek i żywiły? To magia. I kto zdoła się jej oprzeć?

Odstawiłam kieliszek.

- Czasem wcale nie szukamy magii - rzekłam.

Niemal niepostrzeżenie zmarszczył czoło.

- Myślę, że czasami poszukujemy po prostu odmiany. Oderwania się. Innego spojrzenia na sprawy. - Nagle zaczęłam opowiadać o Meg i kilku trudniejszych momentach z życia Stanwinton. Słońce i wino rozwiązały mi język i wcale nie było to nieprzyjemne. - Powiedziała kiedyś, że nie cierpi mnie za to, że wiem, kiedy przystopować...

Szczęściara z ciebie. Wiedzieć, kiedy powiedzieć sobie stop, oto jedna z tajemnic przetrwania, Fanny. Podobnie jak wiedzieć, kiedy ciągnąć coś dalej. A skoro jesteśmy już przy tym, powiedz, jakie masz plany co do Battista Fine Wines?

- Nie rozmawiałam jeszcze z Willem. Tymczasem na straży interesu stoi zastępca taty, ale kiedy wrócę... - Popatrzyłam na Raoula.

Nie mogłabym sprzedać firmy.

- Czujesz się lepiej? — spytał ostrożnie.

Nie odpowiedziałam od razu.

- Pod jednym względem miałeś rację, Raoul - w Fiertino nie ma tak wielu śladów obecności ojca, jak sobie wyobrażałam. Miałam go całego w domu. Odnajduję tu natomiast wiele z siebie. Zaczynam czuć się dużo bardziej szczęśliwa i odzyskuję spokój.

- Nie każdy doświadcza tego za granicą. Większość ludzi odkrywa pluskwy, cierpi na rozstrój żołądka i nadprogramową dawkę złego humoru. Wiesz, Fanny, często zastanawiałem się...

- Nad czym?

- Nad twoim ojcem... - Pochylił się ku mnie. - Wybacz, jeśli pakuję się z butami w twoje prywatne sprawy, ale czy on faktycznie chciał powrócić do Fiertino? W końcu mógł uczynić to tak wiele razy.

- Raoul wzruszył ramionami. - Miał tak mocno ugruntowane wyobrażenia. .. a miejsca się zmieniają. Nie zastygają w bezruchu, a przecież twój ojciec był mądrym człowiekiem, on o tym wiedział. Oczekiwanie, że po latach wszystko będzie takie samo, było nierealistyczne.

- Być może - odparłam. - Może masz rację. - Zmieniłam temat. - Jak się miewa twoja wspiana rodzina?

Raoul zrozumiał aluzję.

- Starzeje się, ale temu akurat trudno się dziwić.

- A Therese?

Zmarszczył brew.

- Nie ma pojęcia, że przyjechałam cię odwiedzić. To stawia mnie w niezbyt korzystnym położeniu, ale cóż, stało się. Prawdę mówiąc, nie miałem zamiaru przyjeżdżać, ale... jak widzisz, jestem.

Sprawił wrażenie, jakby przekroczył właśnie jakiś psychiczny Rubikon. Spojrzałam na kieliszek.

- Nie wolno ci przeze mnie kłamać.

- To brzmi bardzo angielsko.

- A co oznacza bycie Anglikiem?

- Nigdy nie zapominać dobrych manier.

Parsknęłam śmiechem.

- Zawsze zachowywałam się nienagannie.

- Nie chcąc przyznać, że mamy sobie do powiedzenia coś więcej. A było dużo czasu do namysłu.

Krew nabiegła mi do policzków. Widząc to, Raoul wziął mnie za rękę.

- Nie zamierzam wykorzystywać sytuacji, Fanny. Znamy się jak na to zbyt dobrze.

Teraz drżałam - z zaskoczenia tego rodzaju propozycją, lecz również z radości. Nie cofnęłam ręki.

- Dochowywałam Willowi wierności.

- Nie spodziewałbym się po tobie niczego innego. Ja jestem wierny Therese. - Nalał ostatni kieliszek Brunello. - Niektórzy spośród moich przyjaciół traktują swoje... przygody... jak degustację wina. Kosztujesz, delektujesz się, ale nie zabierasz butelki do domu.

- Pchnął ku mnie kieliszek. - To nie w moim stylu.

Kelner zabrał talerze, a w ich miejsce postawił na stole świeżą *ricotte*, misę czereśni i półmisek maleńkich ciasteczek migdałowych, które mogły złamać najbardziej zatwardziały.

- Zawsze było mi wstyd, że tak kiepsko... tak kiepsko znalazłam się w sytuacji, kiedy... - Wzięłam ciasteczko i zatopiłam w nim zęby.

- Nie potraktowałam cię szczególnie miło.

Półmisek miał obwódkę w kolorze wyblakłego nieba i bieli — dokładnie taki sam wybrałabym do kuchni w Casa Rosa.

- Byłam ledwie dziewczyną - ciągnęłam, próbując odłożyć tę część mojej przeszłości na należne jej miejsce. - Nie rozumiałam. Byłam ciekawa, a gdy przyszło co do czego, czułam się urażona, bo niczego nie pojmowałam. Mam nadzieję, że mi wybaczyłeś.

- Wiem. Przecież wiem.

Przeciągnęłam palcem po niebiesko-białym szlaczku.

- Raoul, co według ciebie ma decydujące znaczenie przy ocenie... - Podniosłam wzrok i uśmiechnęłam się. — ...wina?

- Ty mi powiedz.

Zadumałam się.

- Potrzebna jest niezależność. I oczywiście odwaga, by osądzić zawartość butelki, a nie proveniencję czy rodowód. Może to jest klucz: potrzeba po prostu odwagi.

- Doświadczenie pomaga, zapewniam cię.

Przełknęłam ostatni kęs ciasteczka migdałowego i znowu spojrzalam mu prosto w oczy.

Zwiedziliśmy miasteczko i pojechaliśmy z powrotem do Fiertino, gdy zaczął zapadać zmierzch, ta niezrównanie piękna ciemność, której wtórowały grane przez cykady serenady. Raoul zatrzymał się w hotelu w Pienze, podrzucił mnie pod Casa Rosa, obiecując, że wróci następnego dnia.

Zapaliłam świeczkę wciśniętą w butelkę po Chianti, zaparzyłam herbatę i wyniosłam filizankę na zewnątrz do loggii.

Tego wieczoru komary cięły wściekle. Jak szalona klepałam się po nieosłoniętym ciele, lecz w końcu zmuszona byłam podciągnąć kolana i owinąć nogi spódnicą.

Will był daleko stąd. To nie fair, że nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo daleko.

Widziałam Liz tylko raz, na przyjęciu dla dzieci zorganizowanym w parlamencie. Podniosłam oczy, wycierając usmarowaną czekoladą buzię Chloe bezużyteczną papierową serwetką, i mój wzrok padł właśnie na nią. Wiedziałam, że to ona, bo ktoś zawołał ją po imieniu.

Była nieświadoma mojej obecności, co dawało mi przewagę i pozwoliło odzyskać równowagę oraz... otrząsnąć się z zaskoczenia. Pod względem urody nie wyróżniała się bowiem niczym szczególnym. Była ubrana w zieloną spódnicę ze sztruksu i czarny sweterek, włosy ściągnęła do tyłu w koński ogon. Ale figurę miała znakomitą, z kragłymi pośladkami, które mężczyznom musiały wydawać się atrakcyjne. Rozmawiała z kilkoma innymi żonami i przyciskała do piersi plik notatek.

- Boli, mamusiu. - Chloe wywinęła się z mojego uścisku i natchmiast upadła.

Schyliłam się, żeby rozmasować jej piekące kolana.

- Już dobrze, kochanie, nic strasznego się nie stało.

Chloe przytuliła się do mnie, a ja wzięłam ją na ręce. Wtedy właśnie Liz odwróciła się i mnie zauważyła. Zrobiła się biała jak płótno i po kilku sekundach wyszła z sali.

Chloe podsunęła do pocałunku buzię, którą ucałowałam z większą miłością i żarliwością, niż potrafiłabym wyrazić.

Nie miałam pojęcia, jakie reakcje to spotkanie wywołało w Liz, mogłam jednak wyobrazić sobie do pewnego stopnia jej uczucia. Ona n i g d y nie domyśliłaby się moich. Nie czułam do niej nienawiści ani pogardy za to, że zagarnęła sobie Willa (ostatecznie sama uczyniłam kiedyś to samo). Tego rodzaju emocje były niepotrzebne. Nie, zaintrygowało mnie uzmysłowienie sobie faktu, że Liz odegrała zasadniczą rolę w pchnięciu mnie i Willa na dalszą wspólną drogę. Pokazała mi, że opuściłam na dobre i na złe wspólnotę niezamężnych dziewczyn, do której ona należała. Moje krągłe biodra nie stanowiły już zachęty dla innych mężczyzn, ponieważ teraz były przysposobione do noszenia dziecka. Nowy zestaw wzorców zastąpił stare. Gdybym to ja opuściła salę, nie byłby to — jak w wypadku Liz — pojedynczy, oderwany gest. Wszystko, absolutnie w s z y s t k o , co robiłam, łączyło się z Willem i Chloe.

Lata wyprzedaży rzeczy używanych na cele charytatywne, obiadów rotariańskich, wypadów za miasto. Cztery kadencje... i oto znalazłam się tutaj.

Zajrzałam do notesu i w niedostatecznym świedze rzucanym przez świecę jeszcze raz przeczytałam swoją ocenę Brunello. „Klon szczerpu Sangiovese może rozwinąć bardzo bogaty bukiet. Skoncentrowane i wspianiale taninowe”.

Gdybym nie odepchnęła Raoula wiele lat temu... Gdybym nie była wtedy oszołomiona, zażenowana, wręcz przerażona sprawami seksu oraz desperacją, z jaką mnie posiadał, i gdyby nie moja nieokrzesana reakcja, moje życie mogłoby potoczyć się inaczej.

Coś zaszurało w kępie majeranku na skraju loggii. Mysz z futerkiem spoconym od upału? Komar ukąsił mnie w zagłębieniu łokcia, gdzie gromadził się pot. Nie miałam wątpliwości, co powiedziałyby Will, gdyby widział, jak sporządzam swoje notatki: „To tylko wino. Życie ludzkie liczy się dużo bardziej”. Szczerze w to wierzył. Oczy-

wiecie, ostatecznie nie miał żadnego powodu, żeby zachwycać się alkoholem.

Zadzwonił telefon.

- Nie rozmawiamy ze sobą? - spytał Will. - Dlaczego nie jesteś ze mną w kontakcie? Co się dzieje?

Podrapałam się w miejscu ukąszenia przez komara.

- Fruwa tu mnóstwo skrzydlatych, kąsających stworzeń. - Mój głos brzmiał zbyt radośnie. - Dobrze się czujesz?

- Tak sobie.

- Will? - To był odpowiedni moment. - Nie zgadniesz, kto tutaj ściągnął. Raoul. Akurat bawił w okolicy.

- Znasz zasady polityki, Fanny. - O tak, znałam je aż nazbyt dobrze. - Nie namówię cię na powrót do domu?

Mocno zacisnęłam powieki.

- Nie.

Ze złości, którą bez wątpienia w sobie pielęgnował, zaczął wyrzucać z siebie słowa w przyspieszonym tempie:

- Nie wiem, co się dzieje, i jest to prawdopodobnie moja wina, ale czy wydające kolację Towarzystwo Śpiewacze Stanwinton albo jakakolwiek inna instytucja ma cierpieć, bo ty masz ochotę na wagary?

- Zależy im na tobie, nie na mnie.

- Zrobiłaś to tak zniecka - odparował. - Nawet mnie nie uprzedziłaś. Jakbym obudził się pewnego dnia i odkrył, że żyję z kimś, kogo nie znam.

To wyznanie sprawiło mi przyjemność. Dowodziło, że nasze życie wcale nie jest tak przewidywalne i monotonne, jak sądziłam. Pacnęłam kolejnego komara.

- Więc powinieneś być czujny.

- Przestań.

- Will, któregoś dnia obliczyłam, że spędziłam mniej więcej pięć tysięcy siedemset czterdzieści pięć dni mojego życia, pracując dla ciebie. Szacunki oparłam na założeniu, że na każdy dzień naszego małżeństwa przypadał jeden oficjalny obowiązek, i odjęłam dwieście sześćdziesiąt sześć dni na urodzenie dziecka oraz wakacje.

- Aż tyle? - wypalił. - Ależ ten czas leci, kiedy człowiek dobrze się bawi, prawda?

Nim zdołałam się opanować, parsknęłam śmiechem.

- Teraz lepiej - stwierdził.

Nazajutrz Benedetta wydawała się przy śniadaniu zmęczona i przybita. Zaprotestowałam przeciwko przysparzaniu jej dodatkowej pracy, lecz ona nie chciała nawet słuchać.

- Chodzi o mojego syna w Mediolanie - wyjaśniła. - Ma złe nawyki. Martwię się, że szasta pieniędzmi. Nigdy nie oszczędza. Mówię, żeby przyjechał do domu. Ze potrzebna mu mama. - Rozłożyła ręce w błagalnym geście. - A on na to, że zgadza się, powinien odwiedzić swoją mamę. Ale jak to zrobić?

Che fare? Pytanie, które zadajemy sobie wszyscy.

Siedziałam przy stole, piłam kawę i zajadałam pajdę chleba z dżemem morelowym. Promienie słońca wdzierały się przez kuchenne okno i oświetlały oprawiony w ramki obrazek Madonny oraz kolekcję wysłużonych rondli na pojedynczej półce.

- Benedetta - spytałam - jak doszło do zniszczenia *fattońi*?

Benedetta splotła ręce na stole.

- To było straszne. Po co ci to wiedzieć? Nie ma sensu.

- Proszę, opowiedz.

Ciężko podniosła się z krzesła.

- Muszę doglądać pomidorów.

Wyszłam za nią na zewnątrz. Była dziewiąta, ale słońce już świdrowało skórę jak wiertarka. Benedetta poprawiała podwiązane pędy i uszczykiwała wierzchołki wzrostu.

- Lucilla była siostrą twojej babki - wydusiła wreszcie.

- Nie wiedziałam, że miała siostrę.

Benedetta wzruszyła ramionami.

- W wieku dziewiętnastu lat poślubiła faszystę i przeprowadziła się do Rzymu. Byłam jeszcze mała, ale te plotki... Faszyci zmuszali ludzi do zgłaszania się do udziału w walkach, wysyłali swoich z Rzymu, którzy bili albo wtrącali do więzienia tych, co odmawiali.

Zgodnie ze statystyką wszystkie historie wojenne wykazywały straszliwe podobieństwo, miałam więc dość dobre pojęcie, co mogło wydarzyć się potem.

- Ten człowiek przyjechał z Lucillą dużym samochodem i zażądał, żeby wszyscy mężczyźni z Fiertino wstąpili do wojska. Nikt z rodziny nie chciał rozmawiać z Lucillą, a nam, dzieciom, zakazano się do niej zbliżać. Pamiętam, jak szłam z bratem drogą, a ona stała przed *fattorią*, płakała i lamentowała. Wreszcie mąż wsadził ją z powrotem do samochodu i odjechali.

Benedetta zerwała z łodygi dwa dojrzałe pomidory i jeden podała mnie.

- Jedz, Fanny.

Bujna czerwień miała niemal barwę krwi.

- Wrócili?

- Tak. Bliżej końca, po tym, jak twoja babka i ojciec odeszli za wzgórze. Niemcy wysadzili w powietrze kilka domów, o tam - Benedetta pokazała w kierunku *fattorii* — żeby utrudnić aliantom przemierzanie się drogą, i urządzili na nich zasadzkę, kiedy przeprawiali się szlakiem przez wzgórze. Każdy dom w miasteczku został uszkodzony. Było strasznie. Wrócili, bo Lucillą chyba nie miała pomysłu, co ze sobą zrobić. Tym razem to ona prowadziła samochód. On siedział z tyłu, bardzo blady, bardzo gruby, tuląc butelkę whisky. Pomogła mu wysiąść i zaprowadziła do *fattorii*, aby błagać swoją siostrę, a twoją babkę, o pomoc. Nie wiedziała, że wszyscy stamtąd powyjeżdżali. - Benedetta powachlowała się dla ochłody górną częścią wzorzystej sukienki. - Tak. - Pot połyskiwał w fałdach jej szyi. - Tamtego wieczoru w domu nie było nikogo i nikt nie wie, co się wydarzyło. Gdy zapadał zmierzch, chroniliśmy się raz w jednym, raz w drugim domu, nigdy w tym samym.

Niektóre z tych historii słyszałam od ojca; jemu opowiadała je matka. Opowieści zwykle nabierają barw w każdym kolejnym opowiadaniu, te jednak cechowała autentyczność i prostota płynące z konieczności zetknięcia się z najgorszym. Nocami kobiety ładowały do wózków dziecięcych zgromadzone zapasy żywności, a dzieci

taszczyły co mogły do bezpiecznego domu. Była to loteria. Często wybierano niewłaściwy dom, a wtedy ostrzał zbierał najtragiczniejsze żniwo. „Zdążyliśmy przyzwyczać się do sekretów” - mówił ojciec. „Wiedzieliśmy, gdzie ukryć oliwę, szynkę, połówkę sera, dokąd zagnać kury”.

Uszczknąwszy ostatni podwiązany pęd pomidorów, Benedetta podniosła się.

- Nikt nie chciał powiedzieć Lucilli i jej mężowi, w którym domu można bezpiecznie przetrwać noc. Partyzanci przynieśli ze wzgórz wiadomość, że Niemcy planują skorzystać z drogi biegnącej na północ od doliny, więc wszyscy udali się do kościoła. Ale ostatecznie zniszczenia nie dokonali wcale Niemcy. Tylko... Jakiś partyzant zszedł ze wzgórz i zażądał informacji, gdzie ukrywa się mąż Lucilli. Nikt nie pisnął ani słowa, bo niezależnie od przekonań Lucilla nadal była jedną z nas.

- I?

- J a wypaplałam. - Benedetta mówiła tak cicho, że ledwie dosłyszałam jej wyznanie. - Usłyszałam, jak partyzant pyta: „Gdzie jest ten człowiek?”, i do niego podbiegłam. „J a wiem, ja wiem” - pisałam swoim cienkim dziewczęcym głosem. „Wiartorij”.

Gdy znalazłyśmy się z powrotem w kuchni, Benedetta stanęła przed obrazem Madonny i przeżegnała się.

- Uczono mnie, by zawsze mówić prawdę. Nim się obejrzelśmy, /arteria stanęła w ogniu. Widzieliśmy płomienie z kościoła... ale tamci musieli już nie żyć.

Usiadłam.

- Trzeba tak myśleć - rzekłam.

Po krótkiej chwili, która mnie wydawała się godziną, Benedetta dodała:

- Lucilla była dobrą żoną, wierną aż po śmierć.

Później wybrałam się na leżący poza miasteczkiem cmentarz. Groby tworzyły krzykliwą mozaikę kolorowego marmuru, białego kamienia, tłoczonych plastikowych fotografii i przybrudzonych

sztucznych kwiatów. Zlokalizowanie grobu Lucilli zajęło mi dobrą chwilę, ponieważ nie pochowano jej wśród innych Battistów, wśród rodziny. Spoczęła w najdalszym krańcu północnego narożnika. Jej kamień nagrobny był skromny, ociosany byle jak, z lakoniczną inskrypcją: „Lucilla Battista. Urodzona 1919. Zmarła 1944”. Za nagrobkiem *Cupressus sempervirens* wyrastał prosto ku bezwstydnie błękitnemu niebu. Nigdzie nie wymieniono jej nazwiska po mężu, nie było wzmianki o samym mężu ani śladu jego grobu.

Raoul zabrał mnie z Casa Rosa o dziesiątej. Miał na sobie dobrze skrojone lniane spodnie i koszulę, ale jego oczy były podkrążone.

- Zjemy w Cortonie. Potem pojedziemy do Tarquinii i obejrzymy zbiory etruskie. - Spojrzał znad okularów przeciwsłonecznych. - Wiem, że twój ojciec zawsze się tym interesował. Później odwiezie cię do Fiertino, będziesz mogła się przebrać. Ja tymczasem załatwię interes w sąsiednim miasteczku. A wieczorem weźmiemy kurs na La Foce, gdzie mój przyjaciel Roberto ugości nas kolacją.

- Mnie?

- Oczekuje cię.

Nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu.

- Tak zakładasz?

- Tak zakładam.

Gdy wjeżdżaliśmy do Cortony, na niebie kłębiło się kilka cumulusów, ale było gorąco. W zacienionej, pogrążonej w półmroku restauracji zamówiliśmy *antipasti* i lekkie, cierpkie Pinot Grigio. Jadłam i piłam z subtelnym poczuciem nierzeczywistości, wrażeniem, że wdarłam się w opowieść, w której nie rozpoznawałam ani postaci, ani miejsca akcji. Intrygowało mnie jednak, co się wydarzy.

- Dziękuję za lunch, Raoul. - Przechyliłam w jego stronę kieliszek. - Wiesz, co jest najlepsze? Kiedy nie trzeba myśleć o rozkładzie zajęć.

Spojrzał na mnie pytająco.

- Pozwól, że będę z tobą szczery, Fanny. Liczyłem na to, że podziękujesz mi za coś jeszcze.

Na tę sugestię intensywnej seksualnej rozkoszy ścisnęło mnie
w żołądka.

- Nie powinienem tego mówić, ale ponieważ to nieuniknione,
lepiej powiedzieć i dać ci czas do namysłu.

W Tarquinii kupiliśmy bilety wstępu do piętnastowiecznego *palazzo*, w którym zgromadzono przedmioty kultury etruskiej. W środku podziwialiśmy parę skrzydlatych koni z terakoty, lustro z brązu trzymane przez posąg Afrodyty i odlanego z brązu Heraklesa poskramiającego konie Diomedesa.

Podążając ku wyjściu, zerknęłam przez lewe ramię i kątem oka dostrzegłam pewien widok. Rozpoznałam go natychmiast. Za szkłem gabloty leżała pięknie oświetlona kamienna rzeźba nagrobna. Składała się z sofy przykrytej ozdobioną frędzlami materią. Spoczywały na niej dwie postacie, mężczyzna i kobieta. Ona była młoda, miała namalowane ogromne oczy i cień uśmiechu na ustach. Jedno jej ramię leżało na piersi, niemal dotykało towarzysza. On również się uśmiechał i obejmował ją ramieniem. Podpis głosił: „Para małżeńska, V wiekp.n.e.”.

Ta informacja była mi już jednak znana.

Przeczytałam na głos z przewodnika:

- „Zamieszkiwali *opulenta arva Etruńae*, urodzajne ziemie, na których uprawiano pszenicę i winną latorośl. Dostatek doprowadził ich w końcu do upadku”. Wyglądają tak zwyczajnie - rzuciłam uwagę pod adresem Raoula. — Tak swojsko.

Raoul chwycił przewodnik.

- „Kobiety etruskie cieszyły się swobodą wychodzenia z domu, brania udziału w ucztach wspólnie z mężczyznami oraz picia wina. Etruskowie obdarzali swoje żony szacunkiem i szukali ich towarzysztwa”.

- Ach - rzekłam.

Raoul czytał dalej:

- „A nawet je między sobą dzielili”.

Will zaszokował mnie niegdyś uwagą, że jego zdaniem parlamentarzyści często nie mają żadnego pojęcia, za czym głosują - po prostu ślepo podążają za deputowanymi pilnującymi w partii dyscypliny. Wspomniał o tym, gdy jechaliśmy na wywiadówkę do szkoły Chloe. Chloe miała piętnaście lat i znajdowała się w trudnym okresie - to znaczy, życie było przedstawieniem, w którym ona grała główną rolę.

Byliśmy spóźnieni. A to dlatego, że Will nie zdążył na umówiony pociąg do Stanwinton. Wsiadł na stacji do samochodu i powiedział:

- Nie mów nic, Fanny. Przepraszam, przepraszam.

Zwolniłam sprzęgło.

- Ostatnim razem, o ile pamiętasz, spóźniliśmy się tak bardzo, że musieliśmy siedzieć za dyrektorką na krzesłach przeznaczonych dla nauczycieli.

- Powinnaś za to dziękować. Bo tym sposobem nie byliśmy zmuszeni oglądać jej od frontu.

Will zawsze potrafił mnie rozśmieszyć. Wyciągnęłam rękę i położyłam mu dłoń na udzie.

- Co wypadło tym razem?

- No właśnie — powiedział, otrząsnąwszy się. — Muszę z tobą o tym porozmawiać.

Jeśli Will się łudził, że zdoła wśliznąć się na zebranie niepostrzeżenie, to był w błędzie. Gdy weszliśmy do auli, dyrektorka szkoły rzuciła się w jego kierunku i błyskawicznie zagarnęła go wraz ze sporą grupą profesorów. Poszukałam wzrokiem Chloe, która stała z nietęgą miną.

- Twój ojciec chciałby wiedzieć, czy czekają go jakieś straszliwe niespodzianki.

Chloe wyglądała dość blado.

- Tylko ta pieprzona matma - powiedziała.

- Nie przeklinaj, kochanie.

Chloe zrobiła jeszcze bardziej zbolałą minę.

- Nie rozumiesz, mamó. Nasze pokolenie nie uważa tego za przekleństwo. Po prostu takich słów używamy.

- Czy wobec tego mogłabyś ich nie używać?

Rzuciła mijedno ze swoich znaczących spojrzeń.

- To równie okropne, jak kiedy próbujesz wygłaszać pogadanki na temat seksu. Jesteśmy dobrze zorientowanym pokoleniem, przecież wiesz.

Nie t a k znowu - jak się okazało - dobrze. Matematyka Chloe była jednym wielkim dramatem, podobnie fizyka i chemia; nauczycielka geografii nie była przekonana, czy Chloe faktycznie chwyciła byka za rogi.

- Przynajmniej - rzekłam do Willa, gdy znaleźliśmy się na powrót w domu w Stanwinton - robi postępy we włoskim.

- To dobrze. - Will rzucił stertę prania na podłogę w kuchni.

Jęknęłam.

- Tam stoi kosz na brudy.

Twarz Willa przybrała wyraz najwyższego zdziwienia.

- Och, no tak, oczywiście.

Patrzyłam, jak wpycha rzeczy do kosza.

- Fanny, możemy porozmawiać? - Powiesił marynarkę na oparciu krzesła. - Pewnie nie ma nic do picia? Nie ukryłaś gdzieś jakiejś butelczyny?

- Niestety.

- No tak. Oczywiście.

Will i ja przestrzegaliśmy wspólnie powziętego postanowienia, żeby nie trzymać w domu żadnego alkoholu, ponieważ było to nie w porządku wobec Meg. Odpowiednim miejscem do delektowania się winem był Londyn. Stwierdziliśmy zgodnie, że jakoś szczególnie nam to nie doskwiera. Bywały jednak chwile...

- Chodzi o głosowanie w sprawie wędkowania i polowań.

- Myślałam, że to zostało już rozstrzygnięte, mieliśmy głosować za wprowadzeniem zakazu.

- I w tym sęk - powiedział Will. - Ja nigdy nie poszedłbym na polowanie ani na ryby, ale zakazanie tego innym budzi we mnie mieszane uczucia. To nastawanie na podstawowe swobody obywatelskie i nie jestem pewien, czy powinienem się zgodzić.

Zawiązałam plastikowy fartuch, prezent od Chloe, z wizerunkiem kota nadzianego na ruszt rozpięty nad siedzeniem fotela oraz patrzącego z rozdrażnieniem właściciela, z napisem „Nigdy się nie poddawaj”. Wyjęłam z lodówki *quiche* z serem i pieczarkami, którą upiekłam po południu, i włożyłam do piekarnika, żeby się podgrzała.

- Ale musisz. Ty pilnujesz w partii dyscypliny.

- Nie, nie m u s z ę . Mógłbym zagłosować przeciwko. Ostatecznie, j e s t to coś, w co wierzę. To kwestia sumienia.

Podałam mu pomidory - zimne, okrągłe, angielskie.

- Mógłbyś je pokroić, Will? - Poszłam do szpiżarni po sałatę, aby zyskać kilka sekund do namysłu. - Stracisz stanowisko.

Will kroił plasterki, może nie z wprawą, za to starannie.

- I narażę się na gniew ludzi walczących o prawa zwierząt - powiedział.

Zamarłam w trakcie wrzucania do miski porwanych listków sałaty. To była już zgoła inna sprawa.

- W takim razie nie możesz tego zrobić — rzekłam kategorycznym tonem. - Mogłoby to zagrażać Chloe. Dowiedzieliby się, do jakiej chodzi szkoły. Stałaby się obiektem ich ataków. My wszyscy bylibyśmy dla nich celem.

Will włożył pomidory do miski.

- Nie sądzę, by Chloe miało grozić jakieś niebezpieczeństwo. Wybrałoby sobie lepsze cele.

- Skąd wiesz?

Will zignorował to pytanie.

- Fanny, przegnaliby mnie batem. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Zostałbym szarakiem z tylnej ławy na wieki wieków. Ale nie mogę całkiem się sprzedać.

Targnięta lekkim niepokojem zorientowałam się, że doszliśmy do nieoczekiwanego rozstaju dróg i Will chciał, żebym dokonała wyboru za niego.

- Will... - usłyszałam własny głos i owinełam dłonie fartuchem.
- Proszę cię, nie rób tego. Nie poświęcaj wszystkiego, na co pracowałeś. Liczby wskazują, że projekt ustawy przejdzie bez względu na to, czy zagłosujesz za czy przeciw. Byłby to... daremny gest.

- Zmieniłaś front - rzekł cichym głosem Will.

Odwrociłam się, nim górę wziął wstyd.

- *Chiische* gotowa - poinformowałam.

Później, kiedy leżeliśmy już w łóżku, Will zapytał:

- To twoje ostatnie słowo?

Chwyciłam skraj prześcieradła i wcisnęłam jego róg pod paznokcie.

- Tak, ostatnie. Pniesz się w górę i to jest to, czego pragniesz i czego ja pragnę dla ciebie. No i mamy jeszcze Chloe. M u s z ę myśleć o Chloe. Ty również.

- A przekonania i zasady?

Chciałam rzec, że ta kwestia mnie przerasta. Chciałam być tchórzem i zaprotestować, że moja rola została przecież sprowadzona do układania stert pościeli i przekładania jedzenia z piekarnika na stół, i że na pewne pytania nie sposób znaleźć odpowiedzi. Chciałam również powiedzieć, że wystarczała nawet najmniejsza wzmianka o zagrożeniu dla Chloe, bym zajęła takie stanowisko.

To nie ułatwiało sprawy. Jeśli nadal miałam w sobie choć odrobinę uczciwości, musiałam przyznać, że te wymówki nie zawierały całej prawdy. Oczywiście - z pasją opowiadałam się przeciwko polowaniom - obchodziły mnie ryby i ptaki. Oczywiście oddałabym życie za Chloe. Lecz gdzieś po drodze przyzwyczaiłam się do myśli o doskonale zapowiadającym się polityku, jakim był mój mąż. Owszem, co prawda powoli i boleśnie, lecz wpasowałam się w szablon i nauczyłam się cieszyć rolą Willa i swoją.

Obrócił się w moją stronę.

- Chodź tu.

Byłam mu posłuszna. Will wykorzystał mnie bezpardonowo, był jak i bez finezji, ponieważ jednak nie zasłużyłam na nic innego, nic wzbraniałam się.

W następnym tygodniu dołączyłam do Willa w westminsterskim mieszkaniu.

Siedział na kanapie. Zapadał już zmierzch, lecz on nie zapalił światła.

- Zobaczysz wynik głosowania, Fanny. Nie uważam jednak, bym postąpił właściwie.

Usiadłam obok i wzięłam go za rękę.

- Nie mam pojęcia, co powiedzieć, Will, poza tym, że my także musimy sobie radzić.

- Można by nazwać mnie durniem. Co więcej, durniem, który ustąpił z pola.

Nieobstawanie teraz przy swoim byłoby pozbawione sensu.

- Albo który trzeźwo patrzy na rzeczywistość.

Kanapa była obita tanią, grubo tkaną bawełną, którą zaczęłam skubać. Will wyswobodził rękę i podniósł się z miejsca.

- To był mój głos, moja decyzja, Fanny. Nikt nie może mi dyktować, jak powinienem zagłosować.

Przełknęłam gorzki smak kompromisu.

- Czyja wiem... - odparłam, ale i to była nieprawda. Wiedziałam doskonale.

Will wsadził ręce do kieszeni. Od razu przystosowywał się do nowej sytuacji, już teraz robiąc z niej możliwie najlepszy użytek.

- Tak to bywa - rzekł, uśmiechając się przy tym ironicznie. - Takie rzeczy się zdarzają. Człowiek stawia im czoło i idzie naprzód. Przygotujmy się lepiej na przyjęcie.

Gdybym słuchała uważnie, odnalazłabym w jego słowach zarówno cień drwiny, jak i rozczarowania — samym sobą.

I mną.

Will miał rację.

*

Po powrocie do Casa Rosa rozebrałam się do naga i umyłam w umywalce przy oknie wychodzącym na dolinę. Woda, chłodna i orzeźwiająca, spływała po ramionach aż po czubki palców u nóg, „ja rozmyślałam o cierpieniach Lucilli - mojej nieznannej babki stryjecznej - i o okropnościach, które się jej przytrafiły. Biedna Lucilla, wyobrażała sobie, że wychodząc za męża, zaspokoi swoje prywatne pragnienia. Tymczasem z powodu polityki męża stały się one sprawą publiczną.

Ręcznik drapał ramiona, które lekko piekły od słońca. Wmasowałam balsam w nogi i ręce i schyliłam się, aby przyciąć paznokcie u nóg. Ich brzegi odcinały się białą od brązowej skóry.

Raoul zapukał do drzwi punktualnie o ósmej.

- Mogę wejść? - Na wieczór przebrał się w oficjalny lniany garnitur.

Odsunęłam się na bok.

- Tak, proszę, wejdz.

Przestąpił próg i bez dalszych wstępów wziął mnie w ramiona.

Nie broniłam się.

- Nie miej takiej zatroskanej miny - zarządził Raoul, przyciągając mnie blisko do siebie.

- Przecież powinnam - odparłam.

Dotknął opuszkami palców moich ust.

- Ciii... wiem. - Wplątał palce w moje włosy i ciągnął, aż napięła się skóra głowy. — Pragnąłem zrobić to od bardzo dawna. Nigdy nie ścinaj włosów, dobrze, Fanny? Są takie gęste i ciemne.

- Będę musiała, kiedy się zestarzeję.

Raoul pochylił się i mnie pocałował. Wargi miał suche, jego oddech było lekko czuć winem, skóra pachniała drogą wodą po goleniu - zapowiadając niewypowiedziane i tajemne rozkosze. Oparłam dłoń na pierś Raoula i delikatnie go odepchnęłam.

- Nie spóźnimy się?

Uwolnił mnie z uścisku.

- Fanny, uwielbiam w tobie tę niewinność.

Zdumiona podniosłam na niego wzrok.

- Ja wcale nie jestem niewinna - zaprotestowałam. - Ani trochę.

Powróciliśmy z Raulem do Fiertino późną nocą, zjadłszy wystawną kolację *en familie* w La Foce i zakosztowawszy win ze znakomitego rocznika 1970. Rozmowa toczyła się niemal wyłącznie na temat wina: nowych metod, nowej produkcji, wykorzystywania dębowych beczek... Włoski płynął z moich ust gładko i z łatwością, a język wina nie nastroczał najmniejszych trudności.

Melon był przesycony aromatem lata. Mięso tak kruche, że rozpadało się pod dotknięciem widelca. Winogrona, które podano z sarami, ciemne i spęczniałe od soku.

Raoul był w znakomitej formie. Eleganckie pomieszczenia i meble tworzyły odpowiednią dla niego oprawę. Co jakiś czas posyłał mi spojrzenie albo dotykał mojego ramienia. Patrz, zdawał się mówić, jak uwodzicielskie może być uwodzenie w moim wydaniu. Proszę, czerp z niego przyjemność. To, czego doświadczasz dzisiaj, to przedsmak tego, co nas czeka. Życia pogodnego, radosnego, cywilizowanego i pełnego zmysłowych rozkoszy.

Rozluźniona winem rozmawiałam i śmiałam się, napawałam dotykiem lnianej sukienki na skórze, muśnięciem włosów na ramionach.

Opisałam naszemu gospodarzowi interesy prowadzone przez mojego ojca i wyobraziłam sobie, jak budzi mnie Raoul. Nie otrząsnąwszy się jeszcze całkiem ze snu, miałabym rozgrzaną skórę, twarz wygładzoną nieświadomością, nagie ciało, pozwoliłabym mu robić, co tylko zechce. Przeżyłabym chwile przyjemności i silnych doznań: Raoul smakowałby mnie, sycił się mną i odnotowywał wrażenia. Wyrafinowana. Skomplikowana. Bez skazy.

Gospodyni podała kawę w maleńkich, kruchych filiżankach, a ja opowiedziałam jej o córce. Że jest inteligentna, że będzie piękna... i nagle ścisnęło mnie przerażenie, jakże łatwo byłoby zniszczyć optymizm i ufność Chloe. Równie łatwo jak stłuc jedną z maciupkich filiżanek podejmującej nas właścicielki restauracji.

Wracaliśmy drogą przez wzgórze w jasnym, intensywnym blasku księżyca. Ciemne paluchy cyprysów były wycelowane prosto w niebo. Raoul zaparkował samochód przed Casa Rosa.

- Pytam cię jeszcze raz: mogę wejść? - Pochylił się i odgarnął włosy z mojej rozpalonej twarzy. - Nie mogę nie zapytać. Nie chcę pytać. Potwornie się boję, ale spytać po prostu muszę.

Pocałował mnie znowu, lecz tym razem uczynił to zaskakująco inaczej. Z Raoulem nie było utartych, wydeptywanych przez lata ścieżek, żadnej nabytej z awczasu wiedzy, z wyjątkiem mglistego już dzisiaj wspomnienia tego, co wydarzyło się w domku na drzewie. Czy było wtedy aż tak źle?

- Zawsze cię kochałem - wyznał. - Od bardzo dawna. To nie znaczy, że nie kocham Therese. Kocham ją, chyba umarłaby, gdyby dowiedziała się, co ci powiedziałem, a przecież ja nigdy bym jej nie skrzywdził. Czy w tym, co mówię, jest jakiś sens?

Dotknęłam jego policzka.

- Cudowny.

Był to moment nadzwyczajnej bliskości.

We wnętrzu samochodu zaczynało robić się bardzo gorąco. Otworzyłam drzwi i wysiadłam, bacząc na to, jak układam ramiona i nogi, świadoma faktury sukienki, potu pokrywającego ciało.

Spojrzałam w górę na nocne niebo upstrzone punkcikami światła.

- Nie mogę się nadziwić, jak wielką różnicę potrafi zrobić kilkaset mil - powiedziałam do stojącego obok mnie Raoula. - W Anglii nigdy nie ujrysz takiego nieba... czegoś tak pięknego.

- Warto było, Fanny? - spytał.

- Kto wie? Kilka lat temu odpowiedziałabym twierdząco, teraz mam wątpliwości.

- Przemawia przez ciebie zdrowy rozsądek. Skoro nic nie jest pewne, dlaczego by się do tego nie przyznać?

- Bo to dość niewygodne.

Raoul nie patrzył na niebo.

- Wiele czasu zajęło mi dojście do siebie po przygodzie w domku na drzewie - rzekł i dotarliśmy do kulminacyjnego punktu wieczora

ru. - To wspomnienie mnie prześladowuje. Zdumiało mnie też, że seks może wszystko popsuć tak szybko. Ciach i już.

Moja dłoń wspierała się o jego ramię.

- Wiesz... Nie miałam pojęcia o seksie, w każdym razie niewielkie, tamto doświadczenie mnie przeraziło. - Uśmiechnęłam się. - Ale jakoś przebolełam. Trwało to dobrą chwilę, a potem zdążyłaś wyjechać z powrotem do Francji. Życie potoczyło się inaczej. Wybraliśmy niefortunny moment.

Raoul ujął mnie za rękę i powoli ruszyliśmy w stronę domu. W blasku księżycy Casa Rosa wydawała się większa niż w rzeczywistości, tajemnicza, okna domu połyskiwały groźnie w księżycowej poświacie.

- Jesteś nieszczęśliwa, Fanny?

- Przyjechałam pogrzebać prochy Alfreda. Nie zdecydowałam jeszcze gdzie, nie sądzę jednak, by miał coś przeciwko oczekiwaniu. Myślę, że wolałby, żebym nie spieszyła się z decyzją. I... wydaje mi się... musiałam uciec na pewien czas i pomyśleć. Bywam nieszczęśliwa, ale raczej nie jest to uczucie dominujące.

Dotknęłam drewnianej kolumny przy drzwiach frontowych.

- Nawet drewno jest rozgrzane.

Raoul przycisnął mnie do kolumny. Czułam się piękna, tajemnicza, upojona radością. Jak ptak zrywający się do lotu. Właściwie dlaczego nie? Will mnie zdradził. Dlaczego nie ja? Niepewność, tajemnica, swawolność... mogły stać się moim udziałem. Mogłam zebrać je razem i zepchnąć w kąć opatrzonej tabliczką „Wstęp wzbroniony”, a Will nigdy by się nie dowiedział.

Raoul położył mi dłoń na piersi, drugą objął mnie w talii i przywarł palcami do zagłębienia pleców. Uczynił to z wielką pewnością siebie.

- Do dwóch razy sztuka, Fanny.

Odchyliłam szyję i czekałam, aż ulegnę. P r a g n ę ł a m m u ulec.

Przeszłość schwytała mnie w swoje szpony. Cóż to obiecywałam sobie dawno temu? „Gdybym pracowała tam, gdzie Will, i obser-

wowała uganiających się za spódniczkami mężczyzn, walczyłabym o dochowanie wierności, pielęgnowałabym w sobie doskonałość".

A potem pomyślałam o Willu, jasno i rzeczowo, i zrozumiałam, że gdybym weszła do Casa Rosa razem z Raoulem, małżeństwo moje i Willa umarłoby w tym samym momencie. I co by pozostało? Mężczyzna i kobieta mieszkający pod jednym dachem, puste pokoje, w których echo odbijałoby się od ścian.

- Nie - powiedziałam stanowczo. - Raoul, popełniłam błąd.

- Fanny...

- Żałuję, ale to pomyłka. Nie mogłoby ująć mi to na sucho.

- Ależ tak, mogłoby.

- Nie w tym sensie. Ja s a m a nie mogłabym puścić tego płazem. Myśli nie dałyby mi spokoju.

- Czy wolno mi zauważyć, Fanny, że w tej chwili nie interesuje mnie, co kłębi się w twojej głowie? - Dłoń Raoula mocniej przywarła do mojego ciała, po czym opadła.

- Bardzo mi przykro. Nie oczekuję, że zrozumiesz.

- Nie o to chodzi - odparł i odsunął się.

Kiedy rozmawialiśmy, zza bocznej ściany domu wyłoniła się jakaś postać. Była to kobieta ubrana w bawełnianą spódnicę, która płynnie dostosowywała się do kształtów jej ciała przy każdym ruchu.

- Witaj - odezwała się Meg. - Czekałam, aż wrócisz. Nie byłam pewna, czy taksówkarz wysadził mnie we właściwym miejscu. Po tem dojrzałam książkę o winie leżącą na kuchennym stole. - Podeszła bliżej, a wtedy jej postać zarysowała się wyraźnie w mocnym, srebrzystym świetle księżyca. - Witaj, Raoul, dawno cię nie widziałam. Zawsze, kiedy przyjeżdżasz, Fanny zatrzymuje cię dla siebie.

Raoulowi nie zakołatało serce. Zbliżył się do Meg i pocałował ją w policzek.

- Fanny nic mi nie wspominała...

Meg poddała się uściskowi Raoula.

- To było sympatyczne. - Dotknęła swojego policzka. - Powinniśmy częściej się widywać. A tak w ogóle, Will nie mówił, że cię tu zastanę.

- Will nie wie - wyjaśniłam.

Meg przeniosła wzrok z Raoula na mnie.

- No cóż - rzekła.

Raoul położył mi dłoń na ramieniu.

- Będziemy w kontakcie. Może zjemy gdzieś wspólnie kolację, zanim wyjadę.

Wszyscy troje wiedzieliśmy, że to fikcja.

- O tak - odparła Meg. - B y ł o b y bardzo miło.

- Co ty tu właściwie robisz? - zażądałam wyjaśnień, gdy odjechał Raoul.

- Zdawałoby się, że przybyłam w samą porę - rzekła oschłym tonem.

Na to trudno było cokolwiek odpowiedzieć.

Meg poszła za mną do kuchni i postawiła walizkę na podłodze.

- A gdybym powiedziała, Fanny, że to pewna zachłanność z twojej strony mieć taką przestrzeń w uroczym domu we Włoszech i z nikim jej nie dzielić... Mogłabym też powiedzieć, że się za tobą stęskniłam. Will również. On cię kocha, przecież wiesz. A... - Przygryzła wargę, lecz przemówiła z typową dla siebie drwiną: - ...ja kocham każdego, kogo kocha Will...

Odwróciła wzrok i wiedziałam, że obawia się mojej reakcji.

Meg zarekwirowała jedyne krzesło w kuchni, skazując mnie na stanie.

- Był miły. Mój kochany braciszek zawsze jest dla mnie miły. Ale jasno zaznaczył, że nie życzy sobie, abym pojawiała się u jego boku. Oświadczył... — Wykrzywiła twarz w grymasie. - Oświadczył, że to twoje miejsce, nie moje. Ale nie rozklejaj się, prawdopodobnie sobie wykalkulował, że jeśli będę cię zastępować, zaczną krażyć plotki.

- Meg...

- Will nigdy nie daje za wygraną. Kiedy umrze, znajdziesz wyryty w jego sercu napis „wahnięcie procentowe”.

- A kto sprawił, że taki się stał?

- Przypuszczam, że mogło mieć to jakiś związek ze mną. - Meg szturchnęła stopą walizkę. - Przepraszam, że cię zaskoczyłam, Fanny, nie było to z mojej strony zbyt grzeczne, ale możesz znaleźć dla mnie trochę miejsca. Mieszkałyśmy razem dostatecznie długo.

Wróciła mi energia i zrozumiałam, że muszę zmierzyć się z Meg. Dość już kompromisów.

- Jedź do domu - powiedziałam. - Nie chcę cię tutaj. To mój azyl.

Usta Meg zadrżały.

- Fanny, nie bądź wredna. Nie jestem pewna, czy zdołam to znieść.

- Spróbuj.

- Próbowałam. Potrzebuję cię.

Dochodziła północ. Panował upał, ja czułam się kompletnie wypompowana, lotnisko znajdowało się wiele mil stąd, a Meg jak zwykle przywiozła ze sobą bagaż śmieszności, smutku i potworności i niewiele można było w tym momencie zdziałać.

Uprzątnęłyśmy drugą sypialnię. Wdychając zapach kamfory, ukłękłam przy komodzie w korytarzu i przetrząsnęłam jej zawartość w poszukiwaniu dodatkowej pościeli. Wreszcie znalazłam dwa prześcieradła z wyhaftowanymi w rogu inicjałami MS i posłałyśmy łóżko dla Meg.

- Najwyraźniej tak miało być - skonstatowała.

Zgrzane od wysiłku włożonego w przesuwanie mebli wyszłyśmy na dwór, na drogę.

- Co zrobisz ze mną rano? - spytała.

- Nie wiem.

Nasze stopy z każdym krokiem wzbijały w górę biały kurz. Cykady dzwoniły w zaroślach. Mrok był przesycony zapachem bazylii i majeranku, z nutą cytryny - a chłodna, przesiąknięta na wskroś deszczem aura Stanwinton została daleko, daleko stąd.

Przerwałam milczenie:

- Nie orientuję się w sytuacji. Są jakieś wieści?

- Sondaże wskazują, że poparcie się wymyka - oznajmiła Meg strapionym głosem - ale czego się spodziewać? Wszyscy potrzebują odmiany. Ludzie mają w końcu powyżej uszu niezmienności i do- brych chęci.

Wędrowałyśmy obok kępy drzew oliwnych i winnicy, w której

winna latorośl rosła w równych, zdyscyplinowanych rzędach. Na końcu każdego rzędu posadzono krzew róży.

- Ładny szczegół - zauważyła Meg.

Uszczknęłam parę listków dzikiego tymianku, roztarłam w palcach i wciągnęłam w nozdrza ich aromat.

- Powąchaj. Już nigdy nie kupisz ziół w słoiczkach.

Zatrzymałyśmy się w miejscu, gdzie droga się rozwidła. Jedna prowadziła w dół do Fiertino, którego światła kontrastujące jaskrawo z ciemnym niebem przypominały nanizane na sznur brylanty. Druga wiała się w górę, mijała Casa Rosa i nikięła za wzniesieniem. Meg odrzuciła do tyłu włosy.

- Gorąco.

- I o to chodzi, ojak najmniej podobieństw do Stanwinton. - Powiedziałam to z większą pasją, niż zamierzałam.

- Biedaczka, ale cię wzięło.

- Wzięło. Za to ułożyłam sobie tutaj kilka spraw.

- Jeśli nazywasz Raoula układaniem sobie spraw - rzekła.

Szłyśmy dalej.

- Jesteśmy z Raoulem dobrymi przyjaciółmi. Zналиśmy się na długo przed tym, zanim spotkałam Willa.

- Skoro tak mówisz, Fanny. - Meg kopnęła kamień obutą w sandał stopą. - Zachowywałam się grzecznie, Fanny. Jestem czystą jak łąka. S t a r a ł a m się.

Wzruszyło mnie to wypowiedziane z wahaniem wyznanie.

- Żałuję, że nie byłam inna, Fanny. Żałuję, że nie postępowałam inaczej. Wtedy nie skończyłabym tak... głupio. Nie uległabym tak mocno urokowi używek. - Meg szarpała włosy z taką siłą, że musiało boleć.

Westchnęłam głęboko, Meg to usłyszała. Zaśmiała się gorzko.

- Alkohol niszczy. Dziewczyna ląduje bez przyjaciół, bez męża, bez kochanka. Tylko... tylko z synem, a on dorasta i odchodzi. Zostałaś mi już tylko ty i Will. - Na chwilę umilkła. - Ty pokierowałaś swoim życiem lepiej. Jak z a w s z e , Fanny... dobra, udana Fanny.

- W porządku, Meg - rzekłam. - Tę rozmowę już przeprowadziłyśmy.

Meg szybko zmieniła front.

- Więc jesteście dwie stare recydywy.

- Nie takie stare. - W świede księżycy twarz Meg wyglądała dziwnie, była nienaturalnie napięta. - Co się stało?

- Usiłuję zmarszczyć brwi. Zafundowałam sobie zastrzyki z botosu. Uznałam, że jeśli nie będę mogła marszczyć czoła, życie będzie wydawało się mniej okropne. Ale ciągle się zapominam.

Przystanąłam - ja, niedoszła cudzołożnica - na pokrytej kurzem, oświeconej księżycem drodze, z której widać było pałacę się w oddali światła Fiertino, i wprost skręcałam się ze śmiechu.

- Ty też powinnaś sobie zaaplikować, Fanny - zasugerowała Meg, kiedy zdołała dojść do słowa. - Zaczynają ci się robić zmarszczki.

Ujęłam Meg pod wąty łokieć.

- Meg, dlaczego nie zapiszesz się na ten kurs uniwersytecki, o którym kiedyś wspominałaś?

Zesztywniała, ale się nie odsunęła.

- Nie jestem dość inteligentna.

- Akurat jesteś.

Wracałyśmy ścieżką do Casa Rosa.

- Boję się przegrania mojej osobistej walki - przyznała pospiesznie Meg. - Przez resztę życia będę pod dwudziestoczterogodzinnym nadzorem. A mimo to demon będzie próbował przerwać moją linię obrony w ciemności, gdy jestem senna i przygnębiona. Będzie usiłował przechytrzyć mnie także w pełni słonecznego blasku, w codziennej nudzie, kiedy nikogo nie będzie obchodziło, czy jestem, czy mnie nie ma.

- Sachę to obchodzi. Willa to obchodzi... i mnie.

- Sacha jest... synem. Ani mężem, ani kochankiem, ani towarzyszem.

W nocy usłyszałam wołanie Meg. Odrzuciłam prześcieradło i stąpając po chłodnej podłodze pokoju, po omacku szukałam drzwi. Meg leżała skulona na boku, prześcieradła były skręcone i zbite

w jedno miejsce. Pochyliłam się nad nią, ona zaś wymamrotała coś niezrozumiale - wydała z siebie jakiś smutny, strapiiony dźwięk. Nie potrafiąc jej pocieszyć, targana poczuciem winy, że chciałam się jej stąd pozbyć, zdobyłam się na poprawienie prześcieradeł.

- Meg?

Jej oczy zamrugały i otworzyły się gwałtownie, nie patrzyła jednak na mnie, lecz przeze mnie i gdzieś jeszcze dalej.

Kiedy się uspokoiła, zeszłam na dół i wyjęłam ze stojaka w kuchni dwie butelki wina - Vigna UApparita (ze szczepu Merlot) - które podarował mi nasz gospodarz z La Foce. Za takie wino można było dać się zabić. Ukryłam je pod tajnym składem kartonów.

Szukając na górze aspiryny na męczący mnie ból głowy, wyrzuciłam torebkę do góry nogami i wysypałam jej zawartość na łóżko. Wypadł z niej również mój nowy telefon komórkowy. Włączyłam go. Wyświetliła się wiadomość: „KC Ma Cxxx”.

Usiadłam i rozpłakałam się za ojcem i za Chloe. Wylewałam łzy wewnętrznego zamętu i - w większym stopniu - żalu.

Następnego dnia rano zostawiłam śpiącą jeszcze Meg w Casa Rosa.

Był to w Fiertino dzień targowy, toteż rynek pękał w szwach od furgonetek i straganów, na których sprzedawano przybory kuchenne po obniżonej cenie, góry warzyw i kosze z rafii. Kupiłam na targu wiadro i gumowe rękawice, a miotłę, środek dezynfekujący, mleczko do czyszczenia, preparat do usuwania kamienia i pastę w supermarkecie.

- *Signora*. - Obsługująca mnie ciemnooka kobieta dostrzegła czerwone bąble na moim ramieniu i dorzuciła do zakupów jakąś tubkę. - *Per i morsi* - powiedziała z uśmiechem. - *Gratis*.

Podziękowałam jej i powlokłam się z powrotem do domu w palącym już o tej porze słońcu. Obwiązałam głowę chustką, zagotowałam wodę i wzięłam się do sprzątanía.

Wyszorowałam stół. Podłogę w kuchni. Łazienkę. Wymiotłam wszystkie zakamarki domu, z martwych owadów usypały się całe

sterty. Umyłam okna, zeszkrobałam kamień z kurków, zmyłam ściany, usuwając plamę wewnętrznego zwątpienia za pomocą druciaka i chemii.

„Być może w życiu bardziej żałuje się rzeczy, których się nie zrobiło, niż tych, które się zrobiło?”

Co sądziłby mój ojciec?

Chyba ważna jest afirmacja żarliwych uczuć? Postanowienie, by nigdy nie czuć pustki w sercu?”

Środki chemiczne i zanurzanie rąk w wodzie zamieniło moje palce w pomarszczone suszone śliwki, tyle że o barwie różu. Plecy zeszywniały od ciągłego pochylania się, pot oblewał od stóp do głów. Gruntowne wysprzątanie Casa Rosa było zadaniem raczej beznaejnym, zamierzałam mujednak sprostać.

- Wygląda mi to na nieczyste sumienie - skomentowała Meg, gdy wreszcie wyłoniła się z sypialni. - Zmywanie grzechów. Nie prosz, żebym się przyłączyła. - Na jednym z policzków miała czerwoną plamę odcisniętą podczas snu, jasne włosy były w nieładzie. - Jest gorąca woda?

- Całą zużyłam.

Meg sprawiała wrażenie zadumanej.

- J a k na Dzikim Zachodzie - powiedziała. - Mimo to, skoro takie są wymagania, umyję się w zimnej, by dostroić się do ciebie nastrojem.

- Meg, zadzwoń na lotnisko i zarezerwuj bilet do domu - odezwałam się z klęczek.

- Proszę cię, Fanny. Pozwól mi zostać. P r o s z ę .

- A p o c o o n a tutaj przyjechała? - spytała szeptem Benedetta, gdy później zabrałam do niej Meg w odwiedziny. - Żeby narobić bigosu?

- Mam nadzieję, że nie.

Benedetta otworzyła szeroko swe ciemne oczy, a wtedy zobaczyłam, że nadal są bardzo piękne, i przypomniałam sobie, jak ubóstwiał je niegdyś mój ojciec.

- Skaranie boskie, Fanny.

Meg zachowywała się nienagannie, ale Benedetta nie zaproponowała jej świeżego pomidora ze swojej uprawy, ja zaś z miejsca pojęłam aluzję.

Następnego ranka Meg o dziwo nadal była *in situ* w Casa Rosa. Poszliśmy zjeść śniadanie do Angela.

- *Amore!* - zawołała Maria krzątająca się przy ekspresie do kawy.

- Tak we Włoszech wołają matki na synów - poinformowałam Meg.

- Maminsynek? - Meg uśmiechnęła się ujmująco do Angela, który oblał się rumieńcem, i przyglądała się jego dobrze zakamuflowanej sylwetce, gdy śpieszył do środka na wezwanie matki.

- Nie ma więcej lat niż Sacha.

Meg usiłowała zmarszczyć brew, lecz próba się nie powiodła.

- Sacha nie zawsze słucha swojej mamusi.

Brioszka Meg została rozkruszona, ale ubyło z niej niewiele.

- Powinnaś coś zjeść - powiedziałam. - Spałaszować królewskie śniadanie.

- Zabawne, jak często powtarza się te same zwroty. Mawiałam tak do Willa. Znęcano się nad nim w szkole, a to odbierało mu apetyt.

- Znęcano się? Nad Willem?

Meg wydawała się zaskoczona.

- Nie mówił ci? No tak, pewnie by się nie przyznał. Wolałby umrzeć, niż zdradzić się ze swoim strachem. Ale był zastraszony.

- Opowiadaj.

Meg zwilżyła koniuszek palca, przycisnęła go do okruszka na talerzu i włożyła do ust.

- J a się bałam dziadków. Nie byli źli, nic z tych rzeczy, ale bardzo wiekowi i nudni, i bez przerwy się modlili. Zawsze przerażała mnie myśl, że wrócę do domu i zastanę tam dwa trupy. To dlatego Will zawsze czekał na mnie po szkole. I między innymi z tego powodu się nad nim znęcano. Trzym a się spódnicy siostrzyczki.

- Jak ie były inne?

Meg zareagowała z irytacją:

- Całe mnóstwo.

Zatrąbił klakson. To był Raoul. Zaparkował pod drzewem i ruszył w naszą stronę.

- Przyszedłem się pożegnać. Okazuje się, że nie mogę dłużej zostać.

Meg przeszukała torebkę i wyjęła szminkę, którą pociągnęła usta. Zalśniły ciemnym różem.

Wyjazd Raoula mnie nie zdziwił. Jego pozostanie na miejscu nie miało sensu. Oboje potrzebowaliśmy stosownej przerwy i przystosowania się do nowej sytuacji. Pomyślałam w nagłym przypływie goryczy i żalu, jak bardzo będzie brakować mi naszych rozmów.

Zbierając się do wyjścia, Raoul wstał, pochylił się i mnie pocałował.

- Będę w Anglii jeszcze w tym roku - poinformował grzecznie.

- Zadzwoń do ciebie. Chciałbym porozmawiać o interesach.

- Zdecydowałeś, gdzie pochowasz prochy Alfreda? - Meg patrzyła, jak samochód Raoula manewruje, włączając się do ruchu wokół *plazzy*, i znika.

- Nie.

- Sądziłam, że po to tu przyjechałeś - zauważyła niewinnie. Jej uwagę przyciągnęła furgonetka, z której wyładowywano palety szpinaku i melonów. - Planujesz jakieś zmiany, Fanny? Nie do końca dałam się zwieść opowiastce o grzebaniu prochów ojca. Zwłaszcza kiedy zjawił się Raoul. Ta drobna ucieczka bardziej przypomina czepianie się przez tonącego brzytwy, co musi mieć związek z moim bratem. - Urwała. - Może uważasz, że twoje małżeństwo dobiegło naturalnego końca. Z małżeństwami tak jest. Z początku mamy mnóstwo dobrych intencji, jak n a j l e p s z y c h , a potem życie wchodzi nam w paradę. - Rzuciła mi szybkie spojrzenie. - Raoula masz z głowy. Ile jest warte moje milczenie?

- Powiem Willowi, oczywiście.

- Nie robiłabym tego na twoim miejscu - odparła.

Obracałam w palcach saszetkę cukru.

- Zdobyłam dla siebie trochę czasu.

- Przykro mi, że stanęłam ci na przeszkodzie.

- Nieprawda. - Zapłaciłam rachunek, wręczając pieniądze Angelowi. - Wracaj do domu, Meg, i przestań się wtrącać.

- Uznajmy, że zostałam ostrzeżona. - Meg wstała z miejsca. - To jest życie innych ludzi. Życie innych. Absolutna tajemnica.

Meg nie wyjechała do domu po kilku dniach. Jakżeby inaczej. Na początku wystąpiły problemy ze zmianą terminu wylotu. Potem okazało się, że przez najbliższe dwa tygodnie nie ma wolnych miejsc do Londynu. Ajeszcze później powiedziała:

- Słuchaj, równie dobrze mogę zostać do twojego wyjazdu. To tylko jeden tydzień.

Każdego dnia, który spędziłam w dolinie, coraz bardziej odrywałam się od swojego poprzedniego życia. Spoglądałam na nie, mgliste i zamazane, jak przez szkło, bez nostalgii, zapamiętane tylko w połowie, o zatartych szczegółach. Otuliła mnie jakaś wewnętrzna senność, wręcz przytłaczająca, cieszyłam się, że mogę siedzieć bezczynnie i patrzeć, jak światło przybiera na intensywności, nabiera metalicznej barwy i jak nastaje spiekota.

Rozmyślałam o Chloe, o grubym sznurze uczuć, który wiązał nas ze sobą, i o tym, jak po jej narodzinach przestałam być osobną osobą. Myślałam o Raoulu, moim pierwszym kochanku, przed którym umknęłam - po raz drugi. O Willu, mojej wielkiej miłości. O kształtach, jakie przybierało nasze życie, i o przestrzeniach dzielących jego poszczególne etapy.

Gdy Meg zbudziła się ze snu, powędrowaliśmy do Fiertino, usiadliśmy u Angela przy stoliku z widokiem na *piazza* i zamówiliśmy kawę.

Czasami *piazza* była niemal wyludniona. Innymi razy, jakby wezwane jakąś tajemniczą mocą, napływały ulubione przez Włochów klekoczące furgonetki, a odór spalin mieszał się z aromatem kawy i warzyw z sąsiedniego supermarketu.

Piłam kawę i przeglądałam książki o winie, Meg zaś czytała powieść albo po prostu patrzyła przed siebie. Lubiłam to miejsce, i Meg chyba również — sprawiała wrażenie zadowolonej. Wydatkowałyśmy energię głównie na przestawianie krzesel w cień, gdy przesuwało się słońce.

- Wiesz - rzekła - Willowi by się tu podobało.

- Willowi?

- Nie rozumiesz? Nigdy nie miał okazji posiedzieć sobie i poleniuchować. Zawsze coś go gnało. Od samiotkiego początku. - Oparła brodę na złączonych dłoniach. - Mój brat jest odważnym człowiekiem i nie jego to wina, że świat jest skomplikowany i okropny. Tak czy owak, Will nie ma zamiaru pozwolić, by tenże świat nas pokonał. - Ciemne oczy skryły się pod powiekami. - Rozumiesz?

Każdego dnia wybierałyśmy w sklepie albo na targu inne warzywo, które stawało się głównym składnikiem naszego lunchu. Pomidory czy bakłażany? Cukinie czy ogromne, mięsiste pieczarki? Ja zajmowałam się krojeniem. Meg przyrządzała sosy. (Miała smykałkę do harmonijnego łączenia balsamicznego octu winnego, oliwy i musztardy).

Popołudniami odbywałyśmy sjęstę, wczesnym wieczorem zaś mobilizowałyśmy się, by wsiąść do samochodu i coś pozwiedzać. Najczęściej sączyłyśmy mrożoną kawę w sąsiednim miasteczku.

Zabrałam Meg do muzeum w Tarquinii i spytałam, czy rozpoznaje parę.

- O tak — odparła - oczywiście, że tak. Szczęśliwa para. - Przyjrzała się podpisowi. - Umarli tak młodo, że nie zdążyli zaznać ani nienawiści, ani nudy.

- Nie zdążyli - przyznałam.

Potem pokazałam jej freski w kościele w Fiertino. Długo się w nie wpatrywała. Wreszcie odeszła.

- Zbyt apokaliptyczne jak na mój gust.

Po tej wyprawie zaniechałyśmy wycieczek kulturalnych za obojawną zgodą.

Z radością zastąpiłyśmy je zakupami. Kiedy słońce zachodziło za wzgórze i robiło się chłodniej, szperałyśmy w butikach i na targach, przymierzałyśmy zgrabne włoskie sweterki, rozprawiłyśmy o torebkach. Kupiłyśmy dla Meg ładne słomiane koszyki i jedwabne apaszki.

Maria zdradziła nam adres sklepu z obuwem ukrytego w uliczce za kościołem.

- Buty tylko z Rzymu - powiedziała i puściła oko. - Ale ceny tutejsze.

Meg i ja zgodnie doszłyśmy do wniosku, że wsparcie lokalnej gospodarki jest naszym obowiązkiem.

Sklep znajdował się w średniowiecznej dzielnicy miasteczka. W środku było gorąco, ciemno i ciasno jak w łonie matki, wewnątrz przyjemnie pachniało skórą i lakierem - aromatem rzemieślniczego warsztatu. Spędziłyśmy dobre pół godziny, myszkując po półkach. Meg rzuciła się na wymyślne pantofle na wysokim obcasie, ja wahałam się pomiędzy cudownymi sandałami z czerwonej skóry, które bardzo do mnie przemawiały, a praktycznymi czarnymi, idealnie pasującymi do stylu Stanwinton, które nie przemawiały do mnie wcale.

Meg wsunęła stopy w pantofle i wykonała pełen obrót. Wydawała się rozentuzjasmowana, tryskała radością, jakby stała się na powrót młodą dziewczyną, i wtedy zrozumiałam, dlaczego Rob się w niej zakochał. Kołysząc się na obcasach, rzekła:

- Pierwszą parę ładnych butów kupił mi Will. Zatrudnił się w supermarkecie do układania towaru na półkach i zaoszczędził trochę pieniędzy. Chciał mi w ten sposób podziękować. Nosiłam je długie lata.

Nasz pobyt w Fiertino miał nieoczekiwane następstwo - rozwiązał język Meg. Rzuciła mi całkiem sporą garść informacji. „Weź” - zdawała się mówić. „To mój prezent dla ciebie”.

Starła się opowiedzieć mi o nieznanym Willu: o takim, który istniał, zanim go poznałam. Zagadnięta o fakty, mogłam w każdej chwili powiedzieć, że ulubionym śniadaniem Willa jest smażony bekon. Wiedziałam, jakie koszule lubił najbardziej, w jaki sposób obracał się podczas snu i odrzucał rękę za głowę. Wiedziałam, że kocha swoją córkę, że dopuścił się wobec mnie zdrady. Wiedziałam, że przeżyliśmy razem wiele lat.

Jednak zupełnie nieznaną była mi ta część jego życia, kiedy ster w dłoniach, które zapewne często drżały ze strachu i niepokoju, dzierżyła Meg.

Odłożyłam czerwone sandały na półkę.

- Za gorąco. Innym razem.

- Fujara z ciebie - stwierdziła i zapłaciła za swoje pantofle.

Pod koniec tygodnia zadzwonił Will.

- Fantastyczne nowiny, Fanny. Są wyniki Chloe. Dwie piątki i jedna czwórka. Zadzwoniłem do niej, była ogromnie zadowolona.

Ścisnęło mi się gardło.

- Mądra, wspaniała Chloe.

Omawialiśmy jej plany uniwersyteckie i kto jakie dostał stopnie. W trakcie tej rozmowy wyobraziłam sobie Chloe, już całkowicie dorosłą, odbierającą w czarnej todze dyplom ukończenia wyższej uczelni, wychodzącą za mąż, przyjeżdżającą do domu z trojgiem moich wnucząt. Czas umykał szybko i niepostrzeżenie, trzeba było za nim nadażać.

- Przekazałeś jej ode mnie pozdrowienia?

- Oczywiście. Jak się miewacie?

- Jesteśmy całkowicie rozleniwione.

- I dobrze. — Odchrząknął. - W domu wydaje się bardzo pusto. Ale dużo czasu spędzam w Londynie. Obawiam się, że w mieszkaniu panuje lekki rozgardiasz. Przepraszam za najazd Meg. Wiem, że potrzebowałaś trochę wytchnienia. Ale przez ostatnie kilka tygodni mieliśmy tu prawdziwe piekło. - I tak ciągnął w podobnym tonie.

Ohydna pogoda. Mozolna robota z urnami wyborczymi. Wreszcie powiedział tęsknie: - Wydaje się, że jesteś tak daleko.

Strząsnęłam martwą muchę na podłogę. Czyżbym przeoczyła ją w swoim szale porządków?

- Zgadnij, kto się tu zjawił? Raoul. Wybraliśmy się na wyśmienitą kolację do jego przyjaciół, rozmawialiśmy o winnicach, ocenialiśmy roczniki.

- Bardzo miło - odparł z rezerwą. - A propos, czeka tu na ciebie stos dokumentów od prawnika.

- Tak, wiem. - Zdobyłam się na wysiłek. - Opowiedz, co się dzieje.

- Sondaż wygląda ponuro - rzekł - ale chyba tego właśnie należało się spodziewać...

Kiedy Will relacjonował sytuację, patrzyłam przez okno na drzewo oliwne, które rosło niepewnie, za to na przekór wszystkiemu, na zboczu powyżej domu. W promieniach słońca spodnia strona liści wydawała się biała.

Usłyszałam szelest paczki papierosów.

- Fanny... tak jak się obawiałem, musimy zaniechać projektu podatku od drugiego samochodu w rodzinie. To sprawa zbyt drażliwa. W kontekście zbliżających się wyborów... No więc, z unізoną uprzejmością powiedziano mi, żebym się odchrzanił, spuścił głowę, a jeśli będę wyjątkowo grzeczny, litościwie rzucają mi kość. Koniec i kropka. Cały ten kram chyba przestaje mnie powoli obchodzić.

To nie mogło być prawdą.

- W takim razie, Will, nie musimy marnować ani chwili więcej.

- Spodziewałem się, że okażesz trochę więcej współczucia.

- Współczuję. Bardzo. Przykro mi, że się rozczarowałeś, ale już po zawodach.

Obróciłam się w holu Casa Rosa, sznur telefonu okręcił mi się wokół nogi, nie chciałam jednak tracić widoku na krzewy winorośli po przeciwnej stronie drogi. Dziwne. Dlaczego dotąd nie zauważyłam, że słup wysokiego napięcia na szczycie wzgórza stoi dokładnie pomiędzy dwoma cyprysami?

- Fanny, kiedy wracasz do domu?
- Usłyszałam, jak mówię:
- Nie chcę wracać. Tutaj czuję się jak w domu.

Meg była nie w ciemni bita i połapała się, że Benedetta jej nie lubi.

- Wiesz co - powiedziała wieczorem, gdy szykowaaliśmy się do wyjścia na kolację, na którą Benedetta miała przyrządzić makaron — po namyśle postanowiłam zostawić was we dwie, żebyście mogli powspominać dawne czasy. Ja zjem coś u Angela. Tak bym wolała.

I tak się umówiliśmy.

Benedetta wystrojona w najlepszą różową sukienkę, na której zawiązała koronkowy fartuch, była w radosnym nastroju. W tie spiker Radia Watykan komentował wydarzenia.

- Zadzwoił mój syn. - Uśmiechnęła się promiennie. - I powiedział, że przyjeżdża zimą. - Podała mi nóż. - Proszę, Fanny, zrób sałatkę.

Czerwone i soczyste pomidory odrywały się plasterkami od noża. Chwyciłam jeden i wepchnęłam sobie do ust. Smakował słońcem i ziemią. Ułożyłam plasterki na talerzu i posypałam bazylią. Madonna uśmiechała się ze swojego punktu obserwacyjnego na ścianie. Może i kuchnia Benedetty była ciasna i zagracona, niemniej jednak było tam wygodnie, znacznie wygodniej niż w mojej kuchni w Stanwinton ze wszystkimi jej nowoczesnymi sprzętami.

Wyniosłyśmy jedzenie na ganek z tyłu i podczas kolacji rozmawiałyśmy o ojcu.

Benedetta wcisnęła mi na talerz kolejny kawałek domowej tarty morelowej.

- Nigdy nie wybaczył sobie odejścia twojej matki.
— Jak myślisz, dlaczego nie chciał ożenić się powtórnie? Nie mogłam tego zrozumieć.

- I zafundować ci macochę? Nie. Alfredo powiedział mi, że prze-nigdy nie zgotowały ci takiego losu.

Lepiej nie drażyć tematu.

Powróciwszy do Casa Rosa, zwróciłam się do urny zawierającej prochy ojca:

- Tato, gdzie mam cię pochować? Gdzie chciałbyś być? Podpowiesz mi?

Meg zjawiała się mniej więcej godzinę później. Siedziałam na schodach w nocnej koszuli, a ona paplała do mnie z kuchni.

- Herbaty? - Słysząc było ciurkanie wody, gdy napełniała czajnik. - Zjadłam pyszną kolację. - Strzelił palnik, a Meg pojawiła się na progu kuchni. Miała leciutko zaróżowione policzki, jej włosy wydawały się miękkie i błyszczące. - Na pewno nie masz ochoty na herbatę? Wieczorem u Angela można świetnie się zabawić, knajpa wręcz pęka w szwach od złotej młodzieży, która robi straszny hałas. Podobało mi się, nauczyłam się nawet paru słów po włosku, więc nie musisz się o mnie martwić.

Następnego ranka snułam w loggii marzenia nad pierwszą filiżanką kawy, gdy drogą nadeszła zdyszana Benedetta. Posadziłam ją i przyniosłam szklanę wody z lodem. Wypiła, głośno przełykając.

- Fanny, musisz zdawać sobie sprawę, że na cudzoziemców zwraca się uwagę przede wszystkim. A w Fiertino jest wiele par oczu.

- Nie jestem cudzoziemką - zaprotestowałam. - Niezupełnie.

- *Santa Patata*. Mieszkałam w Anglii przez dziesięć lat i do końca byłam tam obcokrajowcem.

Wzięłam gwałtowny oddech i chwyciłam ją za rękę.

- Byłaś dla mnie matką.

Benedetta pogładziła mnie palcem po nadgarstku.

- I tak, i nie.

- Czym zgrzeszyłam?

- Nie ty. Meg. Widziano ją koło Angela, jak wchodziła do Bachusa w towarzystwie dwóch młodych mężczyzn. Bachus to nieodpowiednie miejsce. Kobiety tam nie chodzą. Musisz jej powiedzieć.

Kiedy Meg się obudziła, Benedetty dawno już nie było. Przypuściłam atak od razu.

- Przyuważono cię.

- Och, na litość boską. - Meg klepnęła mrówkę chodzącą po ramieniu. Była blada i półprzytomna z rozespania, wilgotne od potu włosy opadały jej na ramiona. - Nie twój interes, gdzie kończę wieczór. Wypiłam sok brzoskwinowy, nic więcej. Po prostu pragnęłam towarzystwa. Czy to takie dziwne albo skandaliczne?

- Nie, ale dlaczego nawet o tym nie wspomniałaś?

Spojrzała na mnie ze spokojem.

- Pomyśl.

Moje włosy także wydawały się ciężkie i wilgotne od upału, zebrałam je do tyłu.

- Angelo jest miły. Zwyczajnie chciał cię ostrzec. To pewnie nic wielkiego, ale oni wiedzą o rzeczach, które nam są zupełnie obce. Jesteśmy, jak przypomniła mi właśnie Benedetta, cudzoziemkami.

Zmizerowana twarz Meg była nieprzenikniona.

- Angelo uważa, że warto się mną przejmować?

- Oczywiście.

- To zwykły bar z kilkoma krzesłami i nieprzyzwoitym obrazkiem przyklejonym na ścianie. - Nieprzyjemnie zacisnęła usta. — Kogo to obchodzi?

Pragnęła, bym odpowiedziała: „Mnie obchodzi”. Ale nie zdołałam się do tego zmusić.

Na twarzy Meg zgasł wyraz zaciekawienia i nadziei.

- Twoje zachowanie prawdopodobnie także nie wytrzymałoby wnikliwszej kontroli, Fanny.

Może by nie wytrzymało. Na to nie było odpowiedzi.

- W porządku - powiedziała. - Wszystko jasne. Ale niczego nie obiecuję. - Popatrzyła na dolinę. - To chyba rzeczywiście b a r d z o małe miasteczko. I b a r d z o średniowieczne.

- Po prostu ostrzeżono cię po przyjacielsku. Benedetta się zaniepokoiła.

- Tak, moja droga. - Rzuciła mi spojrzenie. Nie wiem, co miało oznaczać. Wiedziałam jedynie, że poczułam się nieswojo, a łączący mnie z Meg węzeł zacisnął się mocno jak nigdy dotąd.

*

Załagodziłyśmy konflikt i postanowiłyśmy wybrać się do Sieny. Zamiotłyśmy podłogi, przyniosłyśmy pranie z ogrodu i obeszyłyśmy dom, żeby pozamykać okiennice.

Meg włożyła czerwoną spódnicę, białą bluzkę i ogromne okulary przeciwsłoneczne. Ja nałożyłam sukienkę, którą miałam na sobie podczas kolacji w La Foce. Meg wzięła mnie pod ramię.

- Możemy chlubić się sobą nawzajem. - W samochodzie zapytała: - Czy naprawdę przeszkodziłam wam z Raoulem?

- Zdążyłam go już odesłać.

- Ale dlaczego?

Zerknęłam na nią. Trzymała ręce złożone na kolanach i spoglądała prosto przed siebie.

- Niepotrzebny mi kochanek.

- N i e p o t r z e b n y ci mąż.

- Ach - odparłam - ale męża już mam.

Gwałtownie odwróciła głowę, zdążyłam jednak dostrzec łzy płynące za ciemnymi szkłami.

Kiedy poślubiłam Willa, myślałam wyłącznie o nim - o moim głodzie poznania go, o zachwycie i dumie, jakimi napawały mnie jego pomysły i ambicje niesienia pomocy, o podnieceniu, jakie odczuwałam, gdy podjęliśmy decyzję bycia razem. On czuł tak samo. Dopiero później zrozumiałam, że wymagano ode mnie ułożenia na nowo cudzego życia i dźwigania go na własnych barkach.

Popołudnie spędziłyśmy na zwiedzaniu miasta i wąsaniu się bez celu po ulicach. Kupiłyśmy salami, oliwę z oliwek i maty z rafii, a Meg uparła się sprezentować mi niebiesko-biały talerz do kuchni.

- Skrawek dalekiej ziemi - oznajmiła - do domu w Stanwinton.

Zgodnie stwierdziłyśmy, że katedra w czarno-białe paski wygląda jak falsyfikat, i postanowiłyśmy ją pominąć, biorąc zamiast niej kurs na kawiarnię na skraju *piazza*, gdzie zamówiłyśmy lody pistacjowe i kawę.

- Przyjemnie tu - powiedziała cicho Meg. - Szkoda, że nie ma z nami Willa.

Nie skomentowałam.

- Wiesz, co myślę? Podejrzewam u mojego brata kryzys wieku średniego. To się zdarza, a sam Will nie piśnie przecież ani słowa. Taki już jest. - Zanurzyła łyżeczkę w zmrożonej miksturze: jasnozielonej, lśniącej i ziarnistej od orzechów. - Mogę go o to spytać.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przysł spokój i wzajemne porozumienie. Dawna zazdrość chwyciła mnie za gardło. Meg bez wątpienia miała rację. Nie mogłam jednak dłużej znosić - n i e m o g ł a m z n i e ś ć - jej nieustannego krążenia wokół mojego życia. Tego wewnętrznego, intymnego życia, które pomimo licznych zawodów i łez, pomimo wielu niepewności należało do mnie i do Willa.

Meg nabierała łyżeczką lody i przełykała. Słońce się przesunęło. Na *placzu* położył się cień. Ptaki krążyły wokół kampanili, skrzecząc przeraźliwie.

- Meg - rzekłam - po powrocie do Stanwinton m u s i s z p o s z u k a ć s o b i e w ł a s n e m i e j s c a .

Łyżeczka Meg brzęknęła o metalowy pucharek.

- Chryste - powiedziała i zbladła pod opalenizną.

- Uważam, że tak będzie najlepiej.

- Nie mogę - odparła ze spokojem. - Sama nie najlepiej daję sobie radę.

- Nie musisz wyprowadzać się daleko. Twierdziłaś, że udaje ci się nie zbacać z właściwego kursu.

Meg pokręciła głową.

- Nie w tym rzecz. - Chwiejnie wstała z miejsca. - Coś przyszło mi właśnie do głowy. - Wzięła skórzaną torebkę, zarzuciła pasek na ramię i znikła w najbliższej uliczce.

- Meg! Wracaj.

Zła na Meg, wściekła na własną nieporadność, a mimo to czując ulgę jak po rozcięciu czyraka, siedziałam jeszcze jakieś pięć minut w kawiarni, myśląc sobie: to koniec.

Zapłaciłam rachunek i wyruszyłam na poszukiwanie Meg. Wzdłuż *via* Duomo ciągnęły się butiki, gdzie sprzedawano piękne

przedmioty - apaszki, skórzane torebki, perły, których wielkość i biel zaskakiwały w półmroku wąskiej uliczki. W jednym ze sklepów patrzyłam z zachwytem na wyjątkowo pięknie połyskujący sznur. Obok był wystawiony duży pierścionek z rubinem i brylantem ułożony na aksamitnej poduszce. Przyszło mi na myśl, że aż prosi się o dom.

Meg również potrzebowała domu.

Po przeciwnej stronie ulicy znajdował się sklep, którego wysokie szklane drzwi były otwarte na oścież, ukazując rzędy półek wypełnionych setkami butelek wina. Wśliznęłam się do środka, wdychając dobrze znany zapach drewnianych skrzynek i rosnącej na butelkach pleśni. Wino ustawiono według kontynentów i krajów: Chile, Włochy, Stany Zjednoczone... Czerwone przeświecały przez głębokie zielenie i brązy. W białych objawiała się cała gama bladych żółci, złota i bursztynu.

Doboru win dokonała ręka mistrza: Chateau de Fonsalette Cuvee Syrah, Monte Antico Russo oraz, nie do wiary, Beringer Private Reserve z doliny Napa w Kalifornii. To osobisty, specyficzny wybór miłośnika wina, który doprowadził selekcję do szczytu doskonałości.

Przeciagnęłam dłonią wzdłuż półki. Zgromadzono na niej lata przemyśleń, degustowania, popełnianych błędów. Całe wieki mozolnego posuwania się ku prawdziwemu zrozumieniu, prawdziwej wiedzy, prawdziwej wrażliwości.

Zaprawdę uczyń to samo.

Jakieś poruszenie za moimi plecami kazało mi się odwrócić. Z głównego pomieszczenia przechodziło się do drugiej, jeszcze słabiej oświetlonej sali bez okien. Kobieta trzymała w ręku butelkę - ostrożnie, wręcz czule.

To była Meg.

- Dobrze. - Podsunęła mi wino do sprawdzenia. - Ale nie wyjątkowe. Myślę, że tak podsumowałby twój ojciec.

Zerknęłam na butelkę. Pomerol rocznik 1988.

- Nie zgadzam się. Wyjątkowe.

- O nie - zaprzeczyła. - Zaufaj mi. Wiem.

, Jak mam ci ufać - chciałam rzucić jej prosto w twarz - skoro tak beztrzesko wdierasz się we wszystko, co moje? Wtrącasz się do mojego męża, wina, nawet córki. Jak można ufać intruzowi?"

Meg uniosła brew. Nawet ten gest należał do Willa.

Odwróciłam głowę. Na ulicy turyści snuli się to w jedną, to w drugą stronę, ściskając kurczowo plastikowe torby z intrygującymi wyrzuszeniami. Zawiozą do domu oliwę z oliwek i miejscową ceramikę, a ci zamożniejsi również biżuterię. Zabiorą ze sobą aromat i smak Italii. Później pójda do sklepu albo supermarketu, wyszperają na półkach oliwę pośledniej jakości albo *sugo di pomodoro*, przyniosą do domu, ale to już nie będzie to samo.

- Twój ojciec miał rację w większości spraw - mówiła Meg za moimi plecami. - Czy poradziłby mi poszukać sobie innego lokum?

W drodze powrotnej do Casa Rosa obie odzywałyśmy się do siebie tylko wtedy, gdy było to niezbędne. Wcześniej położyłam się do łóżka.

Chłód i świeżość prześcieradeł stanowiły miłą odmianę po spiekanie dnia. Czytałam, robiłam notatki, a od czasu do czasu zerkałam na drewnianą urnę na półce. Czy ojciec pochwaliłby mój uczynek? Nie byłam pewna. Może uważałby, że należy ratować to, co pozostało z rodziny, bez względu na cenę.

Zgaśliłam świado i ułożyłam się do snu. Poczułam ulgę pacjenta, który po chorobie i okresie niesprawności zrobił pierwszy krok.

Usiadłam na łóżku, słysząc hałas na schodach, po którym rozległ się odgłos ostrożnych kroków na ścieżce. Zamaszystym ruchem opuściłam nogi na podłogę i otworzyłam okiennice.

- Meg?

Świado księżycy wlewało się strumieniem do sypialni i oświecało szczupłą postać na ścieżce poniżej. Meg zwinęła włosy w seksowny węzeł o barwie karmelu i włożyła swoje nowe buty na obcasach. Księżycowy blask płatał figle, wyglądała bowiem tak ślicznie i młodo, że aż wstrzymałam oddech. Podniosła ramię, bransoletki na przegubie wydały słaby, wysoki i drżący dźwięk.

Oparłam się o parapet.

- Nie idź - błagałam, przeczuwałam bowiem doskonale, dokąd zmierza.

Roześmiała się ponuro.

- Zazdrosna?

- Zazdrosna jak sto pięćdziesiąt. - Przedrzeźniałam żargon Chloe.

Pokręciła głową.

- Nie przekonałaś mnie, Fanny. Będziesz musiała bardziej się postarać.

Głos ochrypłej z podniecenia. Kurczowo chwyciłam nocną koszulę.

- Zaczekaj. Idę na dół.

Bawełniana tkanina łopotała wokół nóg, gdy wybiegałam na ścieżkę. Meg grzebała w torebce, pociągnęłam za pasek na ramieniu.

- Nie warto. Zostań.

- Przecież sama kazałaś mi odejść. Postawiłaś sprawę... całkiem jasno.

Ostatnim wysiłkiem szarpnęłam mocno za pasek, aż Meg zakłużyła się lekko na wysokich obcasach.

- Ale to nie znaczy, że musisz wszystko zaprzepaszczać. Nie bądź głupia. Proszę, proszę, zostań tutaj. Porozmawiamy... Wysłucham cię... Wysłucham wszystkiego. - Meg wzruszyła ramionami, dodałam więc czym prędzej: - Pomyśl o Sachy. O Willu.

- Myślę o nich - odparła. - Bardzo dużo.

- Byłam niemiała.

- Wracaj do łóżka - rzekła jak dorosły zwracający się do nieznosnego dziecka. - Wychodzę trochę się rozerwać. D o k ł a d n i e wiem, co robię.

- Chcesz, żebym padła na kolana? Zrobię to, jeśli będzie trzeba, przecież wiesz.

Meg bawiła się bransoletkami.

- Musisz mnie zrozumieć. Wszystko jest w porządku. Panuję nad sobą. Ale... - wydawała się szukać wyjaśnienia - nie jestem jedyną kobietą, która utraciła stan łaski i zadała sobie rany. Czasem jednak czuję się bardzo samotna. Pewnie dlatego bywam taka opryskliwa i samolubna. - Pokiwała głową. - W każdym razie doceniam tę wzmiankę o klęczkach, Fanny. Wiem, ile by cię to kosztowało, i kusi mnie, żeby skorzystać z propozycji.

Zmusiłam Meg do powrotu do kuchni i kazałam jej usiąść.

- Mów. No już. Możemy porozmawiać.

Sprawiła wrażenie zaskoczonej i usatysfakcjonowanej zarazem.

- Próbowałam. - Zaciśnęła usta i zaczęła się bawić bransoletkami. - No dobrze. Czas na spowiedź. Bardzo starałam się zaan-

gazować w coś innego. Ciuchy. Praca na pół etatu to tu, to tam. Przelotny romans. Działalność charytatywna, a w każdym razie to, czym zajmują się kobiety, które mają za dużo wolnego czasu. Ale poza Sachą, tobą, Willem i Chloe nic nie zaabsorbowało mnie dostatecznie głęboko. Mój umysł nie jest do niczego zdolny.

- Słucham cię. - Postawiłam czajnik, palnik pyknął i rozjarzył się ogniem.

Meg wydawała się zahipnotyzowana blaskiem.

- Ale masz rację, Fanny, czas wprowadzić zmiany i zacząć myśleć inaczej. Po powrocie do domu rozejrzę się za jakimś mieszkaniem.

- Blisko nas - zaznaczyłam.

Jej brew błyskawicznie powędrowała w górę.

Nie należy popadać w przesadę.

- W porządku, w przyzwoitej odległości.

Uśmiechnęła się do mnie. Pod dom podjechał samochód. Silnik pracował, drzwi otworzyły się i zamknęły. Meg sięgnęła po torebkę.

- Chyba nie idziesz?

- Jasne, że idę - odparła. Wstała, położyła mi dłoń na ramieniu i lekko musnęła chłodnymi ustami mój policzek. - W gruncie rzeczy całkiem dobre z nas przyjaciółki, prawda? Nareszcie? Chcę tak myśleć, Fanny.

Pocałowałam ją w odpowiedzi.

- Oczywiście - potwierdziłam. Potem mocno ją uścisnęłam i przeniknęło mnie tchnienie jej przebaczenia.

- A więc mamy jasność. To już coś. Wracaj do łóżka, moja dobra i czujna Fanny.

- Mam iść z tobą? Właściwie czemu nie? Daj mi pięć minut.

- Nie, Fanny. Teraz jestem samodzielna. Zapomniałaś?

Pokonana powlokłam się na górę. Słyszałam głosy, trzaśnięcia drzwi i samochód na drodze dodający gazu.

Otworzyłam na oścież okiennice, żeby wpuścić do wnętrza noc.

Miałam zamiar poczekać do jej powrotu, ale zapadłam w sen i obudziło mnie dopiero pulsujące w mroku pokoju światło.

Do moich uszu dotarła krótka wymiana zdań po włosku na ścieżce przed domem, po czym usłyszałam pukanie do drzwi. Sięgnęłam po T-shirt i naciągnęłam go na nocną koszulę. Z każdym krokiem w dół serce waliło mi coraz szybciej.

Włoscy policjanci, zauważyłam oszołomiona, zawsze wyglądali nieskazitelnie, nawet nad ranem. Mężczyzna miał idealnie zaprasowany rękaw koszuli i równie idealnie zaprasowane kanty spodni. Klamra przy pasie błyszczała, włosy były starannie uczesane i pięknie ostrzyżone.

- Bardzo mi przykro, *signora* - powiedział.

Pełniąca z nim służbę koleżanka miała długie blond włosy i wąską talię. Postąpiła krok do przodu i ujęła moje ręce w swoje opalone, oliwkowe dłonie.

- Gdzie ją znaleźliście? - spytałam wreszcie.

- Przed kościołem. - Policjantka zachowywała się profesjonalnie, była opanowana. - Sądzimy, że potknęła się i uderzyła głową w kamienny słupek przy fontannie. Nie jesteśmy jednak pewni, czy to ją zabiło. Dowiemy się od lekarzy. - Kobieta zawahała się, a następnie zapytała: - *Czy signora* cierpiała na jakieś schorzenia?

Przygryzłam wargę.

- W pewnym sensie, tak, cierpiała.

Jakieś dziesięć minut później, kiedy wreszcie zapanowałam nad drżeniem kolan i udało mi się z trudem włożyć na siebie ubranie, poprowadzili mnie ostrożnie ścieżką w dół i pomogli wsiąść do samochodu.

Zapanowała cisza, gdy szłam w eskorcie policji w stronę kostnicy na tyłach komisariatu. Policjantka dotknęła mojego ramienia.

- Może się mnie pani złapać - powiedziała.

Wbiłam paznokcie w skórę.

Na skinienie policjantki odsunięto prześcieradło okrywające postać na stole.

Moją pierwszą myślą było: „Nic się nie stało, Meg śpi. Ona tylko śpi”.

Miała lekko zaróżowiony policzek, włosy opadały naturalnie na

gumowe prześcieradło pod głową, maskując ranę. Usta były spokojne, na gładkim, młodzieńczym czole nie rysowała się ani jedna zmarszczka.

Policjantka aż nadto dobrze знаła różnorakie sposoby, w jakie reagowali najbliżsi zmarłej osoby. Jednym z nich była odmowa uwięzienia w to, co się stało.

- *Signora* nie żyje - odezwała się łagodnie. - Nie ma co do tego wątpliwości.

„Nie ma co rozpaczać” - mogłyby powiedzieć te beznamienne usta. „Miałam już dość. Walka skończona, czyż nie?”

Policjant zajrzał do notatek.

- Piła w Bachusie. Wedle doniesień wypła za dużo i około wpół do trzeciej została poproszona o opuszczenie lokalu. Widziano ją, jak szła ulicą w stronę kościoła i dobijała się do kościelnych drzwi. Świadek twierdzi, że się zaniepokoił, ponieważ chwiała się na nogach. Poszedł za nią, lecz nią dogonił, upadła.

Pochyliłam się i dotknęłam beztroskiego, pozbawionego zmarszczek czoła. Potem podniosłam jej dłoń i jeden po drugim rozprostowałam palce zakończone drobnymi, perłowymi paznokciami. Wydawały się już woskowe, jak u lalki.

- Och, Meg - wyszeptalam i po moich policzkach potoczyły się piekące łzy. - Tak mi przykro, tak przykro.

Przed wyjściem wręczono mi jej rzeczy w plastikowym worku wraz z wykazem zawartości. Jeden pierścionek, złoty. Bransoletki. Jeden skórzany portfel, pusty. Jedna bawełniana spódnica. Czarne pantofle na wysokich obcasach. I wreszcie: jeden krzyżyk, złoty. Zaskoczona podniosłam go do światła. Łańcuszek zamigotał. „Nie znoszę religii” - zapewniała Meg niejednym raz. „Jest taka apodyktyczna. Taka bezsensowna. Tak prostacka”.

Powróciłam do Casa Rosa i odbyłam pierwszą z wielu rozmów telefonicznych.

Jakiś czas później, nie wiem kiedy, weszłam do kuchni. Stało tam krzesło, na którym siedziała Meg. Stały butelki oliwy i octu bal-

samicznego, których używała. Ekspres do kawy, którym całkowicie zawładnęła.

Dotknęłam ich. Urządzeń i przedmiotów, których zaledwie kilka godzin temu dotykała również Meg.

Nie mogłam uwierzyć, że nie żyje.

Jeszcze później, gdy rozgrzane skwarem powietrze drgało nad asfaltem, a pelargonie w donicach przywiedły w słońcu, przeszedłam obok Marii i Angela, którzy ze smutkiem skinęli do mnie głowami, minęłam kamienny słupek z żelaznym pierścieniem do przywiązywania końskich uzd i weszłam do kościoła. Półmrok wnętrza był jak chłodna kąpiel i popłynęłam przez orzeźwiająca ochłodę ku freskom. Instynktownie wiedziałam, że Meg usiłowała dostać się do kościoła, żeby je obejrzyć. Sądziłam, że wydawało się jej, że przy nich człowiekowi łatwiej się odnaleźć. Otumaniona alkoholem zapomniała, że na noc kościół jest zamykany dla ochrony malowideł przed zniszczeniem.

Rozwarłam zaciśnięte pięści, poczułam, jak ciarki przebiegają mi po ramionach i z całych sił starałam się zrozumieć. Meg n a p r a w d ę nie żyje.

N i e ż y j e...

Następnie wsiadłam do samochodu i ruszyłam w drogę na lotnisko.

Sacha był w pokoju Meg. Słyszałam, jak niespokojnie krąży za ścianą. Will leżał na moim łóżku z twarzą zasłoniętą ramieniem.

Usiadłam, ujęłam jego wolną dłoń i ścisnęłam.

Opuścił ramię. Musiał płakać, twarz miał pobladłą od szoku i znużenia, w miejscu przygryzania wargi pozostała podrażniona, zaogniona plama.

- Pewnie kiedyś musiało się tak stać.

Weszłam do łóżka, otoczyłam go ramionami i tuliłam, póki odrobinię się nie uspokoił. Potem kazałam mu zażyć aspirynę i pogładziłam go po włosach.

- Powiedzieć ci, co zaszło, czy wolałbyś z tym poczekać?

Skinał głową niemal niepostrzeżenie.

- Powiedz.

Nie tając niczego, opisałam naszą wyprawę do Sieny, rozmowę, jaką tam przeprowadziłyśmy, wymianę zdań po powrocie do Casa Rosa. Gdy zbliżałam się do końca opowieści, robiło mi się na przemian gorąco i zimno z żalu i wstydu.

- Do wczorajszego wieczoru i naszej kłótni trzymała się na wodzy.

- To zawsze coś. - Will żarliwie szukał jakichkolwiek pozytywnych stron w całej tej sytuacji.

- Obawiam się, że sprowokowała ją moja prośba, żeby poszukała sobie innego miejsca do mieszkania. Próbowałam ją powstrzymać, Will. Daję słowo, ale i tak czuję się winna.

Chwilę zajęło mu przyswojenie sobie wszystkich szczegółów.

- Nawet ty nie mogłabyś przewidzieć śmiertelnego uderzenia głową w kamienny słupek do przywiązywania koni przed kościołem we włoskim miasteczku.

- Mimo wszystko. - Spojrzałam na podłogę z walającymi się częściami garderoby, które porzuciłam w pośpiechu, gdy ubierałam się, jak przybyła policja. - Ostatecznie byliśmy przyjaciółkami. I Meg wiedziała, że ją kochasz, i że Sachaja kocha. — Także przygryzłam wargę. - Jestem pewna, że wiedziała.

W sypialni zrobiło się bardzo gorąco, pościel na łóżku była zmięta. Poprosiłam Willa, żeby wstał, zaprowadziłam go do łazienki i namówiłam, by się umył.

Posłałam łóżko, mocno naciągając i wygładzając prześcieradła. Otworzyłam okiennice i wpuściłam do wnętrza nocne powietrze. Złożyłam ubrania i pozamykałam szuflady.

Zeszłam na dół i zagotowałam wodę w czajniku. Poruszyłam zanurzonymi w kubkach torebkami herbaty, a napar z barwy bursztynowej przybrał brązową - brązową, którą tak gardziła Meg.

„Och, Meg” - pomyślałam z dotkliwym i niepohamowanym poczuciem straty. „O c h, M e g”.

*

- *Sacha?* - *Potrząsnęłam nim delikatnie.* -*Jest siódma trzydzieści, tutaj życie zaczyna się wcześniej.*

Obrócił się ku mnie, spoglądając wielkimi, rozpalonymi oczyma. Błyskawicznie pochyliłam głowę i dotknęłam jego czoła.

-*Jesteś chory.*

Sacha ewidentnie miał gorączkę, nakazałam mu nie ruszać się z łóżka, po czym zesłam zająć się Willem, który walczył z kuchenką.

Biedny Sacha. Będzie uważał, że sprawia Meg zawód.

Wypiliśmy kawę w loggii. Nie potrafiąc usiedzieć w miejscu, Will chodził tam i z powrotem.

- *Podoba mi się to miejsce i podoba mi się ten dom. Powinniśmy byli przyjechać tutaj z twoim ojcem.* - *Odwrócił wzrok.* - *Ale wówczas wtargnąłbym do prywatnego klubu was dwojga.*

Popatrzyłam na niego zaskoczona.

- *Miałeś mi za złe. Przepraszam.*

Will postanowił obejrzyć ciało Meg w samotności, wyłonił się z kostnicy opanowany. Pertraktowaliśmy z policją i walczyliśmy o przyspieszenie procedur. Kiedy wykluczono hipotezę przestępstwa, lekarz podpisał odpowiednie dokumenty i zaczęliśmy organizować przewiezienie zwłok do kraju. Potem pozostawała kwestia oczekiwania na zezwolenie władz na wydanie ciała.

Meg miała zostać pochowana w Stanwinton. Jak zauważył Sacha, tam był jej dom. Podzieliliśmy się z Willem obowiązkiem odbicia niezliczonych rozmów telefonicznych z Anglią. Mannochie. Przedsiębiorca pogrzebowy. Pastor. Will miał smykałkę do radzenia sobie w sytuacjach kryzysowych, jednak w tym wypadku był zanadto przygnębiony i zmęczony. Raz czy dwa musiałam interweniować, gdy stracił wątek.

Will zadzwonił również do Chloe i przekazawszy jej wiadomość, podał mi słuchawkę. Chloe mówiła bez ładu i składu:

- *Mamo, ty mi nie umrzesz, prawda? Ani tato? Przymknij.*

Zrobiłam, co mogłam, by ją uspokoić, i zastanawiałam się, czy powinniśmy nakłonić ją do przylotu na pogrzeb, ale Will uprzedził moje myśli i przecząco pokręcił głową.

- Biedny, biedny Sacha - płakała Chloe. - Nie mogę znieść, że musi przez to przechodzić. Powiedz mu, że go kocham.

- Sam do ciebie zadzwoni - odparłam - gdy poczuje się lepiej. Obiecuje.

Rob telefonował kilkakrotnie, a Sacha chwiejnym krokiem schodził na dół, żeby porozmawiać z ojcem. Will i ja wycofywaliśmy się odpowiednio daleko, aby nie słyszeć ani słowa. Kiedy poruszyłam temat ojca, Sacha powiedział tylko:

- Pozostawił wszystko mnie. Uważa, że nie powinien się wtrącać.

Zagoniłam go do łóżka i zaaplikowałam leki.

- Twój ojciec stara się nie wchodzić w drogę, żeby ułatwić ci życie tych trudnych chwil.

Zrelacjonowałam rozmowę Willowi, który natychmiast poszedł na górę i spędził z Sachą ponad godzinę. Kiedy zaniósłam im herbatę, zastałam go siedzącego na skraju łóżka, a Sachę z zaczerwienionymi oczyma wspartego na poduszkach. Obaj wyglądali tak, że można było się przestraszyć. Stałam nad nimi, gorączkowałam się i zmusiłam do wypicia herbaty. Po kilku łykach Sacha się skrzywił.

- Daj mi taką, żeby stała łyżka.

Rano Sacha czuł się lepiej, lecz nadal był osłabiony i bez dłuższych dyskusji zgodził się pozostać w łóżku. Napoiłam go herbatą, namówiłam do zmiany przepoconego T-shirta i uczesania się.

- Dzięki - powiedział, oparł się o poduszki i zamknął oczy.

- Jeszcze tylko dwa dni - zapowiedziała policja.

Ale byliśmy we Włoszech i dwa dni rozciągnęły się na trzy, potem cztery. Meg doceniłaby ten dowcip.

Przychodzący do zdrowia Sacha z zadowoleniem spędzał ciężkie chwile w loggii Casa Rosa.

- Muszę wszystko ułożyć sobie w głowie - oświadczył i było jasne, że woli być sam.

W przeciwieństwie do Sachy Will zachowywał się nerwowo, ledwie tykał jedzenie i źle sypiał.

- Chciałabym ci coś pokazać - zaproponowałam - jeśli miałbyś ochotę ze mną pojechać.

Okazał jedynie uprzejme zainteresowanie.

- No to jedźmy.

Zostawiliśmy Sachę dobrze zaopatrzonego w napoje chłodzące i zimną sałatkę z makaronu. Uzbrojona w mapy i przewodniki zawiozłam Willa do Tarquinii. Koła samochodu ślizgały się nieco, gdy auto wspinało się po zboczu wzgórza zamykającego dolinę i zjeżdżało po drugiej stronie w dół obok maków, kęp ziół, dzikiej lawendy i drzewek oliwnych o podstawach pni oblepionych letnim kurzem.

Will osunął się na fotelu i przetarł szkła przeciwsłoneczne.

- We Włoszech jest za gorąco - stwierdził.

- Przyzwyczaisz się — odparłam.

- Na litość boską - rzekł i umilkł.

W muzeum w Tarquinii było chłodno i niemal pusto. Nie zatrzymaliśmy się przy eksponatach - podejrzewałam, że koncentracja Willa pozostawia wiele do życzenia. Wreszcie zaprowadziłam go do rzeźby nagrobnej.

- Tutaj. Poznajesz?

Miał skonsternowaną minę. Potem rzekł:

- Na biurku twojego ojca stała taka fotografia. Bardzo ją lubił.

- Oryginał jest lepszy.

- Żadna z niej piękność.

Szturchnęłam go delikatnie.

- Z niego też.

Poszłam obejrzeć kunsztowny kandelabr z brązu zdobiony kiściami winogron i liści winorośli.

- Will... chodź, zobacz.

Ale Will ze zmrużonymi oczyma i maską cierpienia na twarzy tkwił nieruchomo przed nagrobym wizerunkiem małżeńskiej pary.

Wróciliśmy do samochodu i spojrzeliśmy na mapę, ponieważ bardzo zależało mi na zwiedzeniu etruskich grobowców. Chloe i ja

zawsze przekomarzałyśmy się z Willem na temat umiejętności czytania map, ale żeby oddać sprawiedliwość, jego talent w tej dziedzinie zawiódł nas w wiele ciekawych miejsc. Czekałam, żeby powiedział, że kobiety nie mają żadnej orientacji przestrzennej, na co powinienam odpowiedzieć: „Kobiety są lepsze w działaniu zespołowym”. Ale Will się nie odezwał i ja też nie.

Zgodnie z jego instrukcjami wjechałam daleko w makie - zieloną krzaczastą gęstwinę poprzetykaną skałami. Ziemia wydawała się tu trudna, krnąbrna, nieustępliwa. A jednak książki informowały, że wiele stuleci temu, za Etrusków, była żyzna i urodzajna, pokrywały ją pola uprawne, pastwiska, rosły drzewa. Etruskowie mieli tu swój cudowny rajski ogród. Swoje Elizjum.

Dojechaliśmy do polany i zaparkowaliśmy samochód obok szczątków etruskiego grobowca, z którego pozostało bardzo niewiele - skrawek mozaikowego chodnika i ślad kamiennego muru biegnącego pod kątem w górę zbocza. Pod skupiskiem parasoli sprzedawano napoje, obok starożytnego ceglano-łuku umieszczono kubek, z którego wysypywały się śmieci. Poza tym panował tu nastrój opustoszenia, zaniedbania.

Podążyliśmy ścieżką prowadzącą na wzgórze. Droga stawała się stroma, było bardzo upalnie. Spocone stopy ślizgały się w sandałach, Will dyszał. Strzałka wskazywała dużą stromiznę, a druga kierowała jeszcze wyżej. Słońce paliło w plecy.

- Tam. - Pokazałam ciemny otwór częściowo przesłonięty roślinnością.

Will uśmiechnął się ponuro.

- Lepiej żeby okazało się to warte zachodu.

Odsunął zarośla, bym mogła swobodnie przejść, i znaleźliśmy się w obszernej, wykutej w skale komorze z rzędami kamiennych półek, na których Etruskowie układali swoich zmarłych.

Charakterystycznego odoru na wpeł stojącej wody oraz skały, która nigdy nie oglądała słońca, nie można było pomylić z niczym innym. Ten zapach był esencją śmierci. Położyłam dłoń na zimnej półce. Duchy etruskich zmarłych zamykano w tym miejscu na głu-

cho, z dala od ucztowania i żniw, z dala od wina, amatorów i małżeńskiej miłości przedstawianych na malowidłach i rzeźbach.

- Nie wiem, dlaczego robimy tyle szumu wokół życia pozagrobowego - stwierdził Will. - Kiedy człowiek kopnie w kalendarz, to po ptakach. Meg odeszła, podobnie jak twój ojciec. I co pozostało?
- Sięgnął po moją dłoń.

Leczja uciekałam z grobowca i brnęłam ścieżką w dół. Słyszałam, jak Will wychodzi za mną, a nim mnie dogonił, zdążyłam się zasa- pać. Z trudem łąpałam oddech, upalne powietrze wpadało do płuc boleśnie i ze świstem, jednak wdychałam je z zadowoleniem. Znacznie lepiej znajdować się tutaj, na otwartym powietrzu, w nieznośnej spiekocie, za to być żywym.

Uniosłam twarz ku słońcu. Wyłonić się z mrocznej jaskini na światło dzienne, to wiedzieć, że jest się wolnym.

W drodze powrotnej Will zapytał:

- A prochy Alfreda... już zdecydowałaś?
- Nie. Absurd, prawda?
- Nie możesz odkładać tego w nieskończoność.
- Wiem.

Przy kolacji złożonej z pieczonych na grillu kotletów cielęcych i piezzonej papryki Sacha zapowiedział, że będzie się przeprowadzał.

- Chyba do Manchesteru. Mam tam zaklepanych kilka występów. A potem... pojedę odwiedzić Chloe w Australii. Poszwendam się trochę stopem. Rozejrzę po świecie.

- Byłoby miło - rzekłam, zachowując obojętny ton.
- Tęsknię za nią - powiedział bez ogródek.
- My też. — Instynktownie zerknęłam na Willa i nasze spojrzenia się spotkały.

„Nie rób tego” - wyczytałam w jego oczach. Chciał pewnie przywołać mnie do porządku.

Gdy zjedliśmy, Will powiedział:

- Fanny, idź po urnę z prochami ojca. - Utkwiłam w nim spojrzenie. — No idź.

Poszłam na górę, zabrałam niewielką drewnianą urnę i zniosłam ją do loggii.

- Mogę? - zapytał Will.

Kiwnęłam głową, on zaś wyjął mi ją z rąk.

- Teraz poszukamy miejsca dla Alfreda.

Trzymając urnę pod pachą, drugą ręką wypchnął mnie za próg domu.

Wędrowaliśmy w górę pokrytą pyłem drogą, resztki upału otulały nasze stopy.

- Powinienem być zwracać baczniejszą uwagę na opisy Fiertino - rzekł Will swobodnym tonem. - Wtedy wiedziałbym, gdzie jestem. Gdzie mieszkała rodzina twojego ojca?

Księżyc świecił jasno jak polerowane srebro, gdy wskazywałam szkaradny budynek wzniesiony w miejscu dawnej *fattorii*.

- Dom został spalony pod koniec wojny - wyjaśniłam.

- Rozumiem. - Will rozważał coś w myślach. - Nie wydaje mi się, żeby to było odpowiednie miejsce. Cmentarz, jak sądzę, też nie. Myślę, że twój ojciec wolałby być wolny.

Przełknęłam łzy.

- Tak, na pewno.

Na rozwidleniu dróg Will zignorował odnogę wiodącą do miasteczka i wybraliśmy trasę w górę wzniesienia, gdzie rosły kępy cyprysów i kasztanowców, a rzędy winorośli ciągnęły się w dół ku dolinie. Pozostawało dla mnie tajemnicą, jak ktoś mógł spać w te głębokie, aromatyczne włoskie noce, i podzieliłam się tym spostrzeżeniem z Willem. Uśmiechnął się.

- Nie mogę uwierzyć, że coś takiego powiedziałaś.

W dole światła miasteczka wciskały się w zbocze wzgórza pod gwiaździstym palankinem. Księżycowy blask mamił jak zwykle i Fiertino wydawało się zjawiać w krajobrazie znienacka, dziewicze oraz doskonałe.

- Uwielbiam to miejsce - wyznałam.

- Wiem. Ale, Fanny... - Wahał się. - Zdajesz sobie sprawę, że jesteś tu tylko gościem?

Tak łatwo byłoby powiedzieć: „Nie, to jest moje miejsce”. Lecz równałoby się to zlekceważeniu wielu przesłanek oraz dowodów przemawiających za czymś przeciwnym. Faktycznie, byłam tu gościem - szczególnym, niemniej jednak gościem. Teraz miałam tego świadomość.

- Twój ojciec nigdy mnie nie lubił - zauważył Will tym samym tonem luźnej rozmowy. - Szkoda.

- Tego nie powiedział. Byłeś inny. Wykorzystywałeś politykę do zajmowania się trudnymi kwestiami i trudnymi problemami - jak funkcjonować w społeczeństwie w obliczu śmierci i... zagłady. Tato uważał to za stratę czasu. Polegał tylko na sobie.

- Tak czy owak, lubiłem go.

- J a również - przyznałam na wpół ze szlochem.

Will wskazał gestem krzewy winorośli.

- Co to za szcep? - zapytał.

- Sangiovese.

- J e go ulubiony?

- Podziwiał go.

- Może pozwolisz mu spocząć pośród winorośli? - Will podał mi urnę. - Nie sądzisz, że przypadłoby mu to do gustu?

Wiedziałam, że trafił w sedno.

Weszłam pomiędzy spęczniałe kiście winogron i zatrzymałam się. Z bolesnym łomotem serca odwróciłam do góry dnem urnę i wpatrywałam się, jak prochy mojego ojca osiadają na ziemi.

Najego *terroir*.

Gdy znalazłam się z powrotem u boku Willa, drżałam z emocji, a on mocno mnie przytulił.

Następne dni upłynęły na oczekiwaniu. Gdy robiło się zbyt gorąco, chowaliśmy się w loggii Casa Rosa, zajadaliśmy na lunch fasolkę szparagową i sałatkę z pomidorów z uprawy Benedetty i robiliśmy się senni po kieliszku Chianti. Wieczorami jadaliśmy u Angela, a Sacha czasem zostawał dłużej, aby wypić kawę na placu. Z zadowoleniem patrzyłam, jak jego twarz z wolna nabiera rumieńców.

Oczywiście Will był pogrążony w myślach i bardzo milczący. Zaczekałam, aż znajdziemy się sam na sam w sypialni w Casa Rosa, nim wreszcie nakłoniłam go do rozmowy.

- Śmierć Meg pokazała wszystko jak na dłoni. Czy jest coś równie ważnego? Nic. - Usiadł na łóżku. - Utraciłem odwagę i wiarę w siebie. Widzę, że nie jestem już taki pewien jak kiedyś. Teraz stawanie w obliczu problemów i staczanie bitew wydaje mi się dużo trudniejsze niż na początku. Miałem niezachwianą pewność co do tego, co powinniśmy osiągnąć. Dziś zastanawiam się, czy z naszych działań w ogóle wynika coś dobrego. - Podniósł na mnie wzrok pełen żalu. - Nie wiem, dlaczego czuję w ten sposób akurat teraz, jako sędziwy, zaprawiony w bojach czterdziestoosmiolatek.

Popatrzyłam na niego i po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że dopiero kiedy gorące żądze zamieniają się w czułość i poufałość, możliwe jest prawdziwe poznanie - poznanie, do którego dążyłam. I pomyślałam sobie z lekkim rozdygotaniem nerwów o stopniu ryzyka, jakie podjęłam. Nie żebym żałowała, jednak warto było rozważyć spustoszenie, jakie mogłoby zasiać.

- Mów dalej - rzekłam.

- Wymknęłaś się tu i wydawałaś się mocno zaabsorbowana zupełnie innym światem, mnie zaś dręczyły obawy, że nie zdołam za tobą nadążyć. Sądziłem, że mi znikniesz. A potem pomyślałem sobie, że zatrzymywałem cię wbrew twojej woli. To znaczy, niezupełnie wbrew woli, ale zamkniętą jak w klatce, i kiedy nadarzyła się pierwsza sposobność czmychnięcia, skorzystałaś z niej. - Zaśmiało się smutno. - Przypuszczam, że byłem zazdrosny o Fiertino i o twoją obecność w Fiertino.

Serce ścisnęło mi się ze współczucia.

- Więc gdy tylko wyjeżdżam, ty w ekspresowym tempie nabawiasz się rozstroju nerwowego?

- Nie ująłbym tego dokładnie w ten sposób.

Nieco później powiedział:

- Naprawdę ubóstwiasz to miejsce... Casa Rosa i miasto, prawda?

- Tak. Mam je we krwi. Ale nie chcę przez to powiedzieć, że to Fiertino mojego ojca. Tamto było inne.

Will stał przy oknie i spoglądał na dolinę.

- Nie chce mi się stąd wyjeżdżać.

Nie miałam żadnych złudzeń. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że kiedy tylko Will znajdzie się w pobliżu westminsterskiej areny, wciągnie jej zapach, pochwyti odgłosy, od razu zastrzyże uszami i zadrgają mu nozdrza.

- Posłuchaj - powiedziałam, stając obok i trącając go łokciem najdelikatniej jak umiałam. - Świetnie sobie radzisz. Znakomicie.

Pochylił się i mnie pocałował.

Następnego dnia udałam się do księdza i uzgodniłam, że pomiędzy nagrobkami pozostałych członków rodziny Battistów zostanie umieszczony niewielki kamień z imieniem i nazwiskiem ojca oraz datami urodzin i śmierci. Potem zaś zwróciłam oblicze ku domowi. Ostatnie kilka godzin spędziliśmy w Casa Rosa na doprowadzaniu domu do porządku. Pozamiatałam podłogi, ustawiłam na półkach porcelanę, starłam kurze w sypialniach. Razem z Sachą spakowaliśmy rzeczy Meg, rozmawiając na jej temat.

Gdy nadszedł wieczór i słońce zalało dolinę cieniami, usiadłam przy oknie sypialni i chłonełam ostatnie chwile, póki Will nie zwołał:

- Fanny, chodź, proszę.

Kochałam Casa Rosa, odczułam to szczególnie mocno w momencie pożegnania. Ostatnim zadaniem było zamknięcie okiennic i uparłam się zrobić to własnoręcznie.

Will i Sacha czekali w samochodzie. Dokonałam ostatniej nieśpiesznej inspekcji domu, nim pojechaliśmy do Benedetty, która przygotowała dla mnie prezent. Była nim mała, nieostra fotografia domu z zapadniętym dachem i szerniałymi belkami, których spalone kikuty sterczały w niebo. Udało mi się dojrzeć fontannę w ogrodzie wypełnioną gruzem i rozrytą ziemią. Odwróciłam fotografię: z tyłu napisano „1799-1944”.

- To *fattoria* - wyjaśniła Benedetta.

Włożyłam zdjęcie do torebki i pocałowałam Benedettę na do widzenia.

- *Santa Patata* - rzekła - musisz tu wrócić.

Gdy ruszyliśmy drogą w stronę Rzymu, obejrzałam się tylko raz, a widok mienił się olśniewającym blaskiem drzewek oliwnych, szkarłatnych maków i winorośli. Pomyślałam o Meg.

Jaka byłaby zła, że nie może wsiąść do nagrzanego samochodu i poskarżyć się: „Biednemu wiatr w oczy, przypadło mi najgorsze miejsce”.

Wyobraziłam sobie krzewy winorośli zapuszczające korzenie głęboko w *terroir* i słońce połyskujące na winogronach. „Pozwól słońcu świecić na grona - powiedziała by mój ojciec - aż do ostatniej możliwej chwili, a ono nada owocom intensywność i smak”.

Przywieźliśmy Meg do kraju i pochowaliśmy ją na cmentarzu w Stanwinton. Will oznajmił, że potrzebuje czasu, aby zastanowić się nad nagrobkiem, i prosił o pozostawienie tej sprawy jemu. Tak też uczyniłam.

Rzuciwszy się na nowo w wir kolacji charytatywnych, dobrych uczynków i regularnych podróży do Londynu, powróciłam do pracy. Mannoche prawie - choć nie do końca - wybaczył mi moją dezercję.

- Pani S., tory kolejowe - szepnął mi do ucha na dorocznym wieczorze połączonym ze zbiórką pieniędzy na cele dobroczynne, organizowanym przez towarzystwo śpiewacze, kiedy na swoje nieszczęście roześmiałam się po koszmarnej interpretacji piosenki *Londyn płonie*. Wizytę u kosmetyczki nakładającej hennę na rzęsy miałam umówioną następnego dnia rano.

Cieszyłam się, że jej nie odwołałam, kiedy kilka dni później mrugałam powiekami, próbując powstrzymać łzy, gdy artyści w pstrokatych przebraniach klaunów rozśmieszali małych pacjentów oddziału onkologicznego.

- Proszę popatrzeć - powiedziała stojąca obok mnie matka, wskazując swoją łysą córeczkę. - Ona się śmieje, naprawdę się śmieje. - Wyjęła z torebki fotografię i mi pokazała. - Carla miała bardzo długie warkocze.

- Moja córka też - odparłam. Ale to mnie oszczędził los: byłam najszcześniejszą matką pod słońcem.

Zadzwoniła Elaine.

- Więc nie rzuciłaś Willa - stwierdziła. - Chodziło mi po głowie, że być może to zrobisz.

- Rzeczywiście, rozważałam tę ewentualność - powiedziałam.

- J a odchodzę od Neila - oznajmiła - i zakładam firmę dziewiar-ską. Będziesz nosiła moje sweterki, Fanny?

Wzięłam głęboki oddech.

- Zawsze.

Przyszło sądowe zaświadczenie o wysokości masy spadkowej pozostawionej przez ojca. Wynikało z niego jasno, że ponieważ pozostało niewiele pieniędzy, jest tylko jedna możliwość — sprzedać dom. Co do interesów, miałam plany. Wyjaśniłam Willowi, że będę dysponowała mniejszą ilością czasu na jego sprawy, ale uczynię, co w mojej mocy, żeby go nie zawieść.

Wysłuchał w spokoju.

- To dla mnie żaden problem - powiedział.

Dotknęłam jego policzka.

- I tak być powinno.

Posłał mi swój dawny promienny uśmiech.

- Teraz twoja kolej. A skoro mowa o interesach, myślisz, Fanny, że mogłabyś zarobić dla nas trochę pieniędzy?

Zatelefonowałam do Raoula i powiedziałam, że przejmuję firmę ojca. Spytałam też, czy moglibyśmy nadal ze sobą współpracować.

- Oczywiście - oznajmił. - Czekam z niecierpliwością. I, Fanny...

- Tak?

- Wkrótce się zobaczymy.

- Dobrze.

Uzbrojone w kartonowe pudła i sprzęt do sprzątanía pojechaliśmy z Maleeka do Ember House i przystąpiłyśmy do pakowania rzeczy ojca.

- Dobry człowiek był - skwitowała, opróżniając szafkę z rondlami. - Wiem.

Maleeka jak zwykle w jakiś osobliwy sposób potrafiła podnieść mnie na duchu.

- I ja wiem, Maleeka.

Porządki zajęły nam kilka dni, a kiedy wywieziono meble - z wyjątkiem kilku sprzętów starannie wybranych dla Chloe - Ember House nabrał wyglądu ogołoczonego domostwa, z którego życie przeniosło się gdzie indziej. Przejrzałam papiery ojca i poukładałam

segregatory z dokumentami firmy. Resztę spaliłam - listy od mojej matki i Caro, zeznania podatkowe sięgające dwudziestu lat wstecz... wszystko. Zatrzymałam dla siebie biurko ojca, niebiesko-białą misę na owoce, oprawioną w ramki fotografię etruskiej pary i wybrane książki.

Zadzwoiłam do matki z pytaniem, czy życzy sobie, żebym jej cokolwiek przesała.

- Nie - odparła. - Wszystko to już za mną. - Kaszała. - Przeziębienie. Zwaliło mnie z nóg.

Przyszło mi nagle do głowy, że mogłabym postarać się tchnąć życie w nasze wzajemne relacje, ale wydawało się to pozbawione sensu. Matka dokonała wyboru wiele lat temu.

- Wracaj szybko do zdrowia.

- Człowiek prędzej umrze tu na atak kaszlu, niż zazna choćby odrobiny współczucia - poskarżyła się Sally.

- Art cię zaniedbuje?

- Auuu! — wrzasnęła Sally. — Właśnie uszczypnął mnie w tyłek.

Po ostatniej wizycie w Ember House wróciłam do domu zmordowana i umorusana. Sacha uparł się, że zrobi kolację. Patrzyłam, jak gotuje makaron i otwiera słoik z gotowym sosem.

- Sacha, musisz wiedzieć, że jesteś wspaniały.

Postawił przede mną kopiasty talerz i sam usiadł do stołu.

- Wygląda obrzydliwie.

Przełknęłam kęs, potem drugi. Rzeczywiście, smakowało w s t r ę t n i e i napadła mnie taka nagła tęsknota za aromatycznymi sosami Benedetty, za winem, oliwkami i słońcem, że aż chciało mi się wyć. Sacha utkwiał wzrok w swoim talerzu.

- Szkoda, że nie ma z nami mamy. - Po czym odsunął talerz i wybuchnął płaczem.

Zaczekałam, aż ucichnie ten nagły wybuch emocji.

- Będzie lepiej, zobaczysz.

- Przynajmniej nie mówisz, że będzie dobrze - odezwał się stłumionym głosem. - Tego bym nie zniósł. Nigdy nie będzie dobrze.

To było okropne, przerażające. No wiesz, ta historia z mamą. Pozostawiła po sobie mętlik i chaos.

Sacha nigdy nie zdobyłby się na ostrzejszą krytykę matki i za tę lojalność kochałam go jeszcze bardziej.

- Dla niej nic już nie jest trudne.

- Nie. - Podniósł zalaną łzami twarz. - Ale czuję się tak... jak gdyby nie kochała mnie wystarczająco mocno, żeby tutaj zostać.

- Och, Sacha...

Wstałam i otoczyłam go ramionami. Jego włosy były w nieładzie i - co do niego bardzo niepodobne - wymagały umycia. Pocałowałam go w mokry policzek.

- Meg kochała cię bardziej niż samą siebie.

Sacha zastanowił się, po czym spytał:

- Czy życie zawsze daje tak w kość?

Pokręciłam głową.

- Nie zawsze. Czekają cię chwile wielkiej radości, uwierz mi. I zadowolenia. I przyjemności odnajdowanej w błahostkach.

Ukrył głowę w ramionach.

- Dobrze by było.

- Ale musisz postanowić ich szukać.

- Myślisz?

Powiedziałam najpewniejszym tonem, na jaki potrafiłam się zdobyć:

- Zajęło mi to trochę czasu, ale owszem, tak właśnie myślę.

- Fanny, nie masz zamiaru odejść od Willa, prawda? - wyjąkał.

Popatrzyłam na niego głęboko zaskoczona.

- Dlaczego o to pytasz?

Wzruszył ramionami.

- Chybabym tego nie zniósł. I Chloe by nie przeżyła.

- C h l o e ?

- Tak mi powiedziała.

Sacha wyjechał na północ, nim powzięłam jakikolwiek zamiar co do rzeczy Meg. Przed wyjazdem dał mi wolną rękę.

- Proszę... proszę, zrobisz coś z tym? Tobie ufam.

W sypialni Meg unosił się zapach stagnacji i martwoty, za to rozgardiasz panował taki, jakby opuściła ją kilka sekund temu. Jak można było się spodziewać, tutaj jej obecność wyczuwało się silniej niż w jakimkolwiek innym miejscu. Podniosłam z podłogi apaszkę z jaskraworóżowego jedwabiu, jedną z jej ulubionych. Na tkaninie utrzymywały się jeszcze ślady jej zapachu — aż usiadłam raptownie na łóżku. Meg i ja byłyśmy ze sobą tak mocno związane, tak mocno splecione. Była częścią mnie - moją mroczną, wewnętrznym pogmatwaną stroną, ale miała w sobie również coś innego.

Złożyłam kosztowny skrawek jedwabiu.

Drzwi szafy Meg były uchylone, ukazując ubrania ściśnięte razem niczym tłum wystraszonych widzów. Sacha, w swojej skórzanej kurtce, z szerokim uśmiechem spoglądał z fotografii na puste łóżko. Na nocnym stoliku leżała książka. Wzięłam ją do ręki - poradnik psychologiczny z przesłaniem, że odczuwając strach, powodujemy jego złagodzenie. Poczłówka z dopiskiem „mieszkanie Meg”. Od Chloe z Australii. „Jest odjazdowo” - pisała. „Mam nadzieję, że miewasz się dobrze. Nie mogę się doczekać, kiedy się zobaczymy”.

Tęskniłam za córką. Za jej bałaganem, okresową burkliwością, za chwytanymi w przelocie przebłyskami jej interesującego życia wewnętrznego. Za jej: „Och, mamo, jesteś taka smutna”. Z przykrością myślałam o jej oddaleniu, o tym, że bez wątplenia czuje się wyłączone na ze spraw rodzinnych.

Sacha przyznał się do zamętu i chaosu własnych uczuć i ja powinienam uczynić to samo. W odniesieniu do Meg moje były równie bolesne i niepokojące jak jego. I pewnie pozostałoby tak na wieki. Mimo to muszę dołożyć wszelkich starań, żeby nie zapamiętać jej w negatywnym świetle. Zresztą nie mam nawet ku temu powodów, na swój sposób bowiem Meg zaciekle walczyła, by nie poddać się negatywnym emocjom.

Jej pokój się odmienił - był teraz wysprzątnany, przewietrzony, sterylny - pociągnęłam za zasłonę i powiedziałam na głos:

- Będzie mi cię brakowało, Meg. Możesz to sobie wyobrazić?

Składałam jej ulubidną bawełnianą bluzkę, przygotowując stertę ubrań na cele charytatywne, gdy nieoczekiwanie do kuchni wszedł Will. Miał na sobie ciemny garnitur oraz idealnie wypastowane buty i niósł - oczywiście - czerwone pudełko.

- Fanny, trwają wybory. Toczy się batalia.

Upchnęłam bluzkę do torby i rozłożyłam na wierzchu arkusz bi-
bułki.

- Mogę na ciebie liczyć? - Rzucił pudło na stół, wykonał zbyt gwał-
towny ruch i strącił z hukiem papierową torbę. - A to co, u licha?

— Jej butelka ratunkowa. Zawsze miała ją w pogotowiu.

Gdy wszystko zostało posortowane i spakowane, Will zapropono-
wał spacer.

Na szczycie wzniesienia powietrze było rzeńskie, lekki wiatr po-
trząsał liśćmi na drzewach, jakby czesał je niecierpliwymi pociąg-
nięciami szczotki. Drobną kropką znaczył nierówną trawę na
zboczu, a pod bukami widać było niewyraźnie odcisnięte ślady je-
lenich kopyt. Pokonaliśmy trawersem szczyt wzniesienia i zeszliśmy
w dół wzdłuż żywopłotu, który nosił jeszcze ślady niedawnego strzy-
żenia. Ukryte pod tarniną leżało maleńkie truchełko opierzonego
pisklaka. Ptaszek nie żył od dawna, jego ciało wyschło i niemal
zatraciło kształt.

Will szedł przede mną, obserwowałam go.

Starałam się pojąć, co ja tu właściwie robię, razem z Willem.

A potem sobie przypomniałam.

„»Mamo - marudziła trzyletnia Chloe podczas kazania na jed-
nej z niezliczonych mszy, w których musiałyśmy uczestniczyć — ma-
mo...« Byłam zmęczona, ledwie żywa ze zmęczenia. Will pochylił
się, podniósł swoją nieznośną córeczkę i mocno do siebie przytulił.
Zauroczona Chloe zaczęła wodzić swymi drobnymi rączkami
po całej jego twarzy, badając każdą płaszczyznę, każdą krzywiznę
brody, wtykając mu palce w oczy. A Will, wpatrując się w swoją
płowowłosą, małą kokietkę ze szczera miłością i wyrazem twarzy
świadczącym o pozostawieniu ambicji i dążeń daleko w tyle, pozwa-
lał jej na wszystko bez sprzeciwu”.

I właśnie to było odpowiedzią.

Will zaczekał, aż go dogonię.

- Będziesz mogła poświęcić trochę czasu i przejechać się naszym wyborczym autobusem? - spytał z niepokojem.

W tonie jego głosu wyczuwało się napięcie - powtórka wątpliwego Willa z Casa Rosa - i wiedziałam ponad wszelką wątpliwość, że perspektywa porażki przeraża wszystkich.

- Dam sobie radę bez ciebie - dodał. - Ale wolałbym nie.

- To jakiś postęp po tylu latach. - Chciałabym wywołać na jego twarzy choćby uśmiech, jeśli wzbudzenie śmiechu nie wchodziło w rachubę. - Jest aż tak źle?

Z trudem wydusił z siebie odpowiedź:

- Źle.

Wzięłam się w karby.

- No to może zacznę się szykować, co ty na to?

Posiedzenie przy herbacie i ciastkach cieszyło się naturalnie dużą frekwencją wśród działaczy partii. Nic tak jak wybory nie podrywało do działania zwolenników i krytyków, mimo że prasa pospieszyła się z opublikowaniem swoich wątpliwości co do szans partii.

Podszedł Mannoche.

- Cieszę się, że znowu cię widzę.

Trzymał gigantyczny plik papierów. Obrzuciłam je wzrokiem.

- Wszystkie dla mnie?

- Nie całkiem.

j Wydawało się, że perspektywa walki budzi w nim zapał. Ktoś musiał go mieć. Zarekwirowaliśmy plastikowe krzesła i przejrzeliśmy zdumiewająco długą listę obowiązków. Poranne spotkania. Kolacje. Rozmowy z prasą. Mannoche przechodził samego siebie.

- Liczę na to, że Will wytoczy jakieś ciężkie działa. Minister skarbu... albo nawet premier. Nic tak nie poprawia samopoczucia jak eksponowane stanowisko.

Chwilę później wstałam, by wygłosić mowę zagrzewającą do walki. Wiedziałam, że prezentuję się jak należy - niczym nie wyróż-

nijająca się spódnica, nieco elegantsza czarna marynarka, dyskretna biżuteria. Mundurek modelowej żony polityka.

Zlustrowałam wzrokiem twarze. Były dobroduszne, pełne wyczekiwania i pragnęły usłyszeć, że wszystko idzie we właściwym kierunku. Miałam wybór - albo mówić bez ogródek, a wtedy przemówienie przebiegałoby według schematu: czeka nas wiele trudów, nie ma bezpiecznych przystani ani pewnych rezultatów; albo... Uśmiechnęłam się.

- Panie i panowie, wiem, że Will pragnąłby być tu z nami i zjawi się wśród nas, jak tylko pozwoli mu na to inne obowiązki. Na razie z góry przekazuje podziękowania za wasz wysiłek, którego, jak doskonale zdaje sobie sprawę, nie będziecie szczędzić przez najbliższe sześć tygodni. Nie pójdzie on na marne. Mamy właściwą strategię, odpowiedni zespół oraz, jeśli wolno mi tak powiedzieć, właściwego człowieka, który was reprezentuje i doprowadzi do zwycięstwa. Żyję z nim... - Przerwa na kaskady śmiechu. - ...i wiem, że w każdej minucie myśli o swoim elektoracie... nawet wtedy, kiedy, moim zdaniem, powinien myśleć o mnie. - Jeszcze bardziej gromki śmiech. - Jedną z rzeczy, która trapi Willa w szczególności, jest fakt, że jako minister tak wiele czasu musi spędzać w Westminsterze, lecz nie oznacza to bynajmniej, iż elektorat Stanwinton nie leży mu na sercu. Mam nadzieję, że czujecie, iż zawsze ceni sobie wasze opinie i stawia wasze interesy na pierwszym miejscu.

Usiadłam przy wtórze gorących oklasków.

- Bardzo zgrabne - pochwalił Mannoche. - Dziękuję.

Siedziałam przed lustrem, wcierając krem w twarz i szykując się do nocnego spoczynku, gdy Will położył mi dłoń na ramieniu.

- Fanny, muszę cię o coś zapytać... Po prostu muszę... Kiedy Raoul odwiedził cię we Włoszech... Czy... czy wtedy?

Wiedziałam dokładnie, o co pyta Will, wiedziałam również, że musiał bardzo starannie przemyśleć temat, nim go poruszył. Gdyby nie Meg, z pewnością zagadnęłyby mnie o to już wcześniej, a długa przerwa między chwilą, w której dowiedział się o odwiedzinach

Raoula, a czasem obecnym musiała go dręczyć i było mi z tego powodu przykro.

Nie przerwałam rozprowadzania kremu po policzkach i szyi i spoglądałam na swoje odbicie w lustrze wykonujące tę codzienną, rutynową czynność.

Mogłam dokonać rzeczy niemożliwej, przywrócić równowagę. Mogłam powiedzieć Willowi prawdę. Że Raoul oferował mi cudowne, wyrafinowane rozkosze, chwile przyjemności i słońca, w których nie byłabym żoną, tylko sobą... I dodać, że bardzo pragnęłam z nich skorzystać.

Mogłam też powiedzieć, że wzięłam sobie Raoula na kochanka, ale nie ma powodu się przejmować. Okazało się to straszną pomyłką, która z pewnością nie wpłynie w żaden sposób na nasze małżeństwo. Zrozumiałyby, co mam na myśli.

Albo oznajmić, że podziękowałam Raoulowi, zaznaczając jednak, że w przyszłości będę miała jego propozycję na uwadze. Mówiąc w przenośni - przechowam ją na strychu i będę raz na jakiś czas wyciągać i odkurzać.

Napotkałam w lustrze nieufną twarz Willa i odłożyłam tubkę z kremem. Dotarło do mnie jasno, że polityka udanego małżeństwa wiąże się z niezadawaniem nigdy zbyt bezpośrednich pytań i nieudzielaniem wyczerpujących odpowiedzi, lecz pozostawianiem zawsze waziutkiego marginesu niepewności. Wystarczyło wiedzieć, że obie strony się kochają, a co do reszty - musiały wystarczać zwierciadła i dym oraz więcej niż krztyna zaufania.

Wklepałam ostatnią drobinę kremu. Lustro dźwigało podwójny ciężar przyglądania się własnemu wizerunkowi i cudzego spojrzenia. Moja skóra jaśniała kosztownym blaskiem, włosy wyglądały elegancko, bez zarzutu. Z dziewczyny wyrosła kobieta, która była również żoną i matką. Zrozumienie, kim się stajemy, wymaga tyleż samo wiary i siły woli. Ale dawało azyl, w którym mogłam się zaszyć i odetchnąć pełną piersią.

Wstałam i odwróciłam się twarzą do Willa.

- Przyjechał w interesach. - Pocałowałam go w czubek nosa

i opuszką palca nakreśliłam serce na jego piersi. - Wyłącznie w interesach.

- Wpadłem na pewien pomysł - oznajmił Will, odrzucając kołdrę i wchodząc do łóżka. - Jeśli zostały jakieś pieniądze z majątku twojego ojca, myślę, że powinniśmy zasięgnąć języka w sprawie kupna Casa Rosa. Moglibyśmy odnowić dom. Pomógłbym. Lubię majsterkować.

Wśliznęłam się obok i poprawiłam poduszkę.

- Zabraknie.

Uśmiechnął się konspiracyjnie.

- Wspominałem ci, że Meg zapisała mi niewielką sumkę? Możesz ją wziąć. M u s i s z . - Wyciągnął rękę i pstryknął włącznik światła.

— Tyle powinno wystarczyć.

W ramach kampanii wyborczej od czterech godzin odwiedzałam domy wyborców. Bolały mnie nogi, a przekłeta rozetka bez przerwy odpadała od ubrania. Naszym przedostatnim przystankiem był blok mieszkalny nad rzeką, gdzie betonowe pasáže miały wilgotne zacieki, a korytarze były zaśmiecone... lepiej nie dociekać czym. Zapukałam do drzwi, niegdyś jaskrawoniebieskich.

Kobieta w plastikowym fartuchu wystawiła głowę przez okno.

- Czego chcecie?

Zaczęłam recytować gadkę wyborczą, a kobieta zmarszczyła czoło.

- Nigdy żeście z nami nie gadali.

- Ale rozmawiamy teraz.

- Tak się wam tylko zdaje.

Depczący mi po piętach młodszy działacz partii zachichotał za moimi plecami, a ja zaniechałam dalszych prób.

- W porządku - rzekłam, usiłując wepchnąć ulotkę do skrzynki na listy, w której utknęła.

Stłumiłam ziewnięcie, które trudno było mieć mi za złe - o wpół do szóstej rano obudził mnie pan Tucker, dopytując się, czy moje życie duchowe przypadkiem nie szwankuje.

Dobre pytanie.

Następna na liście była pani Scott, przydzielona mijako zadanie specjalne, która - byłam tego pewna - spędziła niemal całe popołudnie, przygotowując herbatę na moje odwiedziny.

Młody aparatczyk i ja wcisnęliśmy się do saloniku, gdzie stała na nóżkach taca przykryta koronkową serwetką oraz dzbanek z ozdobionym paciorkami kapturkiem. Telewizor ze ściszym dźwiękiem mrugał i błyskał w rogu pokoju.

- Mam nadzieję, że używa pani swojego. - ściągnęła kapturek z dzbanka.

Używam, pani Scott. Bardzo go lubię.

- Pani Savage i ja jesteśmy przyjaciółkami - pani Scott zwróciła się do działacza partii - ona zastępuje pana ministra.

Rozejrzałam się po pokoju. Po wielu bojach samorząd wymienił szybę w drzwiach frontowych wybitą przez agresywnego sąsiada. W miejscu pęknięcia przy oknie widniała łata świeżego tynku, do której dostała się wilgoć.

- Cieszę się, że Willowi udało się zorganizować naprawę. Obawiam się, że było to dla pani dość uciążliwe.

Pani Scott nie postrzegала tego w ten sposób.

- Gdyby te dranie nie rozwalily mi drzwi, nigdy nie byłoby mi dane poznać ministra.

Dzień wyborów wstał burzowy. Wygramoliłam się z ciepłego łóżka i rozsunałam zasłony. Deszcz bębnił na polu za oknem i tworzył kałuże na drodze.

- Jasna cholera! - zaklął Will z łóżka. - Nikt nie pójdzie głosować. - Chwycił za słuchawkę i zadzwonił do Mannochiego.

Kiedy się ubierałam, wywiązała się rozmowa, w której padło moje imię. Wiedziałam, co to oznacza.

- Mannochie zamówił transport dla osób starszych... - Will opadł na poduszki i już od rana sprawiał wrażenie wyczerpanego. - ...ale przydałoby się nam drugie auto z kierowcą.

Wyjęłam moją wyborczą spódnicę, element garderoby raczej pozbawiony wielkiego uroku, ale włożyłam ją, ponieważ nadawała mi wygląd osoby przystępnej, na której można polegać.

- Znam swoje obowiązki.

Lokal wyborczy znajdował się w szkole podstawowej, w której wyborcy lawirowali pomiędzy wiadrami z wodą, ponieważ przeciekał dach, co - jak przyszło mi właśnie do głowy - nie stanowiło najlepszej reklamy dla Willa.

Oddaliśmy głosy, a potem zabrałam się do wożenia osób starszych, niesprawnych i z małymi dziećmi do lokali wyborczych i z powrotem. Co jakiś czas meldowałam się w którymś z dwudzie-

stu pokoi komisji wyborczej rozproszonych po okręgu, aby poznać najnowsze dane.

Dzień minął, a po kolacji złożonej z porwanego w biegu banana i jogurtu otrzymałam rozkaz - wezwanie do broni dla żony parlamentarzysty.

Pojechałam do domu, przebrałam się w ciemnoszary kostium, jedwabną koszulkę i różowe pantofle z miękkiej skóry na płaskim obcasie. No i włożyłam, a jakże, rajstopy. Spojrzałam w lustro i skontrolowałam stan rzęs. Dziewczyna... nie, k o b i e t a musi rozważnie wybierać strategię. Gdybyśmy wygrali, jestem przygotowana. W razie porażki, muszę wzbąć się na szczyty swojej kobiecości. Iść pod topór wyperfumowana, umalowana, z nienagannie ułożonymi włosami.

Zamaskowałam podkładem cienie pod oczami, podkreśliłam usta szminką, usunęłam jej nadmiar chusteczką i nałożyłam drugą warstwę, szczotkowałam włosy, póki nie opadły posłusznie na ramiona.

Mannochie dogonił mnie, gdy torowałam sobie drogę pośród zastępów pomocników w głównej siedzibie partii. Miał ponurą minę, oklapnięte, nieuczesane włosy.

- Sondáže wśród opuszczających lokale wyborcze nie wyglądają zbyt optymistycznie.

- Dla partii czy dla Willa?

- Trudno powiedzieć - odparł - ale możliwe, że i Willowi się oberwie.

- O rany, Mannochie. - Zamarłam w bezruchu. - Sądziłam, że sytuacja się poprawi.

- Polityka to nie nauka ścisła, przecucia też się liczą.

Mannochiemu trudno byłoby pogodzić się z porażką, podobnie jak Willowi. Byli ze sobą złączeni jak koń z karetą.

- Już przez to przechodziliśmy - przypomniałam Mannochiemu.

- Przeżyjemy.

- Tylko że nie widać żadnej konkretnej przyczyny - stwierdził żalonym tonem. - Gospodarka w porządku. Inflacja pod kontrolą. Administracja państwowa jakoś działa.

Podobno gruntowne przemiany w strukturze ziemi zachodzą głęboko i skrycie. Choć nie mamy o tym pojęcia, one się odbywają, ale musi upłynąć wiele czasu, nim naukowcy będą w stanie dokładnie określić, co się stało. Meg miała słuszość - w którymś momencie ludzi ogarnia znużenie i po prostu łakną odmiany.

Usta Willa rozciągnęły się w uśmiechu ulgi, kiedy przeciskałam się w jego stronę.

- Myślałam, że dałaś nogę.

Niczym pomniejsi członkowie królewskiego rodu staliśmy bok przy boku, a ludzie podchodzili do nas, aby coś przedyskutować, przyjmując polecenie, podzielić się spostrzeżeniem. Raz po raz Will szukał mojej dłoni i ją ścisnął. Kątem oka dostrzegłam, jak zmierza prosto ku nam Matt Smith.

- Mogłabyś uśmiechać się do Matta, Fanny? - szepnął Will.

- Prosisz mnie o takie okropne rzeczy. - Zmusiłam się do ułożenia ust w pożądany kształt.

I... w taki oto sposób wyczekiwaliśmy tortury obliczania głosów. Podenerwowani i znużeni obserwatorzy wałęsali się bez celu i prowadzili jałowe rozmowy. Działaczom najlepiej wychodziło zachowywanie pozorów gorączkowej aktywności, ale to członkowie partii opozycyjnej wydawali się zadowoleni i gorliwiej zaangażowani w pracę.

Przywieziono urny wyborcze, opróżniono, posegregowano karty, zebrano w pliki i ułożono rzędami na ustawionych na kozłach stołach. Teraz należało obserwować rzędy. Czasem rosły powoli... innym razem piętrzyły się błyskawicznie, a ze sposobu, w jaki członkowie komisji skrutacyjnej spoglądali w twoim kierunku, można było wywnioskować, która kupka należy do kogo.

Nikt nie patrzył w stronę Willa.

- Widzisz? - powiedział ścisłym głosem Mannoche. - Niedobrze.

- Wiem.

Nalałam sobie kawy z termosu. Była zaparzona już dawno temu, ale przynajmniej gorąca. W każdym razie pozwalała skupić uwagę

na czymś innym. Nie ma potrzeby przyjmować złych wieści, póki nie zostaną potwierdzone.

O czwartej doszło do ostatniej sprzeczki z kandydatem partii Ziemia i Natura w sprawie nieważnych głosów. Gdy spór rozstrzygnięto, przewodniczący komisji wyborczej skierował kroki w naszą stronę.

- Przykro mi - zwrócił się bezpośrednio do Willa. - Raz na wozie, raz pod wozem.

Will głośno przełknął ślinę. Wzrok przewodniczącego komisji powędrował ku zwycięskiemu kandydatowi.

- Przykro mi - powtórzył.

Will stanął na podium wyprostowany i z kamienną twarzą, dokładnie tak, jak się przygotował, i byłam z niego dumna. Odczytano ostateczne wyniki, a Will nie zachwiał się ani razu, nawet wtedy, gdy usłyszał, jak jego przewaga 7005 głosów została starta z powierzchni ziemi.

Zwycięski kandydat skłonił się, uśmiechnął od ucha do ucha i wygłosił mowę, w której podziękował z osobna większości osób w Stanwinton.

Potem wzięł mikrofon Will... i cofnęliśmy się do początków. Mówił o zmianie, o potrzebie przemyślenia na nowo pewnych rzeczy oraz naładowania akumulatorów, o tym, jak walczył o dochowanie wierności swoim ideałom. Podziękował swoim stronnikom i zapewnił, że ich wysiłki nie poszły na marne.

Widziałam, jak każde słowo pozbawia go energii, i modliłam się, żeby dobrnął już do tego igrzyska gladiatorskiego kresu. Na końcu wysłuchał oklasków z pochyloną w ukłonie głową. Potem podniósł wzrok i poszukał mojego spojrzenia.

Na tym się nie skończyło, musieliśmy jeszcze przeprowadzić wiele rozmów z bardzo dużą liczbą osób, które trzeba było uspokoić i którym należało przypomnieć, że to nie koniec świata i nadejdzie jutro.

W drodze do domu Will powiedział znienacka:

- Zatrzymaj wóz.

Gwałtownie szarpnął drzwiami i zataczając się, wysiadł. Podążyłam za nim.

Po chwili zwymiotował.

Podtrzymałam go, póki nie minął atak torsji.

- Przepraszam - wykrztusił.

Gdy odzyskał oddech, namówiłam go na krótki wspólny spacer do dębu rosnącego w rogu pola. Słońce właśnie zaczęło wyzierać zza horyzontu, a po wrzawie i gorączce ratusza powietrze wydawało się orzeźwiające i chłodne. Oparliśmy się o bramę i wpatrywaliśmy przez pole w brzask, patrząc, jak poranne światło wydobywa rysunek liści w żywopłotach. Ptaki budziły się w koronach buków.

Will oparł głowę na splecionych ramionach.

- Zawsze zastanawiałem się, jak dam sobie radę, gdy nadejdzie kiedyś ten moment.

- Odpowiedź brzmi: dobrze. Bogiem a prawdą, lepiej niż dobrze.

Mówił przyciszonym głosem:

- Będziemy musieli przemyśleć wszystko od nowa. Jak żyć, i tak dalej. Co robić.

W domu zaparzyłam herbatę, którą wypił wielkimi haustami.

- Zobaczmy, co się dzieje w telewizji - powiedział.

Ale go powstrzymałam.

- Nie, z tym na razie koniec.

Ciemne oczy z przygnębienia utraciły blask.

- Pewnie masz rację.

Chociaż przez cały wieczór nie miał nic w ustach, odmówił jedzenia. Zaprowadziłam go na górę. Posłusznie poddał się mojej woli, gdy rozpinałam mu koszulę i odklejałam ją od skóry. Miał ciało mokre od potu, co chwilę wstrząsał nim dreszcz, któremu towarzyszyło westchnienie.

W łóżku ostrożnie przysunęłam się i przytuliłam go.

Po kilku minutach zapadł w niespokojny sen, lecz ja nie wypuszczałam go z objęć, póki nie zdrętwiało mi ramię. Kiedy nie mogłam

już dłużej wytrzymać, oderwałam się od Willa i zeszłam na dół za-
telefonować do Chloe.

Zlokalizowanie jej wymagało niejkiej determinacji, ale wreszcie
udało mi się z nią połączyć. U niej była późna noc i gdy podeszła do
telefonu, usłyszałam w jej głosie przerażenie.

- Mama? Nic złego się nie stało?

- Nic strasznego, tyle że tato stracił wczoraj wieczorem swój
mandat. Chciał, żebym do ciebie zadzwoniła.

- Och, biedny tato. Bardzo się martwi?

- Tak. W tej chwili śpi.

Kiedy już Chloe zyskała pewność, że jej rodzina zasadniczo nie
zniknęła z powierzchni planety, wydawała się dość radosna.

- Może zająć się czymś innym. Powiedz mu, że mnóstwo ludzi
tak robi. Taki jest duch epoki. Dobrze jest mieć w życiu jakąś od-
mianę. Powiedz mu, że ma szczęście, dostając kolejną szansę na coś
nowego.

- Chloe, skarbie, naprawdę za tobą tęsknię. Chcę opowiedzieć ci
o wielu rzeczach i o tym, co widziałam we Włoszech.

Uzmysłowiłam sobie, że już czas zapoznać Chloe z historią ro-
dziny.

- Och, mamó, ja też za tobą tęsknię... - Paplała i paplała, i do-
piero pod koniec rozmowy rzuciła taką oto informację: - Mamó,
poznałam kogoś... Ma na imię Paul...

Dokonałam oględzin mojego królestwa. Posprzątałam kuchnię,
skontrolowałam zapasy jedzenia i wina. Bez wątpienia Mannoche
i reszta towarzystwa będą przyjeżdżać tu stadami i domagać się
strawy tak samo w porażce, jak w zwycięstwie. Ja będę gotować całe
miski makaronu i otwierać butelki wina, będziemy siedzieć wokół
stołu i roztrząsać, co się wydarzyło, póki nie nabierze to wystar-
czająco konkretnych kształtów, aby można było zepchnąć wszystko
w otchłan pamięci. Potem trzeba będzie iść dalej.

Wzięłam do ręki terminarz i przerzuciłam kartki, odpierając po-
kusę wykreślenia z niego mniej więcej kilkunastu przedświątecznych

spotkań z wyborcami. Byłoby to równoznaczne z wyrwaniem żałości nie mało znaczącego zwycięstwa z paszczy klęski.

- Fanny?

Podniosłam wzrok znad terminarza. W progu stał Will.

- Jestem tutaj - powiedziałam.

- To dobrze - rzekł i nie będąc w stanie się powstrzymać, zniknął w pokoju obok, aby włączyć telewizor.

Naród zabrał głos. Partia wypadła z parlamentu. Inna weszła i teraz wszyscy albo lizali rany, albo triumfowali, albo stroili obłudne miny, albo robili wszystkie te rzeczy jednocześnie.

Dyskutowaliśmy, co ta sytuacja będzie oznaczać dla różnych kolegów z partii i jak bardzo odsunie ona marzenie Willa o stanowisku ministra skarbu. W głębi duszy wiedziałam, że prawdopodobieństwo, że Will kiedykolwiek je zrealizuje, stało się teraz znikome. Jednak chwila nie była odpowiednia, żeby o tym mówić.

- Zadzwoiłam do Chloe. Pewnie się ucieszysz, bo ona uważa, że powinnaś spojrzeć na to jak na drugą życiową szansę.

- Bezczelny łobuz - skwitował i opadł na krzesło z cierpkim uśmiechem. - Ale ma rację. - Boleśnie zmarszczył czoło. - Oddałbym wszystko, żeby ją zobaczyć.

- Chcesz jeszcze herbaty?

- Nie.

- J a też nie. - Schyliłam się, aby zbadać zawartość stojaka na wino. - Nigdy więcej herbaty. Zamiast herbaty cudowne wino.

Teraz, kiedy nie było tu Meg, czułam, że mogę pozwolić sobie na taką swawolę.

Will umilkł.

Oboje byliśmy zatopieni we własnych myślach - a moje skupiały się głównie wokół tego, jak wspierać Willa, póki nie poczuje się lepiej.

- Will - odezwałam się łagodnie - nigdy nie wiadomo, może spodoba ci się tymczasowa wolność.

Wzruszył ramionami.

- Łatwo powiedzieć.

Wcale nie brakowało mu odwagi, Will miał jej mnóstwo. Problem polegał na tym, że przywykł do rozumowania według jednego schematu. Przede mną zadanie przekonania go, że wypróbowanie innego schematu będzie kłopotliwe, ale za to intrygujące i absolutnie możliwe.

Kilkakrotnie wiązał i rozwiązywał pasek szlafroka.

- Co dały ci Włochy? - zapytał. - Mogłabyś podzielić się ze mną wrażeniami? W pewnym momencie zacząłem się zastanawiać, czy nie zamierzasz tam zostać.

Odłożyłam na stojak butelkę bordo - słabego Haut-Marbuzet rocznik 1997 - i wyprostowałam się.

- Mogłabym to zrobić - rzekłam. - Myślałam o tym.

Przezeszał dłońmi włosy, jak gdyby w poszukiwaniu dawnego Willa, tego, który tryskał optymizmem i wigorem.

- Oszalałbym - stwierdził - albo zacząłbym zaglądać do butelki.

- Kiepski żart.

- Kiepski - przyznał.

- Kiedy już otrząsnęłam się z poczucia ulgi, jaką dawała mi samotność, uświadomiłam sobie, Will, że nie chciałabym żyć bez ciebie.

- To dobrze. - Will wstał, żeby sprawdzić w telewizji najświeższe wyniki. - To bardzo dobrze.

Wzięłam pełny kubek na śmieci i wyniosłam go na zewnątrz. Dzień zaczął się już na dobre i snop światła padał na drzwi garażowe. Z osobliwym, na poły bolesnym, na poły przyjemnym ukłuciem w sercu dostrzegłam cień - ślad - faktury i barwy Casa Rosa.

„Francesco” - mawiał ojciec. „Mieszkasz oczywiście tutaj, w Stanwinton, ale jesteś Fiertina”.

Cóż, i tak, i nie. Z wielkim pietyzmem traktowałam tę przerośniętą oraz opowieść o doprowadzeniu zbocza wzgórze do pełni rozkwitu. Z nagiego stoku do porośniętej bujną roślinnością, urodzajnej oazy - „las dziadka, gaj oliwny ojca, moja własna winnica” - w ciągu trzech pokoleń, tak mawiano. Jednak nawet ojciec musiałby przyznać, że mówił o czasach, które dawno minęły. Nie było go w Fiertino, kiedy robotnicy rozryli drogę mechanicznymi koparkami i po-

stawili rząd słupów wysokiego napięcia maszerujących w górę stoku. Ani nie siedział u Angela, kiedy toczono rozmowy o subwencjach na uprawę oliwek i o przebudowach domów.

Teraz jednak nie będę myśleć o Casa Rosa. Jeszcze nie. Przeszłam przez trawnik. Dom został za moimi plecami, teraz bardziej opustoszały niż przez wiele dotychczasowych lat, osłabła w nim krzątanina ludzi, niemal zamarł wszelki ruch. Moje terytorium. Mimo wszystko przywykłam do jego przestrzeni i pokraczności. Żyliśmy ze sobą w zgodzie, dom i ja - jego brzydkie okna, wawrzynowy żywopłot, kuchnia, która nigdy do końca nie nabrała pożądanego wyglądu. Osiągnęłam jako takie porozumienie nawet z kociećkami na tkaninie dekoracyjnej, którą obity był taboret. Chcąc nie chcąc, ten dom stał się *terroir*, na którym Will i ja wiedliśmy nasz małżeński żywot i podejmowaliśmy wysiłek kształtowania naszego losu. I, o tak, w jego murach zyskałam wewnętrzną siłę.

Weszłam do środka, złożyłam ubrania, uporządkowałam papiery i nieotwartą korespondencję. Wędrując z pokoju do pokoju, nasłuchiwałam ledwo uchwytnego śladu, słabiutkiego echa obecności, które niegdyś je wypełniały.

Will wrócił do łóżka, zastałam go skulonego na boku. Wśliznęłam się obok niego, naciągnęłam na nas oboje kołdrę mojej matki i otoczyłam go ramionami. Był wyziębiony i jakby bez życia. Gdy całowałam go w policzek, moje włosy musnęły jego twarz, ja zaś wyszeptaliśmy mu do ucha, że przetrwa, że wszystko się ułoży i że go kocham.

- Rozmyślałem o Meg - powiedział. - I o tym, co jeszcze mogłem zrobić. Jak sądzisz, jak ona by się czuła? Wiem, co powiedziała by twój ojciec. „Spójrz na to w ten sposób”.

Roześmiałam się.

Po chwili Will zwrócił ku mnie twarz.

- Lubię, kiedy się śmiejesz - powiedział.